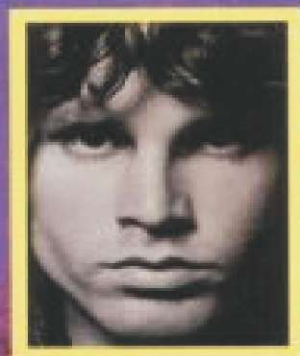


JERRY HOPKINS & DANNY SUGERMAN



**NIKT
NIE WYJDZIE STĄD
ŻYWY**

Historia Gena Morrisona

Erinowi, Nickowi, Rebec
- Jerry

Rayowi i Jimowi
- Danny

**Jerry Hopkins
Danny Sugerman**

**NIKT
NIE WYJDZIE
STĄD ŻYWY**

**w przekładzie
Grzegorza Grątkowskiego**

Britannica

Wydanie niniejsze zostało dokonane w uzgodnieniu
z Warner Books, Inc., New York

Tytuł oryginału: No One Here Gets Out Alive

Copyright © 1980 by Haku Olelo, Inc.

All rights reserved

Copyright for the Polish edition

© 1992 by Britannica Press & Education

Copyright for the translation

© 1992 by Grzegorz Grątkowski

Britannica

ul. Ratajczaka 18

61-815 Poznań

Zdjęcie na okładce: Joel Brodsky

Redaktor: Joanna Ciechanowska

Projekt okładki: Marek Gizelski

Redaktor techniczny: Henryk Gromadecki

ISBN 83-85365-09-5

Wyrażamy serdeczne podziękowanie za zgodę na opublikowanie utworów Jimma Morrisona i zespołu The Doors następującym instytucjom: Arc Music Corp., Doors Music Co., Modern Music Publishing Co., Inc, United Artists Music Co., Inc.

Treść tej książki została oparta na prywatnych dociekaniach autorów i nie była autoryzowana przez rodziców Jamesa Douglasa Morrisona i Pamelę Courson Morrison.

Powiedzmy po prostu, że próbowałem
dotrzeć do granic rzeczywistości.
Byłem ciekaw, chciałem zobaczyć, co się stanie.
To było to i nic więcej: po prostu ciekawość.

Jim Morrison
Los Angeles, 1969

Wstęp

Jim Morrison był jeszcze za życia na dobrej drodze do zostania mitycznym bohaterem. Jest faktem raczej bezdyskusyjnym, że został nim po śmierci. Jego śmierć, okryta tajemnicą i nieustającymi nawet dziś dociekaniem, dopełniła jego konsekracji, zapewniła mu miejsce w panteonie utalentowanych, wrażliwych artystów, którzy życie odbierali zbyt intensywnie, by móc je wytrzymać - takich jak Arthur Rimbaud, Charles Baudelaire, Lenny Bruce, Dylan Thomas, James Dean, Jimi Hendrix i inni.

Książka ta nie rozwija ani nie rozwiewa mitu Morrisona, ma raczej przypominać, że o Jimie i the Doors istnieje nie tylko legenda; że legenda w istocie została stworzona. Miejscami treść książki staje w otwartej opozycji do mitu, to znów nie różni się od niego. Cóż, taki był ten człowiek.

W moim osobistym przekonaniu Jim Morrison był bogiem. Dla niektórych spośród Was zabrzmiał to jak ekstrawagancja, dla innych będzie to przynajmniej śmiałą deklaracją. Oczywiście, Morrison podkreślał, że wszyscy jesteśmy bogami i przeznaczeniem naszym jest stwarzać siebie samych. Ja chciałem tylko powiedzieć, że uważam go za boga współczesności. A przynajmniej za bożyszcze.

Aż do dzisiaj mało rozumieliśmy tego człowieka. Swoją działalnością w zespole Doors zdobywa sobie wciąż nowe kręgi odbiorców, podczas gdy prawdziwy talent i źródła jego inspiracji pozostają nieznane. Historie jego aresztowań i różnych wyczynów powtarzano w coraz bardziej pikantnych wersjach, a portret człowieka rozmywał się wraz z upływem czasu.

Morrison odmienił życie Jerry'ego Hopkinsa i moje. Faktem jest, że odwrócił bieg życia wielu ludzi wokół siebie, nie tylko swego bezpośredniego kręgu, lecz także i tych, do

których docierał jako kontrowersyjny wokalista i autor tekstów the Doors.

W książce tej położyliśmy akcent na objęciu całego okresu życia Jima, a nie na jego znaczeniu. Nie możemy podjąć niczego więcej, jak tylko próbę wniknięcia w człowieka poprzez wydarzenia. Chcieliśmy pokazać, skąd przybył i jak znalazł się na drodze, którą podążał.

Nie jest łatwo ot, tak, przenieść się od razu w pierwsze z tych miejsc - wrócić do roku 1967, kiedy większość z nas usłyszała 0 nim po raz pierwszy. Poszukiwania tego ducha nie są bynajmniej łatwe, nawet, jeżeli robi się to zgodnie z tym, co mówił sam Jim: że jest się po prostu obcym, chcącym zajrzeć do środka. Rock and roll zawsze przyciągał ludzi nieprzystosowanych do otoczenia, niepewnych kim są, a Morrison, właśnie jako outsider, posunął się o krok dalej. W efekcie powiedział: „Wszystko jest w porządku; czujemy się dobrze. Oczywiście, że otacza nas ból, że w ogóle to jest piekło - ale o ileż to prawdziwsze od drogi, którą idziecie wy!” - i wskazał palcem rodziców, nauczycieli i inne osoby, sprawujące władzę. I nie uciekał się do mglistych aluzji; rozwścieczony fałszem, nie chciał, by się jedynie domyślano, lecz gwałtownie, z furią, oskarżał. Uświadomił nam, jak jest naprawdę: „Ludzie są dziwni, gdy jesteś obcy / brzydkie są twarze, gdy jesteś sam”. Śpiewał o tym, jak mogłoby być: „A mogłoby nam być tak dobrze razem opowiem ci o świecie, który stworzymy / o jasnym, beztróskim świecie / bez handlu, pośpiechu, wynalazków i zaproszeń”. Pokazywał to z pasją, zaangażowaniem, ale również z wdziękiem, również z mądrością. I prawie zawsze bez najmniejszych kompromisów.

Wejście w taki świat zupełnie Jima nie pociągało. Przekazywanie czy omijanie - to było nie dla niego. Jego jedynym celem było przebić się przez to wszystko. Czytał o innych, którzy tego dokonali i wierzył, że jest to możliwe. Chciał wziąć nas ze sobą. „Wieczorem będziemy już u bram” - śpiewał. Pierwsze, magiczne lata zespołu to coś więcej niż tylko dzieje zdobywania publiczności przez Jima i jego kolegów

podczas krótkich wizyt w różnych miastach. To obszary poza dobrem i ziemię; to zmysłowy, dramatyczny, muzyczny krajobraz. Oczywiście, ostatecznym przebicciem się na drugą stronę może być tylko śmierć.

Jedną nogą po stronie życia, pomiędzy „tu” a „tam”, można stać tylko przez chwilę, poprzedzającą definitywne przekroczenie. I Jim tak uczynił. Zapamiętałem machał ramionami, wzywał nas, byśmy się przyłączyli. To smutne, ale wydaje się, że potrzebował nas bardziej niż my jego. Bo przecież nie byliśmy gotowi iść za nim tam, dokąd chciał nas zabrać. Pragnęliśmy patrzeć na niego, może nawet postąpić kilka kroków, ale w końcu nic z tego; nie wyszło. Jim odszedł sam, bez nas.

Jim nie domagał się pomocy, to raczej on chciał pomagać. Nie wierzę w to, że Jim Morrison był kiedykolwiek na drodze ku śmierci, jak głosiło tylu piszących o nim. Sądzę, że jego droga skłaniała się ku życiu. Nie życiu chwilowemu, lecz ku wiecznemu szczęściu. Gdyby musiał zginąć, by tam dojść, uczyniłby to bez wahania. Jeżeli z jego odejściem wiązał się jakiś smutek, to był to tylko żal instynktowny lub płynący z przyzwyczajenia. Ale jako bóg, jako wizjoner, on miał rację.

Historia, którą przeczytacie, może brzmieć jak tragedia, ale dla mnie jest to opowieść o wyzwoleniu. I nieważne już, jaką depresję i rozpacz Jim wycierpiał w ostatnich dniach swego życia. Wierzę, że i wtedy doznawał radości, nadziei i spokojnego przekonania, że jest już prawie w domu.

I to, jak umarł, też nie jest istotne. Ani nie jest szczególnie ważne to, że umarł tak młodo. Najważniejsze jest, że żył, i to żył świadom celu: ażeby odkryć Ciebie i Twoje możliwości. Tego dokonał. Jego krótkie życie mówi o tym nadto wyraźnie. Ja zaś powiedziałem już zbyt wiele.

I nigdy nie będzie kogoś takiego, jak on.

Danny Sugerman
Beverly Hills, Kalifornia
22 marca 1979

JERRY HOPKINS: Pisze o muzyce popularnej od ukończenia uniwersytetu w roku 1957. Związany był z wieloma pismami branżowymi jako reporter i opublikował kilka książek o muzyce rockowej. W roku 1971 ukazała się pierwsza i jak do tej pory najbardziej wyczerpująca biografia Elvisa Presleya, napisana przez Hopkinsa i zatytułowana *Elvis*. Książka ta była zadedykowana po części Jimowi Morrisonowi „za jego pomysł”. Po domniemanej śmierci Morrisona w roku 1971, Hopkins postanowił, że jego następnym dziełem będzie biografia wokalisty The Doors. Jerry Hopkins po raz pierwszy zetknął się z Jimem gdy przeprowadzał z nim wywiad dla magazynu „Rolling Stone”. Powtórnie spotkał go podczas podróży do Meksyku, kiedy to Hopkins opisywał trasę koncertową The Doors.

Od roku 1971 do 1975, Jerry Hopkins zbierał materiały dotyczące życia Morrisona. I wtedy właśnie poznał Danny Sugermana, przyjaciela i partnera w interesach Jima Morrisona.

Obecnie Jerry Hopkins mieszka na Hawajach z dwójką dzieci. Pisze o muzyce hawajskiej i w dalszym ciągu współredaguje pismo „Rolling Stone”.

DANNY SUGERMAN: Ma trzydzieści cztery lata i mieszka w Beverly Hills, gdzie prowadzi dobrze prosperującą agencję reklamową i impresaryjną. Jest także bliskim współpracownikiem trzech żyjących Doorsów, szczególnie Raya Manzarka, którego karierą artystyczną opiekuje się od momentu rozwiązania zespołu. W czasach największych sukcesów The Doors, Sugerman pomagał im w interesach i był jednym z członków „Rodziny Doorsów”. Mając trzynaście lat zajął się pisaniem, do czego zachęcił go Jim Morrison. Początkowo Sugerman opisywał koncerty zespołu, później był szczegółowym kronikarzem słynnego procesu Morrisona w Miami. Był bardzo blisko związany z wokalistą The Doors, a po śmierci Morrisona w Paryżu, Sugerman w dalszym ciągu pisał o muzyce rockowej dla czasopism amerykańskich i zagranicznych.

Gdy Jerry Hopkins zakończył zbieranie materiałów i napisał pierwsze wersje biografii Morrisona, Sugerman zajął się przygotowaniem ostatecznej fazy publikacji, starając się nadać bohaterowi postać jak najbardziej rzeczywistą, taką jaką zachował w pamięci.

Spis treści

| | |
|--------------------------------------|-----|
| Wstęp - Danny Sugerman | 7 |
| Napięty łuk | 13 |
| Lot strzały | 75 |
| Upadek strzały. | 225 |
| Posłowie - Michael McClure | 374 |
| Podziękowania | 377 |
| Dyskografia, książki, filmy..... | 379 |

Napięty łuk

ROZDZIAŁ

1

Kiedyś, gdy śnieg pokrył grubą warstwą góry wokół Albuquerque, niedaleko Sandia Peak, Steve i Clara Morrisonowie wybrali się z dziećmi na sanie. Steve służył w pobliskiej bazie lotniczej Kirtland jako samodzielny oficer, druga osoba po dowódcy, w jednostce zwanej Oddziałem Broni Specjalnych Lotnictwa Marynarki Wojennej. Oznaczało to energię atomową, wówczas jeszcze temat okryty tajemnicą, o którym nie wolno było rozmawiać w domu. Było to zimą 1955 roku. Jim Morrison właśnie przed kilkoma tygodniami skończył dwanaście lat. Za niecały miesiąc jego siostra, Anne, wyrastająca na puciołowatego skrzata, miała obchodzić dziewiąte urodziny. Andy, mocniej od Jima zbudowany, miał dopiero sześć lat.

Scena jak z typowego pejzażu zimowego: w tle ośnieżone góry nowomeksykańskie Sangre de Cristo, zaś bliżej rumiane policzki, ciemne, falujące włosy, ledwie wystające spod ciepłych kapeluszy - zdrowe dzieciaki w ciężkich szubach, wdrapujące się do sari. Śnieg nie padał, zawiewał tylko suchymi, tnącymi podmuchami, unoszony porywem wiatru znad gór.

Na krawędzi stoku Jim posadził Andiego na dziobie sań, Anne tuż za nim, a sam wcisnął się z tyłu. Odpychając się rękami w grubych rękawiczkach, dzieci poruszyły sanie, które zaczęły rozpędzać się z rosnącym gwizdem.

Jechali coraz szybciej. Niedaleko wyłoniła się chata, (gwałtownie); rosnąca w oczach.

Sanie sunęły w dół stoku niczym sputnik przemierzający mroźne przestworza. Andy wpadł w przerażenie:

- Wyskakujmy! - wrzasnął. - Skaczymy! Skaczymy!

Zaczął się szamotać, lecz nogi uwięzione miał w dziobie sań. Próbował odsunąć się do tyłu, ale siedząca za nim Anne była unieruchomiona. Jim przytłaczał ich oboje od tyłu, tak, że byli bezradni.

Chata była tuż-tuż.

- Skaczymy! Skaczymy!

Sanie zbliżyły się na niecałe dwadzieścia metrów od ściany domu, jadąc kursem, przy którym straszne zderzenie było nieuchronne. Anne patrzyła przed siebie zmartwiałym z przerażenia wzrokiem. Andy jęczał.

Sanie przejechały pod ogrodzeniem z belek i o dwa metry od ściany zostały zatrzymane przez ojca. Gdy dzieci wydostały się ze środka, Anne paplała coś histerycznie o tym, jak Jim zepchnął ich w dół i nie pozwolił uciec. Andy nie przestawał płakać. Steve i Clara próbowali uspokoić młodsze dzieci.

Jim stał obok i wydawał się bardzo zadowolony.

- Ale było fajnie! - skwitował.

Matka Jima, Clara Clarke, była jednym z pięciorga dzieci, nieco ekscentryczną, rozpieszi żoną córką niezaangażowanego politycznie prawnika z Wisconsin. Matkę straciła w wieku kilkunastu lat, a kiedy w 1941 roku jej ojciec przeniósł się na Alaskę by tam pracować jako cieśla, dwudziestojednoletnia córka pojechała na Hawaje do swej siostry akurat spodziewającej się dziecka. Na zabawie marynarskiej poznała Steve'a, przyszłego ojca Jima.

Stove wychował się w małym miasteczku na środkowej Florydzie jako jedno z trojga dzieci, jedyny syn właściciela pralni, człowieka o poglądach konserwatywnych. W dzieciństwie dostawał zastrzyki na tarczycę dla uregulowania wzrostu, a w college'u nazywany był przez swego kuzyna, a zarazem najlepszego przyjaciela, „szkolnym kowbojem: typ świętoszkowaty - zapalony metodysta, ale uwielbiany przez dziewczyny”. Steve ukończył Akademię Morską Stanów Zjednoczonych cztery miesiące przed terminem, w lutym 1941 roku — wkrótce po wprowadzeniu przyśpieszonych kursów w celu dostarczenia armii świeżych kadr oficerskich przed nadchodzącą wojną.

Steve i Clara poznali się tuż przed japońskim atakiem na Pearl Harbour. Pobrali się szybko w kwietniu 1942 roku. Krótco przed tym, jak stawiacz min, na którym służył Steve, wyszedł z suchego doku i powrócił na północny Pacyfik.

W następnym roku Steve wysłany został do Pensacola na Florydzie na przeszkolenie lotnicze, a równo w jedenaście miesięcy później, 8 grudnia 1943 roku, James Douglas Morrison swym przyjściem na świat wzbogacił wojenny wyż demograficzny. Urodził się w Melbourne na Florydzie, niedaleko miejsca znanego dziś jako przylądek Canaveral.

Ojciec opuścił półrocznego syna, by wrócić na Pacyfik i latać na Hellcatch z lotniskowca. Przez następne trzy lata Clara mieszkała z synkiem u rodziców Steve'a w Clearwater. Ich dom, położony tuż nad Zatoką Meksykańską, prowadzony był wedle ścisłych rygorów - domownicy poddani byli przesądom wiktoriańskim: „Dzieci powinny być widoczne, ale nie słyszalne... Należy przemilczać rzeczy nieprzyjemne, a zniknąć bez śladu... Czystość zaraz po pobożności”. Dziadkowie Jima ze strony ojca wychowali się w Georgii. Żadne z nich nie piło ani nie paliło.

Zachowanie Clary podczas nieobecności męża było nienagane, ale po zamknięciu w zaduchu przestarzałych poglądów

teściów i nudzie Clearwater, jej radość nie miała granic, gdy Steve powrócił z Pacyfiku, prawie w rok po zakończeniu wojny, w środku deszczowego lata 1946 roku.

Ciągłe zmiany miejsca i podzielenie, cechujące życie rodziny Morrisonów w czasie wojny, trwały dalej przez całe dzieciństwo Jima. Pierwszym miejscem służby ojca było miasto Waszyngton, ale spędził tam tylko sześć miesięcy, po czym po raz pierwszy wysłany został do Albuquerque, gdzie przez rok pracował jako instruktor jednego z wojskowych kursów broni atomowej. W tym czasie czteroletni Jim miał już młodszą siostrę.

Właśnie w okolicy Albuquerque Jim, jadąc z rodzicami autostradą z Santa Fe, przeżył coś, co później opisywał dramatycznie jako „najważniejszą chwilę swojego życia”. Napotkali wówczas przewróconą ciężarówkę i ujrzeni rannych, umierających Indian z Pueblo leżących bezładnie, tak, jak zostali wyrzuceni na asfalt.

Jim zaczął płakać. Steve zatrzymał wóz, by zobaczyć, czy można im jeszcze pomóc, i wysłał innego przygodnego świadka zdarzenia do telefonu w celu wezwania pogotowia. Jimmy - tak rodzice nazywali syna, zanim skończył siedem lat - patrzył przez okno na chaos tej sceny, płacząc bez przerwy.

Steve wrócił do samochodu i ruszyli w dalszą drogę, ale chłopiec nie uspokoił się. Był coraz bardziej roztrzęsiony, szlochał histerycznie.

- Ja chcę im pomóc, chcę im pomóc...

Clara trzymała syna w objęciach, Steve uspokajał go.

- Już dobrze, Jimmy, już przestań!

- Oni umierają! Oni umierają!

W końcu jego ojciec powiedział:

- To był sen, Jimmy. To nie wydarzyło się naprawdę; to ci się tylko przyśniło.

Jim łkał dalej.

Po latach Jim mówił przyjaciółom, że gdy samochód ojca ruszał ze skrzyżowania, akurat umarł jeden z Indian i jego dusza wniknęła w ciało chłopca.

W lutym 1948 roku Steve'a wysłano na ocean; „oficer broni specjalnych” znów znalazł się na lotniskowcu. Morrisonowie zamieszkali w Los Altos, w północnej Kalifornii. Dla Jima był to piąty dom w ciągu czterech lat. Tu zaczął chodzić do szkoły i tu urodził się jego młodszy brat, Andy.

W wieku siedmiu lat Jim znów został wyrwany z miejsca, gdzie mieszkał: kariera ojca wymagała przeniesienia się do Waszyngtonu. W rok później, w 1952 roku, Steve'a skierowano do Korei, gdzie miał dowodzić atakami lotnictwa morskiego. Jego rodzina powróciła do Kalifornii i osiedliła się w Claremont koło Los Angeles.

Niektórzy ludzie twierdzą, że negatywne strony braku zakorzenienia są bardzo wyolbrzymiane. Dziecko w ciągle przenoszącej się rodzinie traci wprawdzie tradycyjne korzenie, ale nadrabia to wielością doświadczeń. Niezależnie od tego, na ile słuszne są te, czy inne argumenty, pozostaje kilka specyficznych problemów.

Po pierwsze, członkowie rodziny wojskowego wiedzą, że nigdzie nie pozostaną na stałe i na ogół nie mają większego wpływu na to, kiedy i dokąd przyjdzie im się przeprowadzić. Rodzina wojskowego-marynarza musi być przygotowana na to, że także w czasie pokoju będą długie okresy służby ojca na morzu i że w odróżnieniu od żołnierzy armii lądowej, nie może on nikogo zabrać ze sobą. Rodzina taka uczy się traktować podróż jak codzienność, zabierać tylko rzeczy najpotrzebniejsze: meble, srebra, porcelanę, bieliznę. Jim i jego rodzeństwo mieli przez całe dzieciństwo mało zabawek i książek.

Wiele rodzin niechętnie nawiązuje nowe przyjaźnie, w świadomości, że mogłyby one przetrwać najwyżej rok lub dwa. Inni próbują za wszelką cenę zdobyć przyjaciół i albo

wyczerpują się pod względem emocjonalnym, albo są tak natarczywi, że narusza to przyjęte normy.

Atmosfera koleżeństwa i rodzinności, panująca w bazach wojskowych, pozwala oczywiście zatrzeć poczucie obcości w nowym środowisku. Rodzina oficera jest zawsze mile widziana, na przykład w klubie oficerskim; zawsze może zaaklimatyzować się w tym nader ruchliwym świątku. Odnosi się to zwłaszcza do marynarki wojennej, której oficerowie tworzą niewielkie, zżyte ze sobą grono. Przez wiele lat najbliższymi przyjaciółmi Steve'a i Clary byli inni oficerowie marynarki i ich żony. Co pewien czas, w coraz to nowych miejscach, krzyżowały się ich drogi. Dzieci z kolei zwykle znajdują towarzystwo w szkole, a jeżeli pochodzą z rodzin marynarskich, zmuszone są częściej szukać nowych przyjaciół.

Psycholodzy, którzy badali bardzo ruchliwą społeczność marynarską, odkryli w niej szereg zjawisk patologicznych, od alkoholizmu i konfliktów małżeńskich po rozwiązłość i poczucie braku przywiązania do miejsca. Prawdopodobnie najważniejszym czynnikiem jest tu powtarzająca się nieobecność ojca rodziny. Rola matki zmienia się ciągle w zależności od tego, czy ojciec jest akurat w domu, czy nie, a dzieci często odczuwają zagubienie i niechęć do władzy.

Kiedy Jim był mały, Clara i Steve postanowili nigdy nie podnosić w gniewie ręki na dzieci, lecz stosować inne środki dyscypliny, wyjaśniać dzieciom wszystko, tłumaczyć im, kiedy źle postąpiły. Czasami dyscyplina taka przeradzała się w werbalne obnażanie, czasami w lodowate milczenie.

„Doszło w końcu do tego - mówi dzisiaj Andy - że próbowali doprowadzić nas do płaczu. Mówili nam, że zrobiliśmy coś złego, tłumaczyli, dlaczego tak postąpiliśmy i dlaczego źle jest tak postępować. Wytrzymałem tak długo, jak mogłem, ale oni zawsze potrafili postawić na swoim. Jim w końcu nauczył się nie płakać, mnie się to nigdy nie udało”.

Do chwili wyjazdu ojca do Korei Jim wyrósł na lekko puciołowatego chłopca, któremu inteligencja, wdzięk i dobre wychowanie przysporzyły sympatii nauczycieli i wychowawcy jego piątej klasy. Ale potrafił też zaskoczyć starszych nagłą fanfaronadą i szokującym językiem. Jeździł na rowerze bez trzymania; został wyrzucony z klubu skautów za ordynarne odezwanie się do opiekunki. Napastował brata.

W Claremont Jim zajmował z Andym wspólny pokój i najbardziej ze wszystkiego nie znosił ciężkiego oddechu brata, szczególnie, gdy czytał, oglądał telewizję lub chciał spać. Andy cierpiał na chroniczne zapalenie migdałków, co utrudniało mu oddychanie w nocy.

Bywało, że Andy budził się nagle, krztusząc się, rozpaczliwie próbując nabrać powietrza, po czym zauważał, że ma usta zalepione celofanową taśmą. W drugim łóżku Jim udawał, że śpi albo trząsł się cicho ze śmiechu.

Gdy rodzina ponownie osiadła w Albuquerque, Clara przyjęła na pół etatu posadę sekretarki. Jim zapisany został do szkoły podstawowej - w latach 1955-1957 skończył siódmą i ósmą klasę. Ktoś z rodziny odniósł wrażenie, że trójka dzieci bardzo żyła się wtedy ze sobą w „odruchu obrony przeciw ciągłym zmianom miejsca”, ale w tym samym okresie mieszkania w Nowym Meksyku rodzice zauważyli, że Jim się oddala. Przestały go interesować lekcje muzyki, odmawiał wypełniania domowych obowiązków, zaczął pożerać książki. Wtedy też doświadczył owego niebezpiecznego zjazdu saniami.

We wrześniu 1957 roku, po dwuletnim pobycie w Nowym Meksyku, Morrisonowie przeprowadzili się po raz kolejny, tym razem do Alamedy w północnej Kalifornii. Alameda jest niedużą wyspą w zatoce San Francisco, znaną z bazy lotnictwa morskiego, stanowiącej największy kompleks przemysłowy w okolicy i zarazem najpotężniejsze amerykańskie zgrupowanie lotniczo-morskie na świecie. Dla Jima było to dziewiąte

miasto rodzinne; tutaj chodził do pierwszej i do połowy drugiej klasy szkoły średniej.

Jedynym jego prawdziwym przyjacielem był w tym czasie wysoki i gruby chłopak o sennym głosie, Fud Ford. To on wprowadzał Jima w niuanse obyczajów szkoły w Alamedzie, mówiąc mu, że przyjeżdżanie na rowerze jest źle widziane (Jim zaczął chodzić na piechotę do odległej o półtorej mili szkoły) i że jest niedopuszczalne, by nosić w klasie czyste Levisy.

- Matka pierze mi je co tydzień - skarżył się Jim.
- Czasami dwa razy w tygodniu.

Fud rozłożył ręce bezradnie.

Jim rozpozgodził się:

- Mam pomysł! Zostawię drugą parę naprzeciwko, pod gankiem Richa Slaymakera. Będę się przebierał po wyjściu.

Było to posunięcie obliczone na zdobycie akceptacji. Podobny cel miały podejmowane przez Jima próby zwrócenia na siebie uwagi. Pewnego razu obwiązał sobie wokół ucha jeden koniec sznurka, drugi włożył do ust, i na wszelkife uwagi odpowiadał, że ma w gardle małe wiaderko, w które zbiera ślinę do doświadczeń medycznych. Czytał z zapałem czasopismo „Mad” i przyswoił sobie z niego niektóre chwytliwe powiedzonka. Mówił, że jest „crackers to slip the rozzer the dropsy in snide”. Zaczął też przejawiać swą dominującą później cechę, odragę do wszelkich form władzy: gdy miejscowy policjant wyrzucił go z kina w Alamedzie za siedzenie w pierwszym rzędzie wśród grupy hałaśliwych łobuzów, warknął do niego:

- Najpierw się pan wylegitymuj!

Opracował też wyszukane sposoby odbierania telefonu, oparte na kontrowersyjnym humorze z „Mad”, a przy tym kaleczył język bełkotliwym zlewaniem głosek:

- Halo, tu kostnica Morrisonów... jak wy ich zaciukacie, to my ich pochowamy!" i „Halo, tu rezydencja Morrisonów, Thelmaprzy telefonie”.

Czasami zachowywał się subtelniej, ale i bardziej dziwacznie. Kiedy został zatrzymany za wchodzenie po schodach przeznaczonych tylko do ruchu w dół, postawiono go przed dyżurem uczniowskim i zapytano:

- Uważasz się za winnego, czy nie?
- Jestem niewinny - odparł uroczyście - bo, jak widzicie, nie mam nóg.

Jim i Fud byli nierozłączni. Razem zaczęli popijać, podkradając dzin z butelki i uzupełniając ją wodą. Markowali mordercze bójkę przy bilardzie w klubie oficerskim, by potem chichotać przez całą drogę do domu. Dzielili też cierpienia przebudzenia erotycznego. Jim zachęcał Fuda, by chodził razem z nim pod dom Joy Allen przy ujściu rzeki, gdzie podglądali Joy i jej matkę przebierające się do kąpieli. Tuż obok, przy osiedlu małych domków na wchodzących w zatokę cypelkach, ściągali kąpielówki i wyskakiwali z wody na brzeg, by przebiec pędem od jednego brzegu do drugiego i z powrotem. Jim opowiedział też Fudowi, że odbył stosunek z dwiema dziewczynami naraz, i to w swym własnym pokoju, w czasie, gdy matka poszła po zakupy. Fud pokręcił głową z zazdrością i zrewanżował się innym kłamstwem.

Jim często spędzał u Fuda całe popołudnia, pisząc dziesiątki szokująco obscenicznych reklam radiowych z pogranicza zboczeń erotycznych i tematyki wydalania oraz kału. Na przykład o dłubaniu w odbycie i o masturbacji:

„Masturbacja występuje zazwyczaj pomiędzy dwunastym a osiemnastym rokiem życia, chociaż w niektórych przypadkach przedłuża się aż do wieku dziewięćdziesięciu trzech lat i dalej. Być może nie uświadamiacie sobie niebezpieczeństwa z tym związanego. Często zdarzają się poważne uszkodzenia skóry na napletku prącia, które w wyjątkowych wypadkach wymaga amputacji. Może również wdać się stridopsis papun-

tasistula, czyli, mówiąc prostszym językiem, obrzmienie i zaczerwienienie prącia. Nikt przecież nie chce czegoś takiego. Ale to nastąpi, o ile nie zostanie wam udzielona natychmiastowa pomoc. My - Towarzystwo Zapobiegania Onanizmowi - mamy w swym wyposażeniu specjalne, wypróbowane maszyny, a nasz personel, złożony z wyszkolonych sióstr, jest zawsze gotów zabrać się energicznie do dzieła i wyciąga chętnie do pomocy ręce, kiedy tylko potrzeba".

Jim narysował ołówkiem drobiazgowy rysunek, przedstawiający skrzywionego, wymiotującego mężczyznę - „wszystko przez zaniedbane nerki". Na innym widniał mężczyzna z butelką coca coli w miejscu członka, z otwieraczem do puszek zamiast jąder i z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, mokrą od śluzu, którego większa ilość wypływała z odbytu. Trzeci przedstawiał mężczyznę z wzniesionym członkiem wielkości kija baseballowego, trzymanym przez małego, klęczącego chłopca, oblizującego z ochotą swe ostre kły.

Jim wykonywał setki takich rysunków. Gdy był w lepszym humorze, wycinał razem z Fudem postacie z niedzielnych czasopism i aranżował z nich nowe scenki naklejając je na papier i dodając dialogi i podpisy. Tematami była na ogół erotyka lub wydalanie kału, ale wygłupy te zdradzały doświadczenie i subtelny humor niezwykle dla czternastolatka.

Jim siedział wieczorem sam w swoim pokoju. Odetchnął głęboko, zamykając książkę, od której nie mógł się oderwać przez cztery godziny. Nazajutrz rano zaczął ją czytać na nowo. Tym razem przepisywał wybrane fragmenty do notatnika, który od niedawna nosił wszędzie ze sobą.

Książką tą była powieść Jacka Kerouaca o pokoleniu bitników, *On the Road*, wydana we wrześniu 1957 roku, dokładnie wtedy, gdy Morrisonowie przybyli do Alamedy.

Jim odkrył ją w zimie. W tym czasie, gdy krytyk jednej z gazet z San Francisco ukuł nowe, pejoratywne pojęcie: *bitnik*.

Światowym centrum bitników było North Beach w sąsiedztwie San Francisco, odległe tylko o trzy kwadransy drogi autobusem od Alamedy. W soboty Jim i Fud włączyli się niestrudzenie po Broadwayu, zatrzymując się, by pomyszkować w księgarni City Lights, w której witrynie widniał szyld: „książki zakazane”. Gdy za którymś razem Jim ujrzał jednego z właścicieli księgarni, poetę Lawrence'a Ferlinghettiego, rzucił nerwowe „cześć”, ale gdy Ferlinghetti odpowiedział na przywitanie, Jim uciekł.

Ferlinghetti był jednym z idoli Jima, obok Kennetha Rexrotha i Allena Ginsberga. Ginsberg wywarł nań największy wpływ jako ucieleśnienie literackiej postaci Carlo Marxa, jednego z bohaterów *On the Road* Kerouaca, „smutnego poety-kontestatora o mrocznej duszy”. To przyciągało Jima jak magnes.

Fascynował go też Dean Moriarty, „brodaty bohater śnieżnego Zachodu”, którego postać ożywiła akcję powieści Kerouaca niczym amfetamina. Był to jeden z kerouacowskich „szaleńców, szalony w czynach, w słowach, w żądzy ocalenia, pragnący wszystkiego naraz. Człowiek, który nigdy nie ziewa ani nie prawi banałów, lecz płonie, płonie, płonie jak fantastyczne, jaskrawożółte race, wybuchające na kształt pająków na tle gwiazd, z błękitną poświatą pośrodku i z zachwyconym „ach!” publiczności”.

Jim zaczął naśladować Moriartiego we wszystkim, z jego przeciągłym śmiechem „hii-hii-hii-hii” włącznie.

Czas dłużył się w Alamedzie. Jim pozorował wypadki rzucając się do basenu w bazie wojskowej, słuchał w kółko swych płyt Oscara Branda i Toma Lehrera, kłócił się z matką.

Clara była krzykliwa; kiedy nie mogła dać sobie rady z synem, groziła mu wstrzymaniem kieszonkowego. Chłopak śmiał się z niej. Raz, gdy zbliżyła się do niego w gniewie,

chwycił ją, przycisnął do podłogi i pomazał jej ręce długopisem.

- Walczysz nie fair! - wściekała się. - Walczysz nie fair!

A Jim śmiał się:

- Hii-hii-hii-hii, a-hii-hii-hii-hii...

W grudniu 1958 roku Jim przeniósł się z Kalifornii do Alexandrii w Wirginii - był tam przed całą rodziną i do czasu jej przyjazdu mieszkał u przyjaciół ojca z marynarki wojennej, razem z ich synem, swoim rówieśnikiem. Jeff Morehouse był drobnym chłopcem w okularach, mózgiem klasowym. To on przedstawił Jima Tandy Martin. Tandy mieszkała obok, o sto metrów od obszernego domu, wynajętego przez Morrisonów w styczniu, gdy Steve wrócił do Pentagonu.

Ceglano-kamienny dom stał w pagórkowatej, zalesionej okolicy, zwanej Beverly Hills, zamieszkałej przez zamożne mieszczaństwo złożone z dyplomatów, wyższy korpus oficerski, członków rządu, lekarzy, adwokatów i senatorów. Salon w domu Jima wyłożony był grubym dywanem w kwiaty i umeblowany zabytkowymi sprzętami (jeden z braci Clary był antykwariuszem). Stały tam krzesła z miękkimi obiciami i wielki telewizor. Rowery stawiano przy ganku.

W liceum imienia Jerzego Waszyngtona Jim i Tandy mieli swe szafki obok siebie. Zazwyczaj razem chodzili do szkoły i razem wracali.

Jim uwielbiał szokować Tandy.

- Patrz, zaraz tam wejdę i obsikam tę pompę. - oświadczył pewnego dnia, sięgając wymownie do rozporoka swych wojskowych spodni.

- Nie! - krzyknęła wystraszona Tandy.

Bardziej przemyślaną zabawę urządził zapraszając dziewczynę, by popatrzyła na jego mecz tenisowy z głuchym kuzynem. Przez prawie godzinę Jim porozumiewał się ze swym partnerem gestykulując rękami i tłumaczył te dialogi stojącej w pobliżu Tandy, która przysłuchiwała się

z przejęciem. Nagle rozmowa zamieniła się w spór, palce Jima i jego kuzyna latały jak igielki i w końcu głuchy chłopiec oddalił się wyniośle.

Jim wzruszył ramionami i oznajmił Tandy, że odprowadzi ją do domu.

- O co wam poszło? - zapytała.

- Ach, głupstwo. - odpowiedział Jim. - Pytał, czy może iść z nami, odprowadzić ciebie, a ja mu nie pozwoliłem.

Tandy nazwała Jima okrutnym i wybuchnęła łzami.

- Och, Jim, jak mogłeś...

- O, rany! - odparł Jim - Przecież tak naprawdę to on wcale nie jest głuchy!

Tandy przestała płakać i zaczęła wrzeszczeć z wściekłości. Przez dwa i pół roku była jedyną przyjaciółką Jima w Alexandrii i cierpiała najbardziej. Jim wypróbował ją bez ustanku.

Pewnej soboty wybrali się do galerii sztuki Corcoran, leżącej niedaleko Waszyngtonu. Gdy autobus przejeżdżał przez Potomac, Jim rzucił się na kolana i objął Tandy za nogi.

- Jim! - szepnęła przerażona Tandy. - Co ty wyprawiasz? Przestań, w tej chwili przestań!

Jim szybkim ruchem zdjął jeden z jej zgrabnych bucików i zaczął ściągać białą skarpetkę.

- Jim, proszę cię! - chwyciła poły swej spódnicy i ścisnęła je, aż zbieleły jej kostki dłoni. Nagły rumieniec pokrył jej policzki i szyję aż po warkocz.

- Chcę tylko ucałować twoje piękne stopy - wybełkotał Jim swym slangiem, którym lubił straszyć dziewczynę. Wyćwiczył to tak, że nie można było poznać, kiedy się zgrywa. Potem podniósł jej bosą stopę, musnął ją ustami i wyciągnął swe nosowe „hii-hii”.

Autobus zatrzymał się w pewnej odległości od galerii. Do otwarcia pozostało jeszcze pół godziny, więc Jim i Tandy weszli do pobliskiego parku. Gdy zbliżyli się do dużego posągu nagiej kobiety przegiętej w talii, Jim szepnął Tandy do ucha:

- No, mała, leć i pocałuj tę babkę w dupę.

- Jim!

- No, leć.

- Przestań!

- Co, więc powiadasz, że boisz się podejść do tyłka zwykłego kawałka marmuru? - zapytał Jim swym charakterystycznym tonem.

- Chodźmy stąd, Jim. - Tandy rozglądała się nerwowo.

Grupka turystów fotografowała posąg.

- No, idź Tandy, porusz tym kulistym mięśniem. Pocałuj ją w gluteus maximus.

Tandy przestała nad sobą panować:

- Nie pocałuję tego posągu jakbyś tego nie nazwał, możesz sobie gadać, ile ci się spodoba!

Po jej krzyku zapadła cisza. Tandy rozejrzała się wokół. Wszyscy patrzyli na nią, a Jim siedział na ławeczce opodal i spoglądał w bok jak gdyby jej nie znał, choć z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu.

„Pytałam go, dlaczego się ciągle wyglupiał - mówi dzisiaj Tandy - A on odpowiadał: „Bo inaczej nigdy nie zainteresowałabyś się mną”.

Tandy nie była jedynym obiektem eksperymentów Jima. Cierpieli też nauczyciele, zwłaszcza naiwna i staromodna nauczycielka biologii w emerytalnym wieku. Na jej lekcjach Jim wydurniał się bez skrepowania. Pewnego razu podczas klasówki wskoczył na jedną z ławek i zaczął wymachiwać z pasją rękami, skupiając na sobie zdumione spojrzenia.

- Panie Morrison! - zabrzmiał poirytowany głos nauczycielki. - Co pan wyprawia?

- Właśnie wyganiem osę - odpowiedział Jim, nie schodząc z ławki.

Klasa zatrzęsa się ze śmiechu.

- Osa ma prawo, by jej nie ruszano, panie Morrison. Proszę wrócić na miejsce!

Jim zeskoczył z ławki i ze zwycięską miną poszedł na swoje miejsce. Na nowo zapadła cisza. Po chwili Jim znów wskoczył na ławki i ganiał za osą po wszystkich kątach, aż w końcu wybiegł na korytarz.

Gdy spóźniał się do szkoły, opowiadał wydumane historyjki o tym, jak złapali go bandyci albo jak został porwany przez Cyganów. Za którymś razem wyszedł nagle z klasy, oznajmiając próbującemu go zatrzymać nauczycielowi, że udaje się właśnie na operację guza na mózgu. Nazajutrz wychowawca klasy wprowadził Clarę w osłupienie, pytając przez telefon o wynik operacji.

Jim podchodził do ładnych dziewcząt, kłaniał się, recytował dziesięć wersów jakiegoś sonetu albo osiemnastowiecznej powieści, kłaniał się powtórnie i spokojnie odchodził. Po lekcjach szedł razem z kolegami na pole golfowe. Sam jednak nie grał, lecz przechadzał się po szerokiej na pięć centymetrów krawędzi ogrodzenia, ryzykownie balansując dziesięć metrów nad rwącym w dole Potomakiem. W szkole krzyczał do kolegów przez cały korytarz: „Hej, ty matkojebo!”

Niektóre z tych wyczynów pełne były goryczy i okrucieństwa. Wracając autobusem z Waszyngtonu zauważył kiedyś, że przygląda mu się pewna starsza kobieta.

- Co sądzi pani o słoniach? - zapytał.

Kobieta odwróciła się pośpiesznie.

- Pytam panią: co sądzi pani o słoniach?

Zapytana nie odpowiadała, więc nalegał dalej:

- No, więc jak z tymi słoniami?

Gdy autobus dojeżdżał do Alexandrii, kobieta jęczała, a wielu pasażerów prosiło Jima, by dał jej spokój.

- Przecież ja tylko pytałem o słonie! - odparł chłopak.

Innym razem, spotkawszy razem z Tandy inwalidę na wózku, zaczął się wykrzywiać, robić głupie miny i ślinić się z szyderczego śmiechu.

Ordynarne zachowania Jima pociągały kolegów z Alexandra. Otaczali go na ogół najlepsi uczniowie, prymusi: między innymi redaktor gazetki szkolnej, uważany za najinteligentniejszego chłopca w klasie i przewodniczący samorządu szkolnego. Wszyscy zabiegali o jego względy, nieświadomie naśladowali jego sposób mówienia, przyswajali sobie jego ulubione powiedzonka: „That's a hot one!” i „Uhh... you got me, right in the gonads!”, próbowali umówić się z nim na wspólne spotkania (Jim zawsze odmawiał) i przekazywali sobie historyjki zwane „Jim Morrison stories”. Magnetyzm Jima stawał się faktem oczywistym, choć niełatwym do wytłumaczenia.

„Byliśmy tak cholernie bezpośredni - wspomina jeden z jego kolegów z klasy. - Kiedy ktoś zrobił coś niedozwolonego, coś, o czym wszyscy marzyliśmy, byliśmy mu w pewnym sensie wdzięczni. I Ignęliśmy do Morrisona - skupialiśmy się wokół niego.”

Tandy Martin przedstawia to inaczej: „Kiedy jesteś w szkole średniej i jesteś inny... Na przykład mi bardzo zależało na tym, by należeć do koła szkolnego, bo chciałam być wśród ludzi, ale wiedziałam też, że to jest gównie warte, więc nie mogłam się przyłączyć. Kiedy mnie zaproszono, wróciłam do domu i ryczałam przez całą noc, wiedząc, że muszę odmówić. Byłam nadszarpnięta nerwowo. Kiedy wydaje ci się, że jesteś w porządku, ale wszyscy wokół postępują inaczej, a do tego masz tylko piętnaście lat, wtedy twoja wiara upada, otwiera się rana. W tym wieku każdy chce być wśród ludzi. Jima zapraszali do AVO - to takie bractwo - i on im odmówił.”

W latach nauki w szkole imienia Waszyngtona Jim miał średnią ocenę 88,32 (w skali 1-100-przyp. tłum.) i dwukrotnie zdobył wyróżnienie honorowe, wszystko to kosztem minimalnego wysiłku. Jego współczynnik inteligencji wynosił 149. Według obliczeń szkoły przekraczał nieco krajową średnią ocen z matematyki (528 w stosunku do średniej 502) i o wiele

z przedmiotów humanistycznych - (630 do 478). Ale statystyki naprawdę niewiele mówią. Bardziej wymowne były w tym czasie lektury Jima. Zaczytywał się Nietzschem, którego poetycko-filozoficzne poglądy na estetykę, moralność i dualizm apollinijsko-dionizyjski pojawiały się stale w jego rozmowach, poezji, piosenkach i zachowaniu. Czytał też *Żywoty sławnych mężów* Plutarcha, skąd wyniósł uwielbienie dla postaci Aleksandra Wielkiego. Podziwiał jego talent i wzorował się na pewnych szczegółach jego wyglądu: przejął na przykład „zwyczaj lekkiego pochylenia głowy na lewe ramię”. Poznał też poezję Artura Rimbaud i ulegał jej wpływowi, pisząc swe krótkie poematy prozą. Czytał wszystko, co napisali Kerouac, Ginsberg, Ferlinghetti, Kenneth Patchen, Michael McClure, Gregory Corso i inni piewcy pokolenia beatu. Książka *Life Against Death* Normana O. Browna stała u niego na półce obok *Studs Lonigan* Jamesa T. Farrella i *Outsidera* Colina Wilsona; następny był *Ulisses* (nauczyciel angielskiego w ostatniej klasie przeczuwał, że Jim jako jedyny spośród jego uczniów przeczytał i zrozumiał tę książkę). Bliscy mu byli Balzac, Cocteau i Molier, a także większość filozofów francuskiego egzystencjalizmu. Wydawało się, że Jim siłą swej intuicji przyswaja dokonania tych zdobywczych umysłów.

Teraz, po upływie dwudziestu lat, ten sam nauczyciel opowiada o lekturach swego ucznia: „Jim czytał tyle, zapewne więcej, niż ktokolwiek inny w klasie. Ale wszystko, co czytał, było tak zaskakujące, że nawet pewien inny nauczyciel chodził do Biblioteki Kongresu, by sprawdzać, czy książki, o których Jim opowiadał, naprawdę istnieją. Byłem skłonny podejrzewać, że chłopak je wymyślał. Były to na przykład księgi z szesnasto- i siedemnastowiecznej angielskiej demologii. Nigdy o nich nie słyszałem. Ale istnieją, a napisany przez niego referat przekonał mnie, że on je czytał. Ich źródłem mogła być tylko Biblioteka Kongresu.

Jim stawał się pisarzem. Zaczął prowadzić dziennik w postaci kołonoatników, które wypełniał codziennymi obserwacjami i refleksjami. Zapisywał tam fragmenty reklam z gazet, urywki rozmów, pojedyncze myśli i całe akapity z książek, a kiedy poszedł do ostatniej klasy, także coraz więcej poezji. Skłaniał się ku romantycznemu pojmowaniu poezji: fascynowała go legenda Rimbauda i tragiczne przeznaczenie; homoseksualizm Ginsberga, Whitmana i samego Rimbauda, alkoholizm Baudelaire'a, Dylana Thomasa, Brendana Behana; obłęd i nałogi tylu innych, u których cierpienie sprzęgało się z wizjonerstwem. Na tych stronach swych notatników Jim widział własne oblicze.

Być poetą oznaczało dlań więcej, niż tylko pisać. Wymagało to również zaangażowania w życie i w śmierć w wielkim stylu i z jeszcze większą nostalgią, budzenia się codziennie rano z gorączkowym drżeniem, które uspokoić może tylko śmierć. I w końcu trzeba też było wiary, że to cierpienie kompensuje się w niezwykły sposób. Jak mówił Wallace Stevens: „Poeta to kapłan Niewidzialnego”. A Shelley pisał: „Poeci są nieznanymi prawodawcami świata... hierofantami nieznannej siły natchnienia, odbiciem potężnych cieni, z których przyszłość uczyni teraźniejszość.”

Najlepiej chyba wyłożył to sam Rimbaud w liście do Paula Demeny: „Poeta czyni się jasnowidzem przez długotrwałe, bezmierne i świadome rozprzężenie wszystkich zmysłów. Wszystkie formy miłości, cierpienia, szaleństwa: szuka sam siebie i wyczerpuje w sobie wszystkie trucizny, by zachować z nich tylko kwintesencje. Nieopisana tortura, w której trzeba mu całej wiary, całej nadludzkiej siły, w której staje się wśród wszystkich wielkim chorym, wielkim przeklętym - i najwspanialszym Uczonym! Bo dociera do Nieznanego! Niechaj kona w swoim skoku przez rzeczy niesłychane i nie do nazwania...” (przeł. J. Hartwig i A. Międzyrzecki) Poeta jako złodziej ognia.

Jim napisał raz coś, co określał jako „balladę-poemat”, zatytułowaną *Pony Express*, a teraz wyrzucał z siebie mniejsze okruchy, wypełniając notatniki fragmentami, mającymi dostarczyć materiału lub inspiracji niejednemu spośród wczesnych utworów the Doors. Ocalał wiersz zatytułowany *Horse Latitudes* który Jim napisał po obejrzeniu ponurego malowidła na okładce jakiejś książki, przedstawiającego konie zrzucane z pokładu hiszpańskiego galeonu, zatrzymanego przez ciszę morską na Morzu Sargassowym:

Strefa koni

Gdy ścichłe morze zastyga w pancerz
Kiedy posępne i bezsilne
prądy rodzą małe potwory
Prawdziwa żegluga umiera
NieZRęczna chwila
i pierwsze zwierzę zrzucano
Nogi rozszalałe, biegnące
w powolnym, zielonym galopie
Głowy tańczące na wodzie
Uniesione
delikatne
po chwili
pogodzone
beZgłośna agonia w nozdrzach
wyszlachetniałych nagle
skazanych.

W wielu wierszach Jima, tak z pierwszego okresu, jak i późniejszych, przewijał się motyw wody i śmierci. f-+i«ci;iz Jim był znakomitym pływakiem, jego najbliż's*vp'izy)aci3ifr utrzymują, że zawsze bardzo obawiał się wods-f.

W tym samym czasie Tandy Martin przeniosła sie%- college'u imienia Waszyngtona do pobliskiej szŁc*y St.^gnes'dta

dziewcząt. Jim widywał ją często, gdy przechodziła koło jego domu i niejedną raz odprowadzał. Spędzali wiele godzin, dzieląc się zwierzeniami.

- Jakie jest twoje najwcześniejsze wspomnienie? - pytała Tandy.

- Jestem w pokoju z czworgiem, czy pięciorgiem dorosłych i wszyscy mówią: „Chodź do mnie, Jimmy, chodź do mnie!” Właśnie uczę się chodzić, a oni wszyscy mnie wołają: „Chodź tu do mnie!”

- Skąd wiesz, że to nie coś, co opowiadała ci matka?

- To zbyt trywialne. Matka nie opowiadałaby takich historii.

- Ale pomyśl, Freud mówił, że...

Być może Jim uważał, że to było trywialne; w ciągu najbliższych lat miał wydobyć więcej podobnych wspomnień. Większość z nich przedstawiał jako sny. We wszystkich występowali dorośli wyciągający ręce do niego, gdy był małym dzieckiem.

Tandy i Jim rozprawiali o tym, co ich przerażało, o tym, co mieli ze sobą wspólnego i kim pragnęliby zostać. On mówił, że chciałby być pisarzem, by móc wszystkiego doświadczyć. Raz i drugi napomknął o sobie jako o malarzu i dał dziewczynie dwa małe obrazki olejne: portret Tandy w formie słońca i autoportret przedstawiający Jima jako króla.

Podobnie, jak pisanie, prób malarskich dokonywał niemal po kryjomu. Miał bardzo niewielkie kieszonkowe, więc kradł farby i pędzle, a skończone obrazki zniknęły niemiernie zagadkowo, jak pojawiały się środki. Te z motywami erotycznymi były, rzecz jasna, chowane, niszczone albo rozdawane. Kopie aktów De Kooninga Jim zamalowywał, zaś rysunki ogromnych, wężowatych członków i sceny miłości francuskiej podrzucał kolegom z klasy do podręczników, wiedząc, że trafią przed oczy nauczycieli. Jak zawsze, notował wszystkie reakcje, ucząc się, co przeraża, co fascynuje, co doprowadza do furii.

Brat zapytał go kiedyś, dlaczego maluje.

- Nie można czytać przez cały czas - usłyszał w odpowiedzi. - Oczy się męczą.

Andy podziwiał starszego brata, nawet wtedy, gdy Jim stawał się bardzo nieprzyjemny. Pamięta sytuację, gdy szli razem przez pole i nagle Jim podnosił z ziemi kamień, mówiąc:

- Liczę do dziesięciu.

Andy patrzył z niemym przerażeniem na brata, na kamień w jego ręku, znów na niego...

- Raz...

- Nie! - krzyczał Andy. - Nie, nie!

- Dwa...

- Przestań, Jim! Proszę cię, przestań. Proszę cię...

Na trzy Andy uciekał, a Jim wykrzykiwał:

- Czterypięćszesnaściosiedemsiemdziesięć! - po czym rzucał i trafiał.

Jim miał wtedy szesnaście lat. Mając siedemnaście podszedł pewnego razu do brata z groźną miną, trzymając przez szmatę psie łajno. Gonił wrzeszczącego chłopaka po całym domu, wreszcie złapał go i przycisnął mu łajno do twarzy. Było z gumy. Andy odetchnął z ulgą.

„Nie pamiętam już, ile razy, kiedy oglądałem telewizję, on podchodził od tyłu, siadał mi na twarzy i strzelał bąka - mówi Andy. Albo po wypiciu mleka czekoladowego, czy soku pomarańczowego, gdy ślina staje się lepka i gęsta, przyciskał mi kolanami ramiona, obezwładniał mnie i wypuszczał mi flegmę nad twarzą, coraz niżej, by w końcu wciągnąć ją z powrotem znad samego mojego nosa”.

Kiedy szli razem i mijali chłopaka starszego i wyższego niż Andy, Jim bełkotał swym ulubionym slangiem:

- Hej, ty, mój brajdać chce się z tobą trzaskać. Co ty na to?

W waszyngtońskim ZOO Jim namówił brata, by przeszedł po wąskim murku nad głęboką fosą, oddzielającą zwierzęta od

zwiedzających. Innym razem zachęcał go do podobnego spaceru dwadzieścia metrów nad autostradą.

- Gdybym stchórzył - mówi Andy - nazwałby mnie cipą, bo nigdy nie wymagał ode mnie czegoś, czego sam by nie zrobił.

Jim odbywał wiele tego rodzaju przechadzek i tak, jak z jazdą saniami, nigdy nie doznał szwanku. Powiedział kiedyś: „Albo, stary, wierzysz, albo zlecisz!”

W okresie pobytu w Alexandrii Jim rzadko widywał się z siostrą i z rodzicami; najczęściej wychodził rano bez śniadania i bez słowa. Jego siostra Anne stanowiła dlań tylko jeszcze jeden obiekt nieustannych dokuczań. Ojciec zaś był taki sam, jak zawsze: zbyt zajęty umysłowo lub fizycznie nieobecny. Jeździł na przylądek Canaveral oglądać wystrzeliwanie sputników Vanguard, grywał w golla w klubie marynarskim, latał trochę, by nie wyjść z wprawy. W domu raczej rozwiązywał zadania matematyczne, niż zajmował się synem, tak, jak chłopiec by tego pragnął.

Jak dotąd, Clara była dominującą osobą w rodzinie. Nawet gdy Steve przebywał w domu, to ona troszczyła się o budżet rodzinny. Typowa żona marynarza, nieomylna w tym, co robiła, od czyszczenia sreber, po urządzenie partyjek brydża. Ktoś z krewnych widział w niej „duszę towarzystwa, jedyną osobę na nogach o pierwszej w nocy, podczas gdy Steve spał już od dziewiątej”. Jim uważał ją za przewrażliwioną zrzedę. Irytowała go swym wiecznym niezadowoleniem ze stanu jego koszuli i z długich włosów.

Jim mógł nosić to samo ubranie całymi tygodniami, aż stawało się brudne i cuchnące. Kiedyś nawet jeden z nauczycieli, zaoferował mu pomoc finansową. Ale gdy dostał od matki pięć dolarów na nową koszulę, kupił ją za dwadzieścia pięć centów w sklepiku Armii Zbawienia, a resztę wydał na książki. W końcu Clara udała się do matki Tandy, by ta poprosiła dziewczynę o przemówienie do chłopaka. Tandy oczywiście odmówiła.

Któregoś popołudnia, gdy Tandy była u Jima, oboje nagle usłyszeli, że wracają jego rodzice. Jim chwycił przerażoną dziewczynę wpół, zaniósł ją po schodach na górę i położył na łóżko w sypialni rodziców, rozrzucając pościel. Tandy broniła się, próbowała dobiec do drzwi. Jim ruszył za nią. Chwila była znakomicie dobrana: Tandy w bluzce wyciągniętej ze spódnicy od szamotania i Jim zbiegli ze schodów naprzeciw wchodzących do salonu rodziców.

- Cześć mamó, cześć tato - wyszczerzył się Jim.

Clara martwiła się „dziwnością” syna. Obawiała się, że odziedziczył ekscentryczność cechującą - jak sądziła - jej braci. Była zdezorientowana, gdy Jim zarzucił jej: „Nie obchodzą cię moje stopnie, chcesz tylko, by były dobre. Wtedy możesz chwalić się w klubie przy brydżu!” A już wszystkich zaszokował, gdy przy obiedzie rzucił gniewnie łyżkę na talerz ze słowami: „Mlaskasz jak świnia!”

Innych też zdumiewały osobliwe zwyczaje Jima. Gdy włóczył się wokół Alexandrii w pustynnych butach, spodniach z sukna mundurowego i koszuli typu Banlon, nie ostrzyżony, wydawał się zupełnie nieobecny duchem, mógł być nawet wzięty za obłąkanego. Bywał też bardzo tajemniczy. Na ogół nie pozwalano mu używać rodzinnego samochodu, ale koledzy zawsze chętnie zabierali go na przedmieścia Waszyngtonu, gdzie oddalał się na piechotę bez słowa wyjaśnienia.

Dokąd chodził? I co robił? Jedni sądzą, że spotykał się z jakimś przyjacielem, poznanym w którymś z małych antykwariatów, których był bywalcem. Inni przypuszczają, że walał się po ciemnych spelunkach przy starej Drodze nr 1 koło fortu Belvoir i słuchał czarnoskórych bluesmanów. Ta druga wersja wydaje się bardziej prawdopodobna. Jego ulubioną muzyką, której najczęściej słuchał u siebie w piwnicy, był blues i spirituals z nagrań Biblioteki Kongresu, w tym czasie twierdził, że nienawidzi rock and rolla. Lubił też włóczyć się wzdłuż niszczących nabrzeży Alexandrii

i gawędzić z łowiącymi ryby Murzynami. Zdarzało się, że zabierał ze sobą Tandy na wieczorne spotkania z tymi „przyjaciółmi”.

Jeszcze dziwniejsze były jego nocne wizyty koło domu Tandy. Jim stawał po cichu w ogrodzie i wpatrywał się w okno jej sypialni na pierwszym piętrze. Tandy opowiada, że zawsze się budziła, ale gdy schodziła na dół, jego już nie było. Gdy zarzucała mu, że ją budzi, zapewniał, że nie wychodził z łóżka.

W ostatniej klasie rodzice zdręczali syna, by po skończeniu szkoły poszedł do college'u. Molestowali go też, aby zrobił sobie zdjęcie potrzebne do złożenia tam dokumentów. Ponieważ Jim nie zainteresował się wyborem szkoły, rodzice sami zapisali go do college'u St. Petersburg Junior na Florydzie i zadecydowali, że będzie mieszkał u dziadków w Clearwater, niedaleko tej szkoły. Jim poddał się decyzji ze wzruszeniem ramion i oświadczył, że nie ma zamiaru pokazać się na uroczystości z okazji ukończenia liceum. Ojciec był wściekły, ale chłopak nie zmienił zdania. Skończyło się na tym, że dyplom przesłano pocztą, po tym jak wywołano nazwisko Morrison i nikt nie wystąpił.

Ostatnie spotkanie Jima z Tandy nastąpiło w piątkowy wieczór. Podjechali samochodem na wybrzeże Potomacu we czwórkę, razem z koleżanką Tandy - Mary Wilson - i jej chłopakiem. Jim miał ze sobą sześć puszek piwa. Kiedy później znaleźli się u Mary, zaprezentował swój notatnik z wierszami. Gdy Tandy zagłębiła się w lekturze, błaznował, przechwalając się, że przed wyjściem z domu wypił ojcu pół butelki whisky.

Tandy zdenerwowała się i okazała to:

- Och, Jim, dlaczego ty bez przerwy wkładasz maskę? Czy musisz grać przez cały czas?

Jim rozplakał się nagle i ukląkł przy niej, łkając histerycznie.

- Czy ty nie widzisz - wykrztusił wreszcie - że to wszystko dla ciebie?

Tandy przypomniała sobie o Wilsonach śpiących na górze i poradziła Jimowi, żeby już poszedł.

- A! - odpowiedział. - Boisz się, że obudzę Wilsonów? Denerwuję cię, tak? Nie wiedziałabyś, co zrobić, gdyby zastali mnie płaczącego, co?

Tandy przytaknęła.

Jim podszedł do drzwi, powiedział „Dobranoc” i wyszedł. Dziewczyna westchnęła. Po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i Jim głośno oświadczył:

- Zmieniłem zdanie.

Po czym wyznał:

- Kocham cię.

Tandy wyniośle pociągnęła nosem:

- Pewnie, że tak.

- Ach, co za kołturistwo! - chłopak naumyślnie dotknął ją słowem, którego nienawidziła. Zjeżyła się cała, a Jim chwycił ją za rękę i boleśnie ją wykręcił. Tandy zdławiła w sobie okrzyk przerażenia, gdy wyszeptał, że powinien wziąć teraz ostry nóż i pociąć jej twarz, zostawić straszne blizny, „a wtedy już nigdy nikt prócz mnie na ciebie nie spojrzy”.

Tandy nigdy nie powiedziała o tym matce, ale pani Martin była świadoma gwałtownych zmian, -zachodzących w osobowości chłopca. Sama dziewczyna obserwowała to z dnia na dzień. Kiedy poznała go w drugiej klasie, wydawał się jej niewinny i szczęśliwy. Teraz, w dwa i pół roku później, ten sam młodzieniec był gorzki i cyniczny, natrętny i perwersyjny. Trudno było zrozumieć przyczynę tych zmian. Jego język stawał się coraz bardziej jadowity, a grożenie nożem to tylko jeden z wielu podobnych, szokujących postępków następujących szybko po sobie. Matka ostrzegała córkę, że jej przyjaciel wydaje się „nieczysty, jak trędowaty”, i błagała ją, by przestała się z nim widywać. Ocena to być może przesadzona, ale pod wpływem rozmowy obie przypomniały sobie sytuację sprzed dwóch lat, kiedy to Jim dopiero przyjechał do Alexandrii.

Mia! wówczas problem, o którym nie mógł powiedzieć rodzicom. - Tylko tyle wyznał Tandy, która w nadziei, że pozna sekret, doradziła mu wizytę u młodego alumna, zżytego z młodzieżą opiekuna bractwa w prezbiterialnym kościele westminsterskim. Jim zgodził się i został umówiony.

- Nie wiem, czy w końcu pójde - kręcił głową do matki Tandy, którą spotkał w szkole.

- Pójdiesz, pójdiesz! - zapewniła Tandy, stojąca obok z koleżanką. Razem zaciągnęły Jima do samochodu.

Co było tajemnicą Jima i co powiedział młodemu pastrowi, pozostało sekretem. Jim z pewnością nie wyjawiał tego nikomu innemu, a pastor utrzymuje, że nie pamięta tej wizyty. Teraz zaś, gdy Jim miał ukończyć szkołę, Tandy zastanawiała się, czy problem sprzed dwóch lat nie był związany właśnie ze „zmianą osobowości”, której wszyscy byli świadkami.

Nazajutrz Jim zadzwonił, przeproszał za incydent z nożem i prosił Tandy, by się z nim spotkała. Dziewczynie bardzo zależało na spotkaniu z nim, ale na długo przedtem obiecała pójść z kimś na uroczyste przyjęcie taneczne i nie chciała odwoływać spotkania od tak dawna umówionego.

- Ale ja jadę na Florydę - oznajmił Jim. - Jutro wyjeżdżam na dobre.

Tandy była jak ogłuszona. Pierwszy raz słyszała o jego wyjeździe. W przypiływie rozpacz i złości powiedziała mu, że tym razem przeholował, nie uprzedzając jej o tym wcześniej i tuż przed wybuchem płaczu odwiesiła słuchawkę.

Jim, doprowadzony do pasji, pobiegł pod jej dom, stanął pod bujnie rozrośniętymi drzewami w ogrodzie Martinów i wykrzykiwał:

- Nareszcie uwolnię się od ciebie! Uwolnię się! Odjeżdżam i nigdy nie napiszę... W ogóle o tobie nie pomyśl!

Potem zażądał jeszcze zwrotu pamiętników, które jej pożyczyl. „Natychniast!” - Tandy zjawiła się z zaciśniętymi ustami i przykniętymi oczami i wręczyła mu notatniki.

W niedzielną noc Tandy obudziła się i wiedziała, że on stoi w ogrodzie. Zbiegła na dół i usłyszała oddalające się znajome kroki. Przez okno zdążyła jeszcze ujrzeć niewyraźną postać wsiadającą do samochodu Morrisonów. Auto odjechało w noc, ku Florydzie.

ROZDZIAŁ

2

Jim przystanął na skraju szosy, rozgrzane) od palącego słońca Florydy. Rozpiął czarną marynarkę i poluzował kołnierzyk czystej, białej koszuli, ściągając czerwony krawat w paski. Strój ten był mundurkiem college'u w St. Petersburg. Lokalny autobus, którym jeździł do domu, właśnie otworzył przed nim drzwi.

Jim zajął wolne miejsce w połowie długości pojazdu i zaczął gwizdać. Następnie wydał z siebie dwa lub trzy przeciągłe beknięcia - głośne, zaplanowane preludium do jednej z rozwlekłych, żalonych anegdot lub przechwałek, jakie uwielbiał opowiadać.

- Jeden z moich kumpli chciał sobie kupić psa myśliwskiego na kaczki - oznajmił. Poszedł więc do starego łowcy i zapytał go, jak się upewnić, czy kupuje dobrą sztukę. Stary poradził kumpłowi, by zajrzał psu w dupę, bo trzeba mieć psa z ciasnym odbytem, inaczej kiedy zwierzę wskoczy do stawu, napelni się wodą i utonie. No, więc kumpel idzie do psiarni, gdzie pokazują mu mnóstwo psów i mówią, że wszystkie są po siedemdziesiąt pięć dolarów. Na to facet odpowiada, że chciałby je bliżej obejrzeć...

Gdy Jim zaczął swe opowiadanie, zdawało się, że mówi do siebie, ale wkrótce wszyscy wokół niego nastawili uszu.

- ...podchodzi do dużego, sympatycznego psiaka i podnosi mu ogon. Och, nie - krzywi się - wielka dziura! - i już jest przy następnym. Handlarz podchodzi do niego, wskazując na pierwszego psa. „Co pan u diabła wyprawia z moim psem?” - mówi. „No, zaglądałem mu w dupę, ma cholernie wielki otwór i gdy wskoczy do wody za kaczką, woda naleje się do niego i zatopi go”. Handlarz spogląda nań: „Tak, powiadasz pan, że jest taki duży?” i wyciąga rękę, chwyta psa za jaja i przekręca je o pół obrotu, tak że odbył zaciska się mocno. „Przepraszam - mówi w końcu - pies był wyregulowany na przepiórki”.

Jim wyciągnął swe długie hii-hii-hii i rozpoczął kolejną historyjkę, nie zwracając uwagi na chrząknięcia jednych pasażerów ani na kamienne milczenie innych. Wkrótce jadący autobusem studenci uważnie go słuchali.

Wysiadł z autobusu o trzy kwartały od domu, w którym mieszkał. Spacer trwał wystarczającą chwilę, by obmyślić kilka sposobów rozdrażnienia babki Karoliny i dziadka Paula. Oboje starsi Morrisonowie byli abstynentami i choć dziadek miał słabość do psich wyścigów, w ich luksusowym domu, stojącym w eleganckiej dzielnicy, panował fundamentalizm. Jim prześmiewał się z nich. Lekceważył ich prośby o ścięcie włosów, o golenie się, o zmianę ubrania, o pójście do kościoła. Groził, że sprowadzi do domu murzyńską dziewczynę i zostawiał w swym pokoju puste butelki po winie. Czasami nie odzywał się całymi dniami; wkraczał w ścisły rozkład dnia dziadków, a potem wychodził cichy niczym czarny dym.

„Jim nie znosił przestrzegania żadnych zasad, zawsze miał jakiś dziwaczny punkt widzenia - wspomina jego babka. Próbował nas zaszokować. Sprawiało mu to przyjemność. Opowiadał nam rzeczy mające nas wprawić w zakłopotanie. Zupełnie go nie rozumieliśmy, żadne z nas. I Jimmy miał tyle

różnych twarzy. Widziało się jedną, a za chwilę już inną. Nigdy nie wiedzieliśmy, o czym myślał".

Jim przez cały pierwszy rok college'u studiował bez żadnego zaangażowania, lekceważąc wszystkie zajęcia ponadprogramowe. Na pierwszy semestr miał nieszczerze ocenę: jedną A, dwie B, jedną C i jedną D.

Ciekawiej wypadły wyniki testów na osobowość, którym poddano wszystkich nowych studentów. Jim został oceniony jako impulsywny, beztroski, skłonny do podniecenia - przeciwieństwo zdyscyplinowania i panowania nad sobą, ale, co dziwne, okazał się zarazem nieśmiały i zdolny do zdecydowanego myślenia i działania. Był też, według testu, wyjątkowo niechętnie nastawiony wobec instytucji życia społecznego, miał tendencję do rozczulania się nad sobą. Ale jednocześnie reprezentował typ macho. Przejawiał zainteresowania literaturą oraz uzdolnienia w zakresie kompozycji oraz porozumiewania się z ludźmi.

Jim był zdolny do wyczynów świadczących o wirtuozerii intelektualnej. Kiedy koledzy odwiedzali go w jego pokoju, zachęcał ich: „Podejdźcie tu i weźcie do ręki jakąś książkę, obojętnie jaką” - mówił to chępliwym głosem, ale nie podnosił się z dywanu swej sypialni - nieśmiały magik. „Weźcie jakąś książkę, otwórzcie na początku któregośkolwiek rozdziału i zaczynajcie głośno czytać. Będę miał zamknięte oczy i powiem wam, co czytacie i kto jest autorem”. I zataczał ręką wokół siebie, wskazując na setki książek piętrzące się na wszystkich meblach i poustawiane wzdłuż ścian.

Nigdy się nie pomylił!

Bardziej pożytecznym, a nie mniej zapadającym w pamięć uczynkiem była pomoc, której Jim udzielił przyjaciółce, mającej napisać pracę semestralną. Zanalizował wówczas wnikliwie i fachowo spory tomik poezji. Dla innego kolegi napisał trzydziestostronicowy esej o lordzie Essex, jednym z kochanków królowej Elżbiety, i zaopatrzył go w obfitą bibliografię z pamięci.

„Miałem napisać i wygłosić mowę na temat: „Prawość moralna - imperatyw naszego przetrwania - wspomina brat Jima, Andy. - Nawet nie wiedziałem, co to do cholery oznacza. Rodzice nie pozwolili mi wyjechać na ferie wielkanocne, dopóki nie skończę, a Jim chciał, abym jechał razem z nim. Męczyłem się nad tym przez wiele dni, aż w końcu on zabrał się za to i napisał na nowo, dodając mnóstwo od siebie. Mowa była piękna, kończyła się tak: „Płyniemy po ślepych orbitach, bezbronni, samotni". Były tam jeszcze trzy czy cztery takie zdania pod rząd, i choć zupełnie nie przypominało to mojego stylu, dostałem ocenę A.

Jim związał się z małą grupką absolwentów szkoły w Clearwater, z którymi pił. Upijał się na wieczorkach tanecznych i stał pod ścianą udając, że jest drzewem. Pił też na przyjęciach. Pewnego razu poważnie się skaleczył, ale był tak ordynarny i agresywny, że lekarz w pobliskim szpitalu odmówił zajęcia się nim.

Jim jeszcze nie zaczął pić dużo i regularnie. Jeden z jego szkolnych kolegów m> > i, że „wyglądało to tak, jak gdyby pił tylko po to, by się upijać. W przeciwnym razie nie pił w ogóle" Upicie się było dla niego ważnym wydarzeniem. Ale już wtedy było widać, że jest to także rodzaj ulgi.

Wiele mówiące zdarzenie zaszło w dniu jego osiemnastych urodzin w grudniu gdy został zarejestrowany do poboru. Jim odnosił się do wojska z prawdziwą nienawiścią i bał się panujących tam obrzydliwych form władzy. W 1961 roku ruch pacyfistyczny nie był jeszcze rozwinięty i chłopak nigdy nie słyszał o odmowie pełnienia służby wojskowej ze względów światopoglądowych. Zarejestrował się więc, a po wyjściu z komisji upił się prawie do nieprzytomności. Jeden z członków rodziny (nazwijmy go wujem), mieszkający w Clearwater, wyplątał go następnego nocy z jakiejś ogromnie kłopotliwej sytuacji, mogącej skończyć się poważnym skandalem. Było to widocznie dla Morrisonów tak krępujące, że nawet po latach nie chcieli tego wyjawić.

W tym samym mniej więcej okresie Jim znalazł sobie azyl: stary hotel wśród palm, na przedmieściach pomiędzy Clearwater i St. Petersburgiem zwany Renaissance Gallery, z kawiarnią, labiryntem pokoiów, scen i ogródków, figurujący na nieoficjalnej liście uczniowskiej jako lokal „bez ograniczeń”. Prawdopodobnie to przyciągnęło Jima, a zebrania młodych ludzi czytających wiersze, śpiewających folk i pieśni kontestacyjne oraz nastrój bohemy zatrzymały go na stałe.

Hotel Renaissance prowadzony był przez gadatliwego, trzydziestoletniego homoseksualistę, Allena Rhodesa. W ciągu pierwszych trzydziestu minut po poznanju go Jim usłyszał ilość słów mogącą wypełnić długą powieść, pakiet wiadomości zawierających anegdoty o przodkach, którzy w dziewiętnastym wieku położyli podwaliny pod przemysł St. Petersburga, przesadzone opowieści o podbojach miłosnych w zaciemnionym, wojennym Londynie, o przygodzie Rhodesa z męską grupą taneczną czerwonoskórych Szaunów oraz o pochodzeniu i skłonnościach seksualnych wszystkich kotów, włączających się po pomieszczeniach lokalu. Wreszcie wysłuchał znaczących napomknień o Rajskim Ogrodzie, czyli obozie nudystów na północ od Tampy. Każde zdanie opatrzone było wykrzyknikiem: „Nie uwierzysz, padniesz trupem!”

Allen pamięta, jak mówił Jimowi, że ma on wiele męskiego sex-appealu - „zupełnie jak Elvis”. I przypomina sobie, że opowiadał mu, jak włączył się po Londynie w czasie wojny: szukając na ulicach kogokolwiek, kogo mógłby skusić. Nigdy nie wkładał nic pod spód.

„Pokaż swojego feda, radziłem każdemu - mówi Rhodes. To był niezawodny sposób”.

Pod koniec roku szkolnego Jim odwiedził swą rodzinę, mieszkającą teraz na przedmieściach San Diego. Gdy wrócił w lipcu do Clearwater, poznał wreszcie dziewczynę, która stała się następczynią Tandy Martin.

Mary Frances Werbelow miała niecałe szesnaście lat, niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu i długie, brązowe włosy. Tego lata zdobyła drugie miejsce w konkursie piękności Sun'N'Fun. Skończyła właśnie drugą klasę szkoły średniej w Clearwater, gdy Jim spotkał ją na przyjęciu.

- Hej, hej, spójrzcie no tam! - krzyknął ktoś ostrzegawczo.

Jim kołysał się na jednej nodze na krawędzi balustrady balkonu, siedem metrów nad ziemią.

- Hej, ty, upiłeś się, czy co?

Wybuch śmiechu.

Jim postawił prawą stopę na balustradzie, lewą podniósł do góry, pośliznął się i zaczął machać rękami. Tym razem spadał. Chłopiec i dziewczyna, którzy stali najbliżej, chwycili go i wciągnęli do pokoju.

- Nie powinnaś była tego robić - odezwał się Jim do dziewczyny. - Ale dopóki to ty, wszystko jest okay - i posłał jej czarujący, chłopięcy uśmiech.

Mary była katoliczką i nawet myślała kiedyś o wstąpieniu do zakonu. Była cicha, jak Jim, co dodawało jej dojrzałości. Powiedziała chłopcu, że pracuje na część etatu w studio tańca Freda Astaire'a i marzy o zostaniu w przyszłości tancerką filmową. Jej przychylność dla Jima wzrosła, gdy tylko usłyszała, że on chciałby pisać scenariusze i reżyserować filmy.

- Piszesz wiersze? - zapytał Jim.

- Czasami tak. Ale nigdy nie pokazuję ich nikomu.

- Ja mam kilka wierszy...

- Ty piszesz?

W ostatnim tygodniu wakacji Jim miał już duży wpływ na życie Mary Frances. Za jego namową zaczęła nosić ciemne okulary, wbrew miejscowym obyczajom. Po raz pierwszy w życiu spróbowała alkoholu. Wreszcie oznajmiła rodzicom, że zamierza jeździć do niego na weekendy, gdy we wrześniu zaczął studiować na uniwersytecie stanowym Tallahassee.

Co wieczór Jim stawał prawie rozebrany na środku swej małej sypialni i wyciągał się w górę na czubkach palców, próbując dosięgnąć sufitu. Kolegę, z którym dzielił pokój, zapewniał, że dzięki temu urośnie i wydawało się, że w to wierzy. Ważył 60 kilogramów i miał 174 centymetry wzrostu, gdy wyjeżdżał z Alexandra. Teraz utrzymywał, że od tego czasu urósł o prawie trzy centymetry.

W nowoczesnym domu o trzech sypialniach, odległym 0 niecałe dwa kilometry od kampusu uniwersyteckiego, mieszkał razem z pięcioma innymi studentami. Przedtem znał tylko dwóch z nich, pozostali byli przyzwoitymi wygodniami. Zgodnie ze swym zwyczajem Jim natychmiast zaczął ich wypróbować. Właśnie ostatnio zaczął uwielbiać Presleya i domagał się ciszy, ilekroć którąś z jego płyt nadawano w radiu. Regulował wówczas odbiornik najgłośniejsz jak mógł i siadał naprzeciw jak zahipnotyzowany. Gdy dziadkowie przysłali mu koc elektryczny, odmówił dalszego uczestniczenia we wspólnej opłacie za ogrzewanie. W wigilię Wszystkich Świętych - święto Halloween - zaszokował wszystkich, zapraszając do domu trupę młodych przebierańców, odzianych tylko w peleryny, które im rozsuwał, gdy weszli do domu po rozdawane przez niego cukierki.

Rozrabiał też w autobusach, którymi dojeżdżał razem z kolegami na uczelnię. Raz zapłacił kierowcy za bilet dwudziestodolarowym banknotem i kłócił się z nim po chamsku, gdy ten nie miał czym wydać reszty. Innym razem poszedł na tył wozu i głośno zażądał, by wszyscy ciemnoskórzy przesiedli się na przód. W końcu któregoś dnia usiadł za kierowcą, naprzeciw dziesięcioletniej dziewczynki i uśmiechnął się do niej.

- Cześć! - zagadnął.

Mała siedziała sztywno, nerwowo spoglądając na obcego.

- Ładne masz buciki - zaczępił ją, przechodząc na swój prostacki slang.

Dziewczynka była zmieszana.

- A w bucikach masz ładne nóżki - ciągnął dalej.

Kierowca spojrzął w lusterko wsteczne i zauważył, jak Jim pochyła się nad dzieckiem i kładzie mu rękę na kolanach. Autobus zatrzymał się przy krawężniku i szofer odwrócił się:

- Wynoś się, młody człowieku! Już cię nie ma!

- Ależ proszę szanownego pana - odezwał się Jim. - To był tylko niewinny komplement. Ona przypomina mi moją młodszą siostrę. Przez chwilę zatęskniłem za domem, proszę pana.

W końcu kierowca dał się przekonać i pozwolił Jimowi zostać, pod warunkiem, że chłopak będzie trzymał ręce przy sobie. W autobusie byli wszyscy współlokatorzy Jima i wszyscy udawali, że go nie znają. Ale gdy tylko autobus dojechał do kampusu, Jim wyskoczył jako pierwszy i zawołał:

- Hej, chłopcy! - i pomachał im.

Odruchowo pomachali w odpowiedzi. Wtedy krzyknął:

- Pierdołę was! - po czym uklonił się i odmaszerował.

Innym razem pożyczył od jednego z kolegów pontiaca thunderbirda i przy cofaniu wpakował go na słup telefoniczny. Wypijał swym współmieszkańcom piwo, podjadał ich żywność, ubierał się bez pytania w ich stroje. Prowadził przy tym dokładne zapisy swoich wyczynów i reakcji na nie, wypełniając tym swój dziennik, jak gdyby był antropologiem, a jego koledzy przedmiotem badań.

W niecałe trzy miesiące doprowadził ich do kresu wytrzymałości. Wszyscy byli w stanie ciągłej obawy o to, co stanie się następnym razem. Bomba wybuchła którejś grudniowej nocy, przy końcu trymestru, gdy Jim słuchał za głośno Elvisa. Zapowiedzieli mu się, że ma się albo uspokoić, albo wynosić. Odpowiedział im, że to ich sprawa, że on nie robi nic, czego oni nie mogliby wytrzymać, niczego od nich nie wymaga, więc

dlaczego chcą, żeby się zmienił, skoro on nie żąda od nich żadnych zmian. Ucięli tę przemowę, każąc mu się zabierać. Jim zgodził się, spokojnie wyniósł swoje rzeczy jeszcze tej nocy i następnego dnia już go nie było.

Przeprowadził się do przyczepy samochodowej, stojącej za akademikiem dziewcząt, o trzy kwartały od uczelni. Płacił za to pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, połowę sumy, jaką dostawał pocztą od dziadków. Rodzice też przysyłali mu pieniądze, ilekroć do nich napisał.

„Co miesiąc musiał pisać list, aby dostać czek - mówi Andy. - Nie pisał o żadnych zdarzeniach, ani o niczym takim, lecz po prostu opowiadał historyjki. O tym, jak był w kinie, gdy wybuchł pożar i wszyscy rzucili się do panicznej ucieczki, a on jako jedyny zachował spokój. Wszedł na scenę, usiadł przy pianinie i śpiewał, czym uspokoił publiczność i wszyscy bezpiecznie opuścili widownię. W innym liście opisywał ze szczegółami, jak przyglądał się chłopcu topiącemu się w stawie”.

W drugim trymestrze Jim zapisał się na dwa interesujące go wykłady. Jeden z nich poświęcony był filozofii protestującej, czyli szeregowi myślicieli sceptycznych, krytykujących i sprzeciwiających się tradycji filozoficznej, takich, jak Montaigne, Rousseau, Hume, Sartre, Heidegger i ulubiony przez Jima Nietzsche. Drugi wykład dotyczył psychologii tłumu i zachowania zbiorowego.

Profesor James Geschwender, niski, krępy, ciemnowłosy mężczyzna, wspomina Jima jako jednego ze swoich najlepszych studentów. „On potrafił wciągnąć profesura w niezwykle dyskusje - mówi Bryan Gates, kolega z . "ŃU - wszyscy inni siedzieli wówczas jak oniemiały. Jim zdawał się wiedzieć ogromnie dużo o naturze ludzkiej. Bez wysiłku przejrzał na wskroś wszystkich na roku. Ja ślęczałem nad książkami, a on, jak gdyby sam je pisał. Profesor bardzo go

szanował i nawet mówił nam, że jego praca końcowa miała najlepsze tezy, z jakimi kiedykolwiek zetknął się u studenta, mającego w końcu ograniczone przygotowanie naukowe. Uważał, że są to poglądy na poziomie dysertacji doktorskiej".

Będąc jeszcze w liceum, Jim przeczytał książkę Normana O. Browna *Life Against Death*, interpretację historii w duchu freudowskim. Tezy tej pracy, jak ta, że ludzkość należy rozpatrywać jako całość nieświadomą swych pragnień, wrogą życiu i nieświadomie skłaniającą się ku samozniszczeniu, bardzo do niego przemówiły. Aparat represyjny wywołuje, według Browna, nie tylko nerwice u jednostek, lecz również patologie społeczne. Jim wnioskował, że u zbiorowości muszą występować neurozy na tle erotycznym, podobnie, jak u jednostek, i że można je skutecznie i szybko rozpoznać i „leczyć”.

Nauczyciel był oszołomiony! „Dla starszych roczników /organizowano dyskusję nad tezami Jima - wspomina Bryan - ale rozmawiali tylko Geschwender i Jim. Zostawili nas daleko w tyle. Po prostu nie mieliśmy w ogóle pojęcia, o czym oni mówią”.

Pragnąc sprawdzić swoją teorię, Jim namawiał trójkę znajomych, by pomogli mu przerwać emisję w radiowęźle na terenie kampusu.

- Wystarczy, że spojrzę na tłum - mówił do przyjaciół.
- Tylko rzucę okiem na ludzi. Jedno, ściśle naukowe spojrzenie i mogę wydać psychologiczną diagnozę zbiorowości. My we czterech, odpowiednio rozstawieni, możemy ich odmienić. Możemy ich wyleczyć. Możemy się z nimi kochać. Możemy wywołać bunt.

W odpowiedzi koledzy spojrzeli na niego pustym wzrokiem.

- Hej, chłopcy, czy nawet nie chcecie spróbować?
Przyjaciele oddalili się.

W weekendy Jim często jeździł autostopem do odległego o ponad trzysta kilometrów Clearwater, by widywać się z Mary. Przez cały czas był zafascynowany jej subtelnością, oczarowany psychiczną i fizyczną niewinnością. Dziewczyna tańczyła i śpiewała. Lubiła przechadzać się boso w deszczu.

Poza Mary, jedynym bliskim przyjacielem Jima w drugim trymestrze studiów był Brian Gates, przypominający nieco młodego Basila Rathbone'a. Ojciec Bryana, podobnie jak ojciec Jima, spędził większą część życia w wojsku. Kiedy Jim prześmiewał się z Bryana, że ten przygotowuje się do kariery handlowej, wydał mu się prymitywny i tępy. Bryan szczerze i naturalnie zamknął Jimowi drogę do wtrącania się we własne sprawy i to zbliżyło ich do siebie. Nie było więc zaskoczeniem, kiedy w kwietniu, po końcu iymestru, gdy Bryan skończył studia, Jim zaproponował mu wspólną podróż autostopem przez Stany.

Jim zdążył już zdobyć reputację autostopowicza. Wiele razy na swym szlaku pomiędzy Tallahassee a Clearwater zrezygnował z jazdy; raz nawet po godzinnym oczekiwaniu w deszczu, jedynie dlatego, że kierowca „wyglądał nieciekawie”. Bryan zastanowił się i uznał, że facet był sympatyczny.

W Clearwater Jim i Bryan spędzili dwa tygodnie, podczas których Jim planował, że Mary mająca w kwietniu ukończyć swą szkołę, przyjedzie do niego do Kalifornii. Wyobrażał sobie, że znajdą się razem w Los Angeles, wynajmą mieszkanie, zdobędą pracę i będą studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim. Jim mówił też Mary, że zrealizuje swoje życiowe marzenie i zapisze się na wydział filmowy, by uczyć się przekładać swe myśli i fantazje na język filmu. Wreszcie Jim i Bryan ruszyli na zachód i spędzili w drodze sześć dni w taki sposób, że sam Jack Kerouac byłby z nich dumny.

W Mobile, w Alabamie mieli o czwartej nad ranem zatarg z policją. Następnego dnia w Nowym Orleanie Jim poszedł jak w dym na przedmieścia, rozmawiał z barmanem, którego

podejrzewał o hermafrodytyzm. Później próbował poderwać lesbijkę, lecz jej kochanka wyciągnęła nóż i zagroziła, że go potnie. We wschodnim Teksasie podwoził ich kuzyn wiceprezydenta Lyndona Johnsona. Zostali więc zabrani na miejsce urodzin sławnego LBJ i na jego rancho, gdzie jedli wołu pieczonego nad ogniskiem i poznali ciotkę męża stanu. O północy wjechali w Juarez do Meksyku i Jim przez całą noc rozmawiał swą akademicką hiszpariszczyzną z meksykańską prostytutką w pełnej pijaków miejscowej spelunie. W Phoenix o szóstej rano zabrała ich jakaś dziewczyna, która natychmiast oświadczyła:

- Mogę iść z jednym z was, obojętnie z którym. Potrzebuję faceta, i to mocnego.

Słyszając te słowa Bryan chwycił kierownicę i samochód zatrzymał się na poboczu.

- Idź stary, zajmij się nią - mruknął Jim.

- O szóstej rano chce nas zabrać do siebie? Nie ma mowy. Sam idź, ja wysiadam.

Jim niechętnie poszedł za przyjacielem.

Gdy następnego popołudnia dotarli do Coronado, spotkało ich chłodne przyjęcie. Przede wszystkim matka zapowiedziała Jimowi, że nie przestąpi progu domu, dopóki się nie ostrzyże. Po drugie wyrzucała mu, że musiała niepokoić się o jego podróż autostopem, a przecież posłała mu pieniądze na samolot. Później zrobiła awanturę z powodu regularnych wycieczek obydwu chłopców do San Diego, podczas których zwiedzali meliny hazardowe i marynarskie knajpy. Ale najbardziej zdumiało ją to, że Jim wybierał się do Los Angeles, by wstąpić na U.C.L.A.

- Zaczekaj tylko, aż ojciec wróci! Tylko poczekaj! Będzie w domu za niecały miesiąc i wtedy...

Ale do tego czasu Jima już nie było.

Przez trzy tygodnie młodzieńcy szukali pracy, nocując u krewnych Bryana we wschodnim Los Angeles, w małej

przyczepie mieszkalnej. Ale pracy nie było i wkrótce zabrakło pieniędzy na mieszkanie. Przygody skończyły się, a śmiałe plany spaliły na panewce. Później zadzwoniła matka Jima, zawiadamiając, że ojciec za kilka dni przybija do Long Beach. „Spodziewam się, że będziesz w porcie” - zakończyła.

Jim odwiesił słuchawkę niczego nie obiecując, ale pojechał. Oznajmił rodzicom, że zamierza pozostać w Los Angeles. Zabronili mu tego. Chłopak przedstawił dziesiątki różnych możliwości, lecz wszystkie zostały odrzucone i w dwa tygodnie później został odeskortowany do samolotu lecącego na Florydę, gdzie miał się zapisać na skrócone zajęcia letnie.

Jim z determinacją powrócił do swej zaśmieconej książkami przyczepy na College Avenue i osiemnastego czerwca zapisał się na wykłady - na najmniejszą z możliwych liczbę godzin. Lato upłynęło bez szczególnych wydarzeń, z wyjątkiem zajęć z historii średniowiecznej Europy. Jim powiedział profesоровi, że wolałby napisać jedną dłuższą pracę zamiast tradycyjnych dwóch krótszych esejów, i że chciałby sam wybrać sobie temat.

- Było to wprawdzie bez precedensu, ale byłem tym zaintrygowany, więc się zgodziłem - wspomina wykładowca.

Jim napisał pracę o Hieronimie Bosch, niderlandzkim malarzu, widzącym świat jako piekło, w którym człowiek błądzi przez szatańskie labirynty, pozbawiony wszelkiej pewności. Jim postawił tezę, że artysta należał do adomitów, średniowiecznej sekty heretyckiej.

- Nie byłem przekonany - mówi profesor - ale zafascynowało mnie to, co Jim napisał.

Jim skończył zajęcia dwudziestego siódmego sierpnia. W trzy dni później zdał ostatni egzamin i jeszcze raz wyruszył autostopem do Clearwater, gdzie chodził na plażę, tańczył na przyjęciach i pił. Piątego września był już z powrotem w Tallahassee i zapisał się na wykład z historii sztuki późnego

renesansu, pogłębiający wiedzę o Boschu, oraz na kilka innych wykładów na wydziale teatrologii: z wprowadzenia do nauki o teatrze, historii teatru, podstaw gry aktorskiej i zasad scenografii. Chciał w ten sposób stworzyć sobie podstawy do studiów kinematograficznych, które zamierzał podjąć na początku stycznia na Uniwersytecie Kalifornijskim. W tym celu, w kilka dni po wpisaniu się na listę studentów uniwersytetu stanowego na Florydzie, zgłosił prośbę o formalne przeniesienie i napisał list do swego dawnego liceum w Wirginii, prosząc o przesłanie swych ocen do rejestru U.C.L.A. Należący do trzeciego, czwartego i ostatniego trymestru na uniwersytecie florydzkim, Jim przeprowadził się do hotelu Cherokee, gdzie zajął pokój 206. Był to jeden z podupadłych hotelików w biednej dzielnicy, którego gośćmi bywali przed laty urzędnicy państwowi, odwiedzający miejscowe prostytutki. „W tym czasie Cherokee nie był już burdelem - mówi Bryan Gates - ale otoczka złej sławy pozostała, więc dla Jima był to prawdziwy dom. Czuł się tam naprawdę wspaniale”.

Jim znalazł się w towarzystwie małej grupki starszych studentów oraz niektórych asystentów i profesorów, którzy spotykali się i pili na przyjęciach na wydziale sztuki. Po kilku tygodniach Jim przeniósł się z hotelu Cherokee do czteroosobowego pokoju, wynajętego wraz z dwoma nowymi znajomymi. W tym okresie najważniejsza była dobra zabawa.

Za którymś razem Jim upił się winem i podczas żartobliwej bójki na parasole, w drodze na sobotni mecz piłkarski, ukradł hełm policyjny z radiowozu patrolowego. Został zatrzymany i zakuty w kajdanki. W zamieszaniu wywołanym próbą ucieczki hełm zaginął, wskutek czego Jima oskarżono o drobną kradzież, zakłócenie porządku, opór wobec władzy i publiczne pijaństwo.

Nazajutrz winowajca zjawił się w domu Ralpha Turnera, profesora historii, na którego zajęciach napisał swą pracę o Boschu. Wyznał, że spędził noc w alkoholowym transie

i obawia się, że będzie zmuszony zamieszkać na terenie kampusu, jeżeli władze uniwersytetu dowiedzą się o tym. Profesor, który sam wydał niejedno przyjęcie, natychmiast zgodził się mu pomóc.

W poniedziałek Turner towarzyszył Jimowi w wizycie u fryzjera, pomógł mu wypożyczyć garnitur, poszedł z nim do sądu, a później zadzwonił w jego sprawie do dziekana. Jim został ukarany grzywną w wysokości pięćdziesięciu dolarów (miał tyle pieniędzy, ale nie chciał się ich pozbywać, więc poprosił matkę, by mu przysłała tę sumę, nie wyjaśniając powodu) i na pewien czas miał być pod obserwacją.

Wstawiennictwo Ralpa Turnera, niezmiennie wysokie oceny Jima i szacunek, jakim darzyli go inni profesorowie, uchroniły go od poważniejszych konsekwencji. A chłopak nie przedstawiał ośniewać innych studentów i wykładowców.

Na seminarium z historii teatru napisał żartobliwy referat, interpretujący *Czekając na Godota* jako opowieść o wojnie secesyjnej, z Grantem, Lee i Slave'em w rolach głównych. Profesor scenografii pamięta, że jeden z projektów Jima przewidywał zawieszenie nad sceną nagiego mężczyzny, niby ukrzyżowanego. Wedle innego projektu, do sztuki *Cat on a Hot Tin Roof*, w tle miał powoli rosnąć krążek światła reflektora, z początku małeńki, pod koniec sztuki wypełniający całą scenę. Wówczas okazać się miało, że jest to guz nowotworowy (główny bohater dramatu umiera na raka).

Wreszcie, nie mając żadnego doświadczenia aktorskiego, Jim dostał jedną z dwóch ról w studenckiej inscenizacji zaliczanej do „teatru absurdu” sztuki Harolda Pintera *The Dumbwaiter*. W programie Jim figurował pod pseudonimem Stanisław Bolesławski, utworzonym z nazwiska wielkiego rosyjskiego reżysera i reformatora teatru, Konstantego Stanisławskiego i elitarnego, polskiego reżysera, Ryszarda Bolesławskiego, który współpracował ze Stanisławskim w jego moskiewskim Teatrze Artystycznym, zanim wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, by robić filmy.

Reżyser Jima, Sam Kilman, zainteresował go twórczością Antonina Artauda, który, przebywając w domu dla psychicznie chorych, pisał w latach trzydziestych i czterdziestych wezwanie do zrewolucjonizowania teatru: „Musimy zrozumieć, że teatr, podobnie jak epidemia, jest szaleństwem, i że jest komunikatywny; oto tajemnica jego powodzenia”. Jim był tym zachwycony.

„Praca z Morrisonem była interesująca - mówi Keith Carlson, który grał z nim w *The Dumbwaiter*. — Codziennie, czekając na podniesienie kurtyny, zastanawiałem się, co on zrobi tym razem. Trudno go było rozgryźć. Miał skłonność do tego, by każdego dnia grać zupełnie inaczej. Nie koncentrował się na mnie, ani na dialogu, nie istniały dla niego tradycje gry. Odgrywając kolejne sceny i prowadząc dialog, sprawiał wrażenie, że robi to w sposób zupełnie nieumotywowany, lub przynajmniej niespodziewany. W tle stale panował niepokój, poczucie, że wszystko balansuje na krawędzi utraty kontroli.

W tym okresie - w roku 1963 - kiedy wszyscy trzęśli się, by na scenie nie działo się nic niecenzuralnego, my zrobiliśmy kilka wspaniałych, obscenicznych prób. Na przedstawieniach pomijaliśmy te rzeczy, ale z Jimem nigdy nic nie było pewne”.

- Twój ojciec został kapitanem, Jim - powiedziała matka - dowódcą jednego z największych lotniskowców na świecie (był to USS Bon Homme Richard). Ma pod sobą trzytysięczną załogę i sprawuje nad nią władzę. Cieszy się respektem, bo stać go na prawdziwą dyscyplinę. Jak by to odebrano, gdyby jego syn, jego własny syn, pokazał się wyglądając jak bitnik?

Ósmego stycznia 1964 roku, na krótko przed rozstaniem z rodziną, mieszkającą w Coronado i rozpoczęciem studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim, Jim wybrał się z ojcem na manewry na Pacyfiku. Był świeżo ostrzyżony. Niestety, jego włosy nie były zadowalająco krótkie i gdy tylko znalazł się na pokładzie „Bonny Dicka”, jak nazywano okręt, zagoniono go

do fryzjera okrętowego, który ostrzygł to po raz drugi. Tym razem tak samo, jak ojca - z tyłu i po bokach maszynką, od góry tak, by włosy lekko odstawały od skóry. Jim był zły, ale spokojny.

Kapitan, choć dumny z syna, postępował z nim ostrożnie. Zabrał go na mostek i przedstawił oficerom. Chłopiec uściśnął im dłonie grzecznie, ale bez uśmiechu. Fotograf okrętowy zrobił kilka zdjęć. Po południu zrzucano na wodę pływające cele w kształcie ludzi, a Jimowi wręczono pistolet maszynowy i namawiano go, by sobie postrzelał do kołyszących się na falach tarcz.

Jim zawsze opowiadał o tym dniu z goryczą. Mówił też, że kiedy ojciec wrócił do domu po zdaniu komendy nad trzytysięczną załogą, którą dowodził z takim posłuchem, natychmiast poszedł pod komendę swej żony. „Kazała mu wyrzucić śmieci - opowiadał Jim. - Wrzasnęła na niego. No i ojciec to zrobił. Wziął kubek ze śmieciami i posłusznie wyniósł”.

W tydzień później, dysponując sumą wystarczającą na wynajęcie małego mieszkania o kilometr od uczelni, Jim dopełnił procedury wpisu w połowie roku, dołączając do dwudziestu tysięcy innych studentów w jednym z największych miasteczek uniwersyteckich w Kalifornii. W odróżnieniu od swego starszego brata - uniwersytetu w Berkeley - U.C.L.A. była uczelnią całkowicie apolityczną. Studiowali tu opaleni, atletycznie zbudowani chłopcy, na których przyjemnie było popatrzeć. Ubierali się skromnie, w sposób nie zdradzający różnic majątkowych.

Okolo roku 1964, w którym przybył Jim, szkoła filmowa wchodziła w okres nazywany dziś Złotym Wiekiem. Na wydziale pracowało kilku wybitnych reżyserów, między innymi Stanley Kramer, Jean Renoir i Josef van Sternberg. Wśród studentów też miały zabłysnąć wspaniałe, utalentowane indywidualności - na przykład młody Francis Ford Cop-

poła. Chyba najważniejsze było to, że w szkole wyznawano ożywiająca, niemal anarchistyczną filozofię, pod wpływem której Jim napisał: „Atutem filmu jest to, że nie ma tu ekspertów. Nie ma żadnych arbitrów. Każdy może przyswoić i zawrzeć w sobie całe dzieje filmu, co nie jest możliwe w innych dziedzinach sztuki. Nie ma znawców, więc teoretycznie każdy student wie niemal tyle, co profesor”.

Pierwsze półrocze Jima na Uniwersytecie Kalifornijskim minęło bez większych zdarzeń. Może z jednym wyjątkiem. Spędził ferie wielkanocne z dwojgiem przyjaciół z roku - ponurym, zarośniętym intelektualistą z Nowego Jorku i starszą od siebie dziewczyną z Irlandii. Przez dwa dni pili w Tijuanie.

Przez pozostałą część wiosennego semestru Jim zdążył przywiązać się do przyjemnej rutyny: zajęć w budynkach, rozrzuconych po olbrzymim, zalesionym miasteczku uniwersyteckim, długich godzin samotnego czytania w bibliotece lub w swym małym pokoiku, niedzielnych telefonów do Mary na Florydę, przy użyciu zwykłych automatów, w których płacił tylko za pierwsze trzy minuty i lekceważąc dalsze wezwania rozmawiał zwykle około godziny.

Popołudnia i wieczory spędzał czasami w Lucky U, meksykańskiej restauracji położonej koło szpitala weteranów wojennych, o niecałe dwa kilometry od szkoły. Lubił to miejsce. Obsługiwały tam kobiety, pełno było niewidomych, popychających wózki z beznogimi przyjaciółmi, którzy pokrzykując podawali kierunek. Bywało, że inwalidzi upijali się i dochodziło do bitew na kule. Jimowi kojarzyło się to z opowiadaniem Nelsona Algrena; nazywał Lucky U „miłym zakątkiem” do picia.

W weekendy jeździł do Venice Beach. Venice była w latach pięćdziesiątych mekką pokolenia beatu. Miała więc tradycję bohemy. Poeci, malarze i studenci mieszkali tam za grosze w eleganckich niegdyś, wiktoriańskich domach lub w chatkach nad brzegami licznych kanałów.

Z nadejściem lata Jim wrócił do Coronado. Był wychudzony po czterech miesiącach marnego odżywiania się, ale wkrótce odzyskał swe dziecinne policzki. Potem znowu wyjechał do Meksyku, tym razem z bratem i ojcem chrzestnym, oficerem marynarki w stanie spoczynku, który przed laty służył razem z ojcem Jima na Pacyfiku. Andy wspomina to jako pijacki wypad: „Pojechaliśmy prawie dwieście kilometrów na południe, do Ensenady. Jim pokazał mi, jak się żyje. Piłem piwo za piwem, a on włókł mnie od jednego baru do drugiego, wyklócał się po hiszpańsku z Meksykanami, gdy chcieli nas oszukać, rozmawiał z prostytutkami, biegał po ulicach ścigany przez psy. To było coś!”

Po powrocie w okolice San Diego bracia często chodzili do garnizonowego kina. Czasami Jim wnosił ze sobą wino i upijał się. W bazach wojskowych zazwyczaj po filmie pokazuje się ceremonię podniesienia flagi, czemu towarzyszy odegranie hymnu. Kiedyś Jim zaśpiewał na całe kino: „Ohhhh sayyyy cannnn youuuu seeee...” Wszyscy inni siedzieli cicho.

Jim nie miał się czym zająć w Coronado, był więc znudzony i zmęczony. Wkrótce zaczął prosić, by pozwolono mu wrócić wcześniej na uczelnię, by mógł nadrobić zaległości z historii. Na początku sierpnia wyjechał, obiecując poszukać sobie pracy na część etatu. Do końca lata pracował jako asystent w bibliotece wydziału teatralnego - odnosił zwracane książki na półki i wypisywał upomnienia, zarabiając dolara i dwadzieścia pięć centów za godzinę. Praca była prosta, ale nie utrzymał jej długo. W październiku przybył nowy bibliotekarz i wyrzucił młodego pomocnika, gdy tylko się zorientował, że nie ma on zamiaru przychodzić do pracy punktualnie.

Później zjawiała się Mary. Szybko znalazła pracę w centrum medycznym uniwersytetu i ku zdumieniu Jima, wynajęła sobie samodzielne mieszkanie. Powiedziała, że chciałaby znaleźć menadżera i postarać się o pracę jako tancerka - może kiedyś uda im się zrobić wspólny film. Koledzy Jima z uczelni

mówili, że nigdy nie widzieli go tak uradowanego, jak tej jesieni. Nawet jeżeli nie wszystko było zupełnie tak, jak planował, byli w końcu razem - on i jego dziewczyna - w Kalifornii.

Jim znalazł sobie ściśle grono przyjaciół spośród najbardziej tajemniczych i niespokojnych studentów wydziału filmowego. Czterej najbliżsi mu chłopcy byli, wzięwszy z osobna, raczej naiwni i niewinni, ale razem sprawiali wrażenie paczki złowrogiej lub w najlepszym przypadku podejrzanej.

Najdziwniejszy z nich był Dennis Jakob - absolwent uczelni. Chłopak wrażliwy, lecz konfliktowy, niezwykle inteligentny, nazywany przez kolegów szcurem lub łasicą z racji swego umykającego chodu i garbu od wielu godzin spędzonych w pozycji pochylonej nad maszyną drukarską. Dennis był młodzieńcem naprawdę uzdolnionym, reinkarnacją rosyjskiego reżysera Siergieja Eisensteina. Francis Ford Coppola wybrał go na swego pierwszego asystenta, gdy kręcił *Czas Apokalipsy*.

Jedną z przyczyn, dla których Dennis pociągał Jima, było to, że czytał równie dużo lub nawet więcej. Najczęściej dyskutowali o książkach Nietzschego. W okresie, gdy się poznali, Jim znał już większość dzieł niemieckiego filozofa, a *Zgenealogii moralności* i *Poza dobrem i złem* przeczytał jeszcze w liceum. Ostatnio natomiast odkrył *Narodziny tragedii z ducha muzyki*, cienką książeczkę, która wywarła na niego nie mniejszy wpływ niż *Life Against Death* Normana O. Browna. Książka ta, pierwsze dzieło Nietzschego, jest nadal prawdziwie rewolucyjna jako jedna najciekawszych teorii tragedii, jakie kiedykolwiek powstały. Poświęcona jest problemowi klasycznego dualizmu apollinijskiej sztuki rzeźby i dionizyjskiej sztuki muzyki. Jak Nietzsche, Jim identyfikował się z wiecznie cierpiącym Dionizosem - „pozbawionym złudzeń, ucieleśniającym nieuleczalne, pierwotne cierpienie i jego wieczne powroty”. Cierpienie to jest hojnie wynagradzane. Trwa-

nie po śmierci nie polega na transcendencji jednostkowej świadomości, lecz raczej na ekstatycznym zlaniu się tej świadomości z „pierwotną naturą Wszechświata”, z tym co Jim i inni nazywali „Universal Mind” - „Wszechobecną Mądrością”.

Dennis i Jim mogli godzinami siedzieć i rozprawiać o Nietzsche. Czasami dochodziło do sporów, lecz na ogół zgadzali się ze sobą entuzjastycznie i czytali sobie nawzajem długie cytaty z dzieł filozoficznych. Pewnego dnia, rozmawiając o Dionizosie i wspominając wers z Williama Blake'a: „Gdyby oczyszczono drzwi percepcji, wszystkie rzeczy przedstawiły by się człowiekowi takimi, jakie są naprawdę: jako nieskończone”. Zdanie to nasunęło Aldousowi Huxleyowi pomysł na tytuł książki: *The Doors of Perception — Drzwi percepcji*, a teraz Dennis i Jim zdecydowali się stworzyć zespół muzyczny. Jednemu z przyjaciół powiedzieli, że nazwą siebie Drzwi: Otwarte i Zamknięte.

Innym studentem z najbliższego kręgu Jima był John DeBella, krzepki i próżny syn policjanta z Brooklynu, równie dumny z dwustu książek czytanych rocznie, jak z potężnego ciała, mierzącego metr i osiemdziesiąt osiem centymetrów. W ciągu tygodnia w miasteczku uniwersyteckim otoczył go mit: chadzał ponoć do księgarń w długim, czarnym prochowcu o niezliczonej liczbie naszytych od wewnątrz kieszeni i kradł książki, które wzbudziły jego pożądlivość. W weekendy jeździł do Muscle Beach, by podrywać dziewczyny.

Fizyczna kompleksja i wyolbrzymiona w plotkach, ale wielka gadatliwość Johna sprawiały, że wydawał się on przeciwieństwem Dennisa Jakoba, ale miał z nim pewne cechy wspólne. Jedną z nich to miłość do książek i doktrynerskiej filozofii. Inna to równy wiek: John, starszy od Jima, miał dwadzieścia pięć lat. Wreszcie cechowała go podobna elokwencja. I obaj byli katolikami. Ilekroć John lub Dennis zaczynali tkąć intelektualne arrasy, Jim słuchał zafascynowany.

- To szamanizm - mówi John. Byliśmy pod wpływem szamana: inspirował nas poeta. Wszyscy temu ulegaliśmy. Częścią nieokreślonej filozofii studentów filmu na U.C.L.A. było zacieranie granic między rzeczywistością i marzeniami. Jednym z moich ulubionych cytatów był ten: „Sny rodzą rzeczywistość”. Phil Oleno był opętany psychologią Junga i bardzo wiele nauczyliśmy się od niego.

- Wyznawaliśmy teorię Rzeczywistej Mrzonki - że życie nie jest tak porywające i romantyczne, jak być powinno. Więc mówi się rzeczy nieprawdziwe, bo lepiej, jeżeli powstają fantazje. Nie jest istotne to, czy są prawdą, dopóki się w nie wierzy.

W chwilach nudy Jim i John wymyślali zabawy. Podobno kiedyś Jim razem z Philem Oleno, dobrym znajomym ich obu, wyzwali Johna na zawody w kradzieży książek z księgarni uniwersyteckiej. Zwycięzcą miał być ten, kto po upływie godziny ujdzie z książkami o największej wartości.

Innym razem Jim i John postanowili, że poderwą obcą dziewczynę, naćpają się i pójda do biblioteki muzycznej, by na zmianę puszczać swe ulubione płyty. Ze śmiechem namówili jakąś panienkę, by z nimi poszła. Słuchali muzyki z płyt, palili trawkę, a później John zaczął odgrywać przed dziewczyną teatr. Musiała widocznie uznać, że Jim traktuje ją poważniej, bo poszła z nim do domu, opowiadając mu, jak z winy swego chłopaka zaszła w ciążę, jak potem nabawiła się choroby wenerycznej, co w końcu doprowadziło do operacji macicy i sterylizacji, jak... - wśród szlochu i łez padały kolejne szczegóły jej życia. Jimowi przypomniało się opowiadanie Dylana Thomasa *The Followers*, w którym dwaj chłopcy spotykają się przypadkowo i okazuje się, że życie obydwu jest koszmarem.

Kiedyś, gdy upili się w Lucky U, Jim nalegał, by poszli do pobliskiej biblioteki publicznej. John niechętnie podążył za nim i przechadzał się wolnym krokiem między półkami,

zerkając na długość spódniczek i rajstopy dziewcząt w czytelnicy. Gdy natknął się na Jima, ten oddawał właśnie mocz na podłogę pomiędzy dwoma rzędami półek. John chwycił go i zaczął wyciągać z sali. Akurat zbliżała się jakaś kobieta.

- Halo, proszę pani ! - zawołał Jim. - Halo, proszę pani...

Phil Oleno, trzeci z przyjaciół, chłopak o ciemnych, falujących włosach, szerokiej, sympatycznej twarzy i potężnej klatce piersiowej, wyglądał jak nieco powiększona kopia Jima. Miał dwadzieścia trzy lata, o dwa więcej niż Jim i jako jedyny z paczki mieszkał we własnym domu, co narażało go na ciągłe docinki ze strony Johna i Jima.

Phil czytał niemal wszystko Junga i o Jungu. Na półkach w swoim pokoju miał większość tych książek; podpisane były grubym, czarnym ołówkiem. Jim nie przyznawał Jungowi tak wysokiej rangi wśród psychoanalityków i po obejrzeniu każdego filmu bardzo lubił spierać się z Philem o to, jak można interpretować symbole w nim zawarte - według Junga czy zgodnie z nauką Ferenczego, jak chciał Jim. Podobnie jak Jung, Sandor Ferenczi był z początku współpracownikiem Freuda, a potem zerwał z mistrzem, odchodząc od jego nauki raczej w swych metodach terapii, niż w teorii. Podczas, gdy Freud zalecał swym pacjentom powściągliwość erotyczną, dowodząc, że nastąpi dzięki temu koncentracja libido na doznaniach emocjonalnych z przeszłości, Ferenczi posunął wyrzeczenia o wiele dalej, starając się nakłonić pacjentów, ażeby powstrzymywali się w jak największym stopniu także od jedzenia, picia i załatwiania potrzeb fizjologicznych. Później zaś pozwalał im na coś wręcz przeciwnego, namawiał ich, by okazywali miłość i nie odmawiali sobie niczego. Był bowiem przekonany, że neurotykami są zazwyczaj osoby nie kochane i nie akceptowane w dzieciństwie przez rodziców, i że tym, czego im naprawdę potrzeba, jest uczucie, czułość i ciepło.

Tak, jak zwykle bywa w rozmowach o psychoanalizie, dyskusje pełne były odniesień do erotyki, co czasami wy-

kraczało poza tematy neuroz, fetyszów i dewiacji. Młodzieńcy rozprawiali o hermafrodytyzmie, nekrofilii, sadyzmie, masochizmie i homoseksualizmie. Toteż gdy Jim i Phil zrobili wspólny film, jego tematyka nikogo nie zaskoczyła. Już dawniej zamierzali zrobić wiele filmów. Phil miał pomysł, by nakręcić coś o życiu Rimbauda i pytał Jima, czy zechciałby zagrać w głównej roli. Jim pragnął sfilmować słynną scenę z życia Nietzschego, który podbiegi do woźnicy okładającego batem konia i rzucił się zwierzęciu na szyję. Ścieżką dźwiękową do tego krótkiego filmu miały być oklaski. Żaden z tych pomysłów nie doczekał się realizacji. Jedyne filmy, jakie zrobili, nie niosły ze sobą żadnych myśli: był po prostu wygłupem. Jim i Phil odbyli tylko wstępne kursy obsługi świateł, dźwięku i emisji, ale w ich szkole nawet od nowicjuszy oczekiwano, że z takimi umiejętnościami i wyobraźnią jaką mają, spróbują zrobić film. Nie musiał być długi ani skomplikowany, nie musiał nawet być dobry - chodziło o to, by obyć się ze środkami. Tymczasem Phil nie nakręcił żadnego filmu, lecz by spełnić wymagania, wynajął się absolwentom wydziału psychologii do filmu robionego w ścisłej tajemnicy i mającego trafić prosto do archiwum. Była ta rzecz o kobiecie i mężczyźnie: nadzy, demonstrowali pozycje i sposoby stosunku. Jim wykonał z pomocą Phila niektóre ujęcia, splótł je w sekwencję o rosnącym napięciu, a jako podkład dźwiękowy użył zakończenia *Bolera* Ravela. Podczas prezentacji studenci świetnie się bawili, za to profesorów i instruktorów film doprowadził do pasji. Jim został powiadomiony, że zasłużył na najgorszą z możliwych ocen, a ponadto zostanie odnotowany jako intrygant, wskutek czego na następny semestr znajdzie się w specjalnej grupie dla studentów sprawiających problemy.

Prezentacje filmów studenckich odbywały się dwa razy do roku, pod koniec sesji warsztatowych. Inne pokazy organizowano regularnie, zazwyczaj w piątkowe wieczory. Na jeden

z seansów zaproszono producentów z pobliskiej wytwórni filmowej, którzy mieli przedstawić jeden ze swoich filmów, a później - jak się spodziewali - wziąć udział w przyjacielskiej dyskusji. Spotkanie zostało przerwane, gdyż studenci uporczywie dokuczali fachowcom.

Na wszystkich tych seansach rej wodził chłopak powszechnie uważany za najczarniejszy charakter i osobnika najbardziej hałaśliwego i cynicznego - był to kolejny bliski przyjaciel Jima, czwarty arcy-ekscentryk Złotego Wieku, gadatliwy, jasnowłosy Mefistofeles, Felix Venable. Ze swym upodobaniem do trunków, narkotyków i do snucia całonocnych opowieści przypominał Jimowi bohatera *On the Road*, Deana Moriartiego. Felix był najstarszym studentem w szkole filmowej - miał trzydzieści cztery lata. Wstąpił na U.C.L.A. po trzynastu latach imania się różnych zajęć - między innymi przedłuższy czas był kierowcą autobusu, a kiedy indziej budowniczym łodzi. Pracował na ogół w okolicy San Francisco i w latach 1948-1952 studiował na uniwersytecie w Berkeley, choć go nie ukończył. Mimo prawie skończonych studiów nie miał problemów z dostaniem się na U.C.L.A., może dlatego, że jego oceny z Berkeley - połowa „A” i połowa „F” - stanowiły tak intrygujący rekord. A może po prostu uznano, że kiedy trzydziestoczteroletni facet chce uzyskać stopień naukowy, to trzeba dać mu szansę.

Podobnie jak John DeBella, Felix uwielbiał opowiadać o sobie, z tym, że jego gawędy były mniej chępliwie i bardziej zabawne. Venable nie był intelektualistą w tym stopniu, co inni przyjaciele Jima ze szkoły filmowej, ale związał się z nim również mocno. Stanton Kaye, który powierzył Felixowi główną rolę w jednym ze swoich filmów, uważał, że jego przyjaźń z Jimem opierała się na pokrewieństwie psychologicznym: „Czułem, że Venable rozsypywał się na kawałki jako człowiek, nie posiadał określonego charakteru, tożsamości. Był też starszy od innych i dlatego silniej ulegał

naciskowi środowiska. Bezradny prawie do impotencji żył w ciągłej obawie. To samo było z Jimem. Obserwowałem ten ich głęboki nihilizm, poczucie beznadziejskości; ulegali temu silniej niż ja. Może to był gniew, może stąd płynęła rozpacz".

„Oglądacz to mroczny komediant - nabazgrał Jim w jednym ze swych notatników. - Jest odrażający w swej ciemnej anonimowości, w utajonej agresji". W ten sposób zaczął opisywać grozę i siłę cichej zażyłości z tym, co nieprzeczuwalne.

Robił setki podobnych notatek. Niektóre z nich miały za cztery lata doczekać się wydania, początkowo prywatnego, później w wydawnictwie Simona i Schustera, pod tytułem *The Lords: Notes on Vision*. Podczas studiów w szkole filmowej Jim korzystał z nich pisząc referat o estetyce filmu. Nie będąc jeszcze w stanie robić filmów, myślał i pisał o kinematografii jako dziedzinie sztuki. „Tajemnica atrakcyjności kina leży w lęku przed śmiercią". Stronice jego notatników wypełniały się wiedzą o filmie, której część zawdzięczał Johnowi DeBelli.

Gdzie indziej usiłował ukuć definicję. Wyobrażenia magii i przemocy, seksu i śmierci przewijają się przez te strony jak mętna rzeka. Kennedygo zabiło „błuzniercze spojrzenie" snajpera, Oswald zaś znalazł schronienie „wchłonięty w ciepłą, mroczną i niemą przepaść cielesnego teatru". Pojawia się wątek Edypa: „Wolno ci patrzeć na rzeczy, ale nie próbuj, jak smakują. Możesz pieścić swą matkę tylko oczami". Wydawało się, że im więcej Jim widział, im więcej doświadczał, tym częściej pisał - im więcej zaś rzeczy zapisywał, tym głębiej zdawał się je rozumieć. Obnażał się też w tych zapiskach, jak gdyby na próbę otwierając swą duszę. „Ja nie wyjdę - pisał. - To wy musicie wejść do mnie. Na moje łono, do mojego ogrodu, gdzie się ukazuję. Gdzie mogę zbudować wszechświat wewnątrz czaszki, by rywalizować z rzeczywistością".

Koniec roku 1964. Po pamiętnym rajdzie na Ocean Indyjski, po tej demonstracji siły i wzięciu udziału w incydencie w zatoce Tonkin, kapitan Morrison jeszcze raz utrzymał w ryzach buntującą się załogę Bon Homme Richarda (zawsze był górą), po czym przekazał okręt komu innemu i zaczął się pakować do kolejnej przeprowadzki. Tym razem do Londynu, gdzie miał służyć w sztabie Naczelnego Dowództwa amerykańskiej marynarki wojennej w Europie. Przedtem jednak pojechał na Zachodnie Wybrzeże, by spędzić krótki urlop z rodziną. Jim też przyjechał na Boże Narodzenie do domu, po czym wszyscy Morrisonowie prócz niego wyruszyli na Florydę, by odwiedzić swych krewnych. Wówczas to Jim widział się z rodzicami po raz ostatni.

Gdy ustąpiły styczniowe deszcze, studenci szkoły filmowej zaczęli przesiadywać w „Wozie Cygańskim”, małej knajpce na kółkach, stojącej niedaleko od ich domków. Tam właśnie Jim i jego koledzy z roku, wspólnie z młodymi muzykami i artystami, pokazali to, co przyjaciel Morrisona, Bill Kerby, nazwał „całym gównem i blichtrzem szkoły filmowej”: pałętali się po uczelni, pracowali najmniej, ile tylko mogli, pokrywali swą beczynność chełpieniem się i czężą gadaniną. Jim spacerował wzdłuż ogrodzeń, ryczał i wrzeszczał w drodze na zajęcia, ozdabiał ściany w pokoju chłopców niecenzuralnymi rysunkami i turlał puste butelki po winie w sali kinowej podczas projekcji. Potem zaczęły się typowe historie: narkotyki, ekscesy erotyczne i inne zwariowane wyczyny. Pewnego razu Jim połączył wszystkie te trzy rzeczy: upił się i wszedł o północy na jedną z wieżyczek budynku uczelni, by na jej szczycie rozebrać się i zrzucić ubranie na ziemię.

„Gdy kieruje tym określona idea - zapisał w notatniku - nie ma niebezpieczeństwa”.

Niektórzy instruktorzy cenili Jima, tolerując u niego to, co ktoś nazwał dyletantyzmem; Jim też lubił niejednego z nau-

czycieli. Jego faworytem był Ed Brokaw, który zwykł czasami opowiadać na wykładzie potworne bzdury, by sprawdzić, czy ktokolwiek go słucha. Jimowi podobało się szczególnie to, że Brokaw od czasu do czasu zniknął na wiele dni, zupełnie, jak on sam w późniejszych latach. „Brokaw byłby uległ niszczyielskiej sile Jima - mówi Colin Young, dyrektor wydziału filmowego. - Poczuł ją i chciał ogrzać ręce przy tym ogniu, bo wiedział, jak często taki charakter łączy się z prawdziwym talentem". Brokaw był opiekunem grupy, w której znajdował się Jim, i jemu jako pierwszemu chłopak oznajmił, że rzuca uczelnię. Dopiero potem poszedł do Colina Younga i powiedział mu to samo.

Decyzja Jima o porzuceniu szkoły zapadła najwyżej na tydzień lub dwa przed zakończeniem studiów, po dwudniowym pokazie filmów studenckich, który jest najważniejszym wydarzeniem roku akademickiego, niemal jednoznaczny z końcowym egzaminem. Wprawdzie od tego, czy film zostanie zakwalifikowany do publicznej premiery w uniwersyteckiej sali Royce Hall, nie zależało ukończenie studiów, ale i tak współzawodnictwo było wielkie.

Większa część z około czterdziestu filmów wyświetlanych na majowym pokazie powstała w studio „Project 170", w którym produkowano krótkie, nieme kawałki, pozbawione dialogów lub w ogóle bez ścieżki dźwiękowej. Kręcono zazwyczaj w soboty i zasadą było, że każdy student pełni kolejno wszystkie role - w jednym tygodniu jest kamerzystą, w następnym zmienia się w aktora, potem w inżyniera dźwięku i tak dalej, by w końcu wyreżyserować swój własny film.

Jim nie napisał scenariusza, lecz zapowiedział Johnowi DeBelli, którego najął jako kamerzystę: „Wyjaśnię ci wszystko, jak zaczniemy". Z jego późniejszych komentarzy wiemy, że chciał zrobić „film stawiający pod znakiem zapytania sam proces kręcenia filmu - film o filmie". Dzieło nie miało tytułu. Skomponowane było w formie montażu, czy też sekwencji

abstrakcyjnych, luźno powiązanych ze sobą zdarzeń, co DeBella nazywał wówczas „rozproszonym zlepkiem obrazów o twórcy filmu i o jego oku”. Zaczynało się to od ujęcia Jima, zaciągającego się mocno fajką pełną trawki i odrzucającego głowę do tyłu. Potem kamera zatrzymywała się na próbnym wzorze napisu o pochyłych literach, służącym do programów telewizyjnych z serii *Outer Limits*. Dalej następowała scena z kobietą (wysoką Niemką, dziewczyną DeBelli) ubraną tylko w stanik, majteczki i pas do podwiązek. Obraz schodził powoli z jej twarzy w dół, aż w końcu ukazywały się jej pantofle na wysokich obcasach, tańczące na telewizorze. Na ekranie odbywała się defilada żołnierzy hitlerowskich. Kolejną sceną było ujęcie pokoju Jima, wytapetowanego zdjęciami aktów z „Playboya”, które, jak widać, służyły za cel do rzucania strzałkami. W pokoju było wielu chłopców, którzy najpierw zażywali narkotyki, a później usiedli i oglądali filmy, ale kiedy nagle taśma się zerwała, wszyscy wstali i zaczęli rzucać palcami cienie na biały, oświetlony ekran. Później było jeszcze zbliżenie twarzy dziewczyny oblizującej powierzchnię oka DeBelli (oczyszczała je z brudu nagromadzonego podczas oglądania kolejnych obrazów). Końcowe ujęcie to gasnący telewizor, obraz spłaszczony do białej linii, potem do kropki - i wreszcie zapanowała ciemność.

Pokaz był nie mniej chaotyczny od samego filmu. Najpierw rozkłciły się złącza i klisza nie chciała przejść przez projektor. Jimowi kazano ją posklejać, przez co przepuścił swoją kolejkę. Gdy w końcu zaprezentował film, reakcje wahały się od rozbawienia, przez zmieszanie, do oburzenia. Niektórzy studenci sądzili, że Jimowi coś się pomyliło, prawie nikt nie zabrał głosu w dyskusji, choć większość była zachwycona tym, że ujrzała dziewczynę DeBelli w samej bieliźnie. Nawet Ed Brokaw, zwykle zaintrygowany oryginalnością myśli Jima, tym razem nerwowo pstrykał palcami, zaciskał dłonie, w końcu mruknął:

- Jim, jestem cholernie z ciebie niezadowolony.

Film nie został oczywiście zakwalifikowany do prezentacji ogólnouczelnianej w Royce Hall, a jego twórca otrzymał „zawyżoną ocenę D”.

Jim był urażony odrzuceniem filmu. Podobno wyszedł z sali i płakał; z pewnością przeżył wielkie rozgoryczenie. Na początku próbował się bronić, potem wpadł w złość, na koniec oznajmił swoje definitywne odejście z uniwersytetu. Colin Young starał się go ułagodzić, ale w czerwcu, gdy nadszedł czas wypisywania dyplomów, Jim spacerował po plaży w Venice, paląc trawkę.

W tym samym czasie rozpadał się jego związek z Mary. Dziewczyna wciąż obstawała przy swej ambicji zostania gwiazdą - Jim początkowo z tego pokpiwał, potem jednak starał się jej to wyperswadować. Wreszcie Mary wymyśliła, że spróbuje swych sił jako tancerka go-go w klubie Whiskey a Go Go, otwartym w styczniu na Sunset Strip. Jim powiedział jej, że nie zgadza się, by odziana w krótką spódniczkę z frędzlami wytrząsała tyłek w szklanej klatce, dla podchmielonych facetów w średnim wieku. Kolejne starcie nastąpiło, gdy Mary znalazła sobie menadżera, który zabronił jej wziąć udział w filmie kręconym przez Jima, bo wystąpienie w nim zaszkodziłoby jej karierze. Trzecia kłótnia wybuchła, gdy Mary zjawiła się nieoczekiwanie w mieszkaniu Jima i przyłapała go z inną dziewczyną. Jim powiedział jej wówczas, że nie ma prawa przychodzić do niego nie zaproszona. Obok kłótni mnożyły się grzeczne, ale przykre upomnienia, gdyż zdaniem Mary, chłopak pozwalał sobie na zbyt wiele z narkotykami.

Na dziedzińcu uczelni Jim ujrzał Raya Manzarka, znajomego DeBelli, którego skrycie podziwiał, popierając w duchu jego odmowę rozpowszechnienia filmu zawierającego scenę z aktem jego dziewczyny pod prysznicem. Na dodatek Jima pociągała muzyka grana przez Manzarka i jego zespół Rick and

the Ravens, której słuchał często w Turkey Joint West, w pobliskiej osadzie nadmorskiej Santa Monica. Za którymś razem Ray zaprosił na scenę Jima razem z kilkoma innymi studentami ze szkoły filmowej i wszyscy opici piwem zaśpiewali partię chórków do „Louie, Louie”. Teraz zaś, w czerwcu, zespół Raya wynajęto na zabawę z okazji zakończenia roku akademickiego, by zagrał razem z duetem Sonny and Cher. Tuż przed imprezą jeden z chłopców odszedł z zespołu i kiedy Ray zatelefonował na uczelnię by uprzedzić, że zagrają w pięciu, usłyszał w odpowiedzi, że jeżeli nie wystąpi ich sześciu, jak zapisano w kontrakcie, nie dostaną zapłaty.

- Hej, stary - krzyknął Ray, gdy dostrzegł Jima. - Chcesz z nami zagrać?

- Nie umiem grać na niczym.

- Nic nie szkodzi, będziesz tylko stał i trzymał gitarę elektryczną. Twój kabel pociągniemy gdzieś za wzmacniacz. Nie będzie podłączony.

Jim mawiał później, że nigdy nie zarobił pieniędzy równie łatwo.

Lot strzały

ROZDZIAŁ

3

Wiesz, co powinniśmy zrobić?

Jim leżał wyciągnięty na łóżku, gapiąc się w sufit. Mówił głosem, który jego koledzy już dobrze znali. Była to dziwaczna mieszanina prostackiej gwary z urąganiem nie wiadomo komu. Trudno było poznać, czy chłopak mówi poważnie, czy się zgrywa. Czasami używał tego tonu do odgrywania swych złośliwych kawałów. To znów, jak tym razem, rozmawiając z kolegą z uczelni Samem Kilmanem, pokrywał nim wątpliwości co do swego pomysłu. W ten sposób zmniejszał ryzyko.

- Nie wiem. Co masz na myśli?

- Założmy zespół rockowy - powiedział Jim, nie spuszczać oczu z sufitu.

- Do diabła, stary, nie grałem na bębnach od siedmiu lat. A co ty byś robił?

Jim usiadł.

- Ja będę śpiewał - prawie nie wymawiał tych słów - „Uhhmmm gonnna singggg”.

Sam spojrzał na niego niedowierzająco.

- Potrafisz śpiewać? - zapytał.
- A pierdołę. Nie potrafię śpiewać - odszczeknął Jim.
- No dobra, załóżmy, że mamy zespół i powiedzmy, że ty śpiewasz - czego nie umiesz - to jak siebie nazwiemy?
- Drzwi! Jest znane. I jest nieznanne. A to, co je dzieli, to Drzwi i nimi właśnie chcę być. Ja chcę być Drzwiami! - „Ahh wanna be th'dooooorrrr...”

John DeBella i Phil Oleno pojechali do Meksyku, Dennis Jakob i Felix Venable zostali w Venice. Jim rozważał możliwość wyjazdu do Nowego Jorku, ale na razie pozostał przez kilka tygodni w Los Angeles, szukając razem z Samem jakiejś pracy. Później również przeniósł się do Venice. Zbiegł - to bardziej odpowiednie słowo, jako że wyjazd poprzedziło zdarzenie, które wprawiło go w ciężki szok. Czternastego lipca zgłosił się mianowicie do rejestracji wojskowej i w dwa dni później dowiedział się, że został wciągnięty na listę. Rzucając studia stracił prawo do odroczenia służby i został zarejestrowany jako „A1”.

Jim namyślał się pospiesznie. Skłamał władzom mówiąc, że jest nadal na uniwersytecie, ale na pewno to już sprawdzono. Nazajutrz pobiegł na uczelnię i zapisał się na wiele wykładów, n; i które nigdy nic miał zamiaru chodzić.

Venice było dla niego idealnym miejscem. Mały z początku krąg artystyczny przyciągał z każdym dniem więcej długowłosych młodych ludzi, włóczków i artystów. Plaża zaroila się od ciał, tamburyny drżały w rytm muzyki z radyjek tranzystorowych, psy uganiały się za szybującymi w powietrzu kolorowymi talerzami. Postacie w niebieskich džinsach zasiadały po turecku w krąg nad oceanem, palono trawkę, LSD leżało na ladzie w miejscowym sklepiu z używkami. San Francisco miało Haight, a Los Angeles swoją Wenecję. Zaczynała się epoka hipisów.

Jim był jedną z bezimiennych postaci z długimi włosami, w T-shirt i džinsach, błądzących po wybrzeżu. Przez pewien

czas mieszkał z Dennisem Jakobem w chacie nad brudnym kanałem, a potem przeniósł się na strych opuszczonego magazynu sklepowego. Miał tam świece, palnik bunsenowski do podgrzewania nieczęsto zdobywanych konserw i koc. Rzadko spał i jadł, pijał na ogół kwas chlebowy, napój całej plażowej społeczności. Zaczął pisać, tworząc w nagłym przyływie sił więcej przez ten krótki czas, niż kiedykolwiek później.

- Widzicie - mówił - narodziny rock and rolla zbiegły się z moją młodością, z przebudzeniem się mojej świadomości. To był prawdziwy przewrót, choć wtedy nie ośmieliłbym się marzyć, że będzie to moją zasługą. Wydaje mi się, że przez cały czas, choć nie byłem tego świadom, kumulowały się we mnie tendencje i zamiary, aż w końcu wszystko miałem już przygotowane w podświadomości. Nie myślałem o tym. To myślało się samo. Aż pojąłem istotę wydarzenia, jakim jest koncert rockowy, zespół, śpiew i publiczność, duża publiczność. Te pierwsze pięć, czy sześć piosenek, które napisałem, to były notatki do wspaniałego koncertu rockowego, który odbywał się w mojej wyobraźni".

Chociaż nikt nie mógł przeczuwać, co przydarzy się Jimowi, on jednak czuł już, że rozbrzmiewa w nim wewnętrzna muzyka, która szuka dróg wyjścia na świat.

„Myślę, że najpierw powstawała mi w głowie muzyka, dopiero potem tworzyłem słowa, by zawiesić je w melodii, w pewnym rodzaju dźwięku. Słyszałem w sobie ten dźwięk, a ponieważ nie znałem zapisu muzycznego, jedynym sposobem utrwalenia go było znalezienie słów i dodanie ich do niego. Ale ileż to razy zostawały w końcu same słowa, a melodii nie mogłem już odtworzyć".

Hej, ja cię kocham
Powiedz, jak masz na imię
Hej, ja cię kocham
Pozwól - wskoczę do twej gry

Był rok 1965, dopiero za trzy lata świat miał usłyszeć *Hello, I Love You*. Teraz zaś Jim siedział na piaszczystej plaży w Venice, patrząc na smukłą, długonogą, ciemną dziewczynę, która skradała się w jego stronę.

Chodnik ściele się pod jej stopy
Jak pies żebrzący o coś słodkiego
Masz nadzieję, że cię dostrzeże, głupku?
Chciałbyś zrabować ten przymglony klejnocik?

Do *End. of the Night* zainspirowała Jima powieść francuskiego apologety faszyzmu i nieugiętego pesymisty, Louisa-Ferdinanda Celine'a, pt. *Podróż do kresu nocy*. „Pojedźmy autostradą do kresu nocy... „ Trzeci utwór, *Soul Kitchen*, opowiadał o Olivii, czyli małej knajpce w pobliżu pasażu w Venice, gdzie można było dostać duży talerz żeberek z fasolą i chlebem kukurydzianym za osiemdziesiąt pięć centów, a normalny obiad z befsztykiem za dolara dwadzieścia pięć. Jeszcze inny *My Eyes Have Seen You* opisywał anteny telewizyjne, które Jim widział ze swego strychu: „Patrzysz na miasto pod telewizyjnym niebem...”

Jakkolwiek źródła inspiracji tych utworów są oczywiste, ich samych nie sposób nazwać banalnymi. Nawet te najprostsze zawierają enigmatyczne, poetyckie wyrażenie, rytm lub choćby jeden wers czy obraz działający ze szczególną siłą. Choćby słowa: „Twarze są brzydkie, gdy jesteś sam” z *People Are Strange*, lub taki fragment w piosence o Olivii: „Twoje palce tkają smukłe minarety / szepcząc tajemniczą mową / Zapalam następnego papierosa / Nauczmy się zapomnienia, nauczmy się zapomnienia...”

Te pierwsze piosenki-wiersze nasycone były ciemnością, tak pociągającą Jima, że czuł się jej częścią. Wizje obłędu i śmierci były wyrażone w sposób przejmujący grozą. W jednym z takich fragmentów, włączonych później do dłuższego utworu pt. *The Celebration of the Lizard*, Jim napisał: „Kiedyś miałem małą grę / Lubiłem wpełzać we własny umysł / Chyba wiecie, o jakiej grze myślę / Gra nazywała się: obłęd”. W *Moonlight Drive*, skądinąd pełnej uroku piosence o miłości, pełnej fantastycznych obrazów, działających na odbiorcę raczej jak malowidło, niż wiersz, Jim dał zaskakujące zakończenie: „Chodź, kochanie, wybierzmy się w małą podróż / w dół, w dół, do na dno oceanu / jeżeli tam dotrzemy, będziemy już zawsze razem / Chodź, kochanie, utopimy się tej nocy / Chodźmy w dół, w dół, w dół...”

Kiedy Jim napisał te piosenki, powiedział sobie: „Teraz muszę je zaśpiewać”. Okazja nadarzyła się w sierpniu, gdy spotkał Raya Manzarka, przechadzającego się po plaży w Venice Beach.

- Hej, staruchu!
- Hej, Ray, jak się masz?
- Świetnie. Myślałem, że pojechałeś do Nowego Jorku.
- Nie, zostałem tu. Mieszkałem u Dennisa i tutaj. Piszę...
- Piszesz? A co piszesz?
- O, nic takiego. Po prostu piosenki.
- Piosenki? - ucieszył się Ray. - Zaśpiewaj mi jakąś.

Jim usiadł na piasku, Ray przykląkł naprzeciw niego. Jim zaczął się kołysać, wyciągając ręce na boki i przesypując piasek między palcami. Przymknął oczy. Wybrał pierwsze wersy z *Moonlight Drive*. Słowa płynęły powoli i wyraźnie:

Popłynemy do księżycy / ooch,
W górę, po fali przyływu
Zanurzmy się w wieczorze, tam
Gdzie we śnie kryje się miasto...

Kiedy skończył, Ray wykrzyknął:

- To najlepsze cholerne teksty, jakie słyszałem! Chodź, założymy zespół rock and rollowy i zarobimy milion dolarów!

- Otóż to - odpowiedział Jim. - Właśnie o tym myślę przez cały czas.

Ray był dość kanciasty, kościstej budowy ciała, lecz szczupły. Mierzył metr osiemdziesiąt pięć centymetrów, ważył około siedemdziesięciu trzech kilogramów. Miał niezwykle szerokie ramiona oraz mocną, prostokątną szczękę. Okulary ze szklami bez ramek nadawały mu chłodne, intelektualne wejście. Gdyby wierzył w schematyczne zasady doboru aktorów w Hollywood, mógłby z taką aparycją być nadal ambitnym absolwentem wyższej uczelni lub też zostać srogim, młodym dyrektorem szkoły w jednym z przygranicznych miasteczek w stanie Kansas. Ale odznaczał się też łagodnością. Na skrzynekowatym podbródku miał dołeczek, a głos jego był zawsze opanowany, miły, uspokajający. Ray lubił wyobrażać sobie, że jest dla każdego niby starszym bratem - zorganizowanym, inteligentnym, dojrzałym, mądrym, zdolnym do współczucia i do wzięcia na siebie wielkiej odpowiedzialności.

Był o cztery lata starszy od Jima, urodził się w 1939 roku w Chicago, w rodzinie robotników. Najpierw uczył się gry na fortepianie w konserwatorium, potem skończył ekonomię na uniwersytecie DePaul i zapisał się na U.C.L.A. na wydział prawa. W dwa tygodnie później rzucił te studia i przyjął posadę praktykanta w filii banku Westwood. Pracował tam przez trzy miesiące, po czym powrócił na Uniwersytet Kalifornijski, tym razem na wydział filmowy. Po rozejściu się z dziewczyną, w grudniu 1961 roku, poszedł do wojska. Chociaż przypadła mu lekka służba - grał na pianinie w międzyjednostkowym zespole w bazach na Okinawie i w Tajlandii - chciał jednak wrócić do cywila. Więc poskarżył się wojskowemu psychiatrze,

że zaczyna mieć skłonności homoseksualne. Został zwolniony o rok wcześniej i znalazł się z powrotem w szkole filmowej, w tym samym okresie, gdy przybył do niej Jim.

Ray zaczął robić wyjątkowo ciekawe filmy, zawsze autobiograficzne i zawsze podkreślające zmysłowość jego japorisko-amerykańskiej dziewczyny, Dorothy Fujikawa. Jeden z nich, zatytułowany *Evergreen*, zawierał scenę wyraźnie zainspirowaną fragmentem filmu *Hiroszima moja miłość* Alaina Resnaisa - kolejne zatrzymania ruchu chłopca i dziewczyny, biegnących ku sobie. W następnej scenie Ray i Dorothy znaleźli się nadzy pod prysznicem. Wykładowcy życzyli sobie, by fragment ten został przerobiony i Ray zgodził się na to, ale kiedy wielu studentów skrytykowało go za uległość, cofnął swą decyzję i w czasie grudniowego pokazu rozproszony ulotkę z wyjaśnieniem, dlaczego film nie został wyświetlony. (Później zaprezentowano jednak zarówno *Evergreen*, jak i inne zrobione przez Raya filmy i wszystkie doczekały się pochwał). W czerwcu, gdy Ray uzyskał dyplom, szef wydziału Colin Young przyznał, że jest on jednym z zaledwie kilku tegorocznych absolwentów, którzy mogą od razu kręcić filmy pełnometrażowe. Nawet *Newsweek* odnotował te pierwsze osiągnięcia Raya.

Ray i Jim poznali się przez Johna DeBellę i wkrótce zostali dobrymi przyjaciółmi. Może nie byli bardzo sobie bliscy, ale łączył ich intelektualizm i entuzjazm dla naiwnej filozofii Nietzschego. Pod wieloma względami stanowili przeciwieństwa. Ray nigdy nie zapominał się ogolić i miał zawsze zaprasowane kanty u spodni. Jim z pełną świadomością ubierał się niechlujnie, nosił zapiaszczone T-shirts i dżinsy, a na chłodne noce wkładał jeszcze brudną kurtkę spawacza, wziętą z magazynu z odrzutami. Ray zaznajamiał się z filozofią Wschodu i w 1965 roku zaczął studiować transcendentalną

medytację u Maharishi Mahesha. Jim natomiast nie interesował się tym, wierząc, że droga wiedzie poprzez narkotyki i szamanizm. Ray był praktykującym estetą, Jim skłaniał się ku dionizyjskiemu upojeniu, nie wyłączając tarzania się po ziemi. Ale mimo to czuli do siebie sympatię i kiedy spotkali się na plaży w Venice, Ray zaproponował Jimowi, by wprowadził się do niego. Mógłby spać na kanapie w salonie, a w ciągu dnia, gdy Dorothy była w pracy, pracowaliby nad piosenkami. Jim przystał na to bez wahania i od razu wzięli się do roboty.

Głos Jima był słaby, ale obaj zgodzili się, że to kwestia pewności siebie, której nabierze wraz z praktyką. Przez dwa tygodnie pracowali bez przerwy: Ray siedział przy pianinie w swoim małym, pomysłowo urządzonym pokoju, Jim, nerwowo trzymający kartki z tekstami („na wszelki wypadek”, chociaż znał wszystkie na pamięć) stał sztywno i nieruchomo. Ciągle miał nadzieję, że éma, która jak było to słyhać, utkwiała mu w gardle, w końcu z niego wyleci. Któregoś dnia Ray poszedł z Jimem do domu swych rodziców, gdzie odbywała próba grupa Rick and the Ravens.

Jim zaśpiewał swoje piosenki braciom Raya. Rick i Jim Manzarkowie nie zrozumieli oczywiście ani Jima, ani jego słów, ale zgodzili się popracować z nim na próbę. Inni znajomi też zresztą nie rozumieli Jima. Kiedy Ray spotkał dwóch kolegów z dawnej szkoły i powiedział im, jakiego ma wokalistę w zespole, obaj byli zdumieni:

- Co, jesteś w jednej grupie z Morrisonem? Na miłość boską, Ray, co cię do tego skłoniło?

Jim był wciąż uważany za osobnika ekstrawaganckiego, choć inteligentnego. Wielu kolegów z klasy nie postawiłoby jednego przeciw milionowi, że grupa zasilona przez niego odniesie sukces.

Ray pozostał jednak lojalny, widząc u Jima coś, co dostrzegali bardzo nieliczni. Najbardziej rzucały się w oczy zmiany w jego wyglądzie. Jim ważył już nie siedemdziesiąt pięć

kilogramów, lecz pięćdziesiąt dziewięć. Stracił swą charakterystyczną pulchność. Był teraz szczupły i sprężysty. Miał też dłuższe włosy, wijące się wokół uszu i opadające na kołnierz, otaczające twarz, która bez pucołowatych policzków stała się naprawdę przystojna. Przemiana była zupełna.

Jednak najważniejsza różnica zaszła w jego psychice. Emanało z niego deliryczne, przejmujące poczucie pewności obranej drogi; innymi słowy - magnetyzm, który zdawał się przyciągać wszystko, czego Jim potrzebował.

Wkrótce po tym, jak Jim poznał rodzinę Raya, bracia Manzarkowie przenieśli swe próby do domu w Santa Monica, położonego przy stacji autokarów Greyhound. Wtedy to do zespołu doszedł nowy perkusista John Densmore, którego Ray poznał w szkole medytacji.

John i Jim mieli ze sobą wiele wspólnego. Obydwaj wywodzili się z dobrych, mieszczańskich rodzin. Ojciec Johna był architektem. Obaj mieli po jednym bracie i jednej siostrze. Obaj wyróżnili się w szkole średniej zdolnościami w spokojnych dyscyplinach sportu: John był świetnym tenisistą, Jim pływakiem. John podzielał entuzjazm Raya dla jazzu i jego żarliwą i pełną poświęcenia konwersję na naukę jogi u Maharishiego.

John mówił Jimowi i Rayowi, że ma ognisty temperament i oczekuje, iż dzięki medytacji nauczy się panować nad sobą. Mając dwadzieścia lat ciągle jeszcze mieszkał z rodzicami (z czego Jim natychmiast zaczął pokpiwać), ale bardzo tęsknił do samodzielności i miał nadzieję, że dzięki pracy w zespole zdobędzie trochę swobody. Jim i John znaleźli się w jednej grupie, ale nigdy nie zostali bliskimi przyjaciółmi.

John grał na perkusji od dwunastego roku życia. W orkiestrze University High School w zachodnim Los Angeles grywał na kotłach. Potem, będąc w college'u zainteresował się jazzem. Zmieniał szkoły, uczył się kolejno w Santa Monica, w Los Angeles i w San Fernando Valley State.

Po dwutygodniowych próbach Ray z braćmi, ich nowy wokalista, perkusista i wynajęty basista (a była nim dziewczyna, której imienia nikt już nie pamięta) pojechali do Los Angeles, do studia World Pacific, znajdującego się przy Trzeciej Ulicy. Zespół Rick and the Ravens miał kiedyś kontrakt z wytwórnią płytową Aura Records i nagrał dwie piosenki. Śpiewał je Ray, występujący pod pseudonimem Screaming Ray Daniels. Ich mała płyta zaraz po wydaniu wsiąkała na rynku nie zauważona, a szefowie firmy Aura uznali, że lepiej będzie udostępnić grupie na jakiś czas studio do prób, a nie od razu zabierać się do nagrywania. Teraz zaś w trzy uodziny chłopcy nagrali sześć utworów. „Przygotowaliśmy sobie wtedy świetną taśmę „demo” - wspominał Jim kilka lat później. I powieliliśmy ją w trzech egzemplarzach”.

Taśmy te Ray, Jim i John, a czasami Dorothy Fujikawa, obnosili od jednej wytwórni do drugiej. Były na nich utwory napisane przez Jima tego lata w Venice: *Moonlight Drive*, *My Byes Have Seen You* (wówczas zatytułowany *Go Insane*) *End of the Night* i uroczą, zwiewna piosenka o niezapomnianym temacie - *Summer's Almost Gone*. Taśmy próbne, jak i cały zespół zostały kolejno odrzucone przez wszystkie firmy.

W tym samym mniej więcej czasie Jim poznał Pamelę Courson.

Pamela była rudowłosą osiemnastolatką. Miała piegi na wierzchnich stronach dłoni, na bladej, delikatnej, miłej twarzy i rozsiane jak cynamon na całej długości ciała. Długie, proste włosy nosiła rozdzielone pośrodku. Jej wielkie, świetliste oczy jarzyły się kolorem lawendy, przypominając oczy postaci z obrazów Waltera lub Margaret Keane: wrażliwe, uległe, kochające.

Pam urodziła się 22 grudnia 1946 roku w Weed w Kalifornii, o kilka kilometrów od Mount Shasta, góry uważanej przez Indian za świętą. Jej ojciec, tak jak Steve Morrison, był

lotnikiem w służbie marynarki wojennej, ale nie pilotem, lecz bombardierem. Jako pułkownik rezerwy został dyrektorem szkoły średniej w Orange, mieście od którego pochodzi nazwa okręgu - Orange County. Pam powiedziała Jimowi, że rzuciła naukę w klasie artystycznej w college'u Los Angeles City i właśnie rozgląda się za jakimś ciekawym zajęciem.

W wiele lat później miała wyznać, że to Jim nauczył ją życia. Nazywała siebie „kreacją Jima”. Opowiadał jej o filozofach i napisał dla niej notatki o każdym, od Platona do Nietzschego, wprowadzał ją w wielkie dzieje myśli zachodniej. Dał jej do przeczytania swe dzienniki, z miejsca zdobywając wyznawczynię i opiekunkę swej poezji.

Jim czytał po raz drugi *The Doors of Perception* Aldousa Huxleya: „Działania większości tych, odmieniających świadomość, środków można doświadczyć tylko z polecenia lekarzy, inaczej jest to postępowaniem nielegalnym i łączy się ze znacznym ryzykiem. Do nieograniczonego użycia w cywilizacji zachodniej dopuszczono tylko alkohol i tytoń. Wszystkie inne, chemiczne, Drzwi w Ścianie, określane są mianem narkotyków, a ich nieupoważnieni konsumenci to wykolejeńcy”. Jim, którego rozbawiło takie postawienie kwestii, zwiększył zarówno różnorodność, jak i dawki zażywanych specjalów.

Robił teraz wszystko, by rozsunąć zapory umysłu. Otworzyć drzwi percepcji...przebić się na drugą stronę...ruszyć autostradą do kresu nocy...ujrzeć zadziwiające sceny w kopalni złota...osiadłać węże. Te uderzające zdania, rozrzucone później po tekstach utworów, trafiły do dzienników Jima tej ciepłej jesieni, spędzonej na plaży. Obrazy i słowa szczególnej, jemu tylko właściwej poetyki, powstawały wtedy lawinowo, jak w transie.

Jim połykał tabletki LSD, jak orzeszki do piwa lub raczej, jak aspirynę, bo tak wówczas wyglądała, sprzedawana przez firmę

Owsleya z San Francisco oryginalna „biała błyskawica”, czysta i tania. Do tego oczywiście trawka, sprowadzana całymi workami z Meksyku. Czasami też kostki cukru namoczone LSD.

Przebić się na drugą stronę
Przebić się na drugą stronę
Przebić się na drugą stronę

Jim uznał, że czas już zawiadomić mieszkającą w Londynie rodzinę o swoich planach. Napisał, że próbował znaleźć jakąś pracę po ukończeniu studiów, ale wzbudzał tylko wesołość swym stopniem naukowym magistra kinematografii, a więc teraz jest członkiem zespołu i śpiewa - i co oni na to?

Ojciec był jak sparaliżowany. Przysłał odpowiedź pełną ostrych wymówek. Przypominał Jimowi porzucone lekcje gry na fortepianie i dziecinne, uparte odmowy uczestniczenia w wspólnym śpiewaniu kolęd w Boże Narodzenie... a teraz zaczyna śpiewać w zespole? Po tym, jak on przez cztery lata płacił za college?

„No, tak - pisał łatwo wpadający w złość oficer - to ci stara ciamajda!”

Jim nigdy nie przyjmował krytyki z lekkim sercem. Po tym liście nigdy już nie napisał do rodziców.

W październiku, w jednym z ilustrowanych czasopism, które Jim i Ray czytali co tydzień, ukazało się zdjęcie Billy'ego Jamesa. Ten trzydziestotrzyletni były aktor zajmował się kiedyś promowaniem w Nowym Jorku Boba Dylana, który podpisał kontrakt z wytwórnią Columbia. W 1963 roku przeniósł się do Kalifornii, by zajmować się tu reklamą. Przez jakiś czas wiodło mu się dobrze, co oznacza, że zaspokajał normalne wymagania swych pracodawców, ale później zaczął przejmować styl życia muzyków, aż w końcu zmienił się tak

bardzo, że nie był już w stanie dojść do porozumienia z kolegami ze wschodniego wybrzeża i prawie wszystkimi zwierzchnikami z Columbii. Zaproponowano mu więc nowe stanowisko - jako menadżer od wynajdywania i rozwijania młodych talentów miał zadanie na tyle luźno sformułowane, by móc ignorować sztywne zasady pracy przedsiębiorstwa. Dopóki on pełnił tę funkcję, polegała ona na niestrudzonym wyszukiwaniu takiej muzyki, jaka mu się podobała.

Ray i Jim spojrzeli na fotografię. Billy nosił brodę.

- Może jest hipem? - zastanawiał się Ray.

Kiedy Billy wrócił z lunchu, zastał Jima, Raya, Dorothy i Johna czekających w hallu, koło klimatyzatora, przed drzwiami swego biura. Skinął im głową z nieobecny wyrazem twarzy, poprosił ich do środka. Przyjął uprzejmie taśmę demo i wysłuchał ich szczerych zwierzeń, wiedząc, że były one opowiadane już niejeden raz. W końcu obiecał, że odpowie im telefonicznie, za dzień lub dwa. Po dwóch dniach jego sekretarka zadzwoniła do Jima, zawiadamiając go, że Billy życzy sobie widzieć ich w swoim biurze, gdy tylko będą mogli.

„Powiedziałem im, że jeżeli zechcę, mogę zostać producentem ich płyt i że wprawdzie zauważyłem ich talent, ale nie byłem wcale pewien, czy uda mi się wydobyć to z nich w studio - wspomina Billy. - Wiedziałem więc, że trzeba będzie zainteresować nimi także jakiegoś innego producenta z Columbii. Ponieważ spodziewałem się, że to będzie trudne, kontrakt, jaki im zaproponowałem, był umową na pięć i pół roku, w tym sześć miesięcy okresu próbnego, w którym firma zobowiązywała się nagrać dwie małe płyty i wydać przynajmniej jedną. Nie chciałem sprawić, by przez dłuższy czas nie mogli nic zrobić ze względu na termin próbnym”.

Jim nie mógł w to uwierzyć. Columbia! Firma Dylana!

Pomimo takiej zachęty, zespół zaczął się rozpadać: jeden z braci Raya odszedł, drugiego zastąpił ktoś inny. Nowym

muzykiem był Robby Krieger, gitarzysta, którego John i Ray znali z kursu medytacji.

Dziewiętnastoletni Robby był najmłodszy z całej czwórki, a do tego najmniej okazały. Miał mocno kręcone, ciemnobrązowe włosy i błędne, zielone oczy, nadające mu wygląd człowieka oszołomionego, co niektórzy przypisywali działaniu narkotyków, a inni źle dopasowanym szkłom kontaktowym. Wrażenie dziwności potęgowane było przez jego głos: mówił z wahaniem, jak gdyby zasypiał, końce zdań unosiły się wysoko, w tonie zapytania, albo przechodziły w szept. Ale pozory mogą mylić. Za spojrzeniem wystraszonego dziecka krył się bystry umysł i subtelne poczucie humoru, cech odziedziczone po ojcu, człowieku skromnym, choć zamożnym, doradcy agencji rządowych do spraw planowania i finansów.

Tak jak John, Robby był Kalifornijczykiem. Urodził się 6 stycznia 1946 roku w Los Angeles jako jedno z niepodobnych do siebie bliźniąt. Uczył się w „Uni High”, ale także w liceach w Pacific Palisades, na bogatych, nadmorskich przedmieściach Los Angeles oraz w Menlo Park, eleganckiej, peryferyjnej dzielnicy San Francisco. Spędził rok na uniwersytecie kalifornijskim w Santa Barbara, a potem jakiś czas na U.C.L.A., gdzie trzykrotnie zmieniał wydział studiując w końcu fizykę. W tym właśnie okresie John zaprosił go na spotkanie z kilkoma chłopcami, którzy nazwali siebie Doors.

- Drzwi (Doors)? - uśmiechnął się Robby. A niech ich!

Robby grał kiedyś razem z Johnem w zespole Psychodelic Rangers i aż dotąd uważał, że trudno o dziwniejszą nazwę.

Robby powiedział Jimowi, że gra na gitarze od piętnastego roku życia, a mając osiemnaście był w swych marzeniach Montoyą lub Segovią. Ale zmieniał style muzyczne tak szybko, jak szkoły, przerzucając się z flamenco na folk, na bluesa, wreszcie na rock. Szczególnie lubił muzyków folkowych - opowiadał Jimowi o tym, jak był na koncercie Joan Baez na

uniwersytecie w Stanford. Jim oczywiście zaczął mówić o Dylanie. Wtedy Robby włączył swą gitarę i obojętnie zagrał figurę zwaną „bottleneck”. Jim słyszał ją przedtem na płytach, ale nigdy nie widział, jak się to robi. Z początku chciał, by Robby grał bottleneck w każdym utworze.

Fachowe dyskusje i próby trwały dalej. Czterej chłopcy przyzwyczajali się do siebie na codziennych spotkaniach - u Raya, u Robbiego, którego rodzice mieli fortepian w jednym z mniejszych pokoi, albo w domu jednego z kolegów z Venice. Próby odbywały się pięć razy w tygodniu i zajmowały całe popołudnia. W niektóre weekendy zespół występował - na ogół za darmo - w restauracjach, na weselach i przyjęciach korporacji studenckich - w oparciu o dobrze znane standardy typu *Louie, Louie* i *Gloria*, ale czasami grając którąś z własnych kompozycji. Jim był jeszcze zbyt nieśmiały i niepewny, by stanąć twarzą w twarz z publicznością, choćby nieliczną. Odwracał się więc plecami do salki tanecznej, albo, stojąc przodem, przymykał oczy i trzymał się kurczowo mikrofonu, jak gdyby tylko to chroniło go od utonięcia na deskach sceny. W istocie, podczas prawie wszystkich tych występów większość piosenek śpiewał Ray, a Jim tylko akcentował jego śpiew piskami harmonijki ustnej lub dodawał gromkie „yeah!” albo „drive on!”.

Phil Oleno pracował w tym czasie jako szef nocnej zmiany w domu towarowym. Nieliczne popołudnia wolne od prób zespołu Phil i Jim zwykle spędzali razem, włączając się po miasteczku uniwersyteckim, paląc trawę i zaczepiając dziewczęta z wydziału sztuk pięknych. Jedną z nich była Katie Miller, o rok lub dwa młodsza od Jima, przypominająca młodą Tuesday Weld: niewinna, zwiewna blondynka.

Katie była wrażliwa, niepewna swoich uzdolnień. Każde zdanie zaczynała od usprawiedliwienia. Ale najbardziej cierpiała z powodu swej wielkoduszności. Wyglądało to tak, jak

gdyby próbowała być matką dla wszystkich zabłąkanych dusz, spotykanych na uczelni. Zapraszała Jima, by mieszkał u niej kiedy tylko chciał i robiła mu wystawne posiłki. Prosiła go, by używał jej samochodu ilekroć będzie potrzebował coś przewieźć. Czasami Jim brał samochód i znikał na kilka dni, a Katie chodziła pieszo i niepokoiła się. Bywało też, że mieszkał u niej przez dłuższy czas. Robił potworny bałagan, odzywał się do niej niegrzecznie i krzyczał na nią, używając swego jadowitego języka. Chętnie się po pijanemu innymi kobietami w swoim życiu i groził, że potnie nożem ogromne obrazy, które Katie namalowała na zajęciach i rozwiesiła na ścianach. Potem jednak uspokajał ją. Mówił, że jest taka dobra i piękna.

- Naprawdę powinnaś poznać Jima - namawiała Katie swą przyjaciółkę, Rosannę White. Rosanna była oburzona, słysząc niektóre opowiadania Katie o Jimie, ale gdy go wreszcie poznała, była nim zafascynowana. Często chadzał bez koszuli i kiedy odwracał głowę z rozpuszczonymi, długimi włosami i napinały mu się mięśnie na karku, wydawał się Rosannie ożywionym greckim posągiem. Była też pod wrażeniem jego głosu, którego przez sześć miesięcy, podczas których był spokojny i wzburzony, nie wzniósł ponad szept. Rosanna* przyznawała, że trochę boi się Jima, ale póki co udostępniała mu czarny tapczan w swoim mieszkaniu. Kolejną przystań na nocę, w które nie wracał na swą plażę.

O ile pokoje Katie olśniewały luksusem, mieszkanie Rosanny urządzone było bardzo surowo. Była wegetarianką i nigdy nie miała w domu nic specjalnego do jedzenia, a ponieważ nie paliła marihuany, nie kupowała też taniej, nędznej żywności ulubionej przez palaczy. Rzadko pijała wino, więc Jim przynosił własne. Miała za to roślinny szampon do włosów, który bardzo lubił, toteż często, wracając z uczelni, zastawała go w łazience w dżinsach i dziurawym szlafroku, strojącego miny przed lustrem. Wciągał policzki jak modele, od których roły się reklamy mody w Vogue'u i wdzięczył się potrzęsając mokrymi, nieuczesanymi włosami.

- Jim - zapytała kiedyś Rosanna. - Dlaczegoś się nie uczesał?

Jim przyklepał włosy i spojrział na nią z miną uosobienia seksu.

- Bo chcę wyglądać jak ptasie skrzydło.

Po czym prężył się zmysłowo, zakładał ręce, napinając mięśnie pod cienką tkaniną szlafroka i patrzył na nią przekornie.

Pewnej nocy, niedługo po poznaniu Rosanny Jim zjawił się w jej mieszkaniu z Johnem Densmore i Katie, którzy wkrótce wyszli, zostawiając Rosannę samą z Morrisonem. Dziewczyna, coraz bardziej rozdrażniona ciągłym wdzięczeniem się i szepkami Jima, postanowiła nie tłumić swego zdenerwowania.

- Co to ma do cholery znaczyć? - wybuchnęła, gdy Jim znów zaczął szeptać. - Przecież naprawdę nie mówisz w ten sposób. W tej chwili przestań!

Jim obrócił szept w nieprzyzwoitą propozycję, wmawiając Rosannie, że po prostu chce z nim iść do łóżka.

- Och, proszę cię, Jim - była wyraźnie zgorzozona. - Przestań być tak strasznie fałszywy. Przez cały czas jesteś naćpany, nie mam z tobą żadnego kontaktu. Nawet teraz nie mogę z tobą rozmawiać, bo widzę, jaki jesteś naćpany i fałszywy. Jim, przecież ty przez cały czas grasz!

Jim pobiegł do kuchni i po kilku sekundach był z powrotem, trzymając w ręku zagięty, stalowy nóż do krojenia mięsa. Chwyił Rosannę za prawy nadgarstek i wykręcił jej rękę na plecy, zakładając dźwignię. Od szarpnięcia rozpięła się jej bluzka i Jim przyłożył ostrze do delikatnego ciała jej brzucha.

- Nie wolno ci tak mówić do mnie - wyszeptał. - Teraz cię potnę i przekonamy się, czy krwawisz.

Mówił to poważnym tonem.

Ktoś wszedł do mieszkania. Jim odwrócił się i ujrzał Johna Densmore, który niespodziewanie wrócił. Spojrział na Rosannę, potem na trzymany w dłoni nóż i roześmiał się.

- Hej, co się tu dzieje? Nóż? Skąd tu się wziął nóż?

Po chwili Rosanna przeprosiła Jima, Jim przeprosił Rosannę i zapytał ją, czy mógłby przemocować u niej na tapczanie. Rosie zgodziła się.

Pewnego dnia w listopadzie Jim zadzwonił do Raya. Była ósma rano. Jim, naćpany LSD, chciał natychmiast urządzić próbę zespołu. Ray tłumaczył mu, że jest za wcześnie, ale Jim nalegał. W końcu zagroził mu, że jeżeli zaraz się nie zjawi, to będzie po wszystkim, to on pieprzy Doors i odchodzi. Ray odparł, że przyjdzie, ale później.

Minęło kilka godzin. Jim był razem z Felixem Venable u Phila Oleno i dochodził do siebie po narkotykach. Rozmawiali o widzianych przez siebie zdjęciach pajęczyn tkanych przez pająki, którym zaaplikowano LSD i meskalinę. Oleno wyjął książkę wypożyczoną z biblioteki uniwersyteckiej i otworzył na tych fotografiach. Pajęczyny budowane przez pająki pod wpływem LSD były geometryczne, a te powstałe pod działaniem meskaliny zaskakiwały dowolnością, chaosem, brakiem logiki i - jak sugerował Jim - obłądem. Chłopcy postanowili, że muszą zdobyć meskalinę w najczystszej formie - pejotlu, wyciągu z meksykańskich kaktusów. Zaplanowali wyjazd na pustynię, do Arizony.

Wyruszyli na wschód we trójkę samochodem Phila, zrujnowanym czerwonym chevroletem ze zdejmowanym dachem, w którym nie działał pierwszy ani wsteczny bieg. Gdy przejeżdżali przez Hawthorne, miasteczko tuż za Los Angeles, Jim nakazał, by się zatrzymali. Wskoczył z wozu, podbiegł do przechodzącej dziewczyny i pocałował ją. Właśnie sadowił się z powrotem na fotelu, gdy przed chevroleta zajechał radiowóz policyjny. Kaprys młodzieńca nie uszedł uwagi stróżów porządku. Policjanci poprosili Jima o dowód tożsamości, a następnie porozmawiali z dziewczyną i dowiedzieli się, że ma ona dopiero czternaście lat.

- Chodźcie - zawołał Jim. - dlaczego mnie nie zastrzelicie? Chodźcie, matkojebcy, gówniarze. Strzelajcie!

Co dziwne, policjanci pozwolili chłopcom odjechać, udzielając im upomnienia. Podróż na wschód została podjęta na nowo.

W dwa dni później, gdy Jim i Felix wrócili bez Phila, potłuczeni i pokaleczeni, zaczęto plotkować. Jim opowiadał niektórym kolegom, że dojechali do Arizony, spotkali Indian i wyruszyli z nimi na pustynię. Następnie strzelali z łuków wokół kaktusów pejotlowych, bo - jak wyjaśniał - jeżeli ktoś potrafi napiąć łuk i wystrzelić, znaczy, że jest dość silny, by spróbować tego specjału. Potem zaś żuli pejotl, po czym Phil postanowił ruszyć dalej do Meksyku.

Inni usłyszeli drugą wersję, wyjaśniającą obrażenia. Wedle niej Jim, Phil i Felix nie znaleźli żadnych Indian. Nie zdobyli ani odrobiny pejotlu, za to natknęli się na meksykańskich awanturników, włóczących się wzdłuż brzegów rzeki Colorado, którzy nie tolerowali długowłosych mężczyzn.

W Columbii nic się nie działo. Kontrakt został podpisany, w domu Robby'ego urządzono uroczysty obiad, i na tym się skończyło. Billy James nie był w stanie zainteresować producentów firmy zespołem. Doors kontynuowali próby i grywali na przyjęciach i przesłuchaniach w klubach, gdy tylko nadarzała się okazja.

W grudniu, podczas pokazów filmowych na U.C.L.A., na których wyświetlano próbny film Raya, nakręcony na zajęciach w poprzednim roku, Doors właściwie po raz pierwszy wystąpili na scenie, grając samodzielny koncert. Była to improwizacja ścieżki dźwiękowej do wyświetlanego filmu, wykonana na instrumentach akustycznych. Później złożyli się na przesłuchanie do jednego z klubów w Westchester, z którego wypłynął na szersze wody zespół the Turtles, znany wówczas w Los Angeles, ale nie zostali zaakceptowani. Nie chciano ich też w Bido Lito's, małym, lecz ulubionym przez

hipisów klubie w Hollywood, w którym przez dłuższy czas grywał zespół Love. Powiedziano im, że ich wielkim mankamentem jest brak instrumentu basowego.

Zaczęli zapraszać na próby basistów, ale ich brzmienie stało się zbyt pełne - jak u Rolling Stones, których utwory często wykonywali, lub jak u zespołów grających electric bluesa. Nie mogli się zdecydować, czy chcą tak radykalnej zmiany brzmienia, więc zgłaszali się na kolejne przesłuchania bez basisty. Na początku stycznia zaproponowano im stałą pracę w London Fog, małym klubiku na Sunset Strip, o niecałe pięćdziesiąt metrów od Whiskey a Go Go, którego właściciel nosił dziwaczne imię Jesse James. Chłopcy przyglądali się, jak zawieszano nad wejściem transparent z napisem „the Doors - zespół z Venice” i nie posiadali się z radości. Pierwszej nocy, której grali, nikt nie wszedł do klubu.

Wynagrodzenie było bardzo skąpe; zdawało się, że właściciel klubu chce zarobić na zespole, licząc na to, że ściągnie on wielu studentów z U.C.L.A. na swoje koncerty. Ponieważ Fog, podobnie jak Bido Lito's, był klubem nie zrzeszonym w związku zawodowym, wynajmowani muzycy nie musieli być członkami związku zawodowego muzyków i właściciel klubu nie musiał trzymać się wyznaczonych stawek minimalnych. Doors grali sześć razy w tygodniu, od dziewiątej wieczorem do drugiej w nocy, powtarzając repertuar pięć razy i mając prawo do piętnastominutowej przerwy co godzinę. Dostawali za to po pięć dolarów w dni powszednie i po dziesięć w piątki i soboty, płacone gotówką przy wyjściu - o ile właściciel miał drobne.

Sąsiedztwo wielkiego klubu Whiskey wcale nie wpływało na skład ani liczebność publiczności Doors w tym początkowym okresie. Pomimo swej chwytliwej nazwy klub London Fog był odwiedzany głównie przez marynarzy, stręczycielki, dziwki i facetów w typie mafioso w czarnych garniturach. Czasami wpadali też dziwaczni, wystraszeni

turyści. Nikt nie przychodził dla samej atmosfery klubu; wszystkim chodziło o coś dziejącego się gdzieś indziej.

W chwilach przerwy pomiędzy odgrywaniem repertuaru chłopcy wychodzili kolejno na ulicę. Podchodzili do Whiskey, gdzie pozwalano im stanąć w drzwiach i popatrzeć na zespół - atrakcję wieczoru. Marzyli wówczas, że staną się kiedyś - jak ujął to Jim - „tak wielcy jak Love”, najpopularniejszy wtedy zespół undergroundowy w Los Angeles.

Gra w klubie była ćwiczeniem śmiałości i pozwalała im nabrać śmiałości do wygładzanego stopniowo własnego repertuaru. Z początku Jim włączał się tylko na krótkie chwile, improwizując krótkie partie na harmonijce ustnej lub przejmując grę na organach, gdy Ray wykonywał solówki na flecie. Ale odkąd zaczął skupiać się bardziej na wizualnej stronie swoich występów, poniechał prób gry na instrumentach. Ray odkrył w tym czasie bas klawiszowy Fendera, na którym mógł grać lewą ręką, pozostawiając prawą do akordów i partii solowych na swych organach Vox, które dostał od firmy Columbia. W ten sposób rozwiązany został problem basu.

W lutym zespół miał już w swym repertuarze co najmniej czterdzieści utworów, w tym około dwudziestu pięciu własnych, między nimi *The End*, który na początku roku 1966 był tylko zgrabnie napisaną piosenką o zgasłej miłości:

Oto już koniec, moja piękna przyjaciółko
Oto już koniec, moja jedyna, już koniec
naszych wielkich planów, koniec
wszystkiego, co nas łączyło, koniec
i nie ma już bezpieczeństwa, nie ma niespodzianek
koniec
i już nigdy nie spojrzę ci w oczy.

Z wyjątkiem *Alabama Song*, wziętej z musicalu Brechta z muzyką Weilla pt. *Wzlot i upadek miasta Mahagonny*, opowieści o chwale i korupcji przedwojennych, faszystowskich Niemiec, utwory grane przez zespół były dawnymi standardami bluesowymi lub znanymi przebojami rockowymi, takimi jak *Money*, *Back Door Man*, *Gloria* czy *Louie, Louie*. Teraz już Jim śpiewał prawie wszystkie piosenki.

Jim z czasem nabierał pewności siebie. Nie łudził się, że ma wielki głos. „Ja nie śpiewam, ja krzyczę” - mówił znajomym, ale wiedział, że jest coraz lepszy. Gdy zespół rozluźniał się w trakcie gry, Jim wymachiwał dramatycznie czarną chustką, zarzucał ją na mikrofon i obracał zmysłowo wokół twarzy.

Najważniejsze dla Doors było ich rosnące poczucie „jedyności”. Po codziennych próbach, grając teraz co noc dla publiczności, trzej muzycy i wokalista dobrze znali nawzajem swe możliwości i stawali się bardzo dobrzy. Stanowcze, jakby trochę kościelne brzmienie organów Flash Gordon Raya, jazzowe bębnienie Johna, precyzyjnie podkreślające śpiewany tekst, subtelne, ostentacyjnie niedbałe palcówki Robbiego z pogranicza bluesa i flamenco, lekko zachrypnięty, nierówny, ale zmysłowy tenor Jima, chwilami wpadający w baryton - wszystko to składało się na styl, którego zaledwie cień zawierała nagrana dawniej taśma demonstracyjna. Przez większą część występu Jim nadal stał odwrócony tyłem do publiczności, a twarzą do kolegów, przyjmując pozy wyćwiczone na próbach, kiedy to, według relacji Raya, zwracali się do wewnątrz, by „skierować do siebie wzajemnie duchową energię”. „Z pomocą LSD - wspomina Ray - Doors docierali do swej wspólnej duszy”. Większość muzyków grających ze sobą przez dłuższy czas i szanujących nawzajem swój zmysł muzyczny, odczuwa rodzaj porozumienia niedostępny ludziom nie grającym lub nie śpiewającym. „Tak, było coś takiego - mówi Ray. - I występowało to z niezwykłą mocą”.

Członkowie zespołu zawsze byli zgodni w sprawach interesów; wszystko było dzielone na równe części. Jim pisał prawie wszystkie utwory, ale „kiedy je nagrają - zapowiadał - pod kompozycjami podpiszą się wszyscy, a honoraria i wszelkie inne dochody będą równo podzielone między ich czterech. Wszystkie decyzje muzyczne podejmowane były nie większością głosów, lecz jednomyślnie.

Jim zaczął wnosić na scenę narkotyki, czasami już w sobie - rozszerzone oczy, doznania zmysłowe zniekształcone i zaostrome na przemian, rozszczepienie jaźni - czasami zaś w kieszeniach. Czekał wówczas, aż Ray rozpocznie solo na organach, po czym wyciągał ampułkę i podkładał ją sobie pod nos. Za którymś razem poczęstował też wszystkich muzyków, gdy zagrali *Little Red, Rooster* i kiedy doszli do słów „małe psy zaczęły szczekać, gończe psy zawyły”, Ray zaszczeakał, John zawył, a Jim spadł ze sceny. Innej nocy Jim, kompletnie pijany, powrócił do swych cudaczkich, chłopięcych nieprzyzwoitości, improwizując nowe słowa do *Glorii*: „a potem przyszła do mnie / przyszła do mnie do łóżka / weszła mi do ust...”

Jim nadal nie mieszkał nigdzie na stałe, lecz prznosił się z jednego gościnnego tapczanu na drugi. Pamela była jego dziewczyną numer jeden, ale nie ograniczał się do monogamii. Rozmawiał z nią o zdobyciu jakiegoś mieszkania w Laurel Canyon, ale w tym samym czasie sypiał po całym zachodnim Los Angeles. Nie miał też jeszcze swojego samochodu i zadowalał się starym, żółtym volkswagenem Raya albo singerem gazelle Raya. Kiedy był głodny, chodził, jak wszyscy członkowie zespołu, do domu Johna, którego matka była do nich nastawiona najbardziej opiekuńczo.

W kwietniu w grupie zagościł niepokój. Nadal nic nie działo. Czterdzieści dolarów tygodniowo na głowę nie wystarczało na życie, a często nie dostawali nawet tyle.

Johnowi proponowano pracę w innym zespole. John i Robby zostali aresztowani za posiadanie marihuany, a Jim, który rok wcześniej obronił się przed pójściem do wojska zmyślnymi studiami, został teraz ponownie sklasyfikowany jako A1 i w maju miał się zgłosić na nową komisję. W dodatku w Columbii wciągnięto ich na listę grup do odrzucenia.

Jeden z producentów Columbii, Larry Marks, wstąpił pewnej nocy do London Fog i przedstawił się jako ich opiekun z ramienia firmy, ale nie ujrzeli go nigdy więcej. Nie dostali też żadnej wiadomości od Billiego Jamesa. Na jego biurku John zauważył listę zespołów odrzuconych, a na niej Doors. Zażądali więc natychmiastowego zwolnienia z kontraktu.

- Poczekajcie jeszcze - perswadował Billy. — Dostaniecie tysiąc dolarów, jeżeli sześć miesięcy minie, a oni nie nagrają wam płyty.

Muzycy pokręcili głowami. Billy westchnął i zawołał kolegę z oddziału prawnego. Po chwili Doors byli wolni.

W kilka dni później właściciel London Fog dopełnił tej wolności, wyrzucając zespół z klubu.

Zła passa odwróciła się w maju.

Po pierwsze, Jim sfałszował swe ciśnienie krwi, poziom cukru, tętno, oddech, wygląd i ton głosu - wszystko za pomocą szerokiego asortymentu narkotyków - po czym poszedł na komisję wojskową. Oświadczył lekarzom, że jest homoseksualistą i że jeżeli go wezmą, będą najbardziej uprzykrzonymi matkojebcami na ziemi. Został odrzucony. Po drugie, w ostatnią noc, gdy Doors grali w klubie London Fog, podeszła do nich poszukiwaczka młodych talentów z Whiskey a Go Go i zapytała, czy mogłaby zapisać ich na poniedziałkowy wieczór. Tylko tę jedną noc - wyjaśniała im ładna brunetka, Ronnie Haran - ale szefowie będą się przyglądali.

- Naprawdę, opowiadałam im o was - przyznała się Jimowi. A my właśnie szukamy grupy na stałe.

Gdyby udało im się zdobyć stałą pracę w Whiskey, tłumaczyła dalej Ronnie, graliby swój repertuar dwukrotnie każdej nocy, w porównaniu z cztero- lub pięciokrotnym powtarzaniem go w London Fog. Dostawaliby za to - wedle stawek związkowych - 499 dolarów i pięćdziesiąt centów do podziału. Jim i jego koledzy przystali na propozycję z obojętnymi minami, ale w środku aż gotowali się z radości i ulgi.

- Tak - powiedział Jim. Myślę, że możemy spróbować. Poniedziałek, tak? Hej, to byłoby jutro. Hm, to dość niedługi termin.

Człowiekiem, który podejmował decyzje jako współwłaściciel PJ's (klubu tanecznego z fordanserkami tuż przy Sunset Strip) i Whiskey a Go Go, był trzydziestokilkuletni eks-policjant z Chicago, o imieniu i nazwisku jak z prozy Damona Runyona: Elmer Valentine. Ronnie Haran, która poznała go, będąc młodą gwiazdką w PJ's, zajmowała się sprawami reklamy obydwu lokali i wynajdywaniem nowych wykonawców. W 1966 roku brała też udział w lansowaniu szkockiego piosenkarza Donovana i kiedy rozglądała się za fotografem, zarekomendowano jej Paula Ferrarę, kolegę Jima z uczelni, który namówił Ronnie na obejrzenie występu Doors w London Fog. Paul nie był pierwszym ani ostatnim człowiekiem, od którego Ronnie słyszała o tym zespole, a ponieważ bardziej ufała pogłoskom zasłyszonym na ulicy niż radom „menadżerów”, złożyła w końcu wizytę w Fog.

Elmer wspomina, że Ronnie Haran błagała go, by wpisał zespół na drugi występ, bo pierwszy kompletnie mu się nie spodobał. Powiedział dziewczynie, że Jim wygląda mu na amatora bez żadnych zdolności, który przybiera pozę, by ukryć brak talentu. Raziła go też „brudna gęba” Jima. Ale Elmer miał słabość do Ronnie, więc w końcu przystał na to, by zespół zagrał jeszcze dwukrotnie.

Doors pozostali w Whiskey od połowy maja do połowy lipca, w którym to okresie bywali przynajmniej raz w tygodniu

wyrzucani za doprowadzanie właścicieli do furii. Chłopcy starali się wprawdzie wyrzucić dobre wrażenie na głównych gwiazdach klubu - a byli nimi the Rascals, the Paul Butterfield Blues Band, the Animals, the Beau Brummels, Them, Buffalo Springfield i Captain Beefheart - ale zamierzali również „zdmuchnąć ich ze sceny”, czego skutkiem były wrzaski Phila Tanziniego, współpracownika Elmera:

- Za głośno! Za głośno! Wywalę was przy wszystkich! Uciszcie się! Ciszej! W rewanżu, ilekroć grali *Unhappy Girl*, Ray tak długo znęcał się nad najwyższymi rejestrami organów, aż do ich pisku dołączało się skrzeczenie Tanziniego. Błazeństwa Jima jeszcze bardziej zadrażniały sytuację. Czasami bywał tak pijany lub naćpany, że nie mógł pojawić się na scenie. Co gorsza, zdarzało mu się nieoczekiwanie wskoczyć na scenę pomiędzy występami i wrzeszczeć:

- Pierdołę Elmera! Pierdołę Whiskey! Pierdołę Phila!

Ilekroć chłopców wyrzucano, Ronnie Haran dzwoniła do czternastoletniej dziewczyny z Beverly Hills, która była jedną z najgorętszych miłośniczek zespołu, choć słuchała go stojąc przy kasie klubu, bo nie wpuszczano jej do środka. Ona zaś alarmowała wszystkie swoje przyjaciółki, które po kolei dzwoniły do Whiskey i pytały, kiedy znowu wystąpią the Doors. Elmer miał zwyczaj odbierać w klubie telefony, czerpał z nich to, co Ronnie z ulicznych plotek: rozeznanie w sytuacji.

- Zawsze było to samo - mówi Elmer, który wciąż nie wie, że był, przynajmniej częściowo, nabierany - kozy, kozy, bez przerwy głupie kozy, wypyujące bez przerwy: czy ten rogaty skurczybyk w czarnych spodniach występuje dziś u was? No, a że moja matka wychowała niegłupie szkraby, więc wsta-
wiałem the Doors jako drugi zespół.

Na ulicach zaś szeptano:

- Musicie iść do Whiskey i zobaczyć the Doors. Wokalista jest niezmierny!

Występy zespołu szokowały śmiałą erotyką - odziany w skóry wokalista trący mikrofonem o krocze - ale zawierały też przesłanie intelektualne. Galeria grotesek, przewijających się w tekstach Jima, fascynowała publiczność zespołu w połowie lat sześćdziesiątych. Utwory takie jak *When the Music's Over* były kolejno pełne smutku, bluźniercze, uspokajające, wyrażały żądanie, błaganie, a nade wszystko frustrację.

Repertuar Doors był płynny. Czasami naradzali się nawet przez pięć minut, jaki utwór zagrać jako następny.

- Co powiecie na *Crystal Ship* ? - pytał Jim.

- Nie, chyba nie - odpowiadał Ray - nie mam ochoty.

John proponował utwór, w którym Robby miałyby długą solówkę na gitarze, ale wtedy Robby potrząsał przecząco głową.

- *When the Music's Over*? - poddawał Jim.

Ray spojrział na niego w zamyśleniu, uśmiechnął się jak Henry Fonda, nie odsłaniając zębów, i skinął głową. John się zgadzał, Robby też przystał. Decydowała jednogłośnie, dewiza zespołu.

When the Music's Over był utworem improwizacyjnym, trwającym jedenaście minut albo dłużej, w zależności od rozbudowania partii instrumentalnych i fragmentów poezji dodawanych przez Jima. Pod wieloma był to klasyczny utwór Doors: rozwijany w bardzo udramatyzowanym nastroju, skłaniającym do odbierania występu zarówno w kategoriach muzycznych, jak i teatralnych.

Rozpoczął się od szalonego riffu na organach i błagalnych pomruków Jima, prawie tracącego oddech: „Yay..c'moan". W chwilę później John zaczął przesadnie wymachiwać ramionami, dodając głośny, metronomiczny rytm, i nagle, ku zaskoczeniu wszystkich, Jim wyskakiwał

wysoko w górę z mikrofonem w rękę i wrzeszczał: „Yeeea-ahhhh!” Organy poddawały linię melodyczną, Robby dodawał akcentujące ją akordy na gitarze, a Jim zawodził fatalistycznym lamentem:

Gdy kończy się muzyka
Gdy kończy się muzyka
Gdy kończy się muzyka
Zgaście światła
Zgaście światła
Zgaście światła

Po chwili, z mocą:

Bo muzyka to twój niezwykle przyjaciel

I jeszcze silniej, prawie krzycząc:

Tańcz w ogniu w jej rytm

Potem uspokajająco, ale tonem ostrzeżenia:

Muzyka to twój jedyny przyjaciel

Bębny załomotały.

Aż do końca
Aż do końca
Aż do końca

Tu Robby wchodził z kapryśnymi jękami i sprzężeniami swej „psychodelicznej” gitary. John załamywał nieruchomy dotąd rząd talerzy. Ray kołysał się na krzeselku, wciskając akordy na organach, a pośrodku tej kakofonii Jim tarzał się po

scenie, przyciskał mikrofon do piersi, wierzgał nogami, na przemian kulił się jak embrion i prostował. Potem melodia zwalniała i muzycy na nowo zgrywali się ze sobą. Jim wstawał.

Przekreście moją subskrypcję na zmartwychwstanie
Prześlijcie moje uwierzytelnienia do więzień
Tam mam przyjaciół
Twarz nie zatrzyma się w lustrze
Dziewczyna nie rzuci się z okna
Święto żyjących przyjaciół - krzyknęła
Czekają na mnie
Na zewnątrz

Ostatnie słowo to kolejny krzyk. Muzyka stawała się hipnotyczna.

I nim utonę w najgłębszy sen
Chcę jeszcze usłyszeć
Chcę jeszcze usłyszeć
Wrzask motyla

Chodź, dziewczyno
Wróć w moje objęcia

Nuta niecierpliwości wkradała się w głos Jima, dodawała presji:

Mamy już dość wyczekiwania
Pochyleni z uchem przy ziemi

Głos porzucał ton gniewny, stawał się hipnotyczny jak muzyka:

Słyszę bardzo cichy dźwięk
Bardzo blisko i jeszcze bardzo daleko;
Taki łagodny, taki czysty;
Przyjdź dzisiaj, przyjdź dzisiaj.

Nastrój smutku obracał się w gniew:

Co oni zrobili z Ziemią?
Co zrobili z naszą dziewczyną siostrą?
Splądrowali ją, podeptali i splugawili
i pogryźli ją,
Porznęli sztyletami od strony świtu,
Powiązali płotami, zawlekli na dno.

Jedynym dźwiękiem było rytmiczne pulsowanie serca,
które dochodziło z organów: dwie nuty - bum-*bump*
oraz na tym tle apokaliptyczne grzmienie bębnow. Bum-*bump*.
Bum-*bump*.

Słyszę tak cichy głos
Z uchem przyłożonym do ziemi

Jim trzymał mikrofon tuż przy twarzy, obejmował go lewą
ręką niemal z czułością, prawą zaś przytykał do ucha
- nasłuchiwał. Prawą nogę, ugiętą w kolanie, wysunął do
przodu, stopę oparł o podstawę mikrofonu. Lewą nogę,
wyprostowaną, odstawił do tyłu.

My chcemy świata i chcemy go...
Chcemy świata i chcemy go...

Przejdźcie na perkusji. I:

Już!
Już?

Perkusja ucichła. Jim wyskoczył do góry z wrzaskiem:

Teraz!!!

Organy powróciły oszalałym rytmem.

Perska noc;
Patrz - światłość,
Zbaw nas, Jezu, zbaw nas!

Więc gdy muzyka się kończy,
Zgaście światła.

Muzyka to twój jedyny przyjaciel
Tańcz w ogniu w jej rytm
Muzyka to twój niezwykle przyjaciel
Aż do końca
Aż do końca
Aż po

KONIEC!

Nawet tancerki go-go, które widziały to nic po raz pierwszy,
siedziały jak zahipnotyzowane.

ROZDZIAŁ

4

Gdy dla członków zespołu stało się pewne, że pozostaną w Whiskey przez dłuższy czas - a po dwóch pierwszych tygodniach przestali traktować wyrzucanie ich poważnie - wszyscy czterej przeprowadzili się. John i Robby opuścili w końcu domy rodzinne, by podzielić się małym mieszkaniem w Laurel Canyon i próbować znaleźć dla zespołu inne zajęcia. Ray i Dorothy wynajęli mieszkanie naprzeciw plaży. Składało się ono tylko z jednego pokoju dwudziestometrowej długości, który znakomicie nadawał się do odbywania prób. Jim zamieszkał u Ronnie Haran, w małym mieszkanku, wynajmowanym za 75 dolarów miesięcznie, położonym niedaleko Whiskey. Właśnie wtedy Ronnie zaproponowała mu zawarcie kontraktu zapewniającego, jak to nazywała, „promocyjną opiekę nad grupą”. Zaczęła też dzwonić do różnych wytwórni fonograficznych i namawiała ich agentów, by przyszli obejrzyć „amerykańskich Stonesów”. Kilku z nich rzeczywiście przybyło. Producentowi płyt Beach Boys, Nickowi Venetowi, nie podobali się zupełnie. Lou Adler, zajmujący się karierą Mamas and Papas, pozostał tak

samo niewzruszony, jak dziewięć miesięcy wcześniej, gdy Jim i Ray prezentowali mu swe próbne nagrania. Zażrzało też kilku muzyków z Rolling Stones, gdy byli akurat w Los Angeles, ale i na nich Doors nie zrobili wrażenia. Nie okazał też zainteresowania Jac Holzman, trzydziestosześcioletni producent muzyki folk i fantazji elektronicznych, założyciel i szef firmy Elektra Records. Elektra była wówczas małą wytwórnią, wchodzącą dopiero na rynek rockowy z zespołem Love. Po wyjściu z Whiskey w tę pierwszą noc, w połowie czerwca, Jac skomentował: „Nie, oni nie mają w sobie iskry”.

Holzmana ubłagano, by obejrzał Doors jeszcze raz - było to oczywiście dziełem Ronnie, ale nie tylko jej. Nalegał na to także Arthur Lee, lider Love. Holzman poszedł powtórnie i uznał, że jest coś atrakcyjnego w grze Raya na organach. Ale za czwarta wizytą zrobił nagle decydujący krok: zaproponował grupie kontrakt. Chciał ich wziąć na rok - jak zapowiedział - z możliwością przedłużenia umowy na dwa następne lata albo do czasu wydania sześciu płyt, zależnie od tego, co potrwa dłużej. Tytułem wynagrodzenia Doors mieli dostać dwa i pół tysiąca dolarów na początek, jako zaliczkę przyszłych honorariów, wynoszących pięć procent od zysków ze sprzedaży płyt.

Jac kładł w swej propozycji nacisk na dwie najbardziej charakterystyczne cechy firmy Elektra: małe rozmiary przedsiębiorstwa i panującą w nim bezpośredniość. Chciał, by uświadamiano sobie, że Elektra zajmuje się prostymi przedsięwzięciami, że rządzi ją jasne, zrozumiałe zasady. Powiedział, że artyści mogą w każdej chwili łatwo skontaktować się z każdym pracownikiem, a ponieważ jest ich tak niewielu (w porównaniu np. z Columbia), producenci mogą czuć bardziej bezpośrednio nad ich wszystkimi poczynaniami.

Brzmiało to zachęcająco. Kiedyś Doors chcieli być tylko tak znani, jak Love. Teraz pragnęli już osiągnąć znacznie więcej i być może mała firma była w stanie im to umożliwić. Poza tym, była to przecież jedyna oferta, jaką dostali. Po doświadczeniach

z Columbią odnosili się już nieufnie do kontraktów, ale zależało im na nagrywaniu. Odpowiedzieli, że chcą się zastanowić i Jac odleciał do Nowego Jorku.

Pierwszą osobą, której pokazali kontrakt, był Billy James, ich znajomy z Columbi. Orzekł on, że nie może ocenić tego bezstronnie, bo właśnie opuszcza Columbię, by otworzyć filię Elektry na Zachodnim Wybrzeżu. Jeżeli zdecydują się na współpracę z tą firmą, on pomoże im we wszystkim, w czym będzie mógł - obiecywał. Poradził im też, by znaleźli sobie jakiegoś adwokata, który by ich wspierał pomocną radą.

Gdy pochwalili się kontraktem przed Ronnie Haran, dziewczyna zaprowadziła ich do swojego adwokata, Ala Schlesingera, który zgodził się reprezentować ich interesy, z wyjątkiem przypadku konfliktu z Ronnie, bo wtedy musiałby wziąć jej stronę. To było krępujące, więc Robby porozumiał się z ojcem, który dotychczas zawsze służył im radą w sprawach interesów i teraz polecił im własnego adwokata, wytwornego, siwego prawnika z Beverly Hills, który nazywał się jak kolejna postać z pism Damona Runyona: Max Fink.

W czasie, gdy pan Max negocjował z Holzmanem, Jim przechodził właśnie niezwykle trudny okres. Miał za sobą dwa tygodnie intensywnego picia, które zaczęło się, gdy w Whiskey jako główny zespół zaczęła występować brytyjska grupa Them. Jej wokalista i zarazem autor tekstów nie tylko nosił takie samo nazwisko jak Jim, ale miał też wiele podobnych zwyczajów. Jim i Van byli przekonani o pokrewieństwie i upijali się z tej okazji.

Po tym nastąpił okres zażywania narkotyków w ilościach większych niż dotychczas. Ronnie prawie codziennie widziała, jak połykał LSD i przysięga, że raz wypalił sześć uncji marihuany - nie położył się spać przez pół nocy, lecz po kolei palił skręty grube jak palec. Małe mieszkanko było całe zaśmieczone nasionami i źdźbłami, co doprowadziło Ronnie do wściekłości. Jim zignorował to, mówiąc, że od kiedy Robby

i John zostali aresztowani, są przewrażliwieni na punkcie narkotyków i molestują go, by zmniejszył swoje dawki.

- No, tak, ale oni próbują osiągnąć medytację... - Nie dokończył zdania.

Jima medytacja nie pociągała, ale wybrał się na jeden z wykładów Maharishiego, by zająrzeć mu w oczy i przekonać się, czy ten człowiek jest szczęśliwy. Jim uznał, że rzeczywiście jest, po czym zadedykował mu piosenkę *Take It As It Comes*: „Idź naprawdę powoli / polubisz to coraz bardziej / chwytaj to takim, jakim jest / ucz się doznawać radości”. Ale samemu nie zamierzał poddawać się dyscyplinie, jakiej wymaga medytacja.

W tym okresie przed występem Doors klub Whiskey wypełniał się już oddanymi miłośnikami zespołu. Którejś nocy Jim nie pojawił się w porę na pierwszą część koncertu. Ray, Robby i John grali bez niego; wszystkie piosenki śpiewał Manzarek. W przerwie Robby wrócił do szatni, a John i Ray popędzili do Tropicany, mając nadzieję, że znajdą tam Jima.

W ciągu dziesięciominutowej jazdy Ray i John rozmawiali o Jimie i narkotykach. John był wyraźnie zgorszony, wpadał w gniew. Ray zachowywał spokój.

- Wygląda to tak, jak gdyby on brał tyle narkotyków, dlatego, że wy się tak ograniczacie - zauważył.

Co takiego? Ja nigdy nie brałem LSD częściej, niż raz na tydzień - odparł John. A on je zażywa co drugi dzień, jeśli nie częściej.

Zaparkowali samochód koło domu, w którym mieszkał Jim.

John przyznaje, że nigdy naprawdę nie rozumiał Morrisona. „On rzeczywiście próbował wyjść poza siebie, przekroczyć wszystkie granice, dojść najdalej, jak tylko można. Aby odkrywać! Nie mogłem tego zrozumieć; ja się wywoziliśmy z hinduskiej, jasnej strony metafizyki. A on był zawsze po stronie Nietzschego, jak by tego nie nazywać i dociekań egzystencjalnych”.

Ray westchnął idąc przez parking w stronę pokoju, który Jim wynajmował za osiem dolarów dziennie. Nucił: „Przebić się na drugą stronę...”

Podeszli do drzwi i zapukali. Nie było odpowiedzi, ale zdawało im się, że w środku coś się poruszyło.

- Jim? To my, Ray i John. Otwórz!

W końcu Jim otworzył. Stał i bezmyślnie gapił się na kolegów.

- Dziesięć miligramów - powiedział i zamilkł.

Ray roześmiał się. Nie uwierzył, że może to być możliwe. Normalna dawka LSD to trzydzieści pięć setnych do pół miligrama.

- Chodźmy, zobaczmy, co się dzieje. Przegapiłeś już pierwszy koncert. Chodź, pokażemy Tanziniemu, niech nas popamięta.

Jim wycofywał się w głąb swego pokoju kręcąc głową przecząco.

- Nie, stary, nie. Tutaj... - otworzył szufladę szafy.
- Tutaj, weźcie sobie.

Wyciągnął dwie garście małych, purpurowych fiolek z LSD i podał kolegom. Ray zauważył, że w szufladzie leżał też pakiet marihuany. Cały kilogram.

Drugi występ był jednym, wielkim szaleństwem, ale do czasu, gdy zespół miał grać przez ostatnie czterdzieści minut, Jim był już spokojny i rozważny.

- Tym razem wykonamy *The End* - powiedział, kiwając głową z skupieniem.

The End był najbardziej pamiętnym dziełem Doors, a w każdym razie miał się nim stać po tym występie. Stanowił ucieleśnienie koncepcji teatru rockowego w jeszcze większym stopniu niż *When the Music's Over*. Na początku był prostą piosenką o pożegnaniu, złożoną z dwu zwrotek. Ale ostatnio trwał już dwanaście minut, a prawie za każdym razem, gdy go wykonywali, Jim wstawiał doń lub usuwał

fragmenty poezji. Na tę noc przygotował nową niespodziankę.

Ubrany w czarne spodnie i bluzę typu T-shirt, z kręconymi włosami na ramionach i wokół nieogolonej twarzy jak z obrazów Botticellego, Jim czał się pośród światła i cieni na parkiecie Whiskey a Go Go. Przystanął, obserwując dziewczyny w szklanych klatkach. Na parkiecie był Vito i jego zwiariowane, tańczące arlekiны, znane z tego, że wynalazły najlepsze zespoły w mieście - Byrds w klubie Ciro's, później Love w Bido Lito's, a nawet były członkami Mothers' Auxiliary Franka Zappy. Vito razem ze swą świętą bywał w dni powszednie wpuszczany do Whiskey za darmo, bo wszędzie, gdzie tylko się zjawiał, nadciągały za nim płacący wielbiciele.

Jim zbliżył się do sceny ociężałym krokiem, z przykniętymi oczami i głową pochyloną nisko na ramię. Patrzył, jak John, Robby i Ray zajmują swe miejsca na scenie, po czym przyłączył się do nich i podszedł do skraju sceny, przystając przy organach Raya. Rozległo się kilka niezgranych, rozgrzewających publiczność dźwięków, a po nich cisza. Jim i muzycy stali w zupełnej ciemności.

Na parkiecie uciszyło się.

Jim uwiesił się na podstawie mikrofonu niczym kawał ciężkiej tkaniny, głowę odchylił do tyłu, przymknął oczy. Jedną ręką trzymał mikrofon, drugą przyłożył do ucha. Wreszcie wysunął jedną nogę do przodu, stawiając ją na trójnogu mikrofonu i rozpoczął cichą, smutną recytację:

Oto już koniec, moja piękna przyjaciółko
Oto już koniec, moja jedyna, już koniec
naszych wielkich planów, koniec
wszystkiego, co nas łączyło, koniec
i nie ma już bezpieczeństwa, nie ma niespodzianek

koniec
i już nigdy nie spojrzę ci w oczy.

Czy potrafisz wyobrazić sobie, co nastąpi,
Tak niezmierzone, wolne
I rozpaczliwa potrzeba
Podać rękę obcemu
W krainie rozpaczy.

Akompaniament muzyków był równie hipnotyczny, jak pełen żalu i groźby głos. Organy pulsowały rytmem serca, instrumenty perkusyjne Johna wybuchwały nagłymi kanonadami, brzmienie gitary Robbiego przypominało tony sitaru.

Zagubieni w rzymskiej pustyni bólu
i wszystkie oszalałe dzieci
czekają na letni deszcz - ooochhh!

Słowa płynęły powoli i wyraźnie. Jim zaznaczał nawet przerwy pomiędzy sylabami, jak w swoim ulubionym sposobie mówienia. Zdawało się, że dobiera słowa starannie jak chirurg skalpele. Było w tej przemowie i w muzyce jakieś ociąganie się, ostrzeżenie, wyczekiwanie i obawa.

Niebezpieczeństwo czai się na skraju miasta
Jedźmy Królewską Autostradą, dziewczyno
Tam straszne sceny w kopalni złota
Jedźmy autostradą na zachód, dziewczyno.

Wszyscy goście na parkiecie Whiskey stali nieruchomo, wstrzymując oddech, wpatrzeni w Jima, który nie drgnął od początku utworu. Nawet przy barze zapadła cisza. W całym klubie ucichły rozmowy; kelnerki zastygły, niby zahipnotyzowane przez postać na scenie.

Osiodłajmy węża
Pojedźmy na nim ku jeziorom
Pradawne jeziora
Wąż jest długi ... ma siedem mil
Osiodłajmy węża
On jest stary ... ma zimną skórę
Na zachodzie jest najlepiej
Na zachodzie jest najlepiej.
Przyjedź tu, a my się zajmujemy resztą.
Wzywa nas niebieski autobus
Wzywa nas niebieski autobus
Kierowco, dokąd nas zabierasz?

Jim zmrużył oczy, zerkając na publiczność i po chwili znów je zamknął. Przez cały czas złowieszcze dźwięki instrumentów tworzyły mroczne tło.

Jim otworzył oczy. Zdjął mikrofon z podstawy i patrzył na publiczność, stojąc ze złączonymi nogami. Recytował dwaście wersów dopełniających ostateczną wersję utworu i w czasie krótszym, niż zajmuje opis, czyniących z Morrisona mit współczesnej muzyki.

Zabójca obudził się przed świtem
Założył buty
Wziął sobie twarz z galerii staroci
I ruszył korytarzem.

Wszedł do pokoju swej siostry i ...
Potem odwiedził brata
A potem... ruszył korytarzem.

I podeszedł do drzwi
I zajrzał do środka

Tato?

Tak, synu?

Chcę cię zabić. Mamo! Chcę cię
ZERŻNAĆ!

Głos Jima wzmógł się aż do dzikiego krzyku, co brzmiało, jak gdyby połamany paznokciem rozdierano sztukę jedwabiu. Za jego plecami instrumenty rzeziły i skowytały. Żaden z chłopców nie słyszał tych słów nigdy przedtem, ale nie byli aż tak zaskoczeni, by przerwać swą improwizowaną wstawkę instrumentalną.

Kiedy Phil Tanzini usłyszał w śpiewie Jima coś o rżnięciu matki, krew napłynęła mu do głowy i poczuł kołatanie serca.

- Dość! - ryknął. - Ostatni raz tu gracie! Nigdy więcej!
Nigdy więcej Doors nie wejdą do Whiskey! Nawet płacąc za wstęp!

Jim śpiewał dalej z zamkniętymi oczami:

Chodź, dziewczyno, spróbuj szczęścia z nami
Chodź, dziewczyno, spróbuj szczęścia z nami
Spotkamy się z tyłu w niebieskim autobusie
Przyjdź, ooochhh!

W miejscu, gdzie dawniej utwór się kończył, muzyka przyspieszyła z sapiącym rytmem, a Jim pomrukiwał zmysłowo. Gdy melodia powróciła do nastrojowych pierwszych dźwięków utworu, zaśpiewał słowa będące dotąd drugą wersją tekstu:

To już koniec, moja piękna przyjaciółko
To już koniec, moja jedyna
To tak boli, zostawić cię samą, ale nigdy już
Nie pójdziesz ze mną
Koniec śmiechu i niewinnych kłamstw

To już koniec, moja piękna
Koniec, moja jedyna
To tak boli, zostawić cię samą, ale nigdy już
Nie pójdziesz ze mną
Koniec śmiechu i niewinnych kłamstw
Koniec tych nocy, kiedy próbowaliśmy umrzeć
To
jest
już
kooooonieeeeeec!

Powoli zaczynał się ruch na parkiecie, ludzie wracali do swoich stolików lub podchodzili do baru. Kelnerki przyjmowały zamówienia, rozległy się pierwsze rozmowy.

Gdy chłopcy weszli po schodach na górę do pokoju muzyków, Phil Tanzini czekał już na nich.

- Ty! - wrzasnął do Jima, który przywłókł się jako ostatni. Ty, sukinsynu, śmierdząca mordo, i wy wszyscy, jesteście wywaleni! Wszyscy! Won! Wynosić się! I nie śmiejcie przyłączyć mi tu więcej!

Chłopcy wiedzieli, że tym razem nie będzie odwołania.

- Zerznąć matkę, zabić ojca, zerznąć matkę, zabić ojca, zerznąć matkę, zabić ojca...

Słowa te, powtarzane monotonnie jak przy odmawianiu mantry, unosiły się w mgliście oświetlonym studio nagraniowym. Pełno było też innych dźwięków - strojenia instrumentów, sprzężeń i warkotów ustawianych mikrofonów, wskazówek udzielanych przez głośniki z kabiny reżyserskiej - ale wszyscy słuchali cichego, przygnębiającego zawodzenia Jima, który leżał na plecach tuż przy perkusji.

- Zerznąć matkę, zabić ojca, zerznąć matkę...

Inspiracją były *Narodziny tragedii* Nietzschego: „Edyp, morderca swego ojca, mąż swojej matki. Edyp, który rozwiązał

zagadkę Sfinksa". Jim mówił: „Można naprawdę wpełznąć we własny umysł przez ciągle, uparte powtarzanie słów.”

- Zerznąć matkę, zabić ojca, zerznąć matkę...

Nietzsche zwraca w swej książce uwagę na to, że Sofokles reprezentował romantyczne podejście do postaci Edypa. Nazywał go „Najbardziej cierpiącą postacią sceny greckiej (...) człowiekiem szlachetnym, przeznaczonym mimo swej mądrości do błędu i nędzy, jednak w końcu przez ogromne swe cierpienie wywierającym wokół siebie magiczną, błogosławioną moc, działającą jeszcze po jego zgonie”.

Jim był olśniony.

Zerznąć matkę, zabić ojca, zerznąć matkę...

Okay, jesteście chyba gotowi - dobiegł głos Paula Rothchil-
da z reżyserki. Gdy Jim nie zareagował, Paul powtórzył:

- Jim, jesteście już gotowi.

Paul był producentem przydzielonym grupie przez firmę Elektra - trzydziestoletnim blondynem, krępy i niskim, o jakieś osiem centymetrów niższym od Jima. Miał krótkie, kręcone włosy, ostrzyżone podczas niedawnego, ośmiomiesięcznego pobytu w więzieniu za przemyt marihuany. Był synem śpiewaczki operowej i wykształconego, angielskiego businessmana. Wychował się w liberalnym, zwariowanym środowisku Greenwich Village. Jac Holzman wysłał go w lipcu do Los Angeles, by posłuchał zespołu w Whiskey, a nagrywanie rozpoczęło tuż po Świącie Pracy.

Rothchild i Doors wybrali utwory najlepiej wypadające na koncertach, by stworzyć, jak to określał Paul, „dźwiękową dokumentację”. Na dwóch utworach grał sesyjny basista, na trzecim muzycy podawali rytm tupiąc nogami. W ogóle wszystko odbywało się tak, jak gdyby stare studio Sunset Sound było nocnym klubem. Pomimo zupełnego braku obycia ze studiami i techniką nagrywania członkowie zespołu radzili sobie dobrze i każdy z tych pierwszych utworów zarejestrowali w dwóch lub trzech podejściach. Wreszcie przyszła kolej na

utwór mający zająć przeszło połowę jednej ze stron albumu
- na dramat epicki o Edypie - *The End*.

- Zerznąć matkę, zabić ojca, zerznąć matkę...

Paul niecierpliwił się:

- Jim!

Jim był naćpany. Gdy wstał, zawroźnienie o Edypie nareszcie ucichło, a jego wzrok padł na mały telewizorek, który przyniósł ze sobą. Spojrzał na Johniego Carsona szepczącego coś po cichu. Chwycił nagle odbiornik i cisnął go w kierunku kabiny reżyserskiej. Paul i inżynier dźwięku odruchowo pochyłili głowy. Telewizorek odbił się od grubej szyby dźwiękoszczelnej i upadł na podłogę. Jim był zdumiony.

Paul wstrzymał sesję i zaproponował, by towarzysząca Jimowi dziewczyna odwiozła go do domu.

Nieeee - oponował Jim. - No, już, walmy dalej.

Paul potrząsnął głową i sam zaprowadził Jima do samochodu dziewczyny. Po chwili włączyli się do ruchu na Sunset Strip. Jim mrucał pod nosem:

- Zerżmatk...zabójc...zerżmatk...

Nagle odezwał się głośno i wyraźnie:

- Muszę wrócić do studio.

Po czym otworzył drzwiczki samochodu i wyskoczył na ulicę. Pobiegł z powrotem. Wspiął się na drewnianą bramę wysokości dwóch i pół metra, pokonał jakoś dwie pary drzwi dzielące go od studio. Ciężko dysząc zrzucił z siebie buty, dzinsy i koszulę.

- Zerż...matk...zabć...ojc...

Nagi, chwycił jedną z wielkich popielniczek i z rozmachem rzucił przed siebie. Następnie zdjął ze ściany gaśnicę i oblał chemiczną pianą kabinę reżyserską, ściany, instrumenty. Zniszczył jedną z gitar Robbiego i wynajęty klawikord.

Wreszcie opuścił gaśnicę na ziemię. Usłyszał głosy.

- Jim? Jim, jesteś tu?

Był to Paul Rothchild, zaalarmowany przez Billie Waters, dziewczynę, którą Jim zostawił w samochodzie na środku Sunset Strip. Obydwoje zaglądali przez bramę. Jim wybiegł do nich.

- Hej, stary, jak doooooobrze, że jesteś. Chodź tu, nagramy... nagramy parę kawałków.

- Poczekaj chwilkę, Jim - powiedział Paul. - Wiesz, chyba na razie stąd pójdziemy, chodź, wstąpimy gdzieś i zabawimy się. A tutaj nas przyłapią. Moglibyśmy wpaść w głupi sposób.

Jim dał się namówić do wyjścia, ale zapomniał o butach. Nazajutrz właściciel studio wezwał Paula. Pokazał mu buty znalezione w samym środku dzieła zniszczenia i spokojnie zapytał, czy ma odnaleźć ich właściciela. Paul odpowiedział, by rachunek wysłać na adres Elektry i kiedy muzycy zespołu weszli po południu do studio, wszystko było wysprzątane do czysta i o całym zdarzeniu nawet nie wspomniano.

- Okay - powiedział Paul. - Dzisiaj nagrywamy *The End*. Myślę, że uda się nam za pierwszym razem.

Utwór został nagrany w dwóch podejściach.

Później, gdy Ray, John i Robby pokpiwali z Jima, że podpalił studio (Paul w końcu powiedział im o wszystkim), ten zaprzeczał ze zdziwieniem.

- A popielniczka? - przypominali - A piana gaśnicza?

- Niemożliwe. Naprawdę?

Ray pojawił się na scenie jako pierwszy, wznecając lekki szmer wśród publiczności. Zaraz po nim weszli Robby i John, a na końcu Jim, idący ciężkim krokiem kloszarda.

Byli w nowym, eleganckim klubie tanecznym Ondine, położonym koło mostu Pięćdziesiątej Dziewiątej Alei Manhattanu. Był to jeden z typowych klubów wielkomiejskiej cyganerii z kabaretem w stylu brechtowskim, w którym odgrywano apokaliptyczne przedstawienia, równie przytłaczające jak wypełniający salę dym palonej mari-

huany. Dla Doors by! to pierwszy występ wyjazdowy. Nowy Jork!

Jim przymknął oczy. Głowę odrzucił butnie do tyłu, jedną nogę postawił na podstawie mikrofonu, obejmując metalowy stojak udami. Potrząsnął grzywą poskręcanych, ciemnych włosów. Za jego plecami Robby zagrał pierwsze dźwięki *Back Door Mana*. Rozległ się wrzask przypominający nocne nawiływanie pумы, po czym Jim zaśpiewał:

Och, jestem człowiekiem dwulicowym
Ludzie nic o tym nie wiedzą
Ale małe dziewczyny to rozumieją...

Natychmiast zrodziły się pogłoski, rozległy się na ulicach, rozeszły się jak szmugiel dobrej, taniej trawki z Meksyku. Następnej nocy w klubie były wszystkie groupies najlepszych zespołów.

- Musicie ich zobaczyć - szeptały między sobą. - Wokalista jest naprawdę niesamowity.

Przez kilka następnych tygodni Jim włóczył się po ulicach biedniejszych dzielnic Manhattanu. Popijał piwo na Bowery. Zaglądał do małych sklepików na Lower East Side. Myszkował wśród książek w antykwiariatach przy Czwartej Alei. Zespół miał też kilka spotkań z przedstawicielami Elektry - w celu podpisania umowy o rozprowadzaniu płyty przez Nipper Music, (jedną z kompanii handlowych Holzmana, nazwaną tak od imienia jego dziesięcioletniego syna), w celu wspólnego wybrania zdjęcia na okładkę albumu i w celu wyrażenia zgody - choć bardzo niechętnie - na takie zmiksowanie utworu *Break On Through*, by słowa: „he gets high / she gets high / she gets high” brzmiały jak: „she get / she get I she get”. *Break On Through* miał się znaleźć na pierwszym singlu zespołu i Jac Holzman obawiał się, że użycie słowa „high” zdyskwalifikuje piosenkę u prezenterów radiowych.

Ponieważ chłopcy mieli bardzo mało pieniędzy, większość popołudni spędzali w swych pokojach w hotelu Henry Hudson, oglądając telewizyjne reklamy i paląc trawkę. Czasami, w chwilach wielkiego znudzenia, Jim zwieszał się na rękach z parapetów okiennych.

Pod koniec listopada zespół powrócił do Los Angeles, a Jim zamieszkał razem z Pamelą Courson. Dotąd widywali się tylko od czasu do czasu, ale od niedawna dziewczyna miała małe mieszkanie w Laurel Canyon. Pamela od dawna nie mogła się pogodzić z brakiem odpowiedzialności u Jima, więc teraz spodziewała się najgorszego. Po pierwsze: przeprowadzić się, było dla Jima niemal równoznaczne ze spaniem u niej, bo prawie nic nie posiadał i nie było czego przynieść. Co więcej - i to przyprawiało Pam o frustrację - fakt, że Jim spał z nią od wtorku do piątku, wcale nie oznaczał, że tak samo będzie w sobotę i niedzielę, czy też w nocie w przyszłym tygodniu.

W istocie była to broń obosieczna. Gdy zespół był na koncertach w Nowym Jorku, Pamela dzwoniła tam trzy razy dziennie w nadziei, że zastanie Jima w pokoju, aż w końcu dała za wygraną i zaczęła spotykać się z młodym aktorem, Tomem Bakerem. Kiedy Jim wrócił (a Pam wróciła do niego), mężczyźni zostali przyjaciółmi. Okazało się, że łączą ich wspólne fascynacje: poezja i teatr, i że obaj pochodzą z wojskowych rodzin, które nie zaznały stałego miejsca pobytu.

Przez kilka następnych tygodni muzycy, nie mając nic do roboty, przesiadywali w małym biurze Elektry, pomagając w przygotowaniach do wydania płyty.

- Cześć, chłopaki - powitał ich stary znajomy, Billy James. - No jak, jesteście gotowi?

- Tak wygląda - odpowiedział Ray. - I wiesz, myśleliśmy o tym, że chyba nie zamieścimy życiorysów. Takie wiadomości, jak to, skąd pochodzimy i jakie są nasze ulubione kolory, zupełnie nie pasują do naszej muzyki.

- Tak, to oczywiście prawda - zgodził się Jimmy. - Ale i tak, prędzej czy później zapytają was, jakie macie plany. Więc może byłoby lepiej odwalić to raz na zawsze i mieć problem z głową.

Cała piątka przez prawie godzinę dyskutowała na temat reklamy. Wszyscy zgadzali się, że nakreślenie zachęcającego wizerunku jest bardzo ważne, ale wypowiedzi wszystkich innych zespołów - tych z Elektry także - wydawały im się beznadziejnie nudne.

Billy podszedł do okna i przez chwilę wpatrywał się w smog wiszący nad miastem, po czym nagle zaproponował:

- A gdyby tak napisać to teraz? Możecie powiedzieć, co tylko się wam podoba, i wyślemy to do Nowego Jorku.

Menadżer firmy, Sue Helms, wystenografował powstały w ten sposób tekst i przedstawił go muzykom do autoryzacji. Zajmował on trzydzieści stron i w ostatecznej wersji zawierał niektóre spośród najbardziej fantazyjnych powiedzonek Jima. Jego wypowiedzi wydane drukiem wywarły trwały wpływ na - często zawężony - sposób odbierania jego samego i całego zespołu.

„Na scenie Doors zdają się trwać w swoim własnym świecie. W ich utworach tkwi nuta pradawności; są one pełne przestrzeni. Przypominają muzykę karnawałową, ale gdy się kończą, zapada chwila ciszy. Słuchaczy przenika nieznanne uczucie.

Możecie uznać to za przypadek, ale idealnie nadaje się do tego, co robię; odczuwam to tak, jak gdybym przez dwadzieścia dwa lata napinał cięciwę i teraz nagle wypuścił strzałę. Po pierwsze jestem Amerykaninem; po drugie - Kalifornijczykiem; po trzecie - mieszkańcem Los Angeles. Zawsze bliskie mi były idee buntu przeciw władzy. Kto zawiera pakt z władzą, sam staje się jej urzędnikiem. Mnie

interesuje wszystko to, co wiąże się z przekraczaniem i łamaniem ustalonego porządku, z rebelią, dezorganizacją, chaosem, zwłaszcza zaś działania bez sensu i znaczenia".

Część notki reklamowej zawierająca fakty była bardziej konwencjonalna. Jim napisał w niej, że jego ulubionymi zespołami są Beach Boys, Kinks i Love, że fascynują go Frank Sinatra i Elvis Presley, a na żywo najlepiej wypadają Jack Palance i Sarah Miles. Podał też, że nie ma rodziny, że jego rodzice nie żyją.

- Jim! - strofował go Sue Helms. - Tak nie można. Co oni sobie pomyślą?

Jim obstawał przy swoim: gdyby ktokolwiek pytał, rodzice nie żyją. I takie sformułowanie znalazło się w biografii.

W pierwszym tygodniu stycznia 1967 roku ukazały się jednocześnie obie płyty: album zatytułowany *The Doors* i singel *Break On Through*. Reklama ze zdjęciami twarzy członków zespołu i stylizowanym napisem: „The Doors - przebić się z porażającym albumem” stała się najważniejszym plakatem rockowym na Sunset Strip. Grupa wystąpiła też po raz pierwszy w sali Fillmore Auditorium Billa Grahama w San Francisco, jako trzeci zespół, grający w pierwszej części koncertów the Young Rascals i the Sopwith Camel. Honorarium - trzysta pięćdziesiąt dolarów - było bardzo niskie, ale sala należała do najbardziej liczących się w skali kraju.

Do San Francisco przyjechali wcześniej tak, by zdążyć na środowe święto Human Be-In, wydarzenie o randze katartycznego, duchowego misterium, które jeszcze zanim dobiegło końca, już weszło na stałe do mitologii pop-kultury. Wielkie tłumy ludzi zebranych w parku Golden Gate wywarły na młodych muzykach trwałe wrażenie. W ciągu tego tygodnia rozpoczęła się w San Francisco era Haight-Ashbury. Muzycy, wszyscy bez wyjątku, czuli się jej częścią.

Występ w Fillmore Doors rozpoczęli od tytułowego utworu singla, *Break On Through*, a jako drugą zagrali piosenkę dedykowaną przez Jima Maharishiemu - *Take It As It Comes*; eksponując w ten sposób wskazania egzystencjalne, zawarte w obydwu tekstach. Zazwyczaj zespół grający jako pierwszy, wymieniony w programie na samym dole, wzbudza niewielkie zainteresowanie na tego typu koncertach. Tymczasem już przy trzecim utworze fani Young Rascals i the Sopwith Camel oraz stali bywalcy Fillmore zaczęli tłumnie pchać się w stronę sceny, aby lepiej widzieć i słyszeć. Zespół grał *Light My Fire*.

Wiesz, że to nie byłoby prawdą
Wiesz, że okłamałbym cię
Gdybym ci powiedział
Dziewczyno, wyżej się nie wzniesiemy

Był to właściwie utwór Robbiego, który skomponował melodię i z małą pomocą Jima napisał tekst. Ray dorobił do tego soczyste, otwierające solo organowe, które wkrótce zaczęto uważać za wizytówkę brzmienia zespołu. Co więcej, trwający siedem do ośmiu minut utwór pełen był interludiów instrumentalnych uświadamiających, że Doors to nie tylko Jim Morrison. Członkowie zespołu utrzymują, że nigdy nie zagrali *Light My Fire* dwa razy identycznie; zawsze wykorzystywali jego specyficzny nastrój do stworzenia efektu mgły dźwiękowej, w którą wplatali zawile, improwizowane wstawki jazzowe, wzmagając napięcie aż do oszałamiającej kulminacji.

Więc minął już czas wahań
Nie pora już tarzać się w błocie
Spróbujmy teraz - najwyżej przegramy
I nasza miłość stanie się stosem pogrzebowym

Chodź, dziewczyno, rozpal mój płomień
Chodź, dziewczyno, rozpal mój płomień
Spróbujmy podpalić noc
Spróbujmy podpalić noc

Publiczność Fillmore stała nieruchoma, zahipnotyzowana.

Podczas drugiego występu, gdy Doors wykonywali *The End*, Jim, próbując chwycić wyrzucony w górę mikrofon, upadł pomiędzy bębny i zranił się w plecy. Widownia potraktowała wrzask: „Maamooo! Chcę cię zeeerznąąąąć!” i upadek bluźniercy jako dziwaczny element choreograficzny. Naza-jutrz pod wieczór krążyły po mieście słowa: „Idźcie do Fillmore zobaczyć pierwszą część koncertu”.

Doors powrócili do San Francisco w trzy tygodnie później, by zagrać w Fillmore kolejną serię koncertów. Tym razem także na trzecim miejscu - poprzedzając występy Grateful Dead i Junior Wells Chicago Blues Band. Podobnie, jak w klubie Whiskey, chłopcy „zdmuchnęli headlinerów ze sceny”.

Przez następne dwa miesiące, do połowy marca, grupa pozostała w Kalifornii, i wciągała swą małą płytę na coraz wyższe miejsca w plebiscytach przez uparte dzwonicie do najpopularniejszej stacji radiowej i żądanie powtarzania utworów. W Los Angeles płyta doszła do jedenastego miejsca.

Doors korzystali ze sprzyjającej chwili. Wystąpili na gratisowym koncercie na rzecz KPFK-FM, programu radiowego utrzymywanego przez słuchaczy. Później zegrali w starym klubie Moulin Rouge, przemianowanym ostatnio na Hulabaloo. Pracowali też przez tydzień w klubie Gazzariego na Sunset Strip, gdzie przeprowadzono z nimi krótki, ale brzmiały zachęcająco wywiad dla dziennika „Los Angeles Times”. Jeszcze w tym samym tygodniu, pod koniec lutego, inny krytyk tej gazety, John Mendelsohn, nazwał Jima „dziwacznie zmanierowanym nudziarzem spod ciemnej gwiazdy”,

The End zaś określił jako „próbę, jak nudny potrafi być ów Morrison, kiedy recytuje prostackie i prymitywne, silące się na psychodeliczność złądy-niewidy”. (W niecały rok później gdy Jim spotkał Mendelsohna w windzie, skorzystał z tego, że krytyk nie miał odwrotu, uśmiechnął się i wyrecytował:

- Prostackie i prymitywne, silące się na psychodeliczność złądy-niewidy, czyż nie tak?)

Później Doors znowu pojechali do San Francisco, by po raz pierwszy zagrać w Avalon Ballroom, sali bardziej „funky i hippie” z dwóch wielkich sal muzycznych tego miasta. Tym razem sami występowali jako główny zespół, po the Sparrow i Country Joe and the Fish.

W tym czasie Jim i Pamela mieli już nowe mieszkanie w Laurel Canyon, przy Rothdell Trail. W pokoju było tylko kilka najpotrzebniejszych mebli, a w tle ani na chwilę nie ustawał warkot i szum wielkiego ruchu na bulwarze Laurel Canyon. Jim często siadywał na balkonie i popijając piwo spoglądał na ludzi wchodzących i wychodzących z Country Store, małego sklepiku warzywnego oddalonego o pięćdziesiąt metrów. W mieszkaniu przerobionym z garażu tuż obok mieszkał miły sąsiad, dawniej dysk-dżokej, a obecnie „dostawca”. Pamela chodziła do niego po heroinę, narkotyk rzadko używany, jedyny, z jakim skrywała się przed Jimem.

- Tylko proszę cię, nie mów Jimowi - błagała. - Nigdy, ale to nigdy nie wygadaj mnie przed Jimem. On by mnie po prostu zabił.

Pam bywała w klubie Gazzariego każdej nocy, gdy występowali tam Doors. Pozostałe wieczory spędzała z Jimem na Sunset Strip, siedząc przy nim, gdy upijał się, a następnie wpadał na scenę w jakimkolwiek pobliskim klubie, przyłączał się do grającego tam zespołu i śpiewał tak długo, jak długo tolerowano jego ingerencję. Później wracali do domu. Byli zmęczeni, naćpani i pijani, a bywało to bardzo późno, zwykle około drugiej w nocy. Do domu mieli dwadzieścia minut drogi pod górę.

- Jim, proszę cię, pojedźmy dziś stopem.

Jim zawsze odmawiał i noc w noc szli na piechotę. Pam uwieszała mu się na ramieniu, tuliła się do niego, zataczała się i zapadała w drzemkę. Po chwili otrząsała się i rozbudzała.

- Proszę cię, Jim, pojedźmy stopem.

- Chodź, kochanie, jeszcze tylko kawałek. Spójrz, to tylko kilka kroków...

Ich dom na Rothdell Trail stał się tematem napisanej przez Jima piosenki - *Love Street*. Tak, jak we wszystkich utworach opowiadających o Pameli lub jej dedykowanych, zawarł w nim nutę wahania, niepewności co do ostatecznego zaangażowania, i gryzącą aluzję na zakończenie:

Ona mieszka przy Ulicy Miłości
Mieszka już od dawna przy Ulicy Miłości
Ona ma dom z ogrodem
Chciałbym wiedzieć, co się tam dzieje

Ma tam różne szmatki i małpki
leniwych lokai z diamencikami
Ona nie jest głupia i wie, co ma robić
Ona ma ciebie i ma mnie

Widzę, że mieszkasz przy Ulicy Miłości
Jest tam sklepik, gdzie widują się wszystkie stworzonka
Ciekawe, co one mogą tam robić
w letnie niedziele i przez cały rok
Myślę, że lubię to... na razie.

Ale Jim ciągle sypiał tam, dokąd trafił, wracając po pijanemu. Obijał się po Sunset Strip, śpiewając z napotkanymi kapelami, o których nikt już nie pamięta, upijał się do nieprzytomności z jednodniowymi „przyjaciółmi”. Pewnej nocy biegał, pijany, po całym cmentarzu hollywoodzkim,

szukając grobu Rudolfa Valentino. Innym razem odgrywał matadora przed pędzącymi samochodami. To znów spopielił część swoich notatników i wierszy w kuchni u którejś z przyjaciółek.

- Tandy Martin! No, niech mnie diabli!

Jim był zdumiony, widząc swą sympatię z lat szkolnych w Nowym Jorku. Było to w połowie marca, gdy Doors przyjechali na kolejny tydzień koncertów w Ondine. Tandy oznajmiła Jimowi, że wyszła za malarza, wydawcę „East Village Other”, popularnego, poetyckiego pisemka undergroundu. Jim zaprosił ją do Jaca Holzmana na obiad i przedstawiając ją, wyraźnie podkreślał, że to jego dawna przyjaciółka, a nie kolejna poderwana dziewczyna.

- Robby, to jest Tandy Martin; chodziłem z nią do szkoły...

Jac, to Tandy, moja przyjaciółka z liceum.

Po obiedzie Jim się upił.

- Czy zawsze tyle pijesz, Jim?

- Nie zawsze tyle. Czasami piję dużo więcej - roześmiał się.

Tandy patrzyła na niego nieobecny spojrzeniem.

- Tak, piję - odezwał się w końcu - ale dobrze mi z tym. Teraz wszystko mogę rozróżnić, wszystko ocenić, więc nie ruszam się z jednego miejsca. Każdy łyk to kolejna szansa. Kolejna piękna szansa na szczęście.

Jim był wyjątkowo rozmowny, słowa płynęły z niego strumieniem, a zdania poetyckie przeplatały się z bezsensownym bełkotem. Siedzieli przy oknie w wielkim salonie Jaca. Jim wpatrywał się w pogrążone w ciemności nocy uboższe dzielnice Manhattanu, unikając patrzenia na Tandy, kiedy mówił.

- Mówi się, że teraz razem piszemy piosenki na drugą płytę. Tak naprawdę mamy ich już dosyć, a teraz, och, teraz ja próbuję napisać jeszcze więcej.

- Czy masz jeszcze te notatniki, które dawałeś mi do czytania?

Jim spojrział na Tandy, zakłopotany tym, co musiał powiedzieć.

- Niektóre mam. Ale wielu nie mogę znaleźć, a część z nich głupio spaliłem w Los Angeles, kiedy byłem naćpany. Myślisz, że po pięciotlenku sodowym pamiętałem, co w nich było?

Tandy siedziała w milczeniu, z rękami złożonymi na spódnicy, patrząc na Jima uważnie i smutno. Oboje zupełnie nie zwracali uwagi na inne osoby w pokoju.

Jim zaczął szperać w kieszeniach, wyciągając pomięte chusteczki, kartoniki po odrywanych zapalniczkach i czekoladki.

- Ktoś dał mi nazwisko lekarza, psychoanalityka - powiedział w końcu, wyciągając pognieciony świstek, oddarty z koperty.

- Kobieta-psychoanalityk - dodał, po czym przeszedł na swój dawny slang:

- No, co o tym myślisz?

- Myślę, że to mogłoby pomóc. Może nie, ale co masz do stracenia? To nie boli.

Jim nie odzywał się przez chwilę, a potem nagle uciął:

- Och, nie potrzebuję tego. Nie mam problemów z piciem.

Później zaprosił Tandy, by posłuchała ich koncertu w Ondine.

- Hej, Jim - Ray wołał go przez cały pokój. - Czas iść, jesteś gotów?

Kiedy Tandy przybyła do klubu, okazało się, że Jim zapomniał dopisać ją do wiszącej na drzwiach listy osób zaproszonych, więc nie chciano jej wpuścić. Kiedy winowajca nadszedł, Tandy była już zdenerwowana.

- Jim, niech cię diabli wezmą! Przez ciebie ten typ potraktował mnie jak dziwkę! Teraz mu powiedz, że to twoja wina. Powiedz mu; on mnie po prostu ośmieszył.

Jim mruknął do faceta przy drzwiach:

- Taaak, ja miałem... miałem ją zapisać.

Po czym odwrócił się do Tandy:

- Już dobrze? - zapytał słodkim tonem.

W chwilę później poprosił ją, aby poszła do garderoby zespołu i poczekała tam na niego, a sam udał się do baru, gdzie dziesiątki rozpalonych, nowojorskich małolatów prześcigały się w stawianiu mu drinków.

Do uznania zespołu przez krytykę muzyczną przyczynił się w głównej mierze dwudziestopięcioletni Richard Goldstein, jeden z najbardziej liczących się krytyków rockowych w kraju. Goldstein nie był na ich pierwszym koncercie w Ondine, ale widział ich u Gazzariego, będąc przejazdem w Los Angeles. Teraz zaś był już w pełni ich zwolennikiem, określając dla „The Village Voice” ich powrót do Ondine jako „oszałamiający sukces”. Płytę nazwał „niepowstrzymanym ciosem, pełnym mocy i zdecydowania”. Spierał się z innymi krytykami na temat *The End*, pisząc, że „każdy, kto zabiera głos w kwestii koncepcji literatury rockowej, powinien naprawdę sumiennie i uważnie wsłuchać się w ten utwór”. Był to, jego zdaniem, „Joyce'owski pop”. Jima zaś nazwał „włóczęgą ulicznym, który znalazł się w niebie i wcielił się w chłopca z Chórów Anielskich”.

- Chłopaki, musicie rzucić okiem na listy - zagadnął kolegów John w tydzień później, gdy byli już w Los Angeles.

- Dave Diamond zaprosił mnie i Robbiego do siebie i pokazał mi stos listów tej wysokości.

- Wszyscy chcą słuchać *Light My Fire* - dodał Robby.

- Dave mówi, że będziemy frajerami, jeżeli nie wydamy tego osobno na następnym singlu.

„Diamond Mine” Davida Diamonda była jedną z najlepszych audycji rockowych w Los Angeles, a *Light My Fire* grano również w wielu innych programach. Ale jak nagrać taki

utwór na singlu? Na dużej płycie trwał on prawie siedem minut, a na jednej stronie singla mieści się przeciętnie dwa razy mniej muzyki.

Ktoś podsunął Jimowi pomysł, by nagrać *Light My Fire* na dwie strony małej płyty, według dawnej tradycji piosenek dzielonych na część pierwszą i drugą. Inni przestrzegali przed kompromisem, radzili raczej pozostawić utwór nie wydany. Czyż Dylan nie miał wielkiego przeboju ze swego sześciominutowego *Like a Rolling Stone* ? A jednak Jac Holzman obstawał przy zarejestrowaniu skróconej wersji, nalegając, by zespół zjawił się w studio i nagrał to jeszcze raz. Chłopcy spróbowali tak zrobić, ale w końcu zwrócili się do swego producenta, Paula Rothchilda, aby wyciął partię instrumentalną z pierwotnej wersji.

W kilka dni później Doors występowali na Sunset Strip w *Ciro's*, który był niegdyś ekskluzywnym klubem gwiazd filmowych, ostatnio zaś gniazdem, z którego wyszli *the Byrds*. Jim przygotowywał się do tego występu bardzo starannie. Na scenie wykonał taniec szamana, wirując dokoła, wyskakując w górę, wywijając mikrofonem. Podnosił podstawę mikrofonu i padał razem z nią na deski, by po chwili poderwać się na nogi, ustawić ją na nowo, po czym znowu upaść i powtórzyć wszystko kilka razy. Wysoka Murzynka z ostrzyżoną głową wskoczyła na scenę i przyłączyła się do jego tańca. David Thompson, dawny kumpel Jima ze szkoły filmowej, obsługujący światła w *Ciro's*, był tak zafascynowany, że zapomniał o swej konsolce i stał, wychylając się nad tablicy przełączników, wpatrzony w tańczące postacie. Z tłumu publiczności wyskoczył, niby wypchnięty olbrzymią sprężyną, młodzieniec, który znalazłszy się na scenie objął Jima i podał mu swój kieliszek. Jim wychylił go. Gdy muzyka ucichła, rozekscytowany Jim rozmawiał ze wszystkimi. *Doors* wypadli na scenie znakomicie i doprowadzili publiczność do euforii.

W tydzień później powtórzyli ten sukces, grając dla dziesięciu tysięcy ludzi - najliczniejszej publiczności, jaką mieli dotąd w swej karierze. Było to na stadionie szkolnym w San Fernando Bay, gdzie występowali w pierwszej części koncertu zespołu Jefferson Airplane z San Francisco. Okazało się, że ludzie przyszli na Doors. Po ich występie jedna trzecia publiczności opuściła stadion.

Do tego czasu prawie wszystkie interesy zespołu prowadzone były przez Elektrykę i przez ojca Robbiego albo przez samych muzyków. Jednak, gdy *Light My Fire* wszedł na ogólnokrajową listę bestsellerów, wszyscy doszli do wniosku, że chłopcom potrzebni są zawodowi menadżerowie.

Do tego kroku skłoniły ich nie tylko spodziewane sukcesy. Jak wspomina Robby „zawsze były jakieś kaprysy Jima i kłopoty z nim. Wtedy musieliśmy naprawdę bardzo się starać o zorganizowanie każdego koncertu, a potem wynikał problem, jak ściągnąć Jima na czas. Więc pomyśleliśmy w końcu: dlaczego my to mamy robić? Potrzebny jest nam menadżer do opieki nad Jimem”.

Menadżer był też oczywiście potrzebny do wielu zwykłych obowiązków: trzeba było umawiać się z agencjami koncertowymi, wynajmować agentów od reklamy, dbać o potrzeby muzyków i o ich interesy, chronić ich przed napastliwością promotorów, właścicieli klubów, prasy i publiczności, wreszcie - jak mówił Ray - „odbierać te przekłete telefony”.

Po kilkutygodniowych poszukiwaniach i przedyskutowaniu kilku złożonych ofert, Doors doszli do porozumienia z Asherem Dannem, odnoszącym sukcesy pośrednikiem w obrocie nieruchomościami, który miał kontakty handlowe ze środowiskiem show-businessu. Ostatnio zapragnął znaleźć się bliżej blasku sławy. Oraz z jego nowym partnerem, Salem Bonafede, który promował już obiecującą grupę ze wschodniego wybrzeża, Dion and the Belmonts, a ostatnio wylansował piewcę amerykańskich szos, Lainie Kazana.

Podobnie jak Jim, Asher był człowiekiem pełnym wdzięku i nieśmiałym, przystojnym urodą kalifornijskiego tenisisty. Ponieważ sam tego popijał, mianowano go głównym opiekunem Jima. Sal natomiast był zorganizowany, mówił szybko i w żaden sposób nie pociągał Jima, który uważał, że wygląda on prawie jak mafioso: brakuje mu jedynie wąsika.

Sal i Ash, zatrzymujący dla siebie piętnaście procent zysków Doors plus pokrycie kosztów własnych, co w owym czasie stanowiło typowe warunki, wkrótce znaleźli dla zespołu agencję organizującą koncerty i firmę reklamową. Todd Schiffman był solidnym, dwudziestopięcioletnim agentem, noszącym marynarki w kratę i szerokie krawaty. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było podniesienie cen biletów na koncerty Doors. W tym czasie muzycy dostawali od siedmiuset pięćdziesięciu do tysiąca dolarów za występ w Los Angeles. W Nowym Jorku, gdzie grali przez trzy tygodnie, zarabiali siedemset pięćdziesiąt na tydzień za trzy koncerty każdego wieczora. Todd uważał, że są to stawki o wiele za niskie, więc skontaktował się z początkującym menadżerem z Denver, który chciał zorganizować dwa koncerty Jefferson Airplane we wrześniu. Zanim doszło do podpisania umowy, Todd swą szybką przemową i zręcznymi blefami osiągnął to, że zamiast Airplane wystąpić mieli Doors, i to za siedem tysięcy dolarów. Gdy nadszedł wrzesień, okazało się, że do tego czasu zespół wart był jeszcze więcej, ale w kwietniu, przed wydaniem *Light My Fire*, umowa ta ustalała wysokość honorarium, którego menadżer mógł się odtąd trzymać z wielką korzyścią dla grupy.

Zrobiono jeden wyjątek. Siódmego maja Doors wystąpili w Valley Music Theatre na przedmieściach Los Angeles za siedemset pięćdziesiąt dolarów, traktując to jako podziękowanie dla Dave'a Diamonda, który zorganizował ten koncert, wkładając weń samemu ponad dziesięć tysięcy dolarów. Zasługą jego było wzbudzenie rozgłosu wokół zespołu przez promocję radiową.

Mike Gershman, szczupły nowojorczyk, który przeniósł się właśnie na Beverly Hills, by założyć rockową filię przedsiębiorstwa reklamowego Rogers, Cowan and Brenner, będącego tym dla reklamy w Hollywood, czym General Motors na rynku samochodowym, zapoznawał się z miejscową sceną, prosząc w sklepie o „dwanaście płyt zespołów o najdziwniej brzmiących nazwach”. To, co znalazł na jednej z nich, wystarczyło, by zaraz potem bombardował „Time” i „Newsweeka” gorączkowymi doniesieniami o the Doors.

W ten sposób obsługa grupy została skompletowana. Mieli swojego prawnika, pięćdziesięcioletniego specjalistę od prawa karnego, którego hobby było jednak prawo cywilne i praca przy show-businessie. Mieli menadżerów, których pociągała nie tyle muzyka, co nadzieja na uczynienie gwiazdy z Jima. Mieli wreszcie młodego agenta od reklamy i krytyka, obydwu otwierających nowe filie dużych firm i z tego powodu chcących dowieść swej wartości. Dobór był raczej przypadkowy, ale udany.

Lato roku 1967. Czerwiec minął pomyślnie. Już trzeciego wydana na singlu wersja *Light My Fire* weszła na ogólnokrajowe listy bestsellerów. Zaraz potem Doors udali się do San Francisco, by w Fillmore po raz pierwszy wystąpić na koncercie jako główny zespół. Przed nimi miał zagrać Jim Kweskin Jug Band. Jedenastego polecili do Nowego Jorku, gdzie oczekiwał ich nowy szef reklamy Elektry, Danny Fields. Następnie zostali podwiezieni wynajętym samochodem do Village Theatre na Lower East Side, gdzie obchodzono uroczystość pierwszej rocznicy działalności stacji radiowej WOR-FM. Kiedy się tam pojawili, było już po występach innych grup; kapela miejscowych jazzmanów, pozujących na rock and rollovców kończyła właśnie hałaśliwą wiązanke utworów. Konferansjer, jeden z dysk-dżokejów radia WOR-FM, zrobił kilka aluzji o rozjaśnieniu światła i zapowie-

dział the Doors. Podniesiono kurtynę i na scenę wyszedł Jim Morrison, wsparty rękami pod boki. Wsłuchiwał się w długo nie milknący aplauz widowni.

Nazajutrz Doors rozpoczęli ostatnią w swej karierze serię występów w nocnym klubie. Przez trzy tygodnie mieli grać w modnej, nowojorskiej sali tanecznej zwanej the Scene. Podobnie, jak Ondine, the Scene była mekką wyznawców pop, siedliskiem nocnych hulaków z bogatych przedmieść, ubranych w pogniecione, aksamitne ciuchy prosto z Carnaby Street. Bywała tam również młodzież z East i West Village - naćpana, opętana muzyką, w dziwacznych strojach niczym z garderoby teatralnej, ozdobionych piórami, frędzlami i pacyfami.

Właśnie w tych dniach wielu nowojorczyków pojechało do Kalifornii na wielki Monterey Pop Festival. Organizatorzy tej imprezy z początku zapomnieli o istnieniu Doors, a potem zdaniem dyrektora festiwalu, Johna Simona, było już za późno, by włączyć ich do programu. Chłopcy byli tym zmartwieni, zwłaszcza, że the Scene została zamknięta na te trzy dni, przez co musieli grywać w innych, małych klubikach na Long Island i w Filadelfii.

Jim był w ponurym nastroju i pił niepohamowanie. Chodził na długie, samotne spacerunki, trwające zazwyczaj od wstania z łóżka wczesnym popołudniem aż do czasu, kiedy musiał iść do klubu. W któryś poniedziałkowy wieczór wybrał się z Danym Fieldsem i Paulem Rothchildem do klubu Max's Kansas City na East Side i przez całą noc nie odzywał się do nikogo. W czasie koncertu na Long Island, w dniach trwania festiwalu w Monterey, zaskoczył kolegów próbą rozebrania się na scenie.

Pomimo tego wszystkiego koncerty były dobre, a nastrój Jima poprawił się, kiedy Richard Goldstein znowu poświęcił grupie większą część swej kolumny w „Village Voice”, nazywając Jima „szamanem seksualnym”, i pisząc, że Doors zaczynają się w miejscu, w którym kończą się Stonesi. Lillian

Roxon, inny liczący się krytyk rockowy, napisał: „Doors - to rozkosz wprost nie do zniesienia”.

Wreszcie do Nowego Jorku przyjechała Pamela, aby być razem z Jimem. Teraz włączył się po mieście razem z nią. Odwiedzali starą znajomą z Los Angeles, Trinę Robbins, prowadzącą sklepik, w którym Pam kupiła sobie wiele par szerokich spódnic sztruksowych. Któregoś dnia, gdy byli już w hotelu, zadzwonił Tom Baker. Pam powiedziała, że Jim przyjmuje wieczorem kilka osób, więc może i on mógłby wpaść. Tom obiecał, że przyjdzie i przyprowadzi ze sobą kolegów, z którymi zamierza zrobić film: Andiego Warhola Paula Morrissey.

Na przyjęciu po koncercie Tom przysiadł się do Jima.

- No, jak wam idzie? - zapytał.
- Pięknie, pięknie.

Ray przyłączył się do nich:

- Naprawdę. Beatlesi kupili dziesięć egzemplarzy naszej płyty.

Jim dodał:

- Tak, musimy być dobrzy, bo Pam rozgląda się za domem.

W następnym tygodniu Doors wystąpili jeszcze dwukrotnie: poprzedzając koncert Simona i Garfunkela w nowojorskiej dzielnicy Forest Hills oraz jako główny zespół w audytorium szkoły w Greenwich, w stanie Connecticut. W Forest Hills natrafili na publiczność Simona i Garfunkela, która okazała się zupełnie obojętna na ekstrawagancje Jima, a nawet niezbyt zainteresowana muzyką rockową.

- No, i jak poszło? - zapytał Jima Danny Fields, gdy ten pojawił się w biurze Elektry w następnym poniedziałek.

- Wyśmiali mnie.

Danny zaniemówił.

- Żartujesz!

- Podniesiono kurtynę i ja stałem, a oni ryczeli ze śmiechu. Te pierdolce mnie nie znosiły i ja ich nienawidziłem. Chciałem ich pozabijać. Chyba nigdy nikogo tak nie nienawidziłem; przez cały koncert nie mogłem się pozbierać, tak mi działali na nerwy.

Jednocześnie *Light My Fire* stale piął się do góry na liście bestsellerów, słuchany w całej Ameryce, od zachodu po wschód. W trzecim tygodniu czerwca wszedł do magicznej „Top 10” i pozostał w niej przez co najmniej miesiąc, wspinając się miejsce po miejscu. Wreszcie dwudziestego piątego lipca Sal i Ash dostali wiadomość telefoniczną z Elektry-

- Proszę, powiedzcie chłopcom - rozległ się głos w słuchawce - że w najbliższym wydaniu „Billboardu” są numer jeden!

Zdobyli pierwsze miejsce! Prawdziwa wielkość była o krok.

ROZDZIAŁ

5

Na uroczystość z okazji tego sukcesu Jim kupił sobie nowe ubranie. Piękny strój z czarnej skóry, leżący na nim tak obcisłe, że kiedy stanął przed wielkim lustrem, wydawał się nagim chłopcem skąpanym w indyjskim atramencie.

Stał przed lustrem przez dłuższą chwilę, przybierając różne pozy, zdejmując i wkładając skórzaną kurtkę. W końcu odłożył ją i po kolei napinał mięśnie sprężystego, silnego ciała, napinając kolejno mięśnie brzucha i karku. Z kaskadą ciemnych włosów i wciągniętymi policzkami wyglądał jak Dawid, który znalazł się w Hollywood, jak smukła dłoń w czarnej rękawiczce.

- Gdy w czerwcu tego roku ujrzałem Jima w otoczeniu wielbicielek, za sceną w Fillmore - wspomina Danny Fields - postanowiłem, że skoro mam być odpowiedzialny za image tego człowieka, skoro to jest moim jedynym zadaniem, to przynajmniej poprawię jego gust co do kobiet.

W lipcu Danny przedstawił Jima telefonicznie Glorii Stavers, wydawczyni czasopisma „16”. Później, kiedy dowie-

dział się, że część osób z otoczenia Andy Warhola przebywa w Castle, zazwyczaj pustym domu aktora Philipa Law, odkrył, że Jim poznał jedną z dziewczyn Warhola.

Nico była kobietą bez określonego wieku, pełną czaru, nawet charyzmatyczną. W Niemczech, skąd pochodziła, pracowała jako modelka, w 1958 roku pojawiła się w filmie *La Dolce Vita* Felliniego, przez pewien czas romansowała z francuskim aktorem Alainem Delonem, przyjaźniła się z Bobem Dylanem i Brianem Jonesem. Stała się też jedną z gwiazd filmu Warhola *Chelsea Girls*. Ostatnio śpiewała w zespole Exploding Plastic Inevitable, dziwnym wkładzie Warhola w muzykę rockową. Nico była tego samego wzrostu, co Jim i zawsze potrafiła go okpić, jak ekscentrycznie by się nie zachowywał. Poza tym lubiła pić - dla Jima była wprost porywająca.

Wyglądało to wszystko jak film Ingmara Bergmana, jak sztuka napisana przez Brechta, a wystawiona przez Ionesco. Jim pił właśnie wino, kiedy zauważył, że Danny ma ćwierć uncji haszyszu, które natychmiast mu zabrał i wypalił. Potem przypomniał sobie, że przedtem brał już trochę LSD, więc na wszelki wypadek załał wszystko wódką.

Danny zagadywał go:

- Musisz uświadomić sobie, jak jest „16”. To klucz do wszystkich poniżej dwunastu lat.

Jim spojrzał nań nie rozumiejącym wzrokiem.

- Czy masz przy sobie Tuinal?
- Więc ważne jest, żeby stworzyć odpowiedni wizerunek.
- Czy jesteś pewien, że nie mamy już haszyszu?

Jim i Nico usiedli przy framugach drzwi, by pogapić się na podłogę między sobą.

Późno w nocy z dziedzińca willi dobiegły głośne wrzaski. Jim targał Nico za włosy. W końcu udało jej się wyswobodzić i w kilka minut potem Jim spacerował nago, oświetlony jasnym światłem księżyca, po wąskich parapetach willi.

Nazajutrz rano natomiast pływał w ogrodowym basenie, przemierzając go od brzegu do brzegu niezliczoną ilość razy z zawziętością, niby konkurując z samym sobą.

- Jiiiiim zwarrriował - mówiła Nico swym głębokim, wagnerowskim głosem. - Zupełnie oszaalał.

Zdradzała, że jest w nim zakochana.

Następnego dnia Jim wrócił do Pameli. Nico, jak wiele innych kobiet, miała pojawić się jeszcze, po latach, w jego życiu, ale tylko Pamelę nazywał swą „kosmiczną przyjaciółką”. Różne Nico - dziesiątki kobiet - były dlań aperitifami, winem i likworem, ale Pam była życiodajną wodą.

Pod wieloma względami była doń podobna. Jasna, powabnej prezencji i drobnej kompleksji. Lubiła zacisze domowe i unikała ostrego słońca. Wołała zawsze bezimiennność zmierzchu. Obiecująca eksperymentatorka narkotyków, w odróżnieniu od Jima przedkładała środki uspokajające nad psychodeliczne, a od czasu do czasu nie odmawiała sobie heroiny. Bez wahania gotowa była umówić się na randkę, czy spędzić z kimś jedną noc. Tradycyjną moralność uważała za przeżytek. Życie w latach sześćdziesiątych było bardziej poddane wpływom egzystencjalizmu, bardziej hedonistyczne, a mniej surowe obyczajowo.

Pod pewnymi względami Pamela przypominała też matkę Jima. Jim mówił przyjaciółom, że Pam „buduje gniazdko”, że dobrze gotuje. Ale potrafiła też zrzędzić, izolowała się od kolegów Jima z zespołu i powtarzała mu nieustannie, że nie podoba jej się kariera, jaką wybrał, że powinien raczej poświęcić się poezji. Wyrzucała mu też, że za dużo pił. Czasami gniewało to Jima i wtedy swą wściekłość kierował na nią. Zdarzyło się tak na przykład wtedy, gdy wybierali się razem do Cheetah w Los Angeles, na pierwszy od dłuższego czasu koncert Doors na własnym terenie.

Jim, ubrany w swoje skóry, stał przed lustrem w łazience i układał świeżo umyte włosy. Wciągał policzki i napinał kark, wyginał biodra i uda, przyjmując androgyniczne pozy.

- To będzie dobry koncert - krzyknął z łazienki do Pameli, która ubierała się w sypialni obok. - Czuję to. Cheetah jest w Venice, wiesz?

- Och, Jim - Znów wkładasz te same, skórzane spodnie? Nigdy nie zmieniasz ubrań. W końcu zaczynasz śmierdzieć, wiesz o tym?

Jim nie odpowiedział. Na dole zatrąbił samochód, który przybył, by zabrać ich na plażę Los Angeles, niemal w to samo miejsce, gdzie dwa lata wcześniej Jim spotkał Raya i zaśpiewał mu *Moonlight Drive*. Zbiegli ze schodów i kiedy Pamela chciała wsiąść do samochodu, Jim zastawił jej drogę.

- Jim. O co znów...

- Zmieniłem zdanie. Wiesz, nie pojedziesz dzisiaj. Przed chwilą bardzo starałaś się mi dokuczyć.

Jim wsiadł do samochodu i kazał kierowcy ruszyć, zostawiając Pamelę na chodniku.

Light My Fire pozostało na pierwszym miejscu listy bestsellerów singlowych przez prawie cały sierpień, więc Doors przystąpili do nagrywania swej drugiej płyty długogrającej, *Strange Days*, z wielkimi nadziejami. Minął już rok od czasu nagrania pierwszego albumu i w unowocześnionym pierwszym studio Sunset Sound można już było rejestrować dźwięk na ośmiu, a nie na czterech ścieżkach. Zespół w pełni wykorzystał te nowe możliwości, rozwijając aranżacje swych utworów.

Do wiersza *Horse Latitudes* ze szkolnych lat Jima Paul i inżynier dźwięku Bruce Botnick dorobili tło z *musique concrete*. Na jednej ścieżce Bruce nagrał jasny, wysoki dźwięk magnetofonu szpulowego, obracanego ręką ze zmienną prędkością i uzyskał coś w rodzaju szumu wiatru. Jim, John, Robby i Ray grali też na swych instrumentach w niekonwencjonalny sposób - szarpali na przykład struny fortepianu, a dźwięki organów zostały elektronicznie zniekształcone, co

dało rozmaite ciekawe efekty. Wrzucili nawet butelkę coli do metalowego kosza na śmiecie, rozbijali skorupy orzechów kokosowych o drewnianą podłogę, a obecni w studio koledzy jęczyli i zawodzili do utraty tchu. Na tym tle, czy też ponad nim, Jim wykrzykiwał słowa wiersza:

Gdy ścicha morze zastyga w pancierz...

W utworze tytułowym, *Strange Days*, Ray posłużył się, jako jeden z pierwszych muzyków rockowych, syntezatorem Mooga. W trzecim utworze, *Unhappy Girl*, nagrał całą swą partię w zwolnionym tempie. John dodał do tego niedbały, zwolniony rytm i w efekcie uzyskali miękkie, plastyczne brzmienie.

Robili też inne eksperymenty. Paul próbował stworzyć specjalną atmosferę studio nagraniowego, niezbędną do zarejestrowania niektórych utworów. Przy jednej z ballad, *I Can't See Your Face in My Mind*, Paul zwrócił się do chłopców głośnym szeptem, aby starali się wyobrazić sobie, że są w Japonii i „gdzieś z oddali dobiegają dźwięki koto”. Muzycy zareagowali na to głośnymi, nieprzystojnymi żartami. Potem Paul zaproponował Jimowi, by przyprowadził jakąś dziewczynę, która przytuliłaby się do niego w trakcie nagrywania *You're Lost, Little Girl*, ballady, z którą wiązali nadzieję, że Frank Sinatra nagra ją dla Mii Farrow. Paul nabrał takiego entuzjazmu dla swego pomysłu, że gotów był nawet zapłacić za prostytutkę. Ale spodobało się to także Pamelii, która natychmiast, tak jak stała, rozebrała się i podeszła swym miękkim krokiem do kabiny wokalneji Jima. Paul odczekał dłuższą chwilę, westchnął głośno: „uuuuchchh”. Po czym zwrócił się do Jima:

- No, to powiesz mi, jak będziesz gotów, Jim.

W jakieś dwadzieścia minut później Jim pojawił się w kabine reżyserskiej. Paul wzruszył wymownie ramionami:

- Nie, oni są nie do pobicia.

Teksty Jima były równie mocne w wyrazie jak na pierwszej płycie. Utwór *Horse Latitudes* wyrażał fascynację śmiercią tonących hiszpańskich ogierów. *Moonlight Drive* miał swe szokujące zakończenie. W *People Are Strange* zawarta była nuta szczerej, bolesnej niepewności. A w trwającym jedenaście minut *When the Music's Over* - zarówno wściekły protest: „Chcemy świata i chcemy go już!” jak i wyraz stałej obsesji Jima własną śmiercią: „I nim utonę w najgłębszy sen / Chcę jeszcze usłyszeć / Chcę jeszcze usłyszeć / Wrzask motyla”. Było wreszcie spojrzenie z góry na kobiety - w utworze *Unhappy Girl*: „zamknięta w więzieniu swych własnych zasad” oraz w tytule *You're Lost Little Girl*. Drugi album nie był tak niezwykłym katalogiem psychicznych wstrząsów i cierpień jak pierwszy. Ale i tak w roku 1967, gdy wszyscy śpiewali o kadzidle, listkach mięty, i dżemie pomarańczowym pod czystym niebem, stanowił mozaikę samych cieni. Zdjęcie na okładce płyty było też wyjątkowo dziwne: siłacz, trębacz, dwóch akrobatów, kuglarz i para brykających karłów. Jediną wzmianką o zespole jest plakat, naklejony na ścianę kamienicy widocznej w głębi fotografii. W Elektrze chciano co prawda, by na okładce znalazło się zdjęcie muzyków otaczających Jima. Jednak oni a zwłaszcza Jim, byli nieprzejednani. Nie będzie fotografii zespołu na okładce. Kompromisem było cieniowe zdjęcie wewnątrz, na kopercie, na tle tekstów.

Przez całe lato 1967 roku zespół jeździł po kraju. W Anaheim Convention Center w południowej Kalifornii wystąpili przed dziewięcioletnią publicznością. Jim miał na sobie swe czarne, skórzane spodnie i wymazaną farbami koszulkę gimnastyczną bez rękawów. Rzucił w publiczność zapalone papierosy, a widzowie w odpowiedzi zapalali zapalki przy *Light My Fire*. Później zespół ruszył na wschód na tygodniowe występy w Filadelfii, Bostonie i New Hampshire, by po nich

powrócić wreszcie do Los Angeles na wspólny z Jefferson Airplane koncert w sali Cheetah. *Light My Fire* utrzymał swą pierwszą lokatę na liście bestsellerów przez trzy tygodnie, po czym ustąpił miejsca piosence *All You Need Is Love* Beatlesów. W tym samym tygodniu szefowie Elektry zamieścili w prasie notatkę następującej treści:

„Wytwórnia Elektra Records zwróciła się do Zrzeszenia Amerykańskiego Przemysłu Płytkowego (RIAA) z podaniem o uznanie albumu i singla zespołu the Doors za Złote Płyty. Prezes firmy, Jac Holzman, oznajmił, że dotąd, do 30 sierpnia, suma pochodząca ze sprzedaży albumu *The Doors* znacznie przekroczyła milion dolarów, a singel *Light My Fire* pojawił się na rynku w nakładzie miliona egzemplarzy.

Menadżer firmy Elektra do spraw rynku, Mel Posner, oświadczył, że sprzedaż albumu i, osobno notowana, sprzedaż singla z niego, przekroczyły liczby miliona egzemplarzy niemal o tej samej godzinie.

Ten podwójny dowód mocy komercyjnej wskazuje na to, że zespół the Doors ma największą siłę przebicia spośród zespołów debiutujących w tym roku. Jako jedyna grupa w tym roku zdobędzie Złotą Płytę za swój pierwszy album a co więcej, ze wszystkich zespołów, jakie się ostatnio pojawiły, tylko Doors sprzedali singla w nakładzie miliona egzemplarzy”.

W końcu sierpnia były jeszcze inne sukcesy. Na koncercie w Cheetah wystąpili po raz pierwszy jako zespół ważniejszy niż Jefferson Airplane, który grał w pierwszej części imprezy. I po raz pierwszy Jim włączył do swego repertuaru coś w rodzaju tańca linoskoczka - balansując na krawędzi wysokiej na trzy metry sceny, by w końcu spaść pomiędzy widzów. Wyglądało

to jak wypadek i wywołało ogromną sensację. Publiczność zachowywała się ekstatycznie.

W tym okresie Doors mieli już wyćwiczone do perfekcji to, co nazywano brzemiennej ciszą w czasie koncertu. Czasami w środku utworu robili chwilę przerwy lub też Jim przerywał śpiew pomiędzy dwiema sylabami. Owsley, znany producent LSD, zaprzyjaźniony z wszystkimi zespołami z San Francisco, mówił muzykom, że te przerwy doprowadzają go do szału. Czasami pojedyncze osoby spośród publiczności śmiały się. Gdy za którymś razem zdarzyło się tak w Berkeley, Jim był urażony i powiedział:

- Śmiejąc się w czasie koncertu, w istocie śmiejecie się z siebie.

Później zaś wyjaśniał:

- Kiedy jestem na scenie, mam jedyną okazję, aby się naprawdę otworzyć. Umożliwia mi to maska przedstawienia. Wtedy, gdy ukrywam się za nią, w istocie mogę się odsonić. Dlatego, że traktuję to jako coś więcej, niż tylko zwykły występ - odegranie paru kawałków i wyjście. Odbieram to bardzo osobiście. Czuję, że nie stworzyliśmy rzeczy skończonej, dopóki wszyscy na sali nie poczują pewnej wspólnoty. Czasami po prostu przerywam utwór i pozwalam na długą chwilę ciszy, by rozwiązać wszystkie ukryte wrogości, niepokoje i napięcia. By poczekać, aż wszyscy będą razem".

Wkrótce po próbach z „brzemiennej ciszą” w Berkeley, Jim zrobił to samo podczas koncertu na Uniwersytecie Nowojorskim. W środku *The End* zrobił czterominutową przerwę i tym razem nikt mu tego nie zakłócił. Przeciwnie - wywołało to w sali efekt jak wewnątrz kotła ciśnieniowego. Temperatura rosła wraz z ciśnieniem i w chwili, gdy publiczność gotowa była wybuchnąć, Jim skinął na kolegów i zagrali dalszą część utworu.

- To tak, jak oglądanie fresku - mówił potem Jim - jest

ruch, ale zamrożony. Lubię patrzeć na to, jak długo ludzie są to w stanie wytrzymać. Kiedy są już na granicy, otwieram zawór.

- A co byś zrobił, gdyby za którymś razem wpadli w szal i ruszyli na scenę? - zapytał ktoś. - I to nie z uwielbienia, lecz tak, jakby chcieli cię zabić?

Jim pamiętał książkę Normana O. Browna i swą własną teorię na temat neuroz na tle erotycznym u tłumu. Zdawał się ufać sobie.

- Zawsze wiem dokładnie, w której chwili to zrobić - odpowiedział. - Taka sytuacja podnieca ludzi. Wiesz, co się dzieje? Zaczynają się bać, a strach jest niezwykle podniecający. Ludzie lubią być straszeni. To działa na nich tak jak chwile przed orgazmem. Wszyscy pragną tego zaznać. To niezwykle doświadczenie.

Ojciec Jima, osoba nieznajoma dla niego w okresie, gdy *Light My Fire* był na pierwszym miejscu, osiągnął szczyt swej własnej listy przebojów, zostając w wieku czterdziestu siedmiu lat najmłodszym admirałem marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Pracował teraz w Pentagonie, więc Morrisonowie - osiemnastoletni Andy i dwudziestoletnia Anne - zamieszkali w Arlington, w Wirginii.

Pewnego dnia wstąpił do nich kolega Andiego. Miał ze sobą pierwszą płytę the Doors.

- Spójrz na to - powiedział. - Czy to nie Jim?

Andy mówi, że słuchał *Light My Fire* całymi tygodniami i nie poznawał głosu brata. Pożyczył płytę od kolegi i wieczorem słuchał jej wraz z rodzicami. Clara zamknęła czytana właśnie książkę, ale admirał nie złożył gazety. Gdy nadszedł fragment *The End*. o Edypie, gazeta zaczęła drżeć, z początku lekko, później gwałtownie kiedy nie było już wątpliwości, o czym mówi ten utwór. Do dzisiaj admirał nie skomentował ani słowem pracy syna.

Nazajutrz rano matka Jima zatelefonowała do nowojorskiego oddziału Elektry, mówiąc, że usiłuje znaleźć syna. Kiedy podała pewne szczegóły dowodzące, że jest jego matką, dostała numer telefonu do hotelu na Manhattanie i nazwisko menadżera koncertowego zespołu. Odłożyła słuchawkę i ponownie nakręciła numer kierunkowy Nowego Jorku.

- Halo, tu pani Morrison; czy jest tam Jim?
- Jaki Jim?
- Jim. Jim Morrison. Jestem jego matką.
- Tak?

Mężczyzna, który odebrał telefon, wydawał się znudzony. Wreszcie w słuchawce zabrzmiał inny głos.

- Halo?
- Jim? Och, Jim...
- Tak, mammo?

Clara nerwowo mówiła, jak dobrze znowu go słyszeć. Pytała go o zdrowie. Strofowała za to, że nie pisał. Opowiadała, jak bardzo się martwiła i nawet chciała wynająć prywatnego detektywa, ale admirał stanowczo się temu sprzeciwił. Stopniowo ulga w jej głosie zmieniała się w urazę. Odpowiedzi Jima na jej pytania i pretensje były mrukiwe.

- Jim?
- Tak, mammo...
- Proszę cię, przyjedź do domu na nasz tradycyjny obiad w dniu Dziękczynienia. Andy i Anne...
- Oj, zdaje się, że będę wtedy naprawdę zajęty...
- Proszę cię, postaraj się, Jim. Proszę cię...

W końcu Jim powiedział, że chyba niedługo będzie miał koncert w Waszyngtonie i może matka mogłaby przyjść i ich obejrzeć.

- Jeszcze jedno, Jim. Czy zrobisz matce dużą przysługę? Wiesz, jaki jest ojciec; ostrzyż się, zanim przyjedziesz do domu.

Jim pożegnał się i natychmiast odwiesił słuchawkę. Odwrócił się do obecnych, którzy przysłuchiwali się w milczeniu.

- Nie, ja nie chcę z nią nigdy więcej rozmawiać.

Koncert odbywał się w sali balowej hotelu Hilton w Waszyngtonie. Pani Morrison przybyła razem z Andym już wczesnym popołudniem i czekała w hallu, aż usłyszała, jak ktoś przy biurku wymienia nazwę Doors. Był to Todd Schiffman, impresario zespołu. Clara przedstawiła się szybko i powiedziała, że chciałyby zobaczyć się z synem. Todd posłał kogoś do sali, w której zespół rozstawiał swój sprzęt przed koncertem. Po chwili posłaniec wrócił i szepnął cicho do Todda:

- Jim mówi: „Nic z tego”.

I tak przez następne cztery godziny Todd przetrzymywał Clarę i Andiego za drzwiami. Zaprosił ich na obiad, usprawiedliwiał się, zapewniał, że Jim zobaczy się z nimi wieczorem.

- Wszyscy robiliśmy to samo - wspomina Ray. - Wszyscy po kolei staraliśmy się ją zająć.

- No, nie wszyscy - wtrąca Bill Siddons, wówczas przystojny dziewiętnastolatek, narciarz wodny i menadżer koncertowy zespołu.

Ray odtwarza to zdarzenie:

- Tak, proszę pani, on tu gdzieś jest. Właśnie widziałem, jak przechodził.

- Nie, ja go widziałem na zewnątrz - Bill Siddons włączył się do oszustwa.

Clara przyszła wcześniej na koncert i usłyszała, jak Bill mówi:

- Coś jest nie w porządku z P.A.

Clara nie wiedziała, że skrót P.A. oznacza główny wzmacniacz, ale zapytała nerwowo:

- Co pan rozumie przez „nie w porządku”? Gdzie jest Jim? Co jest nie w porządku z P.A. mojego syna?

Clara i Andy stali przy skraju sceny razem z Toddem Schiffmanem, który zapewniał ich, że zobaczą się z Jimem zaraz po koncercie. Clara była zaszokowana, a Andy zmieszany

wersją tekstu *The End* na koncercie. Po wrzaśnięciu: „Mamo, chcę cię zerznąć!” Jim łypnął na matkę pustym spojrzeniem, po czym krzyknął to samo jeszcze raz, obnażając zęby.

Po koncercie Todd zaopiekował się Clarą i Andym, zaprowadził ich do pokoju hotelowego, gdzie, jak im powiedziano, miał na nich czekać Jim. Gdy się tam znaleźli, przyznał się, że Jim odleciał już do Nowego Jorku, by wziąć udział w rewii Eda Sullivana.

W każdą niedzielę potworny harmider panował za kulisami teatru Eda Sullivana przy Pięćdziesiątej Czwartej Alei. Czasami zjawiała się ponad setka gości i organizacja rewii stawała się bardzo utrudniona. Obszerne halle i garderoby aż wibrowały od nawoływań clownów, tancerek i śpiewaczek sopranowych, podczas, gdy pracownicy odpowiedzialni za produkcję, niosąc tablice, przeciskali się przez tłum i próbowali poustawiać rozgadanych gości.

Muzycy z Doors zastali w swej garderobie Boba Prechta, zięcia Sullivana i zarazem reżysera rewii.

- Wiecie, mamy pewien nieduży, maleńki kłopot - Precht zetknął kciuk i palec wskazujący prawej ręki. - To nic naprawdę ważnego, ale...

Czterej chłopcy wymienili zdziwione spojrzenia.

- Chodzi o wasz utwór *Light My Fire*, który uważam za wprost wspaniały.

Muzycy nie odezwali się.

- Ach, więc się... to znaczy, my, widzicie, w CBS nie można użyć słowa „higher”. Wiem, że to głupie - wymownie wrzucił ramionami i rozłożył ręce - ale trzeba będzie zmienić ten wers.

Wyciągnął kawałek papieru z kieszeni marynarki i przeczytał:

- To idzie tak: „Dziewczyno, wyżej się nie wzniesiemy”.

Jim i jego koledzy nie byli zaskoczeni. Czyż ich własne wydawnictwo nie wycięło słowa „high” z piosenki na ich

pierwszej płycie? Jim wiedział również, że przed tygodniem w innym programie CBS - w popularnym *Smothers Brothers Show* - ocenowano występ Pete'a Seegera i że Precht osobiście cenzurował Boba Dylana na rewii Sullivana.

- Jasne - zgodził się Jim — myślę, że możemy zastąpić ten wers czymś innym.

Precht rozpromienił się, pochlebił chłopcom, że równi z nich kumple. Podbiegł w kilku susach do drzwi i wezwał teścia do środka. Zwracał się do niego: „Panie Sullivan”.

- Pięknie wyglądacie uśmiechnięci, chłopcy - przymilił się Sullivan. - Nie bądźcie tacy poważni.

Jim spojrział na impresario telewizyjnego spod opuszczonych powiek i odmruknął:

- No, my właśnie jesteśmy ponurą grupą.

Kiedy Precht i Sullivan wyszli, koledzy wymienili znaczące spojrzenia. Jasne. Na próbie zaśpiewają jeszcze wers zastępczy, ale podczas koncertu — oczywiście oryginalny.

Gdy to się stało, Bob Precht zaczął wrzeszczeć z wściekłości w swej kabinie reżyserskiej.

- Nie było wam wolno! Przepadliście na tej rewii! Nie wystąpicie tu nigdy więcej! - krzyczał na maleńkie figurki, widoczne na monitorach telewizyjnych.

Po koncercie napadł na nich ze złością:

- A obiecaliście! Obiecaliście mi...

- Ojej! - Jim rozłożył ręce. - Zdaje się, że zapomnieliśmy w całym podnieceniu.

W tym samym tygodniu urządzono przyjęcie w piwnicy winnej Delmonico's, ekskluzywnej restauracji przy Park Avenue. Przybyli wszyscy liczący się pisarze i wydawcy, obecni byli szefowie programów radiowych. Był też Steve Paul, właściciel sali the Scene oraz Andy Warhol. Danny Fields usiadł obok Glorii Stavers i sączył z nią wino. Zjawily się też groupies, zarówno te najwytworniejsze jak i najbardziej popularne. Zostały i popijały. Jim upił się i rzucał w nie

kostkami lodu. Danny proponował mu, by przestał pić. Jim nie chciał o tym słyszeć. Dobrze wiedział, czyje to przyjęcie. Za chwilę otworzył butelkę szampana, odtrącając szyjkę o kant stołu. Spodobało mu się i robił to dalej z butelkami szlache-nych win. Wyciągał je z koszyczków, odflukiwał szyjki, wymachiwał nimi i podawał pijącym kolegom.

Jego zachowanie nie zmieniło się po przyjęciu. Andy Warhol podarował mu telefon z kości słoniowej ozdobionej złotem. Zaraz potem Jim znalazł się na tylnym siedzeniu limuzyny, razem ze Stevern Paulem, Glorią Stavers i Andym. Gdy samochód mijał skrzyżowanie Park Avenue i Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, Jim wychylił się przez okno, wrzucił telefon do kosza na śmieci, stojącego przy krawężniku i ryknął w stronę przejeżdżających samochodów.

Była prawie trzecia w nocy. Jim postanowił objechać Jaca Holzmana za to, że nie przyszedł na przyjęcie. Jac nie widział powodu, by zjawiać się samemu, skoro wszystko to było wielkim sukcesem jego klientów. Party było w istocie wydane dla uczczenia sukcesu *Light My Fire* i miało być inicjacją Doors w świat wielkiego gwiazdorstwa i zapoznaniem ich z prasą. Było oczywiste, że Jac wywiązał się z zadania, więc po cóż miałby się kłopotać uczestnictwem? A jednak wkrótce miało się okazać, jak bardzo się mylił.

Jim podpitym, podniesionym głosem podał kierowcy adres Holzmana w eleganckiej dzielnicy Chelsea. Glorię przeszedł dreszcz, Danny próbował przekonywał Jima, że nie ma racji, a Steve prosił, by go wysadzono, bo chce złapać taksówkę. Jim nie zwracał na nich uwagi.

Przed domem Jaca Jim nalegał, aby wszyscy podeszli razem z nim do drzwi luksusowego, dziesięciopokojowego apartamentu Holzmana. Próbował dzwonić przez domofon na dole, ale nie było odpowiedzi. Dzwonił więc do wszystkich innych apartamentów, aż jakiś lekkomyślny sąsiad wpuścił całą grupę do środka.

Pod drzwiami Holzmana popis Jima stopniowo nabierał rozmachu - od ciągłego dzwonienia do rzucania się ociężałym, pijanym ciałem o stalowe drzwi. Gdy w końcu upadł na podłogę, a z mieszkania wciąż nikt nie odpowiadał, poprzestał na rozcięciu do połowy dywanu w hallu i hałaśliwie sprowadził całe towarzystwo po schodach o cztery piętra w dół, do wyłożonego marmurami westybulu, gdzie dokładnie i metodycznie zarzygał całe wejście.

A później Doors znów pojechali na zachód.

W przemyśle reklamowym lista „A” jest to rejestr pisarzy i wydawców, których dany promotor chciałby w pierwszym rzędzie zainteresować swymi podopiecznymi. Są na niej dziennikarze z „Time'u”, z „Newsweeka” i „New York Timesa”, a w roku 1967 byli również z „Saturday Evening Post”, z „Life'u” i z „Looka”. Lista „A” w przypadku the Doors była dłuższa niż u innych zespołów, bo i grupa ta przyciągała potencjalnie szerszą publiczność. Oznaczało to, że ich lista rozciągała się od autorów piszących dla „Timesa”, do prasy undergroundu; od „Vogue'u” do „16”.

- Udało mu się - mówi Danny Fields, promotor Elektry. - był taki bystry. Dawał takie świetne wywiady, sypał bajecznymi cytatami. Powalał ich. A oni mogli się wyżyć, pisząc o nim. W tym cały sekret. Sprawiał, że kochali o nim pisać. Więc go nie wyśmiewali, traktowali go naprawdę poważnie.

Jim i jego koledzy z zespołu chcieli być traktowani poważnie. Dlatego ich wywiady przypominały raczej napuszone seminary w college'ach. Wywiad z dziennikarzem „Newsweeka”, zrobiony w październiku w Los Angeles, był tego dobrym przykładem.

- Są rzeczy, które znamy - mówił Ray, cytując Jima - i rzeczy, których nie znamy. Jest znane i nieznanne. Pomiędzy nimi są drzwi - to właśnie my.

Później wers ten miano odnaleźć u Williama Blake'a.

- To poszukiwanie - tłumaczył Jim. - Otwieranie kolejno jednych drzwi po drugich. Jak dotąd, nie ma w tym spójnej filozofii ani polityki. Teraz pociąga nas zmysłowość i zło, ale pamiętajcie, że to tylko skóra węża, która pewnego dnia zostanie zrzuciona. Nasza praca, nasze występy, są dążeniem do przemian. Akurat teraz jestem bardziej zainteresowany ciemną stroną życia, tym, co złe, cienistą stroną księżyca, porą nocy. Ale widzę po naszej muzyce, że poszukujemy, z wysiłkiem staramy się przebić do jakiejś jaśniejszej i bardziej wolnej krainy.

- To jest jak rytualna ablucja - w sensie alchemicznym. Najpierw trzeba przejść przez okres chaosu, pomieszania. Powrócić w rejon pierwotnej katastrofy. Wychodząc od tego oczyszcza się poszczególne części i znajduje nowe nasienie życia. Coś, co przemienia całość istnienia, całość materii i osobowości, aż w końcu, z nadzieją, powstaje się i zaślubia wszystkie te dualizmy i przeciwieństwa. I wtedy nie mówi się już o dobrem i złem, lecz o pewnej czystej jedności. Nasza muzyka i nasze osobowości, tak jak widzi się nas na koncercie, są wciąż w stadium chaosu i nieuporządkowania, być może tylko z zarodkiem procesu oczyszczenia. Później, gdy traktuje się nas jako jedność, wszystko zaczyna się powoli jednoczyć.

W końcu Jim wynalazł swój najbardziej chwytliwy slogan: „Możecie myśleć o nas jako o erotycznych politykach.”

Dziennikarz „Time'u” prosił Jima o rozmowę na temat koncepcji teatru rockowego, łączenia muzyki z formą poetyckiego dramatu. O Los Angeles Jim powiedział:

- To miasto potrzebuje pewnego rytuału, by połączyć na nowo swe rozpadłe części. Doors poszukują czegoś takiego - pewnego rodzaju elektrycznych godów.

Potem dodał jeszcze:

- Zasłaniamy się muzyką, po to, by się odsłonić.

Jim zawsze przywiązywał wielką wagę do prasy i tworzonego przez nią obrazu rzecz. Przed każdym koncertem wypyt-

wał agentów reklamowych Elektry, jacy dziennikarze są wśród publiczności i do jakich grup ludzi docierają pisma, dla jakich piszą. Nawiązał też bliską współpracę z Gloria Stavers przy tekstach pisanych przez nią dla pisma „16”, nie wypuszczając z rąk żadnego z nich, dopóki nie był zupełnie zadowolony.

Niemniej oryginalny był jego sposób pracy z fotografami. Podczas pobytu the Doors w Nowym Jorku we wrześniu odbyło się kilka ważnych sesji fotograficznych i to z tej właśnie okazji Jim odwiedził Jaya Sebringa, najmodniejszego, hollywoodzkiego stylistę włosów, zanim wyjechał z Los Angeles.

- Jak chciałby pan, żeby to wyglądało? - zapytał go Jay.

- Tak jak to - Jim położył przed nim kartkę wydartą z książki historycznej, ze zdjęciem posągu. - Jak Aleksander Wielki.

Hej, Jim. Teraz musisz mnie posłuchać - mówiła Gloria Stavers, chcąc zrobić mu w swym apartamencie na East Side serię zdjęć do zamieszczenia w „16”.

- Chcę, żebyś patrzył w obiektyw, a nie na mnie. Wyobraź sobie, że aparat to cokolwiek lub ktokolwiek. Co chcesz! Kobieta, którą zamierzasz uwieść, mężczyzna, którego chcesz zabić, matka, którą pragniesz zgorszyć, chłopiec, z którym masz ochotę pogadać. On jest tym, czym chcesz, żeby był, o to właśnie chodzi. Pamiętaj o tym.

Wszyscy inni wyszli. Jim zaczął buszować po obszernym mieszkaniu. Zaglądał do szafek i wyciągał szuflady, wyjmował ubrania i biżuterię. Gloria chodziła w ślad za nim, obserwując go uważnie. Jim stanął przed lustrem i zmienił ułożenie włosów, zostawiając je w wyszukanym nieładzie. Gdy Gloria chciała go uczesać, warknął na nią:

- Trzymaj ten grzebień z dala ode mnie!

Powróciła więc do swej cichej roli fotografa. Jim wciągnął jej futro fasonu „trzy czwarte” na swą haftowaną, indiańską bluzę. Stanął pod ścianą z rękami skrzyżowanymi w kroku

i szeroko rozstawionymi nogami w spodniach z czarnej skóry. Gdy zaszemrał aparat, spoglądał spod opuszczonych powiek. Potem zdjął futro i bluzę i zaczął przymierzać jej naszyjniki.

Nazajutrz Doors zgłosili się do studio Joela Brodskiego -fotografa Elektry. Jim ciągle miał na sobie skórzane biodrowe spodnie i był bez koszuli. Na szyi miał pojedynczy sznur małych, kolorowych paciorków, pożyczony od Glorii poprzedniej nocy. Pozostałym chłopcom rozdano czarne poncza i ustawiono ich na czarnym tle, tak, by na zdjęciu widniała tylko postać Jima i trzy inne głowy. Przez godzinę Joel tylko nieznacznie przestawiał Johna, Raya i Robbiego. Jimowi zaś pozwalał przybierać każdą pozę, jaką ten wymyślił. Jim wykrzywiał się, robił groźne miny, wyciągał palec oskarżycielskim gestem lub prosił o pomoc złożonymi rękami, przeżył i wyginał swe giętkie ciało. Potem zaczął pić, pociągając whisky pomiędzy kolejnymi pozami. Odrzucał głowę do tyłu, podkreślając potężne mięśnie karku, naśladował nadęte wargi Micka Jaggera i drwiący uśmiezek Elvisa. Warczał, parsknął, syczał, strzelał językiem. I ani razu się nie uśmiechnął, ani razu nie roześmiał.

Chłopaki z prawie wszystkich zespołów, gdy fotografują ich w studio, wygłupiają się, żartują, biją i mocują ze sobą. A ci nigdy niczego takiego nie robili. Zawsze traktowali bardzo poważnie to, co robili. A Jim był z nich najpoważniejszy.

Gloria zrobiła tylko jedną kliszę. Gdy tylko ujrzała odbitki, wysłała je, razem z pierwszą płytą Doors, do kolegi z „Vogue”. W niecały tydzień później Jim zjawił się w studio fotograficznym tego pisma i podszedł do wieszaka na kapelusze, wciąż obwieszony strojami z poprzedniej sesji zdjęć. Zaczął je przymierzać i przebierać się.

No! - ucieszył się fotograf. - Teraz mam go na żywo!

W październiku Doors wystąpili przed prawie pięćdziesięciotysięczną publicznością, a w tych samych dniach trzydzieści pięć tysięcy młodych ludzi wzięło udział w marszu na

Pentagon. Elektra ogłosiła, że dostała już zamówienia na pięćset tysięcy egzemplarzy drugiej płyty the Doors. Pięciu żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej zginęło, a trzydziestu zostało rannych w Wietnamie, w wyniku omyłkowego bombardowania z własnych samolotów. John Wayne zaczął kręcić film o zielonych beretach. W San Francisco odbyła się parada obwieszająca „śmierć hipisa i narodziny Wolnego Człowieka”, a Joan Baez, Mimi Farina i jej matka zostały aresztowane za demonstracje w centrum uzupełnień armii w Oakland. *People Are Strange* weszło do pierwszej dwudziestki ogólnokrajowej listy bestsellerów. Na innej płycie Victor Lundberg, urzędnik firmy reklamowej, człowiek w średnim wieku, czytał *List otwarty do mojego nastoletniego syna* na tle Wojennego Hymnu Republiki. Oto jego ostatnie wersy:

Jeżeli nie odczuwasz wdzięczności wobec kraju, który dał twemu ojcu możliwość pracowania dla rodziny, aby dać tobie wszystko, co masz, i jeżeli nie jesteś na tyle dumny, by walczyć o to, aby móc czynić to samo, ja przyjmuję na siebie winę za twój błąd, za nieumiejętność docenienia tego, jak wiele warte jest nasze prawe urodzenie. I przypomnę ci, że twoja matka będzie cię kochać bez względu na to, co uczynisz, dlatego, że jest kobietą. I ja kocham ciebie, synu, ale kocham także nasz kraj i zasady, na których się on opiera. Więc jeżeli zdecydujesz się spalić swą kartę powołania do armii, spalisz tym samym świadectwo swych narodzin. Od tej chwili nie będę miał syna.

To było wymowne. W 1967 roku sytuacja była jasna: My kontra Oni. W październiku Jim zaczął pisać swe najbardziej zaangażowane utwory.

Pierwszy z nich wzięty tytuł od słynnego narodowego pomnika. Nazywał się *Unknown Soldier* i został dopracowany

na koncertach, podobnie, jak wcześniejsze piosenki Doors, które wykryształizowały się podczas gry w klubach Whiskey a Go Go i Ondine. Po dwóch - trzech miesiącach utwór ten rozwinął się w jedno z najlepszych przedstawień teatralnych grupy.

Czekajmy, aż skończy się wojna
A my obaj będziemy trochę starsi
Nieznany żołnierzu

Nagle pieśń pogrzebowa stawała się świąteczną. John i Robby przyłączali się do rytmu poddawanego przez Raya - dzięki równemu taktowi brzmiało to po wojskowemu, ale przypominało też muzykę na zabawie tanecznej.

Czytanie gazet przy śniadaniu
Dzieci karmione telewizją
Nienarodzone, żywe, żywe, martwe
Kula dzwoni w szczyt hełmu

I wszystko się kończy dla nieznanego żołnierza
Wszystko się kończy dla nieznanego żołnierza

Tu następował odgłos maszerujących nóg - Jim, Ray i Robby tupali zgodnym taktom, a John wybijał odpowiedni, marszowy rytm na werblu. Ray wyliczał:

Raz
dwa
raz dwa trzy cztery
raz
dwa
raz dwa trzy cztery
raz

dwa
raz dwa trzy cztery
Kompaniaaaaa...
Stój!

Tupanie urywało się i Jim przybierał pozę umęczonego więźnia, stojącego przed plutonem egzekucyjnym. W zapadłej nagle ciszy wszystkie spojrzenia kierowały się na niego, stojącego dumnie z podniesioną głową i wyprężoną piersią, z rękami niby skutymi na plecach.

Prezentuj broń!
Cel!

W tym miejscu następowało długie warczenie werbla, a potem John zazwyczaj łamał pałeczkę uderzając nią z całej siły w obręcz bębna, co imitowało strzał. Jednocześnie Jim składał się gwałtownie wpół, jak na zawiasach i ciężko padał na ziemię. Po następnej, jeszcze dłuższej ciszy, dyskretne dźwięki organów przywracały melodię, a z desek sceny, od wykręconej, nieruchomej postaci dochodził namaszczonego głos:

Wykop grób dla nieznanego żołnierza
Wtulonego w zagięcie twego ramienia
Nieznany żołnierzu...

Nagle znowu było święto. Jim był już na nogach i tańczył, krzycząc radośnie:

To już minęło!
Wojna się skończyła!
To już minęło!
Wojna się skończyła!

Drugi zaangażowany utwór Jima, napisany w tym okresie, sprawiający z początku wrażenie najbardziej buntowniczego, był ogólnie niezrozumiany, gdyż przysłuchiwano się tylko dwóm pierwszym wersom.

Pięć do jednego, kochanie
Jeden wśród pięciu
Nikt stąd nie wyjdzie żywy
Osiągniesz swój cel, dziewczyno,
Ja zdobędę, co moje
Dokonamy tego
Jeżeli spróbujemy

Starzy się starzeją
Młodzi rosą w siłę
To może dokonać się w tydzień
Może potrwa trochę dłużej
Oni mają broń
Ale nas jest więcej
Wygramy, o, tak!
Mamy przewagę
Chodźmy!

Tytuł utworu pochodził od pierwszego wersu - *Five to One* - będącego urywkiem jakiejś statystyki. Jim tego nie wyjaśniał. Paul Rothchild uważa, że „pięciu do jednego” to tyle, co jeden na każdą szóstkę - a więc przybliżony stosunek ludności ciemnoskórej do białej w Stanach Zjednoczonych, zaś jeden na pięciu, to ogłoszony kiedyś odsetek palących narkotyki w Los Angeles. Ale ilekroć pytano o to Jima, odpowiadał, że nie uważa tego utworu za polityczny.

Słuchany w całości, utwór wydaje się parodią naiwnej retoryki buntu, panoszącej się po ulicach i zapelniającej strony prasy undergroundu w końcu lat sześćdziesiątych. Taką

interpretację wyraźnie potwierdza ostatni wers, na który słuchacze nie zwracali uwagi. Jim zwracał się w nim do otaczających go młodych ludzi, do coraz liczniejszych grup hipisów, „dzieci- kwiatów”, których widywał, zebranych na chodnikach, pod każdą salą koncertową.

Skończyły się dni balowania, dziewczyno
Zapada już noc
Cienie zmierzchu kryją tamte lata
A ty spacerujesz po parkiecie z kwiatem w dłoni
Chcesz mi wmówić, że nikt cię nie rozumie
A oddasz swe godziny za garść miedziaków.

I nie oznacza to bynajmniej, by Jim Morrison po prostu odwrócił się od „pokolenia miłości”, z którego Doors sami się wywodzili. „Wszyscy naprawdę w to wierzyliśmy - mówi Ray - gdy graliśmy w Whiskey a Go Go, byliśmy przekonani, że hej, bracie, pieprzemy i podbijamy cały kraj, zmieniamy wszystko, tworzymy doskonałe społeczeństwo”.

Jim zaś mówił w roku 1969: „Z perspektywy historycznej będzie to pewnie kiedyś wyglądało jak okres trubadurów we Francji. Jestem pewien, że będzie się to wydawać czymś niezwykle romantycznym. Myślę, że spodobamy się przyszłym ludziom, bo tyle rzeczy się zmienia, a my naprawdę uczestniczymy z entuzjazmem w tych zmianach.” Był to, jego zdaniem, odrodzenie duchowe i kulturalne, „jak to, co zdarzyło się w Europie po zakończeniu wielkiej epidemii, która zdziesiątkowała ludność tego kontynentu. Gdy zaraza ustąpiła, ludzie tańczyli, ubierali się w kolorowe stroje. Było to coś w rodzaju niewiarygodnej wiosny”.

Chociaż Jim wczuwał się w sytuację swych młodych miłośników, sam pod wieloma względami był inny. W odróżnieniu od typowego „hippy”, uważał astrologię za pseudonaukę. Odrzucał koncepcję w pełni zintegrowanej

osobowości. Wyrażał się z niesmakiem o wegetarianizmie, bo często szedł on w parze z fanatyzmem religijnym. Według Jima był to dogmat - a więc coś, co zupełnie go nie pociągało.

Wykształcenie, inteligencja i pochodzenie także dzieliły Jima od wielu spośród jego zwolenników. Był absolwentem college'u, a nie wyrzuconym ze szkoły. Zachłanny czytelnik o wyrobionym, katolickim smaku, niezbyt pasował do stworzonego przez Marshalla McLuhana wizerunku człowieka „nielinearnego, postliteralnego, plemiennego”. Czy chciał tego, czy też nie, był w sposób oczywisty wytworem zamożnej rodziny mieszczańskiej z Południa: pełen wdzięku, dążący do postawionego sobie celu, w niejednej kwestii konserwatywny politycznie. Na przykład, na ludzi wegetujących w dobrobycie patrzył z taką samą pogardą jak na długowłosych żebraków, których krytykował w *Five to One*.

Od publiczności odróżniało go jeszcze to, że nad środki psychodeliczne przedkładał alkohol. Pijał go w tym okresie w niemal legendarnych ilościach.

Asher Dann miał na jego temat taką teorię: kiedy upijali się razem przed ważnym koncertem, Jim szybko dochodził do siebie i na scenie był względnie trzeźwy. Teoria ta okazała się jednak nieprzydatna pewnej nocy w listopadzie, kiedy Doors mieli wystąpić w San Francisco, w sali Winterland, należącej do Billa Grahama. Jim pił z Ashem w barze hotelowym od trzeciej do ósmej: wypili po dziesięć, czy dwanaście kolejek. Później przyłączył się do nich Todd Schiffman, który postawił jeszcze po jednym, zanim udało mu się zaciągnąć ich do samochodu. Gdy pędzili po Fillmore Avenue, Jim wykrzykiwał przez okno wulgarne przekleństwa.

- Myślisz, że może tak wystąpić? - zapytał Todd.

- Naturalnie - odpowiedział Dann. - Kiedy jest tak pijany jak teraz, daje najlepsze koncerty.

Było to tylko połowiczną prawdą: Jim dał najlepsze ze swych koncertów po pijanemu, ale w takim stanie dawał też czasami koncerty najgorsze.

Gdy tylko samochód się zatrzymał, podszedł do niego Bill Graham.

- Gdzieżeście się, do cholery, włóczyli? - wrzasnął.

- Przecież jesteśmy, Bill - bełkotał Asher, nie mniej pijany niż Jim. - Nie spóźniliśmy się na koncert.

Graham zrobił groźną minę i krzyknął:

- Według kontraktu zespół miał tu być godzinę temu! To znaczy: wszyscy czterej członkowie zespołu! Jim Morrison też!

Graham wyciągnął rękę w stronę Jima:

- Jest pijany, prawda?

Od chwili, gdy Jim wszedł na scenę, panował chaos. Publiczność była w ekstazie, pełna uwielbienia, oszołomiona narkotykami. Jim biegał po scenie, doprowadzając obsługę reflektora punktowego do rozpaczki. Rzucił się nad samą krawędź wysokiej sceny, balansował nad studzienkami ze sprzętem oświetleniowym, rozkręcał mikrofon, trzymany za kabel, jak lasso i wyrzucał go przed siebie, ponad głowy publiczności. Pod sceną kłębił się wir ściśniętych ciał.

Bill Graham wbiegł na salę opuściwszy swe biuro na piętrze i przedzierał się przez tłum, wymachując rękami, by zwrócić na siebie uwagę Jima, wokół którego furkotał rozkręcony mikrofon. Muzyka dudniła; Jim stał z przymkniętymi oczami. Nagle wypuścił mikrofon, który, wyrzucony jak z procy, rąbnął nadchodzącego Grahama prosto w czoło i obalił go na ziemię.

Później, w garderobie Jim prosił Ashera, by go uderzył, na co ten w końcu przystał - trzasnął go tak, że Jim padł jak długi.

W listopadzie nazwa Doors pojawiła się na stelażach sprzedawców gazet. Pisały o nich najlepsze pisma z listy „A”: „Newsweek”, „Time”, „The New York Times” i „Vogue”. I nie były to jedynie wzmianki, czy pochlebne recenzje płyt.

Najlepsze amerykańskie gazety prowadziły rozważania na temat zespołu i próbowały zdefiniować jego fenomen.

W numerze „Newsweeka” z 6 listopada pisano - „Otwierają się rozkołysane Drzwi: chłód stali, niezwykle brzmienie, świat Halloweena i zakazany owoc”. W „Vogue’u” z 15 listopada zamieszczono zdjęcie Jima - z nagim torsem i z indiańskim pasem z muszli, zawieszonym na szyi. Fotografia była ilustracją do artykułu pewnego profesora historii sztuki, który głosił mieszczańskiej Ameryce, że „Jim zdobywa ludzi. Jego utwory są tajemnicze i pełne grozy, nasycone symboliką przejętą od Freuda, poetyckie, nie zaś po prostu ładne, pełne odniesień do erotyki, śmierci, transcendencji... Jim Morrison pisze tak, jak gdyby Edgar Allan Poe powrócił na świat pod postacią hipisa”.

20 listopada w „Time’ie” zacytowano zdanie Jima, pochodzące z biografii członków zespołu, wydanych przez Elektry: „Interesuje mnie wszystko to, co wiąże się z przekraczaniem i łamaniem ustalonego porządku, z rebelią, dezorganizacją, chaosem”, a muzykę zespołu opisano jako poszukiwanie, które z miejsca stawia Doors nie tylko ponad tak oczywistymi cechami młodego wieku jak alienacja i erotyka, ale kieruje ich w pełne tajemniczych symboli krainy nieświadomości - krainy przerażających nocy, pulsujących rytmów, zgrzytliwych, metalicznych tonów, niespodziewanych widoków”. Zdjęcie, zrobione za sceną, ukazywało Jima w czarnych skórach, patrzącego spode łba, jak gdyby był naćpany i skrywał twarz przed obiektywem.

„W istocie, nie było żadnego większego symbolu seksu męskiego od czasu, gdy zginął James Dean, a Marlon Brando się roztył” - pisał Howard Smith, dziennikarz „The Village Voice” - „u Dylana bicie serca ma nazbyt intelektualne brzmienie, a Beatlesi zawsze byli zanadto mili, aby być bardziej sexy. I oto teraz zjawia się Jim Morrison z zespołu Doors. Jeśli moje przecucia mnie nie mylą, to on ześrodkuje na sobie libido zbiorowości na dłuższy czas”.

Razem z tą prognozą Smith zamieścił jedno ze zdjęć Jima, zrobionych przez Joela Brodskiego, które w firmie Elektra zaczęto nazywać „wizerunkiem Młodego Lwa”. Było to popiersie, ukazujące Jima frontalnie, z nagą klatką piersiową i jednym ramieniem, z pojedynczym sznureczkiem paciorków Glorii Stavers wokół muskularnego karku, z zarysem policzków jak u Steve'a Canyona, zmysłowo ułożonymi wargami, przenikliwym, intensywnym spojrzeniem, z lekkim zarostem na policzkach, uwydatniającym wysoko osadzone kości policzkowe i z włosami ułożonymi na modłę Aleksandra Wielkiego.

Nawet bardziej cynicznie nastawieni krytycy przyznawali, że Jim Morrison jest supermanem kultury, że wyrasta ponad życie, że zdolny jest wzbudzać pożądanie erotyczne u młodych dziewcząt i u niejednego mężczyzny, zaś myśli ludzi o nastawieniu bardziej intelektualnym kierować na głębokie wody. Intelektualista i krytyk nowojorski, Albert Goldman, nazwał go „Dionizosem urodzonym na nartach wodnych” i „hipisowskim Adoniszem”. Natomiast Digby Diehl, mająca wkrótce objąć funkcję wydawcy książek przy „Los Angeles Times”, opisała go, posługując się odniesieniem do terminu Normana O. Browna: „polimorficzny, perwersyjny, dziecięcy erotyzm”.

Podczas kolejnej wizyty zespołu w Nowym Jorku, Jim pojawił się o północy, pijany, z błędnymi oczami, w sklepiku z ubraniami przy Lower East Side. Tu mieszkała Trina Robbins, dobra przyjaciółka jego i Pameli z czasów ich poprzedniego pobytu, trudniąca się produkcją spodni o rozszerzanych nogawkach. Trina Robbins miała pokój na zapleczu sklepu. Gdy Jim zabębnił w okno, obudziła się i wpuściła go. „Nie odezwał się ani słowem. Wszedł, rozebrał się i stał tak, nagi. I był taki piękny. Zdawało się, że jest trochę onieśmielony, ale zapytał mnie, czy i ja się w końcu rozbiore, czy nie”.

Jim widywał się często z Glorią Stavers, inteligentną, trzydziestoletnią eks- modelką, wydającą magazyn nastolatków „16”. Ray, Robby i John ostrzegali Glorię przed Jimem zaraz po pierwszym z nią spotkaniu, opowiadając jej o tej nocy, kiedy Jim zdemolował studio nagraniowe przy pomocy gaśnicy. „Bądź ostrożna” - uprzedzał Robby, gdy Gloria ustawiała Jima pod ścianą do zdjęcia. - „On teraz zrobi to, co mu każesz, jutro i pojutrze tak samo. A później, pewnego dnia nagle wyskoczy z czymś dziwnym i szalonym”. Brzmiało to tak, jak gdyby Robby mówił o ukochanym bracie, który miewa ataki szału. Ostrzeżenie było wypowiedziane delikatnie i szczerze.

Wspólna dusza zespołu ciągle dawała o sobie znać. Kiedy Gloria wyznała Jimowi, że wolałaby pisać raczej tylko o nim i jego samego fotografować, a nie cały zespół, Jim zaniepokoił się, że pozostali członkowie grupy mogą się poczuć zlekceważeni i najpierw starał się upewnić, że uda się to zrobić bez żadnych ukrytych uraz. Kiedy zaś menadżerowie przekonywali go, że mógłby stać się większą gwiazdą bez trzech kolegów i szybciej się wzbogacić, płacąc im jak solista muzykom sesyjnym, zamiast dzielić dochody na cztery równe części, Jim odpowiedział, że zastanowi się nad tym. Natychmiast opowiedział to Rayowi, Johnowi i Robby'emu, po czym wszyscy razem uznali, że należy zmienić menadżerów.

Jim mówił Glorii: „Wystarczy mi tylko spojrzeć na Raya, by wiedzieć, kiedy posunąłem się za daleko”. A gdy Gloria powiedziała o tym Rayowi, ten odparł: „Wiesz, ja go bardzo kocham”.

Wspólnota grupy osiągała apogeum podczas koncertów. Ray mówi: „Kiedy syberyjski szaman jest gotów do wpa-
dnięcia w trans, wszyscy mieszkańcy wioski zbierają się razem, klekoczą kołatkami, dmą w świstawki i grają na wszystkich instrumentach, jakie mają, by go odprowadzić. Słychać nieprzerwane, monotonne pulsowanie dźwięku. Trwa to całymi

godzinami. To samo dzieje się w naszym zespole w trakcie koncertu. Żaden występ nie trwa tak długo, ale mam wrażenie, że dzięki naszym eksperymentom z narkotykami osiągamy to znacznie prędzej. Wiedzieliśmy, czym objawia się taki stan, mogliśmy więc próbować zbliżyć się do niego. To tak, jak gdyby Jim był elektrycznym szamanem, a my - elektryczną asystą szamana, stojącą za nim i poddającą mu rytm. Czasami on nie jest usposobiony odpowiednio, by osiągnąć ten stan, ale my gramy i gramy, a wtedy on stopniowo zaczyna się w to wzuwać. To nie do wiary, ale grając na organach potrafię przeszyć go wstrząsem elektrycznym. John potrafi zrobić to samo grą na bębnach. Czasami można to dokładnie zaobserwować: ten skurcz. Uderzam odpowiedni akord, a on reaguje na to dreszczem. I wyzwała się. Czasami on jest po prostu niesamowity. Naprawdę, fenomenalny. I ludzie też to czują".

Czuła to także policja 9 grudnia 1968 roku. Nazajutrz po dwudziestych czwartych urodzinach Jima Doors byli w New Haven, w stanie Connecticut. Jim stał za sceną, rozmawiając z dziewczyną w spódniczce mini. Policjanci przechadzali się wzdłuż ścian hallu. Pracownicy obsługi trasy wwozili wzmacniacze. Wielbicieli zespołu, tacy, jak dziewczyna rozmawiająca z Jimem, byli wszędzie. Koncert miał się rozpocząć za pół godziny.

- Nie można tu w spokoju porozmawiać - powiedział Jim.
- Znajdźmy sobie jakieś spokojniejsze miejsce.

Dziewczyna zgodziła się bez słowa i poszła za Jimem, który otworzył drzwi do łazienki z prysznicami. Zajrzeli do środka i weszli.

W kilka minut później ściskali się i całowali.

Nagle wpadł policjant:

- Hej, dzieciaki! Wynosić mi się stąd! Nie wolno wchodzić za scenę!

Jim spojrział na stróża porządku.

- Kto tak powiedział?

- Ja mówię, że macie się wynosić. W tej chwili; ruszać się!
- Zjedz to - Jim przytknął złożoną rękę do krocza.

Policjant sięgnął po pojemnik z gazem łzawiącym, zawieszony u pasa.

- Ostatnie ostrzeżenie. Ostatnia szansa.
- Ostatnia szansa, abyś to zjadł - szydził Jim.

Gdy policjant skoczył w ich stronę, dziewczyna uciekła, a Jim dostał porcję chemicznego aerozolu prosto w twarz, po czym ominął napastnika i wybiegł na oślep do hallu, wrzeszcząc:

- Zagazował mnie! Pierdolona świnia!

Natychmiast otoczył go tłum ludzi. Z troski, z jaką się nim zajęto, policjant zrozumiał, że się pomylił.

Po chwili przybiegł Bill Siddons, szef trasy, i z pomocą policjanta zaprowadził Jima do łazienki, gdzie przemyli mu oczy wodą. Niefortunny funkcjonariusz przeproszał. W kilka minut później zaczął się koncert.

Podczas koncertu studenci wielokrotnie podnosili wielką wrzawę i wtórowali Jimowi, gdy wykrzykiwał: „Chcemy świata i chcemy go... już!” Kiedy z pogardą pluł na publiczność i rzucał stojakiem od mikrofonu, odpowiadali aplauzem. Później, przy instrumentalnej partii *Back Door Mana*, Jim zaczął mówić:

- Chcę wam opowiedzieć o czymś, co zdarzyło się kilka minut temu tutaj, w New Haven. Bo to jest New Haven, tak? New Haven, w stanie Connecticut, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zgadza się?

Widownia ucichła, gdy Jim relacjonował szczegóły swego przybycia: obiad, drinki, rozmowę z kelnerką na temat religii, spotkanie z dziewczyną w szatni. Zaczął rozmawiać z tą dziewczyną - opowiadał. Na tle rytmu *Back Door Mana* jego spontaniczna przemowa przybrała ton hipnotyczny:

- I pragnęliśmy odrobiny intymności... Więc weszliśmy do sali z prysznicami. Nie robiliśmy tam nic takiego. Staliśmy

sobie, rozmawiając... Aż tu nagle wpadł na nas ten mały, ten w niebieskim mundurze i w małej, niebieskiej czapeczce...

Kordon policjantów stał tuż pod sceną, twarzami do publiczności, jak było to przyjęte na koncertach rockowych. Policjanci mieli za zadanie powstrzymywać tłum nastolatków, często pomysłowo uzbrojonych, przed wtargnięciem na scenę. Teraz, podczas przemowy Jima, kilku z nich odwróciło się w jego stronę.

Jini przedrzeźniał policjanta:

- „Co wy tam robicie?”

- „Nic”.

- Ale on się nie odczepił - mówił dalej Jim. - Stał tam dalej, a potem sięgnął za siebie i wyciągnął taką małą, czarną puszkę z czymś. Wyglądało to jak krem do golenia. I wywalił mi to prosto w oczy.

Teraz już prawie wszyscy policjanci stali przodem do Jima. Chcąc ośmieszyć małego człowieczka w niebieskim mundurze, posługiwał się celowo bełkotem „durnych Południowców”. Publiczność śmiała się; jej śmiech godził w policjantów.

- Cały świat mnie nienawidzi! - krzyknął Jim. - Pierdolony świat! Nikt mnie nie kocha. Cały pierdolony świat mnie nienawidzi.

Publiczność siedziała, oniemiała.

Jim dał znak kolegom i przeszli do ostatniego refrenu:

- Och, jestem człowiekiem dwulicowym...

Nagle na sali zapalono światła. Robby podszedł do Jima i szepnął mu na ucho:

- Zdaje się, że obraziłeś gliniarzy.

Jim zapytał publiczność, czy chce jeszcze muzyki. Gdy w odpowiedzi zabrzmiało głośne: „Taaak!”, krzyknął:

- Dobrze, a więc zgasić światła! Zgasić światła!

Światła pozostały zapalone, a na scenie pojawił się porucznik policji, szef Wydziału do Spraw Młodzieży Komendy Policji w New Haven i oznajmił, że Jim jest aresztowany. Jim

natychmiast odwrócił się do intruza, przyjmując wojowniczą pozę: rozstawił szeroko opięte w skórę nogi, długie, zmierzwiowane włosy odrzucił do tyłu. Szturchnął policjanta mikrofonem w nos.

- No i co, świni? - krzyknął tonem, w którym dziecinna zuchwałość mieszała się z awersją do władzy. - Chodź no tu, masz, powiedz swoje!

W międzyczasie podbiegł drugi policjant. Obydwaj chwycili Jima za ramiona i zawlekli Jima na tyły sceny, za kurtynę. Zwlekli go ze schodów, przeciągnęli przez parking, postawili przed radiowozem i sfotografowali. Przed wrzuceniem do samochodu aresztant został pobity i skopany. Zawieziono go na posterunek, gdzie przedstawiono mu zarzuty: „niemoralnego i nieprzyzwoitego pokazu”, zakłócenia porządku i oporu wobec władzy.

Policja zatrzymała też reportera „The Village Voice” i fotoreportera „Life’u”, w sposób niezamierzony zapewniając Jimowi ogromne rozreklamowanie wydarzenia.

W kilka dni później Jim siedział na podłodze w biurze Doors wśród stosów nieprzeliczonych listów od wielbicieli, gazet i czasopism z ostatnich dwóch tygodni oraz kopert z wycinkami prasowymi na temat zespołu. Rozłożył stronę z artykułem krytyka filmowego, zamieszczonym w „Los Angeles Free Press”.

Hej! - odezwał się po chwili. - Czy ktoś z was czytał, co pisze o nas Gene Youngblood?

Obecni spojrzeli nań wyczekująco. Jim uśmiechnął się głupio.

- On pisze - cytuję: „Beatlesi i Stonesi są po to, by rozsadzić ci umysł. Doors są na później, kiedy po umyśle nie ma już śladu”.

Jim usiadł prościej, jak gdyby czytał z notatek.

- Posłuchajcie, co pisze o muzyce: „Muzyka Doors jest muzyką obelżywą. To nie pozory. To zgłębianie tajników

prawdy. Jest to muzyka awangardowa w treści, jeżeli nie pod względem techniki: opowiada o obłądnie, załęgłym w głębi nas wszystkich, o deprawacji i marzeniach, a wszystko to wyraża względnie konwencjonalnymi środkami muzycznymi. W tym tkwi jej moc i jej piękno - piękno, które przeraża.

Muzyka Doors jest raczej surrealistyczna niż psychodeliczna. Więcej w niej cierpienia niż narkotyków. To coś więcej niż rock - to rytuał - rytuał egzorcyzmów psycho- erotycznych. Doors to czarownicy pop- kultury. Morrison zaś jest aniołem, wyniszczającym aniołem".

John Densmore wziął z rąk Jima wycinki i spojrzął na nie.

- O! - zauważył. - A w pierwszym akapicie on pisze, że akurat pieprzył się z dziewczyną i kiedy dotarł na koncert, my byliśmy już przy *Horse Latitudes*.

Wszyscy zebrali się w krąg i oglądali wycinek.

- A spójrzcie tutaj - wskazał Bill Siddons. - „Doors są w stanie dokonać seksualnego oświecenia”.

Wybuchnęli śmiechem i żartowali przez następnych dziesięć minut. Przez wiele miesięcy od tego czasu Jim mawiał, że Youngblood jako pierwszy naprawdę dostrzegł samą istotę tego, o co chodziło.

Później, tuż przed Bożym Narodzeniem, w przeddzień pierwszego koncertu Doors w sali Shrine, Ray i Dorothy zwrócili się do Jima i Pameli z prośbą o to, by zechcieli zostać друзbami na ich ślubie.

- Nie mów! Kiedy, Ray?

- Dzisiaj po południu. Na ratuszu.

Tej nocy Jima musiano sprowadzić ze sceny, bo przez całą noc chciał śpiewać tylko ballady o nowożeńcach.

ROZDZIAŁ

6

Jim mieszkał w dziesięciodolarowym pokoju w motelu Alta Cienega - mało oryginalnym, jednopiętrowym budynku o wszystkich pokojach identycznych, wzniesionym na stoku wzgórza i oddzielonym od Sunset Strip krótkim, stromym podejściem. W ciągu najbliższych lat motel ten miał się stać środkiem jego wszechświata.

Było to dogodne miejsce, zwłaszcza w okresach, kiedy Jim nie miał samochodu albo gdy zabierano mu prawo jazdy za pijaństwo. Wszędzie było stąd blisko, nawet jak na rozmiary Los Angeles. Nowe biura Elektry i studio nagraniowe położone były o niecałe sto metrów w dół bulwaru La Cienega, szerokiej alei, znanej jako Dystrykt Knajp, w którym Jim się żywił. Jeszcze bliżej znajdowały się własne biura zespołu i trzy ulubione bary Jima.

Jim był w swoim pokoju nr 32, na drugim piętrze. Leżał, wyciągnięty na dużym, podwójnym łóżku przykrytym zieloną narzutą. Szczupła, siedemnasto- lub osiemnastoletnia dziewczyna stała przy małym telewizorze, odwrócona plecami do niedużej łazienki.

Jim wychylił piwo i rzucił pustą puszkę w stronę plastikowego kosza na śmieci, stojącego koło jasnej szafki. Nie trafił, zrzucając na podłogę książkę - *Pochodzenie i dzieje świadomości*.

- A, do cholery - zaklął. Spojrzał na dziewczynę i skinął na nią, by podeszła do łóżka. Poderwał ją na jedną noc; poznał całą historię jej życia, miał z nią stosunek „od tyłu”. A teraz był znudzony.

- Pokaż mi dłonie - rozkazał.

Dziewczyna wyciągnęła ku niemu ręce. Jim chwycił ją jedną ręką za nadgarstek i zaczął ściągać jej pierścionki z palców. Robił to brutalnie. Dziewczyna krzyknęła z bólu.

- Podaj mi drugą dłoń - powiedział, zanim uwolnił pierwszą. Dziewczyna wahała się, więc wykręcił jej nadgarstek i powtórzył polecenie. Kiedy posłuchała, ściągnął pozostałe pierścionki, ocierając jej skórę na palcach.

Wreszcie ją puścił. Trzymając pierścionki w jednej ręce, wyciągnął się wzdłuż łóżka. Sięgnął po kolejną puszkę piwa z torby papierowej i kazał dziewczynie otworzyć ją. Zrobiła to. Nagle rozległo się stukanie do drzwi.

- Tak? - zapytał Jim z niezadowoleniem. - Kto tam?

- To sekret - dobiegł przymilny, kobiecy głos.

Jim dobrze znał ten ton.

- Dlaczego nie przyjdiesz później. Nie mam nic na sobie - odpowiedział.

- Jim, specjalnie przyszedłam tu do ciebie, a ty mnie nawet nie wpuścisz!

- Teraz, Pam, kochanie, jestem zajęty.

- Jim, wiem, że ktoś jest u ciebie. Wiem, że tak jest! Trudno uwierzyć, ale znów to samo. Jesteś naprawdę niesmaczny!

Jim siedział cicho.

- Jim, mam w piecu wspaniałą pieczeń baranią na kolację, a moje nowe mieszkanie jest...

Jim przerwał:

- No, ale widzisz, jest tu ta głupia mała. Leży właśnie na łóżku z rozłożonymi nogami, a ja nie wiem, co robić.

- Jesteś niesmaczny, Jimie Morrison. Odchodź!

- Ale Pam, kochanie, to twoja siostra, Judy. Nie wariuj!

Jim odwrócił się do dziewczyny, tłumacząc jej, że nie ma innego wyjścia, by mogła uciec.

- A nie możesz wyjść przez okno; do ziemi jest sześć metrów.

Rozejrzał się szybko.

- Wiesz co, może staniesz pod prysznicem.

Pamela znowu krzyknęła:

- Chcę ją zobaczyć, Jim!

Tymczasem z dołu nadeszła pokojówka, krzycząc na Pamelę, że zachowuje się za głośno, że ma się wynosić. Jim włożył spodnie i koszulę i wyszedł z pokoju.

- No i widzisz, kochanie - powiedział, obejmując Pamelę ramieniem. - Wyglupiałem się, nie było tam twojej siostry.

Po czym wyciągnął rękę z pierścionkami.

- Spójrz, to dla ciebie - powiedział. - Dostałem je od jakiejś dziewczyny.

Pamela wybrała pierścionek z turkusem, włożyła go na palec, a inne wrzuciła do kieszeni. Potem wsiedli do jej samochodu i odjechali.

Było to typowe zdarzenie. Jim potrafił okazywać kobietom na zmianę czułość i okrucieństwo w ciągu zaledwie kilku minut. Niektórym wydawał się pieszczotliwym misiem. Wszystkim przyrzekał miłość, ale od wielu, w tym od Pameli, wymagało to dużej tolerancji.

Aby zrekompensować tę przykrość, Jim zaprosił Pamelę na wycieczkę do Las Vegas, razem z Bobem Goverem i jego dziewczyną. Gover był hałaśliwym, czterdziestoletnim mężczyzną, autorem *Studolarowego nieporozumienia* - zabawnej powieści o naiwnym, białym chłopaku z college'u i jego

nieufnej, czarnej, hipisowskiej prostytutce. Ostatnio „New York Times Magazine” zamówił u niego opowiadanie, przedstawiające Jima jako produkt makiawelowskich obłudników z Hollywood. Gdy utrzymywał uparcie, że Jim jest jego własną kreacją, zrezygnowano z opowiadania. Ale przy okazji niedoszły autor i jego literacki bohater zostali przyjaciółmi, dzieląc zamiłowanie do książek, kobiet i alkoholu. Gover mieszkał przed laty w Las Vegas i chciał pokazać je Jimowi od strony nieznaną przez turystów. Widocznie Jim i Pamela kłócili się dalej, bo ostatecznie Jim pojechał do Las Vegas bez niej.

Jim wygramolił się razem z kilkoma kolegami z samochodu Govera. Stał w suchym, pustynnym cieple wieczora i przez chwilę wpatrywał się w szyld nocnego klubu, głoszący: Pussy Cat a Go Go zaprasza na program: „pełny striptiz i złodzieje samochodów”. Jim roześmiał się i ruszył chwiejnym krokiem przez parking. Pił już od popołudnia, a teraz było około dziesiątej. Obejrzał się na resztę towarzystwa i podnosząc palce do ust, zaciągnął się głośno wyimaginowanym skrętem z trawki.

- Chcesz oberwać? - zapytał.

Strażnik parkingu cofnął się o krok niczym porażony, po czym rzucił się przed siebie, sięgając jednocześnie po pałkę.

- Hej, chwileczkę! - jeden z towarzyszy Jima zastąpił napastnikowi drogę.

Strażnik uderzył pałką w najbliższą głowę, odwrócił się i rąbnął z kolei Jima. Ten wydawał się bardziej zaskoczony niż poszkodowany, ale po policzku ściekała mu krew. Strażnik uderzył go powtórnie.

Po chwili zjawiała się policja. Jim i Gover, dwaj z najdłuższymi włosami, znaleźli się na tylnym siedzeniu czarno-białego radiowozu.

- Gnoje - szepnął Jim i ucichł.

- Gnoje - podniósł głos. po czym znowu zamilkł. ' 1

- Świnie - dodał.
- Świnie - powtórzył
- Świńskie gnojki.

Policjanci, siedzący z przodu wozu ignorowali te obelgi, za to Gover próbował uciszyć Jima.

- Daj spokój, człowieku. Oni mogą nam dołożyć, jeżeli tylko zechcą. Wolno im.

- Nie, stary - odpowiedział Jim. - To próba odwagi.

Bobowi zarzucano publiczne pijaństwo, Jimowi to samo plus włóczęgostwo i niemożność wylegitymowania się. Jak zwykle, prócz karty kredytowej nie miał nic w kieszeniach.

- Hej, kogo tam macie? - szydził jeden z policjantów, gdy wprowadzano obu aresztantów. - Czy to parka dziewczynek?

- No patrz, co za włosy. Ho, ho!

- Właściwie te piękne stworzonka powinny się rozebrać. Tylko wtedy będziemy mogli się upewnić, jakiej są płci. Co wy na to?

Jima i Boba rozebrano, a po spisaniu kazano im się ubrać i zaprowadzono ich do celi. Pręty krat sięgały do sufitu, na wysokość sześciu metrów. Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi, Jim wspinał się po nich jak małpa, na samą górę, skąd mógł zaglądać do przyległego pokoju z biurkami policjantów.

- Hej, Bob - zawołał. - Czyż to nie najohydniejsi matkojebcy, jakich widziałeś?

I zaśmiał się swym „Ah- hii- hii- hii- hii!”

Jeden z policjantów podszedł do celi i spojrzał na niego.

- Kończę służbę o północy i wtedy się spotkamy. Tylko ty i ja w pokoju. Do zobaczenia, słodziutki.

Pięć minut przed dwunastą w nocy Jim uszedł przed niechybnym biciem: przyjaciele Boba zapłacili kaucję i więźniowie odzyskali wolność. Jim powrócił do przerwanej zabawy.

To była również typowa scena. W pierwszym miesiącach 1968 roku picie Jima rozrosło się do rozmiarów, które prze-

rażały kolegów. Kontynuując tradycję Dylana Thomasa i Brendana Behana, Jim był już nie tylko pijakiem mitycznym, lecz także codziennym.

Na przyjęciu u piosenkarza Johna Davidsona Jim upił się razem z Janis Joplin. Paul Rothchild pamięta, jak obejmowali się ramionami: „Mr. and Mrs. Rock'n'Roll”. Ale później Jim nagle stał się nieprzyjemny. Chwycił Janis za włosy i wepchnął jej głowę między swoje uda. Kiedy dziewczyna w końcu się uwolniła, pobiegła z płaczem do toalety. Jima zaciągnięto do samochodu. Wówczas Janis zaczęła go gonić. Wpadła do wnętrza wozu i okładała Jima po głowie butelką Southern Comfort. Gdy odjeżdżali, Jim zaśmiewał się z tego.

W Nowym Jorku, w sali Scene, Jim natknął się na stolik z drinkami i w mig wypił wszystko, siedząc Janis na kolanach. A potem, zwabiony muzyką, wszedł, słaniając się na nogach, na scenę i padł na kolana przed Jimim Hendrixem, chwytając go za nogi w pełnym uwielbienia, pijackim uścisku.

Kiedy wrócił do Los Angeles, sprzeczał się w Barney's Beanery ze swym kolegą, Tomem Bakerem. W filmie, zrobionym wspólnie z Andym Warholem, Tom pojawiał się nago, a teraz pokpiwał z Jima, nazywając go „wabichujem”.

- Ja przynajmniej wywiesiłem go całego - mówił.

Jim był pijany, więc natychmiast sięgnął do rozporoka.

- No, to i ja potrafię - chwalił się. - Mogę to zrobić. To jest nic. To nie sztuka.

Na lotnisku Midwestern Jim, znowu pijany, namówił kogoś, by go powoził na wózku bagażowym, z którego od czasu do czasu spadał, dostając przy tym gwałtownych drgawek, jak przy ataku apopleksji. W końcu upadł i nie ruszał się. Leżał omdlały pod ławką, więc Bill Siddons litościwie zasłonił go ręcznym bagażem i kufrem z gitarami.

Jim przyjął swój sukces w sposób typowy dla światka rock and rollowego: zwycięzasz i psujesz się. Miał coraz więcej kochanek, zaczął też wydawać masy pieniędzy - nie na domy

i samochody, lecz na ogromne rachunki w knajpach i wy-smakowane stroje - między innymi kurtkę ze skórek jaszczur-czych i kostium skórzany z nie narodzonego pony za dwa tysiące dwieście dolarów. To drugie ubranie zostało bez wahania wyrzucone do kosza na śmieci na lotnisku, po tym, jak o jedna osoba za dużo wzięła je za focze futerko. Otoczył się też gronem pochlebców, którzy towarzyszyli mu wszędzie, tworząc tak charakterystyczną dla lat sześćdziesiątych otoczkę pop-gwiazdy. Wozili Jima, dokąd tylko zechciał. Prześcigali się w podawaniu mu ognia, gdy z rzadka brał do ust papierosy z filtrem. Biegali po zakupy do sklepu z alkoholami. Sprawadzali do studio nagraniowego rozmaite naćpane *groupies*.

Jim zaczął też kompletować swą pierwszą kompanię prawdziwych pijaków, w której znaleźli się: aktor Tom Baker, niemal nieznany wówczas wokalista Alice Cooper i muzyk z jego zespołu, Glen Buxton. Jim wtedy pił już naprawdę konsekwentnie, choć mogło się wydawać, że nie przywiązuje do tego wagi. Całe dni spędzał w licznych barach, otaczających jego motel. Nigdy nie wchodził do studio bez butelki w rękę.

Alkohol był dla niego panaceum, magicznym balsamem, zaspokajającym wszystkie potrzeby, rozwiązującym problemy. Jim traktował picie jak historyczną powinność. Upijanie się licowało także z żywiołem dionizyjskim, z którym się identyfikował. Było wreszcie mocno osadzone w amerykańskiej tradycji kulturalnej.

Praca nad trzecim albumem była niemal od początku zwariowana. Najpierw w sali prób, a potem i w studio nagraniowym pałętały się gromady postronnych osób. Bruce Botnick wspomina, że pewnej nocy w kabinie wokalnej pojawiła się gruba dziewczyna z uniesioną spódnicą, bez majtek. Mógł każdy, kto chciał.

Wreszcie pewnego wieczoru John rzucił pałeczki i wyszedł. Zrobił to już raz wcześniej, kiedy Jim był zbyt pijany, by

śpiewać na koncercie z okazji rozjeżdżania się do domów studentów uniwersytetu Michigan. Tym razem miało to być ostatecznie.

- Dość tego! - splunął. Mam dość, odchodzę. Tym razem już za wiele tego. Odchodzę!

I wyszedł.

Ray i Robby spojrzeli na siebie, a potem na Jima, leżącego na podłodze w powiększającej się kałuży moczu. Ray wstał ociężale i podszedł do kabiny reżyserskiej. Wzruszył swymi wielkimi ramionami i powiedział:

- Nie wiem...

Następnego dnia praca ruszyła, jak co dzień, z wszystkimi czterema muzykami.

Ray, Robby i John zaczęli dyskretnie radzić się swych znajomych, kogo można by nająć, by roztoczył nad Jimem przyjacielską opiekę. Paul Rothchild zaproponował Bobbiego Neuwirtha, swego przyjaciela, mieszkającego wtedy w Nowym Jorku. Muzycy kiwnęli głowami - tak, słyszeli już o nim.

- Czy on nie był czasem na trasie z Dylanem?

- Nawet więcej - odpowiedział Paul. Neuwirth działał jak katalizator. Projektował scenografię koncertów, był zrównoważony, odpowiedzialny, a przy tym odznaczał się beztroskim usposobieniem. Znał też wszystkich ludzi, których można było znać. „Kogo chcecie poznać - mawiał. - Marlona Brando?” Joan Baez twierdziła, że to on zainspirował Dylana do napisania *Like a Rolling Stone*.

- A więc - ciągnął Paul - on by mu to wybił z głowy raz na zawsze. On może go rozerwać, wciągnąć w kontakt intelektualny, zabawić się z nim, przyzwycząić go pić mniej, działać energiczniej, krócej spać i zjawiać się w porę na koncerty.

Trzej koledzy zgodzili się, że brzmi to zachęcająco, więc Paul zatelefonował do Nowego Jorku, do Jaca Holzmana, by mu obwieścić, że sytuacja pogorszyła się tak zaskakująco, że nie ma żadnej pewności, czy trzecia płyta w ogóle powstanie - o ile

ktos nie zajmie się Jimem. Jac obiecał, że Elektra będzie pokrywać połowę pensji Neuwirtha.

Ponieważ Neuwirth reprezentował typ wszędobylskiego artysty, okazało się, że poznał już kiedyś Jima w Nowym Jorku, toteż teraz nie byli sobie obcy. Ale chcąc, aby pojawienie się Neuwirtha w nowej roli wydawało się czymś naturalnym, Paul przywiózł go ze sobą w marcu, kiedy sam dołączył do zespołu podczas trasy koncertowej. Plan rozszerzył się wówczas o nowy punkt - Bobby miał zrobić film o zespole, miniaturę dokumentalną, która mogłaby być użyta do promocji jednego z nowych singli; tak jak filmy do *Break On Through* i do *Unknown Soldier*.

Jim zdawał sobie oczywiście sprawę z sytuacji. „Nie łudźmy się, że koledzy zrobili to za jego plecami - mówi Bobby Neuwirth. - Nikt nigdy nie zrobił nic za plecami tego kota. Każdy, kto go znał, wie, że on nie był takim durniem. Zawsze wszystko wyczuwał - natychmiast. Ode mnie wymagano, ażebym był - kimś w rodzaju nie narzucającego się szefa, tak? Ale wyszło zupełnie inaczej. Kot był doskonale świadom każdego ruchu, jaki działo się wokół niego". A więc, jak wspomina Bobby - w końcu wyszedł z tego sympatyczny związek. Najpierw próbował nauczyć Jima grać na gitarze, ale Jim nie chciał. Uważał, że to zajmie zbyt wiele czasu. Potem więc robili to, co Bobby umiał najlepiej - włączyli się po knajpach.

„Nie było w tym nic krępującego - mówi Bobby. - Bawiliśmy się dobrze; przecież ja też lubię zimne piwo... no i tequilę. Spójrzmy prawdzie w oczy: z Jimem nie można było porozmawiać inaczej niż przy kieliszku. Zawsze kończyło się przy drinku.

Wkrótce po najęciu Neuwirtha Jac Holzman odwiedził grupę w studio podczas jednej z sesji nagraniowych. Po kryjomu wpuszczono go do kabiny nagrań wokalnych.

- Muszę prosić pana o przysługę - zagadnął go wówczas Robby.

- Tak, Robby?

Krieger wyjął mu, że chcieliby dostać wcześniej należne im honoraria, które miały być im wypłacone dopiero za kilka miesięcy.

- Ile wam potrzeba?

- Nie wiem. Chcemy wykupić się z kontraktu z Salem i Ashem.

O tym posunięciu muzycy dyskutowali od miesięcy. Dann i Bonafede znaleźli im dobrego agenta i solidną firmę reklamową. Ale jednocześnie próbowali dokonać rozłamu w zespole, namawiając Jima, by zostawił kolegów i rozpoczął solową karierę. Poza tym dostarczali mu zbyt wielu butelek za scenę. Chłopcy zwrócili się więc do ojca Robbiego, a następnie do swego adwokata, Maxa Finka.

Jac Holzman od początku nie lubił menadżerów Doors, bo czuł, że wznosili oni ścianę między nim a zespołem. Na przykład kiedy nalegali, by muzycy zmienili numery telefonów i nie podawali ich ludziom z Elektry. Więc teraz chętnie wypłacił im dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, część kwoty gwarantowanej przez sprzedaż płyty. Dann i Bonafede mieli się zadowolić jedną piątą tej sumy.

Doors postanowili powierzyć prowadzenie grupy swemu dawnemu menadżerowi koncertowemu - Billowi Siddonsowi. Bill opuścił ich na początku roku, by wznowić naukę w szkole i dzięki temu uniknąć poboru do wojska. Ale teraz, gdy zaproponowali mu nie określony procent od zysków, lecz stałą pensję w wysokości tysiąca pięciuset dolarów miesięcznie, obliczył, że będzie go stać na rezygnację z tej formy unikania wojska i zaangażowanie dobrego adwokata (który został faktycznie znaleziony i nieco później załatwił zwolnienie z wojska także Robbiemu).

Dziewiętnastoletni Bill był obywatelem kanadyjskim mają-

cym prawo stałego pobytu w Stanach, ale wyglądał jak klasyczny Kalifornijczyk z południa: wysoki, blondyn, o wyraźnej indywidualności, miłośnik surfingu, motocykli, narokotyków i ładnych dziewcząt.

W tych czasach nie było czymś nadzwyczajnym, by człowiek w wieku Billa, z całą naiwnością wiek jego cechującą, został doskonałym menadżerem zespołu rockowego. Członkowie zespołów często zwracali się w kłopotach o pomoc do swych szefów trasy. Poza tym było oczywiste, że muzycy sami będą kierować swą działalnością, podejmując wszystkie istotne decyzje. Natomiast Bill będzie prowadził biuro i pełnił rolę łącznika między nimi a adwokatem, agentami, księgowymi i dziennikarzami.

Nastrój i zachowanie Jima uległy poprawie i cztery koncerty w nowojorskiej sali Fillmore East należały do najlepszych w ostatnim okresie. Bill Graham zdecydowanie oponował przeciw projekcji drastycznego w wyrazie filmu, jaki Doors zrobili do utworu *Unknown Soldier* (Jim został w nim przywiązany do słupa na plaży w Venice i rozstrzelany, z ust tryskała mu krew). W końcu jednak się zgodził.

Młodzież, przeżywająca okres rozkwitu, przyjęła białoczarnego, iryjskiego Morrisona jak postać nie mniej ważną niż Bóg. Oto jak pisarz Kris Weintraub opisał Jima na łamach pisma „Crawdaddy” w lecie 1968 roku:

Podszedł do mikrofonu, uchwycił go prawą ręką, palcami lewej dłoni przytrzymując podstawę, i podniósł głowę, tak, że strumień światła padł mu na twarz. W tym momencie zaczął się świat. Nigdzie nie ma drugiej podobnej twarzy. On jest tak piękny - nawet nie przystojny w zwykłym słowa znaczeniu. Chyba dlatego, patrząc na niego można powiedzieć, że jest Bogiem. Gdyby zechciał umrzeć za nas na krzyżu, wszystko byłoby w porządku, bo on jest Chrystusem.

Inny, bardziej opanowany dziennikarz wspominał w tym samym piśmie:

Cały świat świętuje bez opamiętania, kiedy Morrison, po swej symbolicznej śmierci na filmie, śpiewa z histerią w głosie: „To już minęło! Wojna się skończyła!”

Gdy wyświetlono ten film w Fillmore East, młoda publiczność, dotknięta frustracją antywojenną, wpadła w szal. „Wojna się skończyła” - wrzeszczały nastolatki w sali. Doors zakończyli pieprzoną wojnę. Ten mały utworek, zagrany z uczuciem, porwał widownię. Jimmy razem z kolegami dokonali tego nie pierwszy raz.

Gdy *Unknown Soldier* znalazł się na listach przebojów, pojawił się kolejny problem. Stało się to w Los Angeles, kiedy zespół znalazł się ponownie w studio nagraniowym. Ray podszedł do Vince'a Treanora, menadżera do spraw sprzętu, i poprosił o trochę drobnych na colę z automatu.

- Mówicie o forsie? - powiedział Vince. - A więc, czy nie pora rozejrzeć się za nowym menadżerem?

Myślał oczywiście o sobie. Ray był zaskoczony.

Vince był zdania, że Bill przynosi zespołowi ogromne straty i powiedział to osobno każdemu z muzyków. W końcu cała czwórka zamknęła się z Paulem Rothchildem w kabinie reżyserskiej. Trochę później dołączył do nich Bill, który przeszedł obok Vince'a dumnie, ledwie skinąwszy mu głową. Doors postanowili pracować dalej z Billem. Zgadzała się, że Vince jest geniuszem w dziedzinie elektroniki (kiedyś w gorączkowej sytuacji rozłożył na części, naprawił i złożył z powrotem wzmacniacz gitarowy Robbiego na ciemnej scenie). Byli też przekonani, że trudno byłoby znaleźć kogoś równie przywiązanego do zespołu, jak ten uzdolniony konstruktor organów z Massachussets. Ale czuli, że nie jest to

człowiek o porządnym charakterze. Miał złośliwe usposobienie i był jednym z tych ekscentryków, których zachowanie działa na wielu ludzi odpychająco. Uznali więc, że Vince powinien dostać podwyżkę i awansować z menadżera do spraw sprzętu na szefa trasy. Miał odtąd zarabiać miesięcznie pięćset dolarów zamiast czterystu i dostawać sto dolarów za każdy koncert.

Po rozwiązaniu tego niewielkiego w sumie problemu, muzycy powrócili do rzeczy najważniejszej - do skończenia trzeciej płyty.

A praca nad nią wcale nie szła gładko. Długą kompozycję, zatytułowaną *Celebration of the Lizard* skreślono z repertuaru, pozostawiając tylko jej krótki fragment, nazwany *Not to Touch the Earth*. Pierwsze wersy tego utworu - „Nie dotykać ziemi Nie widzieć słońca” - Jim zaczerpnął ze spisu treści książki *The Golden Bough*. W swej roboczej wersji *Lizard* trwał dwadzieścia cztery minuty i jego wycofanie po wielu godzinach pracy studyjnej oznaczało, że na połowę płyty nie ma materiału.

W tej sytuacji chłopcy sięgnęli do niewielkich resztek swego wczesnego repertuaru i nagrali piosenki napisane przez Jima w Venice, między nimi tę, która miała się stać kolejnym wielkim przebojem: *Hello I Love You*.

Adam Holzman, mały syn Jaca, przypomniał im, że mają ten utwór zarejestrowany na swej dawnej taśmie demo. Nad aranżacjami innych kompozycji pracowano w studio, co pochłonęło wiele kosztownego czasu studyjnego. W jednej z nich, *My Wild Love*, w ogóle zrezygnowano z muzyki i nagrano ją na żywo, zaprosiwszy wszystkich obecnych, by klaskali, tupali i śpiewali w chórkę.

Więcej czasu potrzeba było, by zadowolić perfekcjonistę Paula Rothchilda. Nagranie prawie każdego utworu wymagało co najmniej dwudziestu prób - nota bene wiele podejść było chybionych z winy Jima - zaś *Unknown Soldier*, zarejest-

rowany został w dwóch częściach, po stu trzydziestu próbach. Pracę nad płytą ukończono ostatecznie w maju.

Jim wytrzymał to z determinacją, ale coraz silniej okazywał swą frustrację i znudzenie, lekceważąc swą muzykę i poświęcając się coraz większej liczbie innych, nie muzycznych zajęć. Jednym z nich był film.

Kiedy francuski reżyser, Jean- Luc Godard, przyjechał na Uniwersytet Południowokalifornijski na amerykańską premierę swego filmu *La Chinoise*, Jim zajął miejsce w pierwszym rzędzie. Pisarz Bob Gover, znajomy Jima, pisał akurat scenariusz filmowy i wspólnie z nim zastanawiał się nad obsadzeniem go w filmie. Joan Didion, autorka pochlebnego artykułu o Jimie, zamieszczonego w „Saturday Evening Post”, i jej mąż, pisarz John Gregory Dunne, starali się o prawo ekranizacji książki *Needle Park* i zamierzali powierzyć główne role Jimowi i jego przyjacielowi, Tomowi Bakerowi. Zaś krótki, czarno- biały film dokumentalny Bobbiego Neuwirtha, pod tytułem *Not to Touch the Earth*, rozpowszechniany był jako swego rodzaju prototyp innych, kręconych przez Doors, filmów promujących utwory.

- Pomysł polegał na tym - mówi Bobby - aby Doors nie musieli już więcej jechać na Dick Clark Show czy inne takie rewie. Wysyłałiby tylko swój ostatni film. W ten sposób nikt nie musiałby dźwigać żadnych wzmacniaczy, nikt nie musiałby być trzeźwy.

Film Neuwirtha nigdy jednak nie został wykorzystany. Utworu *Not to Touch the Earth* postanowiono nie wydawać na singlu i w ten sposób Bobby odpadł z kompanii.

Równocześnie z jego odejściem podjęto decyzję o zrobieniu dokumentalnego filmu pełnometrażowego. Czterej muzycy chętnie zgodzili się podzielić koszty między siebie, przekonani, że film będzie inwestycją, która w przyszłości sownie się opłaci. Gdyby wszedł do normalnego rozpowszechniania i zyskał taką popularność jak, na przykład *Don't Look Back*

Boba Dylana, mogliby mieć z tego znaczne zyski. Nawet sprzedanie go telewizji byłoby zadowalającym wyjściem. W każdym zaś wypadku, spodziewano się, że film uwydatni twórczy charakter grupy, podnosząc też jej wartość finansową. Zrobienie filmu przez zespół było w 1968 roku znakomitym posunięciem, a Doors wpadli na ten pomysł jako jedni z pierwszych.

Na zakup kamer, sprzętu oświetleniowego, nagrywającego i montażowego wydano dwadzieścia tysięcy dolarów. Zatrudniono też na pełny etat trzech filmowców. Dwaj z nich byli dawnymi kolegami Jima i Raya ze studiów. Pierwszym był Paul Ferrara, przystojny dżentelmen, przed laty bywalec w środowisku Venice, ostatnio pracujący jako fotograf. Drugim - Frank Lisciandro, nieco ekscentryczny adept zen, odznaczający się miłym głosem, który razem ze swą żoną Kathy, późniejszą sekretarką zespołu, służył przez dwa lata w korpusie pokojowym w Afryce. Trzecim był Babe Hill, jeden z dawnych przyjaciół Paula Ferrary ze studiów, pochodzący z równinnych przedmieść Inglewood, gdzie mieszkał do niedawna z żoną i dwójką dzieci.

Przez następne trzy miesiące ta trójka towarzyszyła zespołowi w wozach po całej południowej Kalifornii - od Disneylandu do Cataliny - a później po całych Stanach, filmując ich przy pracy i na koncertach. Jak wszyscy, którzy znaleźli się w orbicie zespołu, trzej filmowcy byli pod wrażeniem siły osobowości Jima, zafascynowani jego wielkodusznością. Po niedługim czasie stali się jego najbliższymi przyjaciółmi. Zwłaszcza łagodny jak dziecko Babe, któremu otwarta i szczerą akceptacją wszystkich i wszystkiego z miejsca zjednała sympatię Jima. „Nie wiem, czy ten kocur jest głupi czy genialny, ale z pewnością potrafi być szczęśliwym” - powiedział o nim Jim.

W tym czasie Jim zmagał się na nowo ze swą poezją. Podczas, gdy koledzy z zespołu traktowali *The Celebration of*

the Lizard jak kamień u nogi, dopóki utwór ten nie został ostatecznie wyłączony z repertuaru trzeciej płyty, Jim był zadowolony z jego tekstu, w którym widział „czysty dramat”. Powracał w nim wielokrotnie do swych ulubionych motywów takich, jak więzienie, obłąd, sny i śmierć. (Niestety, tylko dwa ze stu trzydziestu trzech wersów tego poematu miały być szerzej zapamiętane: „Jestem Królem Jaszczurów / Wszystko mogę uczynić”). Miał też satysfakcję, kiedy opublikował w czasopiśmie „Eye” artykuł, wygrzebany spośród notatek z czasów studenckich. Był to erudycyjny esej o wyobraźni poetyckiej, wnikliwy i napisany pięknym językiem, lecz tak ezoteryczny, że redakcja dodała od siebie dziesiątki przypisów, wyjaśniających trudne aluzje.

Pamela podarowała Jimowi teczkę z tłoczonej skóry na wiersze, które on starannie i pracowicie przepisywał na czysto, i umówiła go na spotkanie z poetą z San Francisco, Michaeliem McClure. Kiedy Jim powiedział, że chciałby obejrzeć nową, kontrowersyjną sztukę McClure'a, *The Beard*, zadzwoniła do jednego ze starych przyjaciół swej siostry, który był impresariem poety, i dostała od niego bilety na przedstawienie w Los Angeles. Po spektaklu Jim spotkał się z tym piewcą pokolenia beatu, jednym ze swych idoli z czasów licealnych. Spotkanie okazało się obustronnym rozczarowaniem. Michael McClure nie czytał przedtem żadnych wierszy Jima. Ten zaś czuł się przed spotkaniem tak onieśmielony, że przyszedł na nie kompletnie pijany. A jednak, gdy wyszedł chwiejnym krokiem, czuł się podniesiony na duchu. Agent McClure'a, Michael Hamilburg, powiedział mu, że chciałby zapoznać się z jego twórczością i zgodził się z tym, że jego wiersze powinny zostać wydane bez żadnych odniesień do Jima - gwiazdy rocka.

W tym samym czasie Jim był coraz bardziej znużony gwiazdorstwem muzycznym. Na początku razem z Raiem wyobrażał sobie Doors jako inteligentną grupę, oscylującą między teatrem, poezją i świetnie wykonaną, poszukującą

muzyką. Tymczasem było dlań oczywiste, że plany te upadły z winy publiczności, której ogromną większość pociągała tylko sensacyjna postać seks- idola.

Teraz więc zaczął okazywać publiczności pogardę i odwracać się od swych fanów. Przez całe miesiące ignorował widzów, nie poddawał się ich oczekiwaniom i upijał się tak, że koncerty często na tym cierpiały. Na początku lata 1968 roku zachowywał się szokująco arogancko, chcąc w ten sposób odrzucić bezmyślny, nierozumny aplauz, z jakim go przyjmowano.

Dziesiątego maja Doors byli w Chicago. Jim przechodził z szatni na scenę, eskortowany przez oddział chicagowskich policjantów, rozmyślając być może o napisanym w latach studiów referacie na temat erotycznych neuroz u tłumu. Z pewnością to, co nastąpiło później, było zastanawiające; Jim sam to przyznał. W tym okresie zaczynało być w modzie, żeby zespół potrafił spowodować wtargnięcie publiczności na scenę podczas koncertu. Jim chciał się przekonać, czy uda mu się posunąć to o krok dalej - postanowił wywołać rozruchy.

Koledzy z zespołu byli już na scenie i rozpoczynali typową dla Doors, *haunting* przygrywkę. Jim zrzucił koszulę, przesunął ręką po długich włosach i wspiął się na schodki. W sześciu wielkich susach znalazł się na środku sceny, chwycił mikrofon i wrzasnął przeciągle.

Piętnastotysięczna publiczność powitała go wrzawą jak po przemówieniu Hitlera. Zespół zaś w odpowiedzi wykonał po kolei wszystkie swe „zapalne” utwory, poczynając od *Unknown Soldier*. W 1968 roku, gdy nastroje antywojenne gwałtownie przybierały na sile, piosenki o Nieznanym Żołnierzu o mało nie wycofano całkowicie z anteny radiowej, zaś drastyczny film, zrobiony przez Doors z myślą o telewizyjnej promocji utworu, został zatrzymany przez cenzurę. Pomimo to *Unknown Soldier* na singlu wszedł do Top 40, stając się pieśnią wojenną ruchu, który pełni nadziei młodzi ludzie nazywali wówczas Rewolucją.

Jako drugi utwór zagrali *Break On Through* ; po nim *Five to One*. Kiedy Jim wrzasnął: „My chcemy świata i chcemy go już!” w *When the Music's Over*, zebrany tłum wykrzyczał to samo żądanie.

Na tym koncercie Jim dał z siebie wszystko, użył każdej znanej sobie sztuczki: padał i wyskakiwał w górę, tarzał się w niby w agonii, rzucał się na deski sceny z taką siłą, że zranił się w bok, obijał maracasy o uda, opięte w skórzane spodnie, a potem rzucił je w stronę dziewcząt z pierwszych rzędów, rozpiął koszulę i cisnął ją w ślad za maracasami.

Po koncercie były dwa bisy, a po nich Bill Siddons oznajmił: „Doors odjechali; opuścili już budynek”.

Było to takie samo oświadczenie, jak po koncertach Beatlesów i Stonesów. Tłum tupał i wrzeszczał: „Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!...”

Ktoś stanął na balustradzie balkonu, balansując o sześć metrów nad głowami publiczności i szykował się do skoku w dół, w rozkołysany tłum, na twardą posadzkę. Wśród ludzi rozszedł się pomruk, a potem nagła cisza, gdy wszyscy zwrócili głowy ku bezimiennemu nastolatkowi, który odbił się nogami od barierki, trzymając ręce wyciągnięte na boki niczym skrzydła.

Tłum rozdzielił się w miejscu, w które spadał chłopak. Rozległo się głuche uderzenie. Wszyscy wstrzymali oddech, a młodzieniec poderwał się na nogi i przerwał ciszę:

- No i co się gagicie?

Tłum eksplodował i ruszył w stronę sceny. Wlał się na jej skraj, posunął się o trzy metry, został zepchnięty, po czym zaatakował ponownie, dochodząc do instrumentów.

W końcu obsługa techniczna i policjanci burmistrza Daleya, kopiąc i bijąc napastników pałkami, pałeczkami perkusyjnymi, zostawionymi przez Johna i podstawą mikrofonu Jima, wyparli młodzież ze sceny. Jim Morrison zdobył dowód swej teorii.

Dla setek tysięcy, może dla milionów młodych ludzi, Jim był niecierpliwie wyczekiwanym rebeliantem, wymarzoną partnerem seksualnym, Królem Jaszczurów, człowiekiem szalonym i romantycznym. Dla mieszczańskiej Ameryki stanowił publiczne zagrożenie. Był niecenzuralny i impertynencki. To było jego złowieszcze oblicze.

W życiu prywatnym, z przyjaciółmi, odznaczał się prostotą i niewinnością, nieśmiałym sposobem bycia i łagodnym głosem. Ale sam przyznawał, że pociągają go skrajności: „Sądzę, że najistotniejsze są punkty: najwyższy i najniższy. Wszystkie inne są po prostu pośrodku. Pragnę swobody próbowania wszystkiego - przynajmniej raz chciałbym wszystkiego doświadczyć”. Potrafił być niezwykle uprzejmy i grzeczny, imponować erudycją. Przy innych zaś okazjach bywał nawet ordynarny lub, jak wołał to określać, „pierwotny”.

Przede wszystkim jednak Jim Morrison był charyzmatyczny.

Wobec kolegów umiał być uprzedzająco grzeczny, niemal uległy. Jac Holzman wspomina: „Poczytywał sobie za zasadę, by nie urazić nikogo tym, co mówił. Szukał sposobu zgodzenia się z każdym. Tak, jak Japończycy, nie mówił 'nie', tylko 'tak, ale...’ ”. Kiedy nie mógł się z czymś zgodzić podczas wywiadu, mawiał zawsze: „Tak, rozumiem, o co panu chodzi, ale może...” Czasami okazywał współczucie swoim wielbicielom. W Filadelfii, na przykład, dopilnował, by dwóch chłopców, których koledzy zostawili bez grosza, dostało pokój na noc, a w Nowym Jorku rozmawiał zatroskany z chłopcem, który został ranny w czasie koncertu. Innym razem oddał kurtkę napotkanemu na rogu ulicy nastolatkowi, który drżał z zimna w czasie burzy. Jac mówi: „Wydaje mi się, iż wiele jego zachowań wskazywało na to, że lubił pozostawiać ludzi w lekkiej niepewności”. Kiedy chciał, miał maniery bez zarzutu. Umiał też prowadzić pasjonujące dyskusje.

Bywało, że okazywał wielką serdeczność. Doznał jej na przykład mały, ledwie nastoletni chłopak, dla którego Jim był zarazem bohaterem i starszym bratem - Jim zdawał się szczególnie lubić tę drugą rolę. Denny Sullivan zetknął się z zespołem przez jednego z pracowników obsługi technicznej i był tak zachwycony koncertem, na który poszedł, że prosto z niego skierował się do biura Doors w West Hollywood. Być może z powodu wieku - miał tylko trzynaście lat - i niewielkiego wzrostu, nikomu nie przyszło na myśl zatrzymać go. Niedługo później wszyscy z otoczenia grupy wiedzieli, kim jest. Ale również wkrótce później Bill Siddons uznał, że mały za wiele pałęta się między nimi i utrudnia pracę. Kiedy powiedział Denniemu, że ma ograniczyć swe wizyty do minimum, chłopiec był załamany. Ale zaraz potem Jim unieważnił zastrzeżenia Billa, powierzając Denniemu opiekę nad pocztą. Listy od fanów przynoszono w tym okresie całymi torbami. Denny dostawał dziesięć centów za odpowiedź na każdy list.

Jim nie lekcewał swych wielbicieli i był naprawdę przekonany, że Denny będzie spełniał to zadanie z sercem, lepiej, niż robiłaby to etatowa służba, której zatrudnienie rozważano wcześniej. Tak więc Denny zaczął pojawiać się w biurze jeszcze częściej, zaniedbując szkołę na rzecz przebywania z ludźmi, z którymi czuł się najmocniej związany.

W pewne piątkowe popołudnie, wiele tygodni później, Jim zapytał Denniego, bez specjalnej intencji, dlaczego nosi tak krótkie włosy. Chłopak odpowiedział, że rodzice każą mu się strzyc.

- Każą ci? - Jim zmarszczył brwi. - No, to więcej cię do tego nie zmuszą.

- Jak to? Dlaczego?

- Dlatego, że ja tak mówię. Bo im nie pozwolę. Bo od teraz nie musisz robić tego, czego nie chcesz. Nie musisz się strzyc, jeśli sam nie chcesz, jasne?

Jim wycelował palec w pierś chłopca. Wiedział, że jego zdanie zmienia dla chłopca wszystko.

- Więc kiedy następnym razem zaczną o tym gadać, powiedz mi, a ja cię nauczę, jak sobie z nimi poradzić.

Jim wciąż pił niepohamowanie. Nikt nie był w stanie go powstrzymać; wpłynięcie na niego w jakiegokolwiek osobistej kwestii było niepodobieństwem. Poza tym wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że to on spośród członków zespołu poddany jest największym naciskom, więc pozwalali mu pić, ilekroć z kaprysu lub potrzeby sięgał po butelkę. Znalazł się, rzecz można, w takiej sytuacji, że mógł robić i robił wszystko, co zechciał, nie bacząc przy tym, jak bardzo przeszkadza to otoczeniu. Taki tryb życia, jakkolwiek przyjęty nieumyślnie, oczywiście go wyniszczał.

Był coraz bardziej opuchły i zwiotczały. We włosach miał już pierwsze srebrne nitki. Nad paskiem obcisłych, biodrowych spodni skórzanych pojawiła mu się fałda tłuszczu, zaczął więc wypuszczać koszulę na wierzch, by ją ukryć. Kiedy spotkany na ulicy fan powiedział mu, że zaczyna być gruby, zapisał się do klubu zdrowotnego na Beverly Hills, ale wkrótce to zaniedbał.

Co gorsza, Paul Rothchild ostrzegął go, że zaczyna tracić głos. Paul nigdy nie uważał go za wybitnego wokalistę, choć mawiał czasami, że „Jim jest pierwszy do zawodzenia od czasów Sinatry”. Ale, jego zdaniem, „nie miał zmysłu wokalnego. Myślał raczej kategoriami teatru niż śpiewu. A i ten głos, który miał, niszczył pijaństwem”.

Tymczasem sukcesy jeszcze trwały. W pierwszych miesiącach 1968 roku czytelnicy „Village Voice” uznali Jima za wokalistę roku, Doors za najlepszy debiut roku, zaś Ray Manzarek obwołany został trzecim instrumentalistą w kraju, po Ericu Claptonie i Ravi Shankarze. Pierwsza płyta zespołu znalazła się na drugim miejscu, ustępując tylko *Sierżantowi Pepperowi*. Siedmiostronicową rozkładówkę w czasopiśmie

„Life” poświęcono rozważaniom o literackich i muzycznych wartościach utworów Doors, a aresztowanie Jima w New Haven przedstawiono w świetle przychylnym zatrzymanemu. Grupa została też odnotowana w *Who is Who In America*, co w dziedzinie muzyki rockowej było szacownym wyjątkiem.

Ale, jak pisała krytyk Diana Trilling o Marilyn Monroe, fortuna ma zwyczaj odwracania się od gwiazd wcześniej czy później - nazwała to prawem negatywnej kompensacji. Dla Jima nadeszło to w czerwcu, podczas jednego ze spotkań członków zespołu.

Jim zaparkował swój samochód, Shelby GT500 Cobra (zawsze uznawał tylko amerykańskie marki) na parkingu przed barem topless, naprzeciw biura zespołu w West Hollywood. Zauważył, że w sali prób na dole nie ma nikogo, więc powoli wszedł na górę zewnętrznymi schodami i otworzył drzwi na piętrze.

W pierwszym pokoju stały trzy lub cztery zwykłe biurka, stary tapczan, gramofon i maszynka do kawy. W wielkim bałaganie wały się listy od fanów, gazety, czasopisma i płyty. W kącie urządzona była mała łazienka z prysznicem za zasłonką. Na ścianie wisiały złote płyty zespołu - teraz już cztery.

Jim podszedł po cichu do swojego biurka, stojącego w kącie naprzeciw wejścia. Nie odzywał się do obecnych - Billa Siddonsa, sekretarki i muzyków. Rzucił okiem na kilka najciekawszych i najbardziej dziwacznych listów, odkładanych codziennie na jego prośbę, po czym wyciągnął z papierowej torby zimnego hamburgera i ugryzł kawałek. Przeżuwał powoli, tak jak powoli mówił i chodził. Po kilku minutach spojrzął na kolegów i oznajmił, że odchodzi.

- Co?! - wszyscy obrócili się ku niemu.
- No... odchodzę - powtórzył.

Wszyscy naraz zaczęli coś mówić, potem nagle ucichli. Bill zapytał:

- Dlaczego?

- Nie chcę już tego robić. Dawniej chciałem, ale już nie chcę.

Wśród członków zespołu obowiązywała od dawna zasada: gdy nie byli co do czegoś zgodni, co do jakiegoś koncertu, czy utworu, czegokolwiek, wtedy rezygnowali z tego w ogóle. Decydowała jednomyślność. Jim miał tylko jeden głos z czterech, ale nie można go było przegłosować.

Bill i muzycy przekrzykiwali się w przytaczaniu sukcesów, dowodzili, jak wszystko się akurat teraz doskonale układa, a przecież nic ich nie zmusza do robienia jakiejś określonej rzeczy. Mogą pójść w dowolnym kierunku.

- To nie jest to, co chciałbym robić - powtórzył Jim przebijając ręką w stosie listów. Ugryzł następny kęs hamburgera.

Ray podniósł się, podszedł do niego i poprosił go poważnie, z nutą przestrochu w głosie:

- Jeszcze pół roku. Dajmy sobie jeszcze sześć miesięcy.

Nigdy nie jest łatwo wyskoczyć z pędzącego pociągu. Jimowi też się to nie udało. Doors odbywali właśnie próby przed swym najbardziej prestiżowym jak dotąd koncertem - nocą piątego lipca zagrać mieli w Hollywood Bowl. A zaraz po tym olbrzymi Singer Bowl w Nowym Jorku. Zbliżała się data europejskiego tournée; trzeci longplay i singel z utworami z niego stały się jednocześnie przebojami rynku płytowego. Krótko mówiąc, ich sytuacja wyzwalała wewnętrzną siłę, zdolną unosić zespół jeszcze przez całe lata.

W tym czasie mogło się wydawać, że Doors próbują przerosnąć samych siebie. Na koncert w Hollywood Bowl wynajęli trzech dodatkowych kamerzystów, mieli więc w sumie pięciu filmowców. Na scenie spiętrzone w trzydziestometrową konstrukcję pięćdziesiąt dwa wzmacniacze, dające łączną moc sześćdziesięciu tysięcy wat na sam mikrofon wokalny, zdolną pchnąć głos Jima daleko poza amfiteatr, pomiędzy wzgórze Hollywoodu.

Triumfalny aplauz nie miał końca. Koncert, na którym Doors grali jako główny zespół, ustawił ich na równi z Beatlesami, nadał im rangę „amerykańskich Stonesów”. Elektra dostała zamówienia z góry na prawie pół miliona egzemplarzy trzeciej płyty, a w ciągu najbliższych dziesięciu tygodni sprzedano ich 750 tysięcy, co wywindowało album na szczyt listy najlepiej sprzedających się płyt. *Hello I Love You* zajął pierwsze miejsce na liście singli, stając się drugą małą płytą grupy sprzedaną w nakładzie miliona egzemplarzy.

W ciągu pięciu miesięcy przygotowywania albumu kilka razy zmieniano jego tytuł. Początkowo miał się on nazywać *The American Nights*, według pomysłu Jima. Później *The Celebration of the Lizard*, gdy Jim chciał, aby okładka imitowała skórę jaszczurki. Ostatecznie zaś *Waiting for the Sun* - od tytułu utworu, który w końcu nie ukazał się na nim. Na pewnym etapie pracy Jim chciał recytować pomiędzy piosenkami fragmenty wierszy, później zdecydował się wydrukować na kopercie cały tekst *The Celebration of the Lizard* - poematu, który tak długo opierał się próbom połączenia go z muzyką.

Jim wyjaśniał swą fascynację gadami: „Nie zapominajmy, że jaszczur i wąż identyfikowane są z tym, co nieświadome, a także z siłami zła. Jest coś takiego głęboko w pokładach ludzkiej pamięci, co zbliża nas do węży. Nawet, jeżeli nigdy nie widziało się węża. Myślę, że te stworzenia są wcieleniem wszystkiego, czego się boimy”. Jim mówił też, że „zaproszeniem do świata mrocznych sił” był sam poemat, ale nie postać Króla Jaszczurów. „To był w całości żart - utrzymywał. Być może ludzie nie zrozumieli mnie, ale tego nie powinno się brać poważnie. Jeżeli grasz w westernie w roli czarnego charakteru, nie znaczy to wcale, że nim jesteś. To tylko maska wkładana na czas przedstawienia. Naprawdę, nie traktuję tego serio. Przecież było w tym tyle ironii”.

W lipcu Doors znów wyruszyli na trasę - z Hollywood pojechali do Dallas i Houston, potem do Honolulu, wreszcie

do Nowego Jorku. Największym i chyba najbardziej pamiętnym spośród tych występów był koncert zagrany drugiego sierpnia w Singer Bowl, na terenie dawnych Targów Światowych w Nowym Jorku. Co prawda Bill Graham nalegał, by zegrali po raz kolejny w jego Fillmore East, ale scena na wolnym powietrzu w Queens zapewniała im pięciokrotnie liczniejszą publiczność i dawała możliwość wspólnego występu z the Who, brytyjskim zespołem, który właśnie ogłosił zamiar napisania rock- opery. Doors obiecywali sobie, że będzie to ekscytujący, artystyczny wieczór.

- Morrison- Morrison- Morrison- Morrison- Morrison...

Jim wysiadł z czarnej limuzyny. Ekipa operatorów filmowych posuwała się z kamerą przed nim lub za nim. Przechodząc wzdłuż długiego, wijącego się rzędu dziewcząt, Jim wydawał się spokojny i rozluźniony. Gdy wchodził na tyły sceny, otoczył go pluton nowojorskich policjantów.

- Morrison- Morrison- Morrison...

Jego nazwisko stało się zakłębieniem wykrzykiwanym w całej okolicy. Za chwilę, cichy i poważny, pojawił się na schodkach wiodących na scenę. Policjani zajęli miejsca przy krawędzi sceny, a kamerzyści - Paul i Babe - ustawili się za plecami Jima.

Na pogrążonej w ciemności scenie błyszczały tylko kolorowe światełka wzmacniaczy, a na organach Raia żarzyło się kadzidło.

- Morrison- Morrison- Morrison...

Muzycy zegrali początek utworu *Back Door Man*. Jim podbiegł do mikrofonu w chwili, gdy dosięgło go światło punktowego reflektora. Publiczność wpadła w szal, a Jim wypełnił całą salę przeciągłym, boleśnie przeszywającym uszy wrzaskiem. Przez chwilę stał nieruchomo, po czym rzucił się na deski, wijąc się i wierzgając.

Przez następną godzinę był zjawą w bluzie meksykańskiego chłopca i czarnych, skórzanych spodniach. Wirował na jednej nodze, padał niby ścięty bólem, wił się po ziemi, by po chwili

zerwać się na nogi; ścisł się złożonymi rękami za krocze i wyskakiwał przed siebie z przymkniętymi oczami i obrzmiałymi ekstatycznie wargami. Młodzi ludzie z widowni zaczęli atakować scenę niczym żuki, wpadające do rozgrzanego grilla. Napierali na policjantów stojących na skraju sceny, gdzie uformowali kordon niebieskich koszul i granatowych spodni pomiędzy zespołem a rozpaloną publicznością.

Nikt nic nie widział. Jim skręcał się na górze z rękami wepchniętymi między uda. Muzyka pulsowała.

Widzowie wspinali się sobie na ramiona, by wgramolić się na scenę, a policjanci wyłapywali ich i dosłownie ciskali z powrotem w ciemność.

Na stróżów porządku poleciały dziesiątki składanych krzeseł. Wielu widzów było pokaleczonych.

Koncert zakończył się przedwcześnie i nastąpiły Rozruchy Numer Dwa. W szczytowym okresie tej epoki, kiedy rockowe zamieszki zdobywały sobie nieoficjalnie dobrą sławę i wywoływały wielkie nagłówki w gazetach, taki przebieg koncertu mógł tylko podnieść reputację grupy. Przez cały sierpień pęd pociągu wzrastał. Utwór *Hello I Love You* był już czwarty tydzień na pierwszym miejscu w całych Stanach. O Doors pisano w artykule poświęconym teatrowi rockowemu, zamieszczonym na lamach „Vogue”. Krytycy w magazynie „New York” i dzienniku „Los Angeles Times” uznali trzeci album grupy na najlepszy z dotychczasowych.

Czekała na nich Europa.

Utwór *Hello I Love You* był pierwszym wielkim przebojem Doors w Europie i przygotowywał atmosferę ich oszałamiającej, trzytygodniowej wycieczki. Gdy Doors wylądowali w Londynie, ta hipnotyzująca piosenka była już na szczycie list brytyjskich. Na lotnisku witały ich setki fanów i ekipa Granada TV, mająca filmować nie tylko ich przejście przez komorę celną, lecz także pierwszy z czterech koncertów w Roundhouse.

W Europie czekano na Doors i chłopcy wiedzieli o tym. Roundhouse był niewielkim teatrem, liczącym tylko dwa i pół tysiąca miejsc. Doors przyzwyczaili się już grać dla większej publiczności. Kontrakt przewidywał cztery koncerty w ciągu dwóch wieczorów; dziesięć tysięcy biletów dawno sprzedano. Tymczasem na zewnątrz zgromadziły się następne tysiące, z nadzieją, że może uchwycą choć cień atmosfery panującej w środku. Prezenter John Peel napisał w piśmie „Melody Maker”: „Anglia przyjęła Doors równie gorąco, jak Ameryka naszych Beatlesów”.

Występy w Roundhouse były nieopisanym sukcesem. Publiczność reagowała gorąco, a zespół był w swej najlepszej formie. W atmosferze niewielkiej sali Jim zachowywał się w sposób bardziej teatralny niż zwykle. Po każdym koncercie widownia domagała się wielokrotnych bisów. Prasa brytyjska zupełnie zignorowała koncerty Jefferson Airplane w pierwszej części programu, poświęcając całą uwagę „amerykańskim królom acid- rocka.” Dziesięć tysięcy szczęśliwców opowiedziało swe wrażenia tłumom innych, a Granada TV pokazała nieobecny, co ich ominęło. Sława Doors w Londynie sięgnęła rozmiarów legendy po ich jedynym, i to zaledwie tygodniowym, pobycie w tym mieście.

Morrison spotkał się z Anglią i triumf Jankesów nie uległ kwestii. Teraz dalej - do Kopenhagi, Frankfurtu i Amsterdamu!

Jedyny większy problem w czasie tournée wynikł w Amsterdamie. Jeszcze we Frankfurcie Jim dostał od kogoś kawałek haszyszu wielkości połowy kciuka. Gdy nazajutrz chłopcy wysiedli z samolotu w Amsterdamie i podchodzili do odprawy, Bill Siddons zapytał:

- Ktoś coś ma?
- Tak, ja mam ten hasz - mruknął Jim.

Wszyscy inni byli czysti.

- No, to pozbądź się go.

Więc Jim pozbył się - przeżuł go i połknął. Przedtem w samolocie pił dosyć dużo, a później podczas lunchu z organizatorami koncertu w Amsterdamie wypił jeszcze więcej, po czym wyruszył na zwiedzanie słynnej „dzielnicy pod czerwonymi latarniami”. Siddons polecił komuś z obsługi trasy:

- Idź za nim i zadbaj o to, by wrócił w porę na koncert.

Jim pił dalej przez całe popołudnie i wczesny wieczór. W międzyczasie dostał od jednego z fanów kolejny kawałek haszyszu, który natychmiast połknął. Około dziewiątej wyznaczony opiekun zaciągnął go do taksówki.

Doors znów występowali poprzedzani przez Jefferson Airplane. Jim zjawił się na tyłach sceny w połowie koncertu Jefferson, wybiegł nagle w krąg światła w chwili, gdy grali znany utwór i próbował śpiewać, tańczyć i wirować dookoła, zataczając się w zamroczeniu.

Do dziś nie wiadomo dokładnie, co się później stało - świadkowie nie są co do tego zgodni. Jedni opowiadają, że Jim upadł gdzieś koło skrzydeł i został zniesiony ze sceny. Inni utrzymują, że ktoś wyprowadził go do szatni swego zespołu, gdzie siedział na stołeczku przy pianinie, bliski śpiączki, z opadającą głową i pustymi, uciekającymi oczami. Koledzy gorączkowo naradzali się, co robić.

Posłano na scenę prośbę do Airplane, by przedłużyli swój występ. Następnie ekipom technicznym obydwu zespołów polecono, by zużyły jak najwięcej czasu, wynosząc sprzęt Jefferson i instalując Doors. Za sceną zapadła tymczasem decyzja: Vince Treanor ogłosił, że Morrison nagle zachorował, lecz pozostała trójka zamierza pomimo to zagrać.

- I powiedz im, że wszyscy, którzy chcą, mogą natychmiast dostać zwrot pieniędzy - dodał Bill Siddons.

Nagle Jim zsunął się z krzeselka na podłogę, jakby go ktoś po cichu, dyskretnie udusił. Bill podskoczył ku niemu, wydo-

był z kieszeni małe lusterko i przyłożył mu je do ust, wypatrując mgiełki życia.

- Odsunąć się! - krzyknął do obecnych. - Nie widzę, czy oddycha. Odsunąć się, do cholery!

Stał pochylony nad ciałem Jima, wpatrując się w lusterko. Twarz leżącego miała kolor starej kości słoniowej, oddech był ledwie dostrzegalny. Lekarz, który przedarł się przez publiczność, po krótkich oględzinach oświadczył:

- Monsieur doznał zapaści.

Te słowa przerwały zapatrzenie. Jima natychmiast zabrano do szpitala; bezruch wywołany przerażeniem przerodził się w furję. Trzej muzycy z Doors byli tak wściekli na Jima, że zagrali ten koncert, z Raïem w roli wokalisty, tak jak gdyby od początku stanowili trio.

Nazajutrz okazało się, że Jima nie zawiodła jego niezwykła zdolność do regeneracji - miał już nawet kolory na policzkach.

- Powiniście byli słyszeć, co doktor mówił mi dziś rano -powitał odwiedzających go kolegów. Zapytał mnie, jak to się stało. Odpowiedziałem, że chyba musiałem być przemęczony, a on dał mi półgodzinny wykład o niebezpieczeństwach pracy w businessie muzycznym i ostrzegwał mnie, bym uważał na pazernych menadżerów, którzy wyzyskują talent.

Bill i trzej koledzy patrzyli na niego, a on uśmiechał się nieśmiało.

ROZDZIAŁ

7

Na czas wojaży zespołu po kontynencie Pamela została w Londynie. Mieszkała w kosztownym apartamencie, który znalazła w drogiej, modnej dzielnicy Belgravia. Przez pierwsze dni chodziła po mieście razem z Jimem; spacerowali po Soho, wzdłuż Carnaby i Oxford Street. Pamela kupowała ciuchy. Szóstego października oglądali program stacji telewizyjnej Granada *The Doors Are Open*, przedstawiający Jima w kontekście kontestacji, a koncert w Roundhouse - przeplatany doniesieniami filmowymi o zjeździe demokratów w Chicago i o niedawnej demonstracji pod ambasadą amerykańską w Londynie. Aluzje były czytelne, ale Jim uznał, że zespół i tak wypadł zupełnie dobrze.

W tydzień później dołączył do nich poeta Michael McClure, który przyjechał do Londynu, by spotkać się z Elliotem Kastnerem, amerykańskim producentem filmowym, przebywającym na emigracji w Anglii. Kastner chciał obsadzić Jima w roli Biliego Kida w filmowej adaptacji sztuki Michaela, *The Beard*. Jim i Michael szybko zapomnieli o swej dawnej

niezręczności i w ciągu w.*.lu dni spędzonych na dyskusjach i piciu zaprzyjaźnili się ze sobą. Dla Jima, Michaela i Pameli upicie się było nakazem wielkiej tradycji poetyckiej, więc już pierwszej nocy, po kielichu, próbowali nadaremnie złapać taksówkę i wybrać się w ośmiogodzinną podróż na północ, do Krainy Jezior, ojczyzny Lamba, Scotta, Wordswortha i Coleridge'a. Za każdym razem zatrzymywał ich ten sam policjant patrolujący okolicę, który wreszcie, o czwartej rano, zagroził, że zamknie ich, jeżeli jeszcze raz wyjdą z mieszkania.

Nazajutrz Michael obudził się z kacem „tak strasznym jak po przedawkowaniu meskaliny” i z beczynności zaczął czytać wiersze Jima, które znalazł na stole. Słyszał już o nich wcześniej, ale nigdy nie czytał żadnego z nich. Wywarły na nim ogromne wrażenie. Już przedtem zaczął sobie wyobrażać, że Jim jest wcieleniem w ludzką postać shelleyowskiego Alastora, androgenicznego pół-człowieka, pół-ducha, mieszkającego w lasach, bytującego w sferze intelektu i piękna. Wiersze, które przeczytał przed śniadaniem - niektóre z nich miały być później wydane jako *The Nezc Creatures* - w niczym nie zakłóciły mu tej wizji.

Kiedy Jim zjawił się na śniadanie, Michael powitał go stwierdzeniem, że jego zdaniem te wiersze powinny zostać opublikowane. Gniew Jima na Pamelę, która zostawiła je rozłożone na stole, złagodniał pod wpływem pochwały poety. Jim zapytał go, co sądziłby o wydaniu poezji prywatnie.

„Odpowiedziałem, że jeżeli by je wydać, kierując się ich praw^Tdziwą wartością, byłoby to czymś innym niż próżnym publikowaniem się - mówi McClure. Jim nie pragnął rozgłosu jako poeta, ponieważ był Jimem Morrisonem, gwiazdą rockową. Swą poezję chciał wyraźnie od tego odzielić. Powiedziałem mu, że także Shelley w^Tydawał swoje wiersze prywatnie, że Lorca chyba w ten sposób ogłosił swe pierwsze dzieło. Ja sam też to robiłem”.

Rozmowy o poezji, przeplatane piciem, trwały dwa lub trzy dni. Jim tłumaczył, że dedykował swoje wiersze Pamelii, bo ona jest ich wydawcą.

- Przegląda je i wykreśla wszystkie „gówna” i „pierdolenia” - powiedział z uśmiechem.

Michael spojrzął nań i rzekł:

- Żona Marka Twaina robiła dokładnie to samo.

Potem zaś przeglądał kartki z wierszami i komentował:

- Czy znasz wiersz Williama Carlosa Williamsa, *The Red Wheelbarrow*? To jedno z wielkich dzieł obiektywizmu. Ma wiele wspólnego z twoim wierszem o Ensenadzie. On przypomina mi *The Red Wheelbarrow* swoją przestrzenią i konkretnością, choć w technice jest impresjonistyczny. Przesuwa się jak film, jak niemy film.

W pierwszym tygodniu po powrocie do Los Angeles Jim udał się do biura Mike'a Hamilburga, impresaria literackiego Michaela. Wziął ze sobą czterdzieści dwie strony wierszy i dwadzieścia fotografii, zrobionych podczas wycieczki do Meksyku. Razem tworzyło to *New Creatures*. Miał też przy sobie długi poemat zatytułowany *Dry Water*. Hamilburg, zapoznawszy się z tym materiałem, był pełen entuzjazmu i zgodził się, że należy ochłodzić obraz Jima - gwiazdy rockowej. Przed końcem października tomik *The New Creatures* znalazł się na warsztacie redaktorskim w wydawnictwie Random House w Nowym Jorku, a Jim planował wydanie go prywatnie w Los Angeles.

W tym samym czasie sprawa dokumentacji filmowej znalazła się w martwym punkcie. Wydano już prawie trzydzieści tysięcy dolarów i wszyscy prócz Jima chcieli zrezygnować z dalszych prób. Montaż był daleki od ukończenia, nie sfilmowano też jeszcze żadnej z planowanych sekwencji fabularnych. Wreszcie doszło do kompromisu. Zarzucono dalsze projekty, Paul Ferrara i Frank Lisciandro zgodzili się pra-

cować bez wynagrodzenia, a muzycy postanowili wyłożyć jeszcze trzy do czterech tysięcy dolarów, potrzebnych do ukończenia montażu. Mieli nadzieję, że gotowy film uda im się sprzedać telewizji.

W ostatnich dniach października Jim zniknął w studio montażowym - małym pokoiku, usytuowanym za salą prób w biurze zespołu. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, stały puszki z kliszami filmowymi, a do tablicy z notatkami przypięte były kartki z propozycjami tytułu filmu, w większości zaczerpniętymi z tekstów Jima. Johnowi Densmore'owi najbardziej podobało się *Mute Nostril Agony*, ale ostatecznie wybrano sugestię Raya: *Feast of Friends*, czyli „Święto Przyjaciół”, wers z *When the Music's Over*. Jim usiadł przy Movioli i zrobił wiele proponowanych cięć montażowych, zestawiając je od razu w próbną sekwencję, ale wszystkie ostateczne decyzje pozostawiał Paulowi i Frankowi. „Jim doskonale zdawał sobie sprawę, że film nie powstaje na jakimś jednym, określonym etapie - mówi Frank - lecz wyłania się drogą specyficznej ewolucji, że wszystkie stadia jego kształtowania sumują się i składają na końcowy produkt. Był niezmiernie pochłonięty procesem montażu filmu”.

Podczas przeglądania tych taśm Jim odkrył rzecz dla siebie zaskakującą. Babe, Frank i Paul dawali z siebie wszystko w czasie koncertu Doors w nowojorskim Singer Bowl, aby utrwalić jego burzliwą atmosferę. Pokazać, jak Jim miota się po scenie, a zaledwie o kilka metrów od niego policjanci podnoszą do góry kilkunastoletnich chłopców i rzucają ich z powrotem w tłum. „Kiedy po raz pierwszy obejrzałem ten film, byłem zdumiony - powiedział później Jim - bo, stojąc na scenie, jako jedna z głównych postaci filmu, patrzyłem na to wszystko tylko ze swojego punktu widzenia. A tutaj, kiedy zobaczyłem serię zdarzeń, nad którymi, jak sądziłem, w pewien sposób panuję... gdy ujrzałem, jak to się naprawdę działo., uświadomiłem sobie, że byłem tam po prostu

kukiełką, poruszaną przez wiele sił, o których prawie nie mam pojęcia".

Chociaż Jim był tak zaskoczony chaosem i przemocą, jakie wzniecał na koncertach, pierwszego listopada Doors rozpoczęły najbardziej obfitującą w rozruchy trasę koncertową w swej karierze. Wynajęli na nią czterech największych goryli z Agencji Detektywistycznej Parkera, zatrudniającej uprzejmych, ciemnoskórych dżentelmenów, z których każdy ważył przynajmniej sto dziesięć kilogramów i posiadał prawo noszenia broni.

Koncerty w Milwaukee i Columbus pierwszego i drugiego listopada przebiegły normalnie. Jediną ich cechą godną odnotowania było to, że Jim śpiewał więcej utworów bluesowych, a mniej własnych, podobnie, jak podczas niektórych występów w Europie. Ale osiem następných dni pociągnęło za sobą zamieszki, rannych i aresztowania w Chicago, Cleveland, St. Louis i Phoenix.

W nagłówku na pierwszej stronie „Phoenix Gazette” pisano: „Zamieszki w Coliseum”, a w artykule poniżej: „Odbywające się w Coliseum Targi Stanowe przerodziły się wczoraj wieczorem w bitwę między młodzieżą a policją. Winę za to ponosi zespół Doors, zapewne najbardziej kontrowersyjna grupa na świecie. Wokalista Jim Morrison pojawił się na scenie w starych lachach i zachowywał się wulgarnie. Rzesza dzieciaków witała aplauzem błazeństwa Morrisona, który obrzucał widownię różnymi przedmiotami, przeklinał i wykonywał nieprzyzwoite gesty”. Aresztowano ponad dwadzieścia osób.

Jim, zapytany o to, jak czuł się w atmosferze zamętu w sali koncertowej, odpowiadał dwuznacznie. „To była kupa świetnej zabawy... bardzo przyjemnej - powiedział jednemu z dziennikarzy. - My mieliśmy z tego zabawę, dzieciaki miały zabawę, gliny też miały zabawę. To taki dziwaczny trójkąt. Spójrzmy na to logicznie: gdyby nie było tam policjantów, czy

ktokolwiek atakowałby scenę? No, bo po co ci ludzie chcą się tam dostać? Kiedy już znajdują się na scenie, zachowują się bardzo spokojnie. Nie robią nic więcej. Jedyłą podniętą do naporu na scenę jest zagrodzona droga. Jestem o tym przekonany. To bardzo interesujące - bo oto dzieciaki mają okazję wypróbować gliniarzy. Policjantów widzi się codziennie, spacerujących w mundurach, z rewolwerami, i każdy jest ciekaw, co by się stało, gdyby ich tak zaatakować. Wydaje mi się, że to dobrze, to daje dzieciakom szansę zmierzenia się z władzą".

Innemu dziennikarzowi wyznał: „Kilkakrotnie próbowałem wznieść niewielkie zamieszki i po tych paru razach zrozumiałem, że to bzdura. Wkrótce doszło do tego, że ludzie uważali koncert za nieudany, jeżeli cała publiczność nie zerwała się z miejsc i nie poganiała po sali. A to absurd, bo to do niczego nie prowadzi. Myślę, że lepiej byłoby zagrać koncert, utrzymując tę energię wewnątrz ludzi. Tak, żeby zabrali ją ze sobą, wychodząc na ulicę i wracając do domów".

Ale w tym czasie publiczność była już nauczona, czego należy oczekiwać od koncertu Doors: zamieszek i transcendencji. Gdyby nie to, miałyby naprawdę okazję urzucić Króla Jaszczurów, zachowującego się tak, jak niewielu potrafiło. Był tak naćpany, gdy potykając się spadał ze sceny, tak pijany, gdy krzykiem zastępował zapomniane wersy utworów, tak wysoko wdrapywał się na wzmacniacze, by następnie z nich spadać i nie móc wstać. Doors dawali show - rewelacyjny show, jakiego nie był w stanie stworzyć nikt inny.

Cały zespół ciężko pracował, by stanąć na poziomie oczekiwań ludzi. Byli, bezdyskusyjnie, najbardziej dramatyczną grupą na widnokręgu. A wśród swej publiczności mieli zarówno hipisowskie środowisko undergroundu jak i kilkunastoletnich kontestatorów. Morrison umiał porwać jednych i drugich i z widzów spektaklu uczynić jego bezpośrednich uczestników.

Ale im bardziej uświadamiał sobie, że tak nastawieni ludzie nie zwracają uwagi na muzykę i słowa, tym silniejszą frustrację okazywał na scenie i poza nią. Zaczynał też czuć się przytłoczony brzemieniem oczekiwań widowni. Nie miał trudności z porwaniem jej na początku kariery zespołu, kiedy ludzie przychodzili na koncerty otwarci na to, co nastąpi. Ale ostatnio publiczności nie satysfakcjonowało już nic innego, jak to, o czym słyszała, co, jak uważała, ma przyobiecane. Cóż więc robić w takiej sytuacji?

Doors wyrosli ponad życie. Ich stosunki z publicznością stawały się z koncertu na koncert coraz bardziej nienormalne. Jim nie tylko nie czuł się wart uwielbienia, jakie mu okazywano, ale i nie miał pomysłu, co poradzić na zaistniałą sytuację. Jego pogardę odebrano jedynie jako dodatkową atrakcję. Być może - rozmyślał - właściwym wyjściem byłoby przestać akceptować wizerunek siebie, stworzony przez ludzi. Nie było to bezpośrednim rozwiązaniem, ale, być może, mógłby dojść do tego stopniowo i po pewnym czasie obniżyć oczekiwania publiczności. A nawet, co niewykluźzone, radykalnie poprawić swoje stosunki z nią.

Na początku grudnia, po pierwszym od ponad roku występie zespołu w programie telewizyjnym The Smothers Brothers Show, Jim poszedł do baru Troubadour, gdzie, upiwszy się tak, że prawie nie mógł chodzić, namówił jedną z kelnerek, aby wyszła razem z nim. Gdy podchodził z nią do samochodu, nazywanego Blue Lady, zaczęło go dwóch pederastów.

- Źle trafiliście, chłopcy - powiedział krótko.

Zboczeńcy poszli jednak za nim i wpakowali mu się do samochodu. Jim ruszył ostro, dociskając pedał gazu do oporu i wyjechał na Doheny Drive. Znalazł się po niewłaściwej stronie jezdni; pędził jak szalony. Przed sobą zobaczył drzewo. Rozległy się krzyki, pisk opon, klaksony, wreszcie samochód

zatrzymał się, uderzywszy w krawężnik. Drzwi otworzyły się. Pasażerowie wypadli na zewnątrz, nie robiąc sobie krzywdy, a Jim pognął dalej, w noc.

Kelnerka pobiegła z powrotem do baru, by złapać taksówkę. Po chwili Jim pojawił się na nowo, krzycząc na nią, by wsiadła razem z nim do jego samochodu. Dziewczyna sprzeciwiała się. Mówiła mu, że jest za dużo szalony, więc w końcu odjechał sam, by zakończyć swój rajd o kilometr dalej, uderzając swą Blue Lady w drzewo na Sunset Boulevard. Odwieziono go do motelu, nieprzytomnego, ale poza tym nawet nie drażniętego.

W pół godziny później, gdy zadzwoniła tam kelnerka z baru Troubadour, błagał ją, by przyszła do niego. Pobiegła więc i gdy znalazła się w jego pokoju, Jim zaczął szlochać.

- Ja nie chcę nikogo zranić - mówił. - Nie chcę zrobić nikomu krzywdy...

Dziewczyna pytała go, o co mu chodzi. On jednak wciąż płakał, powtarzając:

- Ja nie chcę nikogo zranić. Ja nie chcę...

Nikt nie był ranny i tylko w kilka dni później oddano samochód do naprawy do warsztatu na Beverly Hills.

W następnym tygodniu, w piątek 13 grudnia, Doors wystąpili u siebie po raz pierwszy od czasu koncertu w Hollywood Bowl. Grali jako główny zespół w sali Forum, liczącej osiemnaście tysięcy miejsc. Po południu przed koncertem nagrywali pierwsze utwory na czwartą płytę i Jim wyszedł ze studia Elektry na parę godzin przed tym, zanim przysłano po niego samochód. Razem ze swym bratem, Andym, który miał teraz dziewiętnaście lat i przyjechał w odwiedziny z San Diego, poszedł do pobliskiego sklepu z alkoholami i kupił sześć butelek piwa i pół litra wódki. Wszystko to wypił, wracając na parking przed studiem Elektry, zaś kolejne puste butelki tłukł o ściany.

Promotor imprezy znakomicie wywiązał się ze swego zadania, dbając o kampanię reklamową. W telewizji już od kilku tygodni pokazywano Jima Morrisona, odzianego w skóry migocące brylancikami. Zapowiadające koncert plakaty pokryły Los Angeles od nadmorskich przedmieść aż po West Hollywood. We wszystkich rockowych programach radia zachłystywano się wiadomością: Doors wrócili! Sala była wypełniona. Z koncertem wiązano wielkie oczekiwania.

Publiczność zignorowała pierwszą część koncertu. Rozmawiała przy popisach chińskich muzyków folkowych, umieszczonych w programie przez Raya (zebrał on więcej oklasków, zapowiadając ich występ, niż oni sami swą grą). Gwizdała na Jerriego Lee Lewisa, ilekroć zaśpiewał piosenkę country. A kiedy pojawili się Doors, przy każdej okazji domagała się *Light My Fire*. Ktoś rzucił na scenę cały pęk ogni sztucznych, ledwie chybiając Jima. Jim podszedł do skraju sceny.

- Hej! - krzyknął do tłumu, a jego głos zagrzmiął przez trzydzieści dwa olbrzymie, nowe wzmacniacze, zbudowane przez Vince'a.

- Skończcie z tym cholernym rykiem!

Publiczność, rozemocjonowana, szumiała głośno.

- Zamknijcie mordy!

Odpowiedzią była mieszanina entuzjazmu, śmiechu i pojedynczych okrzyków: „all right”.

- Co wy tu robicie? - zapytał Jim. - Dlaczego tu przyszliście dziś wieczorem?

Nie było odpowiedzi. Tego się nie spodziewali i Jim o tym wiedział.

- Więc słuchajcie: możemy grać muzykę przez całą noc, ale to nie jest to, na co naprawdę czekacie, prawda? Chcecie jeszcze czegoś. Chcecie czegoś więcej, czegoś większego niż kiedykolwiek widzieliście, tak?

Ryk entuzjazmu na widowni.

- No, to pierdolcie się. My przyszliśmy grać muzykę.

Zespół zaczął grać *Celebration of the Lizard*. Cichy, ponury początek utworu zachęcał do głośnych rozmów, a jednak wszyscy milczeli. Gdy muzycy zagłębili się w dalsze części utworu, publiczność uważnie słuchała. Koncert był bez zarzutu - słowa płynęły wyraźnie, z naciskiem, z nowym, nieznanym uczuciem. Jim nie tańczył. Nie wyskakiwał w górę. Nie krzyknął ani razu. Kiedy przestał potrząsać maracasami, powiesił je na podstawach bębnów. Utwór trwał prawie czterdzieści minut, a gdy dobiegł końca, publiczność siedziała nieruchomo. Żadnego zamieszania, żadnych owacji, ledwie rzadkie oklaski. Muzycy nie kłaniali się, nie machali na pożegnanie, lecz po cichu zeszli ze sceny i przemknęli do szatni. Tłum był jak skamieniały. Potem powoli zaczął topnieć - pojedyncze postaci wychodziły z ogromnej sali i znikaly w nocy.

Jima i Pameli nie wpuszczono po koncercie na przyjęcie dla prasy, bo strażnicy ich nie poznali, a w spisie zaproszonych osób nie figurowały ich nazwiska. Wbrew obawom Pameli, Jim nie wszczął awantury. Przeciwnie, obrócił tę sytuację w prześmiewki z biurokracji.

- Ale ja mam przyjaciół na wysokich stanowiskach - droczył się ze strażą.

- Nasza odpowiedź jest bez zmian: państwo nie wejdą.

Wkrótce zostali rozpoznani i uroczyście wprowadzeni do środka, gdzie natychmiast otoczyła ich gromada zebranych.

Po przyjęciu Jim, jego brat i Pamela rozgrywali puszką po piwie mecz na wielkim, cichym i pustym parkingu przed Forum.

Bill Graham przez wiele miesięcy próbował na nowo sprowadzić Doors do nowojorskiej sali Fillmore East, ale Bill Siddons stale odmawiał. Tłumaczył, że gdy zespół przyjedzie następnym razem na wschodnie wybrzeże, wystąpi raczej w Madison Square Garden - sali o dwudziestu tysiącach

miejsce, która z racji swej sławy i rozmiarów była najbardziej prestiżową i dochodową w Nowym Jorku.

- To było nie za twojej pamięci, Bill - powiedział na to Graham - ale to ja jako jedyny zaprosiłem Doors do Fillmore w San Francisco. Kiedy nie mieli jeszcze żadnego przeboju, ja dałem im pierwszą szansę.

- Tak, zgadza się - odciął się Siddons. - I zdaje mi się, że zapłaciłeś im trzysta pięćdziesiąt dolarów.

- Słuchaj, ty mały gówniarzu...

Oczywiście rozmowa skończyła się nieprzyjemnie i Siddons postarał się, aby szefem organizacji koncertów w Madison Square Garden był ktoś inny niż Graham. Doors jako pierwszy zespół awansowali od sieci Fillmore'ów do Garden i, jak sądził Siddons, Graham mógłby chcieć się tam znaleźć.

- W tak wielkich salach nie ma się żadnego kontaktu z publicznością - powiedział Graham na odchodnym. - Nie mów mi o wibrafonach w fabryce cementu. Cieszę się, że chłopcom powodzi się tak dobrze, ale powiedz im, że moim zdaniem granie w takich hangarach zaszkodzi ich interesom.

W połowie stycznia 1969 roku Doors przeżywali rzeczywiście okres powodzenia. Byli naprawdę „amerykańskimi Beatlesami”, zespołem numer jeden w Stanach. Odmawiali już występów w salach, mieszczących mniej niż dziesięć tysięcy wiernych fanów, a za każdy koncert żądali 35 tysięcy dolarów lub 60 procent zysku, zależnie od tego, która suma była wyższa. Ich najnowszy singel, *Touch Me*, zdumiewająco tradycyjna piosenka o miłości, napisana przez Robbiego, miała się wkrótce stać kolejną płytą sprzedaną w nakładzie miliona egzemplarzy. Aby odtworzyć jej brzmienie na koncertach w Nowym Jorku, wynajęto na trasę basistę i saksofonistę jazzowego oraz wielu skrzypków z Filharmonii Nowojorskiej. W plebiscycie czytelników, zamieszczonym w styczniowym numerze magazynu „Eye”, Doors zostali uznani za najlepszy zespół, a Jima obwołano „najbardziej seksownym mężczyzną rock and rolla”.

Nazajutrz po wspaniałym koncercie w Madison Square Garden Jim wydał przyjęcie w swym apartamencie w hotelu Plaza. Jego wąsaty sekretarz z ramienia Elektry, David Anderle, przedstawił go osobie, z którą spotkanie, jak sądził, powinno mu się spodobać - /. sympatyczną, malutką blondynką z nowojorskiego biura Elektry, Diane Gardiner. Diana była atrakcyjną, miłą, dwudziestoletnią dziewczyną, absolwentką college'u, pochodzącą z Kalifornii. Pomagała w sprawach reklamy wielu znanym grupom, takim jak Cream, Bee Gees i Jefferson Airplane, ale muzycy Doors, zwłaszcza zaś Jim Morrison, drażnili ją. Jim właśnie zaczynał być pijany i opowiadał krępujące dowcipy.

- Jaka jest różnica - pytał - pomiędzy bystrym karzełkiem, a chorobą weneryczną?

Wszyscy obecni spuszczaali wzrok na podłogę.

- No, pierwsze, to po prostu chytry skrzat...

Diane poprosiła Jima na chwilę do sypialni. Powiedziała, że powinien pilnie do kogoś zadzwonić.

Gdy znaleźli się sami, zaczęła:

- Teraz zastanów się, Jim. Jesteś świetny w spotkaniach z prasą, w towarzystwie, ale poza tym... do cholery, ty się staczasz, i... ja miałam za zadanie to poprowadzić, ale to nieważne. Mogę stracić pracę... po prostu pójdę tam do nich i powiem, że zadzwoniłeś do kogoś i musisz natychmiast się z nim spotkać, musisz gdzieś jechać. Ty wyjdiesz, a ja tu zostanę i usprawiedliwię cię.

Diane spojrzała na Jima, który się nie odezwał.

- Niech to diabli, próbuję ci pomóc, odpowiedz mi... proszę cię, Jim.

Jim miał na sobie ten sam strój, co poprzedniej nocy, podczas koncertu w Madison Square Garden - meksykańską bluzę z surowego płótna, czarne, skórzane spodnie i czarne buty. Stał przy drzwiach sypialni, lewą ręką swobodnie oparty o futrynę, z wysuniętym zmysłowo biodrem i z kieliszkiem

bourbona w prawej ręce. Uśmiechnął się krzywym, chłopcym uśmiechem i wyciągnął się na plecach na łóżku. Spojrzał w zatroskaną twarz Diane.

- Chcę cię zerznąć - powiedział.

Jedną rękę trzymał pod głową, drugą, z kieliszkiem, położył sobie w kroku.

Dobrze, Jim, jasne - Diane nerwowo wyszła z pokoju.

Popołudnie przeszło w nowojorski zmierzch. Wypito ogromne ilości alkoholu, zjedzono ciasteczka czekoladowe z haszyszem, przyniesione przez Ellen Sander, nieśmiałą, choć upartą brunetkę, która w swym artykule w „Saturday Review” nazwała Jima „Mickey Mouse de Sade”. Zapanowało to dziwaczne uczucie, jak gdyby wszyscy goście byli tu od zawsze i nikt nigdy nie miał wyjść. Nagle Jim padł na podłogę i podszedł na kolanach do tapczanu, na którym siedziała Ellen. Zaczął się kołysać w przód i w tył, przysuwając twarz coraz bliżej i bliżej do twarzy Ellen.

- Zaśpiewaj nam piosenkę, Ellen.

Ellen wciągnęła stopy pod siebie.

- Ja nie śpiewam, Jim. Ja jestem zawodową publicznością,

- No już, Ellen - nalegał Jim. - Proszę cię, zaśpiewaj nam piosenkę.

- Naprawdę nie. Nie jestem piosenkarką; ja piszę.

Jim odchylił się do tyłu i ryknął:

- Powiedziałem śpiewaaaaj!!!

Ellen znów zaprotestowała:

- Ja nie śpiewam, to ty śpiewasz, ty jesteś wokalistą i ty nam coś zaśpiewaj.

Mówiła to prosząco, cichym głosem:

- A ja jestem tylko krytykiem.

Jim nie przestawał kołysać się onieśmielająco i wpatrywał się w nią groźnie. W końcu, słabym, wystraszonego głosem, zaczęła śpiewać początkowe wersy *Hey, Jude* Beatlesów. Tylko pierwsze cztery. Potem przerwały jej oklaski i napięcie się

rozładowało. Jim poszedł do sypialni i włączył dźwięk w migającym telewizorze.

- Mickey Mouse de Sade - mruczał do siebie.

Przez cały weekend był w złym nastroju. Koncerty w Madison Square Garden wypadły świetnie i cała trasa była wielkim sukcesem, ale coś go dręczyło i nawet przez tych kilka dni w Nowym Jorku nie odzywał się do kolegów z zespołu. Okazało się, że kiedy był w Londynie z Michaeliem McClure i Pamelą, do Jaca Holzmana, wciąż kierującego reklamą muzyki Doors, zwróciła się pewna agencja reklamowa, prosząc o udzielenie firmie Buick pozwolenia na użycie utworu *Light My Fire* za pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w celach reklamowych. Jac odpowiedział, że zapyta członków zespołu. Robby, John, Ray i Bill Siddons, nie mogąc skontaktować się z Jimem, zagłosowali bez niego. Wróciwszy do Stanów, Jim usłyszał „Come on, Buick, light my fire” i udał się prosto do Jaca Holzmana. Dopadł go na patio pod biurem Davida Anderle i oświadczył mu, że ten utwór jest dla niego świętością, pomimo tego, że znużyło go już wykonywanie go na koncertach.

- Chcę, żeby to było jasne, Jac, mówię ci to teraz, bo chcę, żeby nie było nieporozumień: nigdy więcej nie zrób czegoś podobnego. Ta piosenka jest mi bardzo bliska i nie życzę sobie, by ktokolwiek jej używał.

Utworu ostatecznie nie sprzedano, ale i tak Jim traktował wszystkich chłodno, choć nikomu prócz Jaca nie wyjawiał, co go gnębiło.

Zresztą nie było to jego jedynym zmartwieniem.

Będąc w Nowym Jorku, Jim zawarł nową przyjaźń - z gadatliwym, towarzyskim grubasem, Fredem Myrow, który, mając dwadzieścia osiem lat, był asystentem Leonarda Bernsteina i kompozytorem, zatrudnionym w Filharmonii Nowojorskiej. David Anderle sprowadził go do Plaza specjalnie na spotkanie z Jimem.

Jim przełożył kieliszek z prawej ręki do lewej i wymienił z przybyszem zwyczajowy uścisk dłoni. Zaraz potem odciągnął go na stronę, niemal jak konspirator. Słyszał już wiele o Freddie Myrow - że jest on jednym z najbardziej obiecujących kompozytorów światowej awangardy muzyki poważnej. Ale doszły go też pogłoski, że Fred chce odejść. Posłuchał Beatlesów i uznał, że to, co sam robi, jest nie na miejscu. Postanowił zająć się formami bardziej popularnymi. Jim nadchodził z przeciwnego kierunku, ale obydwaj pragnęli niemalże tego samego: istotnej zmiany.

- Jeżeli w ciągu roku nie znajdę nowej drogi twórczego rozwoju - wyznał Jim Fredowi na samym początku rozmowy - będę już tylko samą nostalgią.

Fred był bardzo zaskoczony tym oświadczeniem, wiedząc, iak rzadko artysta wybiega myślą tak daleko naprzód nazajutrz po ogromnym sukcesie. Ale los artysty starzejącego się napałwał Jima przerażeniem. Choć nigdy nie przyznałby się do tego głośno przed nikim z wyjątkiem najbliższych przyjaciół, ale uważał się za postać rewolucyjną, za kogoś, kto zapewnia równowagę społeczną, będąc zaprzeczeniem swego ojca. Tak się przynajmniej wydawało. Jim nie lubił mówić tego otwarcie, ale był bardzo podobny do ojca. Stawiali sobie przeciwne cele, ale cechowała ich ta sama ambicja i energia.

Jim nie chciał przewodzić za wszelką cenę rewolucji, ale gdyby miał nastąpić przewrót, byłby całkowicie po jego stronie. Choć twierdził, że niektóre z piosenek ułożył w natchnieniu, nigdy nic był nieświadomy buntowniczego i apokaliptycznego charakteru tego natchnienia. Gdy jego fani i publiczność rockowa przyzwyczaili się widzieć w nim czołową postać ówczesnych ruchów politycznych i społecznych, Jim nie reagował na to oficjalnie, ale osobiście czuł się dumny.

Przez dłuższy czas wierzył, że płyty mogą odgrywać taką samą rolę, jaka przypadła książkom i drukowanym manifestom we wcześniejszych rewolucjach. Ciągle jeszcze nie był przekonany.

nany, że jest w błędzie. Czuł jednak, że potrzebuje zwrócić się w nowym kierunku. Toteż, umówiwszy się z Fredem Myrow na następne spotkanie, wrócił do Los Angeles i poddał się wpływowi uczniów radykalnego teoretyka teatru, Antoine'a Artauda - czyli trzydziestodwuosobowej grupie Living Theatre, która odbywała właśnie tournée po Stanach.

Jim był entuzjastą Teatru Okrucieństwa jeszcze w okresie studiów na uniwersytecie stanowym na Florydzie, kiedy po raz pierwszy czytał Artauda. W lecie 1968 roku wypytywał Johna Carpentera, dziennikarza „Los Angeles Free Press”, o jego przyjaciela, członka grupy Le Living. Później, gdy dowiedział się, że Michael McClure zna założycieli tego teatru, Judith Malinę i Juliana Becka, wycisnął od niego więcej wiadomości. W listopadzie czytał tyle razy zamieszczony w piśmie „Ramparts” artykuł o tej radykalnej grupie, aż zapamiętał z niego całe fragmenty: „Oni nie są właściwie aktorami, przedstawiającymi sztuki - pisał autor, Stephen Schneck - lecz wędrującą trupą poszukiwaczy Raju, pojmowanego jako totalne wyzwolenie, żądających go „natchmiaszt” i praktykujących hipnologię. Ich wygląd i postawa są skrajnym przeciwieństwem tego, co w represyjnym, totalitarnym państwie zwykło się nazywać Prawem i Porządkiem”.

Kiedy Jim się dowiedział, że zespół ten ma się zjawić w lutym 1969 roku w miasteczku studenckim Uniwersytetu Południowokalifornijskiego, polecił swej sekretarce zarezerwować szesnaście biletów na każdy z pięciu zapowiedzianych spektakli, a później zaprosił Marka Amatina, przedstawiciela teatru, do domu na obiad.

Mieszkał teraz w komfortowym, zacisznym domu w dzielnicy Beachwood Hills w Hollywood, który wynajął dla Pameli. Był pokłócony z Pamelą i nie przedstawił Marka innym osobom. Po obiedzie szorstko pożegnał się ze wszystkimi i został sam na sam z Markiem. Pił i łykał małe, białe tabletki,

które proponował też gościowi, nie mówiąc, że jest to amfetamina. Rozmawiali bez przerwy aż do rana.

Mark zwierzył się Jimowi ze swych przeżyć, opowiadał, jak bardzo się zmienił. „Tego wieczoru, kiedy zobaczyłem ich po raz pierwszy, wróciłem do domu z trzynastoma osobami, których nigdy przedtem nie znałem. Byłem wstrząśnięty. Przedtem na scenie rozebrałem się. Kiedy szedłem do teatru, nawet nie śniło mi się o tym wszystkim, co nastąpiło. No i stało się! Nim upłynął dzień, zrozumiałem, że tak właśnie powinno wyglądać życie. Wróciłem więc do swojej pracy w biurze podróży i gdy tylko kazano mi się stamtąd zabierać, powiedziałem szefowi, że go pierdolę i wyszedłem”.

- To, co robiłem odtąd, uważałem za misję polityczną i duchową - mówi dzisiaj Mark. To właśnie o tym Jim najbardziej chciał się upewnić. Jego dzieło było kiedyś doświadczeniem religijnym, ale stało się show- biznesem, z czego był wyjątkowo niezadowolony. Living Theatre składał się z ludzi, którzy przyszli kiedyś na przedstawienie i już zostali. Jim chciał dowiedzieć się czegoś o tym szczególnym entuzjazmie. Mówił, że chce znaleźć sposób włączenia przesłania politycznego do tego, co robi, ale nie wie jeszcze, jak tego dokonać ani od czego zacząć. Czuł, że wszyscy czekają, aż przemówi, gotowi słuchać go we wszystkim. Nakładało to na niego ogromną odpowiedzialność. A on jeszcze nie wiedział, co powiedzieć.

- Jak to się dzieje, że Living Theatre wzniesła taką euforię - pytał Jim Marka. - Jak my możemy wzbudzić u ludzi zaangażowanie i poświęcenie w takim stopniu? Co powinienem zrobić?

Łańcuch wydarzeń, wiodący prostą drogą do wypadnięcia zespołu Doors z łaski, rozpoczął się w piątkową noc, 28 lutego 1969 roku, kiedy to Living Theatre wystawił swe rewolucyjne przedstawienie zatytułowane *tour de force, Paradise Now*. Na Jima podziało to z mocą kataklizmu.

Siedział razem z przyjaciółmi w pierwszym rzędzie, tak samo, jak przez cały tydzień. Przedstawienie rozpoczęło się od *Obrzędów teatru partyzanckiego*, podczas których aktorzy wymieszali się z publicznością, wypowiadając pierwsze z pięciu kluczowych, katartycznych zdań:

- Nie wolno mi podróżować bez paszportu.

Living Theatre przybył do Stanów Zjednoczonych po czteroletnim pobycie w Europie. Przez ten czas skład grupy stał się wielonarodowościowy, więc wszyscy poznali osobiście udrękę przekraczania granic. Aktorzy narzucili widowni dialog, niekiedy zmuszając widzów do odpowiedzi i wykrzykując swe kwestie z pasją i frustracją w głosie.

- Nie mogę swobodnie podróżować, nie wolno mi znaleźć się tam, gdzie chcę.

- Jestem odgradzony od mojego przyjaciela. Moje granice są wytyczane arbitralnie przez innych.

- Wrota Raju są zamknięte przede mną!

Po kilku minutach aktorzy byli bliscy hysterii, a publiczność Teatru Uniwersyteckiego czuła się wewnętrznie odmieniona. Jim poderwał się razem z innymi z miejsca i wszyscy wykrzykiwali hasła żądające Raju natychmiast.

Aktorzy po cichu wycofywali się z widowni. Wrócili na scenę. Zrobili krótką przerwę, po czym zaczęli od nowa, przechodząc do drugiego zdania:

- Nie wiem jak powstrzymać wojny!

I dalej podobnie: seria skarg, rzucanych z siłą eksplozji.

- Nie możesz żyć bez pieniędzy!

- Nie wolno mi palić marihuany!

I w końcu:

- Nie wolno mi zdjąć ubrania!

- Samo ciało, z którego jesteśmy zbudowani, jest tabu!

- Wstydzimy się tego, co najpiękniejsze; boimy się tego, co najpiękniejsze!

- Nie wolno nam zachowywać się wobec siebie naturalnie!

- Kultura represjonuje miłość!
- Nie wolno mi zdjąć ubrania!

Aktorzy zaczęli się rozbierać, zdjęli z siebie prawie wszystko i stanęli w przejściach między rzędami krzeseł i na scenie. Zakazane części ciała pozostawili zasłonięte. Było to demonstracją prohibicji. Kiedy rozbieranie się doszło do dozwolonych granic, zaczęli znowu krzyczeć:

- Nie wolno mi zdjąć ubrania! Jestem na zewnątrz Wrót Raju!

Wtedy właśnie na scenę wtargnęli policjanci i spektakl został przerwany.

Następnego dnia miał się odbyć koncert Doors, po którym Jim i Pamela zamierzali spędzić razem tydzień na Jamajce, w domku, który już szykowano na ich przyjazd. Przed wyjściem z domu pokłócili się. Potem, na lotnisku, wybuchła kolejna sprzeczka, po której Jim odesłał Pamelę do domu, a sam spóźnił się na samolot. Klnąc i wyrzucając sobie, że nie wziął ze sobą alkoholu, zarezerwował sobie miejsce na następny lot, po czym udał się do baru, gdzie czekał i pił. Gdy znalazł się na pokładzie samolotu, wypił tyle, ile tylko zdołał wyprosić wdziękiem się do stewardessy. W Nowym Orleanie było międzylądowanie. Jim znowu poszedł do baru i przegapił odlot. Zanim postarał się o miejsce na kolejny lot i zatelefonował do sali koncertowej, by powiedzieć kolegom, że trochę się spóźni, był już pijany.

Pił zresztą nadal - przez całą drogę do Miami.

Upadek strzały

ROZDZIAŁ

8

Gorąca, parna, południowa noc.

Pod Jimem ugięły się kolana. Jedną ręką oparł się o stojący na prawo od niego olbrzymi, czarny wzmacniacz, drugą podniósł w górę dużą, brązową butelkę piwa i wychylił ją duszkiem. Broda, od niedawna pokrywająca jego policzki, nadawała mu mefistofeliczny wygląd. Ciemną bluzę bez kołnierza wypuścił na spodnie, by ukryć rosnący od whisky brzuch. Zerknął z ukosa w ciemność, kryjącą tłum publiczności.

Było kilka minut po jedenastej, gdy wchłonął swe ostatnie piwo. Doors byli już spóźnieni z rozpoczęciem koncertu o ponad godzinę; publiczność czekała rozgorączkowana. Na Florydę przyjechali po raz pierwszy - koncert był rezultatem zwycięstwa, jakie odnieśli w plebiscycie popularności, przeprowadzonym na uniwersytecie w Miami. Teraz okazało się jednak, że nawet najzgorzalsi fani mogą ulec napięciu i zdenerwowaniu, napchani w nieprawdopodobnym tłoku do starego hangaru łodzi latających, w którym nie było miejsc siedzących ani wentylacji.

Ray, Robby i John w ciemności podeszli do swych instrumentów. Ray spoglądał niespokojnie na Johna, który był tak wściekły na Jima z powodu jego spóźnienia, że aż zbieleły mu palce, w których zaciskał pałeczki. Potem przeniósł wzrok na Robbiego. Ten kołysał gryfem gitary z nieobecnym wyrazem twarzy, jak gdyby nie podlegał panującemu wokół napięciu.

Za sceną organizatorzy koncertu w Miami wykłócali się wściekle z Billem Siddonsem i pełnomocnikiem zespołu, który przyjechał z Nowego Jorku, by rozstrzygnąć konflikt. Siddons uwierzył zapewnieniom organizatorów, że dochód z koncertu nie będzie wyższy niż 42 tysiące dolarów i zgodził się przyjąć proponowane honorarium w wysokości 25 tysięcy, a nie, jak zazwyczaj, zarezerwować sobie w kontrakcie 60 procent z ogólnego dochodu. Ale kiedy podpisał i zwrócił umowę, organizatorzy usunęli z sali krzesła i sprzedali dodatkowe siedem tysięcy biletów. Bill poczuł się znieważony i wpadł w furję.

Jim pochylił się nad konsolą, ustawioną za perkusją, by zająć od Vince'a Treanora następnego piwa. Oficjalną funkcją Vince'a był nadzór nad rozstawianiem i składaniem oraz działaniem potężnego systemu nagłaśniającego. Jego nieoficjalna rola polegała na zaopatrywaniu Jima w trunki. Ale tym razem potrząsnął głową odmownie. Nie ma więcej piwa, może być cola.

- Nie przesadzaj - upomniał Jima po cichu. - Jesteśmy w Miami pierwszy raz.

Jim odwrócił się, podszedł do skraju sceny i czknął głośno. Patrząc w niespokojną ciemność zapytał, czy dostanie coś do picia. Ktoś przepchnął się przez tłum z butelką taniego wina w rękę.

Na początku Ray skinął na Johna, by rozpoczął *Break On Through* — utwór, którym najczęściej otwierali swe koncerty. Grali jego początek przez prawie dziesięć minut. Nie udawało

się - Jim nie słuchał. Rozmawiał z publicznością, popijał z papierowego kubka. Muzycy przerwali grę, gdy Jim wstał i chwycił swój mały, złoty mikrofon.

- Nie mówię o żadnej rewolucji! - krzyknął.

Jego głos brzmiał ostro, przenikliwie. Mogło się wydawać, że jest to początek recytacji.

- Mówię o tym, by się dobrze bawić. O tym, jak dobrze spędzić czas tego lata. Przyjedźcie wszyscy do Los Angeles, spotkajmy się tam. Położymy się na plaży, zanurzymy nogi w oceanie. Będzie nam dobrze. Czy jesteście gotowi? Are you ready? Are you readdddyyyy? Arrr yew rreeeadyy? Are...are...a- r- e yewwwww...Uouououou...Ooooouuoooo!

Zespół zagrał z kolei wejście do znanego utworu z pierwszej płyty - *Back Door Mana*.

- Głośniej! Dalej, chłopcy, głośniej! Jeszcze! Yeahhh! Yeahhh! Ahhhmmm uh back door man...

Po zaśpiewaniu czterech pierwszych wersów Jim znów zaczął mówić. Teraz jego głos brzmiał prosząco. Czy przemawiając do widowni, zwracał się jednocześnie do Pameli?

- Hej, słuchajcie - krzyknął. - Jestem samotny. Potrzebuję trochę miłości, potrzebuję was. Chodźcie! Chcę się trochę zabawić, chcę zaznać trochę miłości. Czy nikt mnie nie kocha? Chodźcie!

Publiczność wstrzymała oddech.

- Potrzebuję was. Tyle was tam jest, a nikt nie chce mnie kochać. Chodź tu, kochanie! I need it, I need it, I need it, need ya, need ya, need ya, need ya! Come on! Yeah! I love ya. Come on. Nikt nie chce tu przyjść i pokochać się ze mną, co? W porządku. To trudno. Znajdę sobie kogoś innego.

Muzycy byli już u kresu cierpliwości, ale przez cały czas grali w tle tych błagań. Gdy Jim na chwilę ucichł, zagrał *Five to One*, a on podjął wreszcie i zaśpiewał pierwszy wers z bajeczną precyzją. Potem rozgadał się na nowo, poruszony chciwością organizatorów, którzy stłoczyli w sali

taki tłum ludzi. Ale pamiętał też o przedstawieniu *Paradise Now*.

- Jesteście kupą pieprzonych idiotów!

Ludzie znów wstrzymali oddech ze zdumienia.

- ...która tylko słucha i robi to, co jej każą, która pozwala wodzić się za nos. Jak długo może tak być, jak myślicie? Jak długo zamierzacie na to pozwalać? Jak długo jeszcze? Może to lubicie, może podoba się wam to, że wpychają wam gębę w gówno...

Jim ubliżał publiczności, by wyrwać ludzi z letargu, podobnie jak aktorzy Living Theatre postępowali ze swą widownią.

- Jesteście stadem niewolników! - krzyknął. - Co zamierzacie z tym zrobić, co z tym zrobicie, co zrobicie? - krzyczał ochryplym głosem, po czym znowu zaczął śpiewać:

- Skończyły się dni balowania, dziewczyno. Zapada już noc.

Zespół dobrnął jakoś do końca utworu, lecz potem Jim wrócił do swej przemowy:

- Nie mówię o żadnej rewolucji. Nie mówię o demonstracjach. Nie mówię o wychodzeniu na ulice. Mówię o tym, by mieć trochę zabawy, o tym, by trochę potańczyć. O tym, by kochać kogoś, kto stoi obok nas. By go objąć. Mówię o miłości. Mówię o odrobinie miłości. Love, love, love, love, love, love, love. Obejmij swojego cholernego przyjaciela i kochaj go. Come ooooooooooannnn Yeahhhh!

Później, jakby dla przykładu, Jim ściągnął przez głowę swą bluzę i cisnął ją w tłum, gdzie znikła, wchłonięta jak kawał mięsa, rzucony między rozjuszony psy. Wpatrzony w publiczność, wsunął kciuki pod pas i zaczął się bawić kłamrą. O tej chwili myślał od czasu obejrzenia *Paradise Now*. Przygotował się do tego starannie, ale o niczym nie uprzedził kolegów z zespołu.

Ray zawołał, by zagrali *Touch Me*, licząc na to, że skieruje uwagę Jima z powrotem na muzykę. Jim zaśpiewał dwa wersy i zamilkł.

- Hej, poczekajcie chwilę, poczekajcie chwilę! - krzyknął.
- Zaczekajcie, pierdolę to! Nie, poczekajcie, przestańcie, przestańcie! Poczekajcie chwilę! Nie wezmę tego gówna! Pierdolę was!

Jim poczerwieniał na twarzy, był wściekły, ryczał chrapliwym głosem z mikrofonem wepchniętym do ust.

- Kurwa!

Tłum grzmiał.

Jim zaczął odpinać pas. Ray zawołał do Vince'a:

- Vince, Vince, zatrzymaj go! Nie pozwól mu na to!

Vince przeskoczył przez stojącą przed nim konsolę i w dwóch susach znalazł się koło Jima. Jedną ręką przytrzymał mu spodnie w talii, drugą chwycił go od tyłu, uniemożliwiając mu rozpięcie paska.

- Nie rób tego, Jim. Nie rób tego - błagał.

Chociaż Jim na ogół nie wkładał majtek, tym razem miał na sobie spodnie gimnastyczne, tak duże, że wystawały nad skórzane spodnie. Zamierzał zrzucić spodnie. Ale nie obnażył się, lecz dojsz do dozwolonej granicy, o której mówili aktorzy w przedstawieniu *Paradise Now*. Dobrze wiedział, co robi; wszystko miał dokładnie zaplanowane. Ale teraz reakcja Raya i przemoc fizyczna ze strony Vince'a wszystko mu popsują. Nadejście Raju zostało zatrzymane.

Faktem zaskakującym, choć czysto przypadkowym było to, że przez cały ten czas zespół wciąż grał piosenkę *Touch Me*. W końcu Jim uspokoił się nieco i koncert został wznowiony.

Jim był bardzo pijany, chociaż dopływ piwa został dawno odcięty, a on sam przestał już brać napoje od publiczności. Słowa tekstów intonował ochryplym głosem. Zapominał niektóre wersy i gubił się, wracał i powtarzał to samo. Wyrzucił z siebie szybką, wściekłą tyradę o tym, że urodził się i studiował na Florydzie:

- ...Ale potem zmądrzałem i wyjechałem do pięknego stanu, który nazywa się Kalifornia.

Znajomy Jima z Los Angeles, Louis Marvin, wielki ekscentryk, u którego Doors grali jeden ze swych pierwszych koncertów w roku 1966, zbliżył się, trzymając na ręką małą owieczkę i podał ją Jimowi.

- Wiesz, zerznąłbym ją - powiedział Jim - ale jest jeszcze za młoda.

Potem zerwał jednemu z policjantów kapelusz z głowy i posłał go powolnym lotem w stronę gromady widzów, a policjant natychmiast zabrał mu jego kapelusz, który przedtem ktoś mu nałożył, i rzucił go w tym samym kierunku, co wywołało dużo śmiechu.

Jim wracał ciągle do niektórych zdań i powtarzał je uparcie pomiędzy kolejnymi utworami.

- Chcę widzieć, że tańczycie. Chcę widzieć, że się dobrze bawicie - mówił. - Nie ma zakazów. Nie ma ograniczeń!

Nie można było mieć wątpliwości, co do źródła jego inspiracji i zamiarów.

- Hej, posłuchajcie! - zawołał. - Myślałem dotąd, że wszystko to jest jedną wielką bzdurą, że to śmiechu warte. A teraz, przez kilka ostatnich dni spotykałem się z ludźmi, którzy potrafią coś zrobić. Którzy chcą zmienić świat. Chcę pójść w ich ślady. Chcę zmieniać świat.

Przez prawie godzinę Jim zapraszał i namawiał publiczność do wejścia na scenę, aż wreszcie tłum zaczął napierać. Jeden z organizatorów ostrzegł przez mikrofon, że mogą być ranni i zagroził przerwaniem koncertu. Młodzi ludzie szturmowali dalej. Było ich już na scenie ponad stu, wirowali i tańczyli przy muzyce, której zespół nadal nie przestawał grać.

- Nie wyjdziemy stąd, zanim nie zdejmujemy z siebie czegoś - krzyknął Jim. Zaczął tańczyć z dwiema, czy trzema dziewczynami. Scena trzęsła się tak bardzo, że John i Robby obawiali się, czy wytrzyma. Coraz więcej rąk unosiło się w górę pod sceną. Ci, którzy nie mogli się wdrapać, chcieli być na nią wciągnięci. W końcu jeden z bramkarzy, mający czarny pas

karate, włączył się do rozbawionej grupy i sprawnym przycykiem strącił Jima ze sceny. Jim wyładował na dole, podniósł się i natychmiast pociągnął za sobą długiego, tanecznego węża, złożonego z kilkuset osób. W kilka minut później pojawił się na balkonie i machał do publiczności, wreszcie znikł w szatni. Koncert był zakończony.

W szatni zebrano się ponad dwadzieścia osób; wszyscy mówili coś naraz. Niektórzy uzalali się nad zniszczonym sprzętem i, co było nieuniknione, ranionymi widzami. Bill Siddons miał później zeznać, że Jim występował coś w rodzaju: „Och, zdaje się, że się obraziłem”. Gdy obecni spierali się co do tego, dodał jeszcze: „Teraz zobaczymy, czy Buick zechce użyć *Light My Fire*”. Świadkowie twierdzą, że Jim się śmiał, że był ciągle w doskonałym humorze i nie mówił nic sensownego ani godnego zapamiętania. Ogólnie panował przyjemny nastrój, częściowo dzięki odprężeniu, jakie wszyscy odczuwają po zakończeniu występu. Ale także dzięki komicznej sytuacji, kiedy Siddons wręczył jednemu z policjantów pieniądze za stracony kapelusz. Sześciu innych policjantów śmiało się z tego i mówiło, że przez cały czas bawili się znakomicie.

W pół godziny później w sali koncertowej, czyli starym hangarze lotniczym, pozostał tylko Vince Treanor, kilku bramkarzy i członkowie ekipy technicznej zespołu, którzy składali sprzęt i oglądali olbrzymie rumowisko. Scena była przełamana i bujała się niebezpiecznie, ale większe wrażenie robiły tysiące pustych butelek po winie i piwie oraz majtki i staniki w ilości wystarczającej, aby otworzyć dobrze zaopatrzony sklepik z bielizną. Jak wspomina Vince: „Co metr - półtora - leżała jakaś część garderoby”.

Jima udało się powstrzymać od rozebrania się i wstąpienia do rajy, ale na publiczność w Miami nikt nie miał wpływu.

W ciągu najbliższych trzech dni, które Jim spędził tak jak zamierzał - na Jamajce - tylko, że bez Pameli, przyszłość jego

i całego zespołu znalazła się w rękach polityków, policji i prasy z Miami. W niedzielę, w jednej z gazet w tym mieście pisano, że Jim zrzucił ze sceny trzech policjantów, zanim został z niej usunięty przez trzech następnych. W poniedziałek cytowano wypowiedź sierżanta policji: „Tym razem należy wierzyć dzieciakom. Możemy je tylko pochwalić. Ten facet zrobił wszystko, co mógł najgorszego, by wywołać zamieszki, a publiczność się nie ruszyła”. Natomiast zastępca naczelnika policji oświadczył, że kiedy tylko znajdzie policjanta, który był świadkiem jakiegokolwiek wykroczenia, wyda nakaz aresztowania Jima.

Tego samego dnia zastępca burmistrza miasta, człowiek o wygórowanych ambicjach politycznych, pytał z oburzeniem: „Jak można było dopuścić do czegoś takiego w obiekcie należącym do naszego miasta?”

We wtorek wszyscy wydzielali sobie z rąk najświeższą sensację: szef wydziału do spraw wykroczeń Większego Miami, były prokurator miejski, wezwał do wszczęcia zakrojonego na szeroką skalę dochodzenia sądowego... Prawodawca stanowy, prezes klubu zrzeszającego Biura Wymiany Walut w Miami, wystosował do burmistrza miasta Jacksonville prośbę o odwołanie koncertu Doors, mającego się odbyć w następnym tygodniu... Kapitan wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego departamentu policji w Miami oznajmił, że podjął ostateczną decyzję o wydaniu nakazu aresztowania Jima... zaś dwiętnastoletni ex- piłkarz Mike Levisque planował rozwinąć kampanię przeciw nieobyčajności w oparciu o prowincjonalne pismo katolickie.

Ostrze spadło w środę, 5 marca, kiedy Bob Jennings, dwudziestodwuletni urzędnik biura prokuratury stanowej, zgodził się pełnić rolę powoda w sprawie Jima, którego oskarżono o jedno przestępstwo - nieprzyzwoite, niegodne zachowanie - oraz trzy wykroczenia - nieprzystojne obnażenie się, jawną profanację i pijaństwo. Najbardziej zastanawiające

i kontrowersyjne było oskarżenie o przestępstwo, gdyż w protokole szczegółowych zarzutów zapisano, że Jim „w sposób sroński i obraźliwy obnażył swój członek, umieścił na nim ręce i potrząsał nim, a następnie wymieniony oskarżony symulował akt masturbacji na sobie i oralnej kopulacji na innych”. Na konferencji prasowej, zorganizowanej przez zastępcę naczelnika policji Miami, oświadczone, że w przypadku skazania za te zarzuty Jim może się znaleźć w więzieniu Raiford - jednym z najcięższych więzień na Florydzie - na siedem lat i sto pięćdziesiąt dni. Nazajutrz nazwiska Jima i pozostałych członków zespołu obsmarowano na pierwszych stronach gazet w całym kraju.

W tym samym czasie Jim spędzał smutny urlop na morzu Karaibskim. Był jedynym białym człowiekiem w starym dworku, wynajętym na swoje nazwisko. Ray i Dorothy przebywali na francuskiej Gwadelupie, zaś John i Robby oraz ich dziewczyny - Julia i Lynn - mieszkali również na Jamajce, lecz gdzie indziej, w pewnej odległości od Jima. Jim mówił im później, że w jego domu straszło i że kiedy jeden z czarnoskórych służących zaproponował mu marihuanę, nie śmiał odmówić i wypalił skręta wielkości kubańskiego cygara, po czym doświadczył wizji zawierających przeżycie własnej śmierci. Od tego czasu przez wiele miesięcy nie palił marihuany.

Opuścił swój dom z trwogą i zamieszkał z Johnem i Robbym tuż obok plaży. Ale nie interesowały go zajmujące ich sporty wodne, więc wkrótce, znudzony i wyraźnie rozgoryczony, powrócił do Kalifornii.

Wydawało się czymś niepojętym, że to, co Bill Siddons nazwał z początku „kolejnym brudnym koncertem Doors”, przykuwało tyle uwagi i miało tak wielki wpływ na zespół. Przez pierwszy tydzień, czy dłużej, muzycy żartowali z tego. Kiedy Jim zjawił się w biurze, Leon Barnard zapytał:

- No i jak poszło w Miami?

Jim uśmiechnął się i odpowiedział:

- Pięknie! Spodobałoby ci się.

Gdy w gazetach w całym kraju zaczęły mnożyć się doniesienia o zjeździe w obronie obyczajności, organizowanym przez Mike'a Levisque w Orange Bowl, Doors zaczęli planować swój własny zjazd poświęcony tej samej sprawie, który odbyłby się w Rose Bowl. Podczas tej imprezy Jim miał przekazać Mike'owi Levisque, specjalnie przybyłemu z Miami, czek na znaczną sumę pieniędzy.

Wkrótce jednak żarty ustały. Po upływie niecałych trzech tygodni stało się jasne, że incydent z Miami zagraża przyszłości zespołu. W poufnym liście, rozesłanym wśród członków Stowarzyszenia Menadżerów Sal Koncertowych ostrzegano, że nie można przewidzieć, co zrobi zespół Doors i przytaczano szereg zarzutów przeciw Jimowi. W wyniku tego prawie wszędzie zabroniono organizowania ich koncertów.

Pierwszym miastem, w którym odwołano koncert, było Jacksonville. Zaraz potem zespołowi odmówiono prawa występu w Dallas i Pittsburghu, a później w Providence, w Syracuse, Filadelfii, Cincinnati, w Clevelandzie i Detroit. Zawieszono nawet koncert na Uniwersytecie Stanowym w Kent. A co najbardziej przerażające, w wielu miastach utwory Doors zaczęły znikać z anten stacji radiowych.

Prasa nie ustawała w nagonce. Krzykliwie donoszono o każdym nowym fakcie zarówno ważnym, jak i błahym. W „Rolling Stone” zamieszczono nawet całostronicowy list gończy rodem z westernu, poszukujący „ściganego”. Po raz pierwszy w karierze zespołu prasa obróciła się przeciw niemu.

Kiedy na zjeździe w Orange Bowl wystąpiły osobiście Anita Bryant i Jackie Gleason - plus trzydzieści tysięcy ludzi - reakcja przeciw incydentowi Jima przybrała charakter narodowego ruchu, pociągając za sobą podobne zjazdy w innych miastach i zyskując aprobatę prezydenta Nixona.

Pod koniec marca FBI zgodziła się obciążyć Jima zarzutem bezprawnej ucieczki. Było to śmieszne, gdyż Jim opuścił Miami na trzy dni przed wszczęciem pierwszych kroków prawnych, ale w biurze zespołu zjawił się agent policji federalnej z nakazem aresztowania. Tego dnia członkowie grupy zrozumieli, jak poważna jest sytuacja.

Bill Siddons opublikował oświadczenie spokojne jak na zaistniałe warunki, ale zdradzające, z jakim niepokojem Doors patrzyli na ten koszmar, pragnąc, by się rozwiązał:

Nie możemy powiedzieć nic, co postawiłoby tę sprawę w lepszym świetle. Pozostawiamy to wszystkim: niech mówią co chcą, wedle swego uznania. Niech ludzie wyrzucają z siebie nagromadzony gniew, a kiedy już wszystko minie, ruszymy dalej naszą drogą. Nie mamy na ten temat nic do powiedzenia, dobrego, złego ani obojętnego.

Jim nie miał ani jednego dnia, w którym coś nie przypominałoby mu o Miami. Czwartego kwietnia zgłosił się w towarzystwie adwokata do FBI i został zwolniony po wpłaceniu 5 tysięcy dolarów kaucji.

W międzyczasie film *Feast of Friends* przygotowywano do pierwszych projekcji. Jim rozpoczął też kręcenie nowego filmu. Utworzywszy swą własną spółkę produkcyjną, nazwaną Hi Way Productions. Jim zatrudnił swych przyjaciół - Franka Lisciandro, Babe Hilla i Paula Ferrarę, wykupił większą część sprzętu, użytego przy produkcji pierwszego filmu i ulokował go w dwóch małych pokojach na piętrze budynku, noszącego niecodzienną nazwę Dom Czystych Myśli, stojącego naprzeciw biura Elektry.

Kręcenie filmu rozpoczęło w tygodniu wielkanocnym. Dominował znowu wątek śmierci na pustyni - brodaty Morrison włączył się po kalifornijskich górach w okolicy Palm

Springs. W drodze autostopem do Los Angeles spotkał zdychającego kojota, a później zamordował pierwszego kierowcę, który zabrał go ze sobą.

Podczas kręcenia zakończenia filmu w Los Angeles Jim odbył dziwną rozmowę telefoniczną z Michaeliem McClure. Zadzwoił do niego, do San Francisco i nie przedstawiając się, powiedział:

- Wykończyłem go.

Michael poznał go po głosie.

- Jim?

Pomyślał, że może Jim jest pijany, ale nie był pewien.

Jim nagle odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki, z ledwie widocznym uśmiechem na ustach.

- Teraz jedziemy do gmachu 9000 - zdecydował.

Pił bez przerwy przez ostatnich kilka godzin, ale nie był pijany. Było z nim kilka osób: Ginni Ganahl, sekretarka zespołu, Kathy Lisciandro oraz Frank, Babe, Paul i Leon. Kiedy wjechali windą na szczyt siedemnastopiętrowego budynku 9000, stojącego przy Sunset Boulevard, zapadł już zmierzch. Zgodnie ze swym pomysłem Jim miał opasać się liną, która byłaby niewidoczna na filmie, i wykonać taniec na parapiecie dachu szerokości niespełna półmetrowej, mając pod sobą siedemnastopiętrową przepaść, a na dole chodnik bulwaru. Jego towarzysze mieli trzymać linę, chroniąc go przed śmiercią w przypadku utraty równowagi.

Gdy Jim wyjaśnił im, na czym polegać ma scena, wszyscy byli przerażeni. Wiedzieli, że nie odwiedzą go od zrobienia dokładnie tego, co sobie obmyślił. Ale nie byliby przyjaciółmi, gdyby nawet nie spróbowali mu tego wyperswadować.

- Chyba nie zamierzasz naprawdę tego zrobić, Jim?
- zapytał Leon.

Jim spojrzał na niego. Zdawało się, że traktuje to pytanie jak zachwałność. Wymownym ruchem zrzucił z siebie ubezpieczającą linę, wskoczył na parapet, kazał Paulowi uruchomić

kamery i wykonał swój taniec, kończąc go wysikaniem się nad krawędzią dachu na leżący w dole Sunset Boulevard. Każdy, kto go nie znał, odebrałby tę scenę jako szaleństwo, jako pijacki wybryk.

O ile w swych filmach Jim grał charyzmatycznego bohatera sceny rockowej, książki, które wydawał, rzucały światło na inne jego oblicze; ukazywały poetę.

Był bardzo zadowolony z wydania swoich poezji. Tomik *The Lords* prezentował się nadwyzczaj okazale: osiemdziesiąt dwie rimbaudowskie obserwacje poetyckie na tematy wizji i kinematografii wydrukowane były na pięknym, kremowym papierze czerpanym o formacie osiem i pół na jedenaście cali, a oprawne w sztywną, niebieską okładkę z czerwonym grzbieciem i tytułem wytłoczonym złotymi literami. *The New Creatures* zostało wydane nieco skromniej: na czterdziestu dwóch stronach o zwykłych wymiarach znalazły się nowsze wiersze, wydrukowane na bladeżółtym papierze z gatunku używanego na okładki czasopism, oprawione w brązową okładkę, przypominającą podręczniki szkolne, z tytułem również złotymi literami. Do biura zespołu przywieziono po sto egzemplarzy obydwu książek i złożono je pod ścianą, koło biurka Billa Siddonsa. Na wszystkich okładkach widniało nazwisko używane przez Jima - poetę: James Douglas Morrison.

Przez całe *New Creatures* przewijały się wątki konfliktów seksualnych, przeplatane obrazami cierpienia i śmierci. Są tam zabójstwa i lincze, trzęsienia ziemi i dzieci - upiory, owrzodzenia jamy ustnej i rzeżączka, węże-korzenie zła, ludzie tańczący na pokruszonych kościach, rabunki, zamieszki i artyści w piekle. Jest też groteskowe wyrzeczenie się świata, jest stale wyczuwalna obecność Lovecrafta i Boscha. Często powtarzają się motywy wzięte ze świata zwierzęcego: insekty, jaszczurki, węże, orły, ryby jaskiniowe, węgorze, salamandry, robaki, szczury i dzikie psy.

Ostatni wiersz cienkiego tomiku przenika ta sama desperacja, co wszystkie inne. Jest to pozostawiony bez tytułu opis szczątków po Apokalipsie, wędrówki po ziemi jałowej.

Wiersze te składały się na głębokie i przenikliwe spojrzenie na nieuleczalną ranę, bezdenną rozpacz, której nie da się racjonalnie wyjaśnić ani pojąć, ale która w poezji wyrażona została w sposób jaskrawy, ostry i bolesny.

Czwórka dziennikarzy nowojorskich, którzy przybyli, by wziąć udział w telewizyjnej dyskusji, wydawała się zdziwiona, gdy Jim wkroczył do studio Programu 13. Kiedy widzieli go po raz ostatni, pięć miesięcy wcześniej, w Madison Square Garden, był gładko ogolony i odziany w swoje czarne skóry. Teraz nosił gęstą brodę i ciemne okulary lotnicze, miał na sobie bawełniane, prążkowane spodnie podróżnicze, palił cienkie, długie cygaro. Wyglądał prawie jak przystojny, krzepki Che Guevara.

Zawsze tak samo charyzmatyczny, a przy tym opanowany i pełen wdzięku, uprzejmie napomykał, jak cieszy się, że gości w studio szkolnym, gdzie nie ma cenzury, a słowo mówione i muzykę traktuje się poważnie.

Aluzja Jima do braku cenzury nie była przypadkowa, bowiem Doors zamierzali wykonać nieokrojoną wersję utworu *Build Me a Woman*. Kiedy w rok później piosenka ta znalazła się na koncertowym albumie, wers „Niedzielny domokrażca / chrześcijański matkojebca” został wycięty. Natomiast na antenie PBS pojawił się, choć Jim złagodził ryzykowny wyraz niewyraźnym śpiewem.

Doors wykonali również rozbudowany poemat muzyczny, od którego pochodzi tytuł ich czwartej płyty - *The Soft Parade*, a podczas dziesięciominutowego wywiadu z Richardem Goldsteinem Jim zaprezentował tomik *The New Creatures* i przeczytał z niego kilka wierszy. Zapytany, czy nie chce już być uważany za „erotycznego polityka”, przyznał po raz

pierwszy publicznie, że rzucił to tylko jako chwytliwy frazes, o jakie zawsze napraszają się dziennikarze.

Taki był „nowy” Jim Morrison - szczery, poważny, uprzejmy, „na prośbę swego adwokata”, odmawiający komentarzy na temat Miami, pełen chłopięcego czaru, żyjący poezją. Ale wnikliwy obserwator dostrzegłby z pewnością, że Jim znów manipuluje środkami masowego przekazu. Przez zmianę ubrania, zapuszczenie brody, podkreślanie swej twórczości poetyckiej i szczere wypowiedzi na temat swej kontrowersyjnej przeszłości, stwarzał nowy wizerunek siebie. Wizerunek bardziej uczciwy. Nie dlatego, by poprzednie wcielenie - w skórzanym kostiumie - było mniej prawdziwe, lecz narzucało ograniczenia i Jim wyrósł już z niego. A w nowym wcieleniu łatwiej mu było żyć i być w zgodzie ze sobą. Jim uczył się.

Wywiad dla stacji PBS był pierwszym wywiadem Jima od czasu Miami. Drugi zaczął z nim przeprowadzać już w niecały tydzień później korespondent pisma, które - zdaniem Jima - najpoważniej zachwiało jego pozycję: „Rolling Stone”. Jim spotkał się z Jerrym Hopkinsem czterokrotnie w przeciągu dwóch lub trzech tygodni i udzielił mu bodaj najdłuższego i najgłębszego ze swych wywiadów. Sprawiał wrażenie, że chciał zaspokoić ciekawość, chciał być zrozumiany. Mówił powoli, starannie ważąc słowa, jak szlifierz, dobierający klejnoty do nacięcia.

Zgodnie z oczekiwaniami, odmówił dyskusowania o Miami -z powodów natury prawnej, jak to określił. Ale, czego się nie spodziewano, skomentował swe stosunki z rodziną. Niezbyt wyczerpująco, ale szczerze i z dystansem. Na coś takiego nie pozwolił sobie nigdy przedtem. Jerry zapytał go, po co stworzył swą pierwszą wersję na temat rodziców. Jim namyślał się chwilę przed odpowiedzią, po czym odparł:

- Po prostu nie chciałem ich w to uwikłać. Naprawdę, nietrudno jest powynajdywać pewne osobiste szczegóły, jeżeli

komuś na tym zależy. Od chwili urodzenia pozostawiamy za sobą ślady. Wydaje mi się, że stwierdzenie, iż rodzice nie żyją, było swego rodzaju żartem. Mam brata, ale nie widziałem go już od jakiegoś roku. W ogóle nie widuję się z nimi. To już i tak najdłuższa z moich wypowiedzi na ten temat.

Zwierzanie to nie odkryło zbyt wiele. Ale już sam fakt, że Jim skłonny był w ogóle przyjąć do wiadomości istnienie swej rodziny, mówi wiele o tym, jakie zmiany zachodziły w jego podejściu do różnych stron życia, innych niż główna dziedzina działalności. Innymi słowy, jak określił to Bill Siddons w jakimś wywiadzie, „Jim miał w sobie całe chmary małych demonów. Myślę, że teraz jest ich już znacznie mniej. I zdaje się, że teraz sam wyrzuca je ze swego ustroju”.

Niektóre odpowiedzi Jima padały od razu w bardzo wygładzonej formie: „Interesuje mnie film, bo jest on dla mnie najcenniejszym wśród form sztuki odwzorowaniem rzeczywistego biegu świadomości - zarówno w życiu wyobraźni, jak i w codziennej percepcji świata”. A proponowana przezeń definicja rytuału: „to rodzaj rzeźby na podobieństwo człowieka. W pewien sposób jest to zbliżone do sztuki, gdyż ujmuje energię w pewną formę; z drugiej strony - to obyczaj, czy też powtórzenie, powracający tradycyjnie scenariusz lub widowisko, obciążone pewnym znaczeniem. Ono przenika wszystko. Jest jak gra”. I jeszcze taka myśl: „Logicznym rozwinięciem ego jest Bóg” i „logicznym rozwinięciem życia w Stanach Zjednoczonych jest zostać ich prezydentem”.

Pod koniec trzeciej sesji Jim przeciągnął się z wdziękiem i spojrzął na Jerriego, który sprawiał wrażenie, jak gdyby wyczerpały mu się pytania.

- Nie chcesz porozmawiać o moim picciu? - zapytał.

Z uśmiechem rozparł się wygodnie na krześle.

- No, jasne, tak - powiedział Jerry. - Masz reputację w...

- W upijaniu się - dokończył Jim. - Tak, to prawda, zupełna prawda. Upijanie się jest... no, upijaniem się. Ma się

całkowitą kontrolę nad sobą... do pewnej chwili. To twój własny wybór, za każdym razem, gdy bierzesz kolejny łyk. To cała seria małych wyborów.

Nastąpiła chwila milczenia. Jerry czekał na coś więcej.

- To jest jak... myślę, że jak różnica pomiędzy samobójstwem a powolną kapitulacją.

Czy Jim naprawdę uważał, że powoli zapija się na śmierć i godził się z tym, gdyż było to częścią poetyckiej tradycji, w której był tak rozmiłowany? Czy też, dążąc do wywołania dramatycznego efektu, chciał zasugerować, że taki jest jego los?

Jerry postanowił to wyjaśnić:

- Co przez to rozumiesz? - zapytał.

Jim roześmiał się lekko.

- Nie wiem, stary. Chodźmy tu, naprzeciwko i napijmy się.

Na ostatnim spotkaniu Jim oświadczył Jerriemu, że wolałby przeczytać długi wiersz, niż znów odpowiadać na pytania. Utwór ten, wówczas jeszcze bez tytułu, opublikowano później jako *An American Prayer*. Podobnie jak większa część jego wczesnych wierszy i niektóre z najbardziej znanych piosenek, poemat mówił o nadciągającej amerykańskiej apokalipsie i miał formę kolejnej litanii skarg środka stulecia - często osobistych i wypowiedzianych z gniewem.

W kilka tygodni później, trzymając w ręku pismo z wydrukowanymi wywiadami (jego okładkę zdobiło wykonane przez Paula Ferrarę zdjęcie, przedstawiające Jima w skórzanych spodniach i bez koszuli), patrząc na zamieszczony w tekście wiersz, zapisany zgodnie z jego wskazówkami i z podpisem James Douglas Morrison, Jim był ogromnie zadowolony.

- Nareszcie - powiedział przyjaciółom - ten szmatławiec zaczyna dostrzegać prawdziwy talent, kiedy się z nim styka.

W czerwcu czwarta płyta *Doors* była już zupełnie gotowa. Praca nad nią trwała cały rok i przyniosła wiele frustracji. Jim był autorem tylko połowy materiału. Jego energia wyraźnie

skierowała się ostatnio raczej ku poezji, kosztem tekstów piosenek. Z tego powodu, jak i dlatego, że Jim nie chciał, by myślano, iż piosenka *Tell All the People*, mająca się ukazać na kolejnym singlu zespołu, została napisana przez niego, stosowany dotychczas napis „Songs by the Doors”, zastąpiono wyszczególnieniem konkretnych nazwisk.

Ale, podobnie jak na płycie poprzedniej, w utworze *The Soft Parade* były liczne „morrisonowskie wersy”, zbyt mroczne i barwne zarazem, by mogły wyjść spod innego pióra. *Shaman's Blues* zawierał następujący obraz: „zimne, miazdzące szczęki szarego niedźwiedzia / już u twoich nóg”, a *The Soft Parade* - wyliczankę: „katakumby / piszczele ze żłobków / zimowe kobiety uprawiają kamienie / niosą swe dzieci do rzeki”, której ostatni wers wywołuje natychmiast pytanie: aby je wykąpać, czy utopić?

Do *Easy Ride*, utworu, który Jim miał nadzieję wydać osobno na singlu, napisał tekst prosty i łatwy. Ale w ostatniej zwrotce nie mógł się powstrzymać przed dodaniem poetyckiego splotu: „Królowo Śpiączki / bądź moją żoną / w gniewie, w ciemności / u mego boku / zza maski swej dumy / potrząśnij latem / krokami swymi / odmierz dni zimowe”.

Ogólnie jednak czwarty album nie był taką erupcją liryzmu jak poprzednie, a użycie „symfonii La Cienega” - wedle określenia Vince'a Treanora - czyli sekcji smyczków z Filharmonii w Los Angeles i sekcji instrumentów dętych, złożonej z najlepszych w okolicy jazzmanów sesyjnych, nieco przyciemniło przejrzyste dawniej brzmienie zespołu.

Znalezienie pracy przez zespół stało się koniecznością. Realizacja nowej płyty kosztowała 86 tysięcy dolarów, ale znacznie gorszy był trwający przez cały czas krach ekonomiczny grupy, rezultat - jak nazywał to Jim - „incydentu w Miami”. Ray wspomina, że odwołano im dwadzieścia pięć kon-

certów, odbierając - jak mawiał John - „milion dolarów zamrożonych w występach”.

W dwunastu miastach organizatorzy koncertów wnieśli do sądu pozwy o odszkodowania za straty spowodowane odwołaniem ich imprez przez miejscowych dobroczyńców. Wprawdzie ostatni przebój singlowy *Touch Me*, wydany w dniach zdarzenia w Miami, został sprzedany prawie tak samo dobrze jak *Light My Fire*, ale pieniądze rozeszły się szybko na adwokatów. Sprzedaż kolejnej płyty przebiegała znacznie gorzej, odkąd u dwudziestu najważniejszych prezenterów radiowych zespół znalazł się na czarnej liście. To ostatnie niepowodzenie okazało się krótkotrwałe i kiedy ludzi dobiegły nowe wieści na temat grupy, album zaczął sprzedawać się lepiej.

Chociaż piosenka *Touch Me* nagrana została jeszcze przed koncertem w Miami, w okresie, gdy go wydano, łatwo było podejrzewać w tym pewną zbieżność. Doniesienia prasowe o nieprzystojnym obnażeniu się, a obok tego żądanie: „Dotknij mnie!”, wspinające się po listach przebojów-nastolatki niewinnie podjęły to skojarzenie i fani zespołu gotowi byli nawet wybaczyć mu wszystkie trąbki i smyczki wobec tego, co uważali za wspaniałą zuchwałość.

Wreszcie Bill Siddons przyniósł pierwsze dobre wiadomości.

- Mamy kilka pewnych koncertów - oznajmił. - Czternastego i piętnastego czerwca w Chicago i Minneapolis. Szesnastego w Eugene w Oregon, a siedemnastego na festiwalu pop w Seattle.

- Ejże - cicho odezwał się Jim, odwracając się od stojącej w biurze lodówki, z której wyciągał puszkę Coorsa. - Zdaje mi się, że umawialiśmy się: koniec z występami pod gołym niebem.

Koledzy patrzyli na niego niezdecydowanie.

- Te koncerty są pewne - bronił się Bill. - Naprawdę, potrzebujemy pracy. Od czasu Miami upłynęły już trzy miesiące. To długa przerwa.

- To dlaczego teraz mamy cztery oferty pod rząd? Co obiecali agenci? Zapewnili, że nie zrzucę portek?

- Musimy podpisać umowę. Po pięć tysięcy dolarów za występ. Tracimy je tylko w przypadku kolejnego skandalu. To zostało wpisane do umów.

- Pierdolona klauzula - mruknął Jim. Rzucił się na tapczan i pociągnął łyk piwa z puszki. - Założę się, że to jednak przede wszystkim rock and roli.

W obydwu miastach Jim zachowywał się bardzo spokojnie; nie wystąpił w skórzanym stroju i uważał, by nie wykrzyknąć żadnego przekleństwa. Miał powody do ostrożności. W Minneapolis tuż przed wejściem zespołu na scenę menadżer sali i policjanci stanęli po obu stronach wejścia, przygotowani na wypadek „nieprzystojnego obnażenia”. Rozpoczęła się postmiamijska psychoza.

Szesnastego czerwca Doors polecili do Eugene, a siedemnastego na festiwal pod Seattle. Ku rozczarowaniu publiczności nadal zachowywali się powściągliwie, ale jednocześnie zaczęli na nowo odczuwać radość wspólnego grania. Na festiwalu nie wypadło to najlepiej. Od czasu koncertu w Hollywood Bowl wiedzieli, że ich muzyka nie nadaje się do wykonywania na wolnym powietrzu. Ale pomimo tego okazało się, że nadal potrafią we czterech zagrać w idealnej harmonii. Każdy następny koncert był lepszy pod względem muzycznym, swobodniejszy, bardziej spontaniczny od poprzedniego. Również tryb życia Jima podczas trasy stał się bardziej umiarkowany - minęły już dni, kiedy zamawiał siedem dań, by każdego tylko spróbować. Spędzał czas czytając, chodząc do kina i oglądając krajobrazy. Unikał hotelowych barów i nocnych klubów.

Czuł się dobrze, cieszył się nawet z takiego biegu rzeczy. Oczekiwania publiczności wydawały się teraz mniejsze. Być może odniósł w Miami sukces, starając się, jak powiedział jednemu z dziennikarzy, „sprowadzić swój mit do absurdu

i tym samym pozbyć się go". A jednak wciąż pewna część publiczności przychodziła na koncerty nie dla muzyki, lecz żeby zobaczyć, jak rozebrany wokalista śpiewa *Touch Me*.

Wraz z nadejściem lata przybyło umówionych koncertów - w Toronto, Meksyku, San Francisco, Filadelfii, Pittsburgu, Las Vegas i Los Angeles. W tym czasie Ameryka była głęboko pogrążona w „erze paranoi”, jak określano ten okres na łamach „Rolling Stone”. Przed rokiem zamordowano Martina Luthera Kinga i Roberta Kennedygo, a podczas zjazdu demokratów w Chicago policja wywołała zamieszki. Morderstwo dokonane przez bandę Mansona wykorzystano do ataku na całą kulturę młodzieżową, jeszcze niedawno traktowaną tak przychylnie. Było rzeczą oczywistą, że Doors są jednym z celów nagonki.

W Toronto zapowiedziano im, gdy tylko weszli na scenę, że policja będzie interweniować, jeśli Jim choćby drgnie. Na dwa dni przed koncertem w Filadelfii burmistrz miasta wygrzebał ustawę z 1879 roku, pozwalającą mu cofnąć zezwolenie na każdą imprezę, która może być „niemoralna, nieprzyjemna lub mieć zły wpływ na widzów”. Kiedy organizator koncertu odwołał się od jego decyzji i wygrał, muzyków ostrzeżono, że kierowcy ich samochodów są narkomanami. Koncert w Pittsburgu został przerwany, kiedy setki nastolatków wtargnęły na scenę. W Las Vegas w sali zjawił się szeryf z przygotowanymi dla całej czwórki nakazami aresztowania in blanco. Rubrykę zarzutów można było wypełnić w każdej chwili w zależności od zachowania muzyków.

Pomimo napięcia koncerty były dobre i cieszyły się wielkim powodzeniem. Jimowi spodobało się to, że nareszcie miał okazję tylko śpiewać i nawet traktował tę sytuację z humorem. Jednak w głębi był rozdrażniony bezmyślnością władz i zaczął zastanawiać się, co zrobić, by zaradzić temu raz na zawsze.

Doors z mieszanymi uczuciami oczekiwali na koncerty w Meksyku, mające się odbyć w końcu czerwca w Plaza

Monumental, czyli na największej corridzie miasta. Oznaczało to kolejny występ pod gołym niebem, dla wielkiej, czterdziestoosmiotysięcznej publiczności. Ale muzycy byli świadomi, że tym razem prestiż imprezy będzie ważniejszy od wrażeń estetycznych, a ponieważ ceny biletów wahały się od czterdziestu centów do dolara, wierzyli, że będą ich mogli obejrzeć także ludzie niezamożni. Zaplanowano też, że zespół wystąpi ponadto dobroczynnie na rzecz Czerwonego Krzyża lub Organizacji Narodów Zjednoczonych w hotelu Camino Real oraz w ekskluzywnym nocnym klubie.

Okazało się, że organizator ich koncertu w Meksyku - młody, brodaty dekorator wnętrz, Mario Olmos, nie zdołał zebrać wszystkich wymaganych zezwoleń. Więc skontaktował się z Javierem Castro, dwudziestosześcioletnim piosenkarzem, właścicielem nocnego klubu Forum, liczącego tysiąc miejsc, a pod względem wykwintu wnętrza i klienteli dorównującego nowojorskiej Copacabanie. Olmos zaoferował mu cztery występy Doors po pięć tysięcy dolarów za noc. Następnie znaleźli współnika, który zgodził się wystawić czek na dwadzieścia tysięcy jako gwarancję dla zespołu i już nazajutrz całostronicowe reklamy w meksykańskich gazetach zapowiadały koncert Doors w Forum w najbliższy weekend.

Nikt nic uzgodnił tych planów z muzykami, toteż wpadli we wściekłość, gdy Mario i Javier zjawili się w ich biurze z gazetą i czekiem w rękę, z dziwacznymi obietnicami na ustach. W biurze tego wieczoru panował półmrok. Na biurku Billa Siddonsa wałały się puste butelki po piwie, plakaty i prasowe anonse o koncertach w Forum. Członkowie zespołu siedzieli zatroskani i rozmawiali o tym, że powinni zaprosić medium. Pomysł wziął się stąd, że Alan Ronay i Leon Barnard mieli przecucie śmierci Jima. Zdarzyło się tak nie po raz pierwszy, ale tym razem wydawało się zwiastować zły los.

Bill Siddons zawsze bardzo przejmował się takimi przecuciami. Już w zeszłym roku niejedną raz w poniedziałek rano

powtarzano wiadomość, że Jim nie żyje, że w weekend przedawkował narkotyki. Bill za każdym razem wpadał w panikę i dzwonił, przerażony, do wszystkich znajomych, próbując znaleźć Jima - aż poszukiwany osobiście dementował plotki, kiedy przychodził do biura, by poczytać listy od fanów.

- A mówili, żeś wykorkował — mawiał wtedy Bill z widoczną ulgą.

- Tak? - dziwił się Jim, otwierając lodówkę w pokoju Billa, by sięgnąć po puszkę Coorsa. - Znowu? A jak tym razem?

Jimowi nie powiedziano o przeczuciach jakie miał jego bliski przyjaciel Alan oraz Leon. Zabrano się z powrotem za pakowanie rzeczy przed wyjazdem do Meksyku.

- Jiim! Jiim! Gdzie jest Jiim! - tysiące fanów przybyły, by powitać zespół w Meksyku.

Muzycy przeszli przez odprawę celną i znaleźli się w hallu budynku lotniska. Jima nie poznano z powodu gęstej brody - nie przypominał Jima Morrisona, namalowanego na frontowej ścianie klubu Forum. Nawet w jego otoczeniu przyjęto to z niezadowoleniem. Namawiano Billa Siddonsa, by przemówił do Jima. Bill próbował, ale broda pozostała.

Koncerty zaliczały się do najlepszych, jakie Doors dali w całej swej karierze. Okazało się, że w Meksyku znani są o wiele bardziej niż się spodziewali. Gorące przyjęcie ze strony bogatej młodzieży, wypełniającej klub każdej nocy, zdopinguowały ich do dania z siebie wszystkiego, choć nie uszło ich uwagi, jak osobliwe były niektóre przejawy ich popularności. Najbardziej zdumieni byli reakcją publiczności na *The End*.

Pierwszej nocy Jim i jego koledzy nie zwrócili uwagi na ponawiane wezwania do wykonania tego utworu, ale nazajutrz zagrali go. Kiedy zbliżali się do „partii edypalnej”, widzowie zaczęli się nawzajem uciszać sykaniem, co brzmiało tak, jak gdyby sala była pełna węży.

- Ojczy?... Tak, synu?

Jim zamilkł, słysząc reakcję jaką wzbudziły te słowa - bo-
wiem nagle wszyscy młodzi ludzie w sali ryknęli:

- Chcę cię zaaaabić!

Jim spojrział w ciemność, wyraźnie zaskoczony.

- Matko? - oddał kusząco.

- Chcę... - i znowu tłum eksplodował.

Jim nie mógł otrząsnąć się z wrażenia.

The End był tak popularny w Meksyku odkąd wydano go na przedłużonym singlu i grano w szafach grających wszystkich kanjów tak długo, aż jego słowa powszechnie znano na pamięć. „Meksyk to edypalny kraj - mawiał później Jim - opętany narodowym *machismo* i Kościołem Matki Boskiej”.

Muzyków Doors traktowano w Meksyku jak monarchów. W ciągu tygodniowego pobytu korzystali z komfortu, którym rekompensowano im wzmożony wysiłek. Mieli czas na zwiedzenie okolicy, przy czym okazało się, że do ich dyspozycji są czarne i białe cadillaki, kierowcy i kobieta imieniem Malu. Na co dzień agentka reklamy klubu Forum, teraz oddelegowana do opieki nad zespołem i tłumaczenia rozmów. Cała ta obsługa była dostępna przez 24 godziny na dobę. Motel, w którym mieszkali muzycy, znajdował się w najelegantszej dzielnicy miasta. Zostali przedstawieni synowi prezydenta, ubranemu według wzorów najnowszej mody z Carnaby Street i otoczone-
mu świtą amerykańskich dziewcząt, określanych mianem „groupies prezydenckich”. (W czasie zwiedzania muzeum antropologicznego Jim poderwał jedną z nich, bardzo podobną do Pameli). Pewnego razu ktoś przyniósł za scenę plastikową torbę, w której było pół kilograma kokainy i rozdawał ją każdemu w dowolnej ilości.

Przez cały tydzień Bill Siddons spotykał się z różnymi ludźmi. Z początku próbował zorganizować darmowy koncert w parku, ale nie dostał na to zgody, gdyż rząd nie pozwalał na tak liczne zgromadzenia młodzieży w miejscach publicznych. (Rok wcześniej doszło do rozruchów studentów i wielkich

strajków). Potem starał się o zorganizowanie występu w telewizji i nawet doprowadził do podpisania umowy na dwugodzinny program o Doors, ich muzyce i poglądach, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło.

Muzycy wracali do swego motelu po piątym i ostatnim z koncertów. Kierowca cadillaca, w którym jechał Jim, pędził szerokim, trzypasmowym bulwarem sto trzydzieści kilometrów na godzinę, a na zakrętach pod kątem prostym zwalniał do dziewięćdziesięciu. Prędkość wywoływała u wszystkich nerwowe wybuchy śmiechu.

Jim zrobił pistolet z kciuka i palca wskazującego i naśladował odgłosy strzałów.

- Andele! Andele! - pokrzykiwał po hiszpańsku.

Doors mknęli przez meksykańską noc.

Powrót do normalnej pracy był nadal trudny. Przed wyjazdem do Meksyku zawieszono im kolejne dwa koncerty, w St. Louis i Honolulu, toteż przez cały lipiec mieli tylko jedną pewną umowę - na kilka koncertów w poniedziałkowe wieczory, w kinie w Los Angeles. Salę tę wynajęła ich własna firma płytowa. Bilety rozchwymano w ciągu godziny od chwili rozpoczęcia sprzedaży.

Odbyły się dwa koncerty. Przed każdym z nich Jim rozprowadzał wśród publiczności odbitki swego impresjonistycznego poematu, napisanego po niedawnej śmierci gitarzysty Rolling Stones, Briana Jonesa, *Oda do Los Angeles, gdy myślę o zmarłym Brianie Jonesie*. Podobnie jak w *An American Prayer*, były w nim Joyce'owskie gry słów i przenikliwa kontemplacja śmierci.

Sztormowa fala komentarzy prasowych po incydencie w Miami zaczęła nareszcie stopniowo opadać. W czerwcu, lipcu i sierpniu, kiedy Doors byli właściwie bez pracy, w wielu pismach, na których Jimowi zależało, ukazały się pochlebne artykuły.

W jednej z gazet w Los Angeles koncert w Aquarius nazwano „jednym z najbardziej porywających koncertów rockowych w ciągu ostatnich lat”. Inna donosiła w nagłówku: „Publiczność słucha nowego Jima Morrisona”. W „Rolling Stone”, magazynie, który najbardziej ośmieszył Jima tuż po Miami, zamieszczono pochlebną recenzję tomiku *Feast of Friends*, a potem zdjęcie Jima na okładce i wywiad przeprowadzony przez Jerriego Hopkinsa, liczący ponad osiem tysięcy słów. A w końcu reportaż z Meksyku długości czterech tysięcy słów. W lipcowym numerze pisma „Jazz & Pop” Pata Kenneliego chwalono występ Jima w nowojorskim programie telewizyjnym Channel 13. W pierwszym tygodniu sierpnia na łamach „Los Angeles Free Press” ukazał się długi, w przychylnym tonie utrzymany, artykuł o Doors, pióra młodego dramaturga Harveya Perra. Później Jim i Harvey poznali się i zaprzyjaźnili, a artykuł został włączony do książki *The Doors Complete*, która jest zbiorem doniesień prasowych o zespole.

Nie jestem zupełnie przekonany - pisał Harvey - czy mój osobisty podziw dla Doors ma coś wspólnego z ich utworami. Przyznaję, że niektóre z nich są słabe, ale odkrywam w nich to, że muzycy pozwalają sobie na prostotę, dzięki której uzyskują o wiele silniejsze wrażenie niż ci pomniejsi artyści, którzy prostoty świadomie unikają. Wydaje mi się, że zespół, który wspiął się na wyżyny poezji, powinien wiedzieć, że ma prawo popełniać błędy. Zbyt nieliczni są ci, którzy osiągają to pierwsze, nie płacąc drugim. Tak właśnie jest z poezją Morrisona, z której większa część to dzieła oryginalnego poety, Whitmana rewolucyjnych lat sześćdziesiątych, ale są w niej też wiersze uczniowskie. Nie ma nic złego w przechodzeniu od jednego artystycznego biegun

do drugiego. Są to przecież ludzkie przypiływy i odpływy, a nie ma sztuki bez cech ludzkich. Ale, powtórzę, to że podziwiam the Doors, sprawiła nie ich muzyka, a być może nawet nie poezja, nie umiejętności techniczne, charyzma, ani też koncert w Aquarius, choć każda z tych rzeczy jest dziwna, piękna i podniecająca. Chodzi tu raczej o drżenie, jakim mnie przejmują, gdy czuję, że próbują oni wejść sami i wprowadzić nas w świat wykraczający poza ograniczoną krainę rocka, w świat sięgający filmu, teatru i rewolty. Kiedy widuje się Morrisona nie na scenie, lecz w codziennym życiu, w tych cichszych chwilach: w kinie, na filmie Normana Mailera *The Deer Park*, na każdym przedstawieniu Living Theatre, na premierze przedstawienia *James Joyce Memorial Liquid Theatre*, wystawionego przez teatr Company, zawsze we właściwym miejscu, o właściwej porze, szczerze przejętego tą sferą sztuki, która raczej pozostaje w pewnej relacji do życia niż w bezpośredniej z nim styczności. Taka osoba nie musi już nosić w sobie ziaren poezji, ale jeżeli posiada ją, to trzeba przyjrzeć się temu bliżej, potraktować to poważniej. A Jim Morrison i the Doors z pewnością są tego warci. Zbliżyli się do Sztuki, bez względu na to, jak obrazili, rozbawili, czy nawet przyprawili o dreszcze krytyków rockowych. Kryteria, którymi należy mierzyć ich sztukę, są starsze i głębsze.

W kilka dni po koncercie w Aquarius, w czwartkowe popołudnie, Jim zjawił się w biurze i wszedł do łazienki. Denny siedział przy jego biurku, obłożony listami, i telefonował.

- O, do cholery - krzyknął nagle.

- Co, mamy dziś poetycki nastrój? -ktoś zakpił.
- Co tam? - zapytał Jim, który wszedł właśnie do biura, zapinając rozpiorek.

- Nic - mruknął Denny, udając, że czyta list.

- Co to ma znaczyć „nic”? - zwrócił mu uwagę Jim. - Nie odzywaj się tak do mnie. Ja poświęcam cenny czas z mojego napiętego rozkładu zajęć, aby dowiedzieć się i być może pomóc w czymś, co wydaje się łagodnym przypadkiem pecha, a ty to lekceważąco odrzucasz.

Widać było, że Jim jest w dobrym humorze.

Denny bardzo się starał zdobyć bilet na koncert Rolling Stones, mający się odbyć w Los Angeles już nazajutrz. Bilety jednak były już od kilku tygodni sprzedane, a teraz, odkładając słuchawkę, wyczerpał wszystkie swoje znajomości. A w dodatku dowiedział się, że nie będzie już w sprzedaży żadnych dodatkowych biletów.

Czy mógłbyś zdobyć dla mnie bilet na Stonesów? - zapytał z wahaniem.

- Po co ci Mick Jagger, skoro masz mnie?

W głosie Jima zabrzmiała mieszanina zuchwałości i urazy.

Denny nie odpowiadał. Nie chciał zrobić Jimowi przykrości, ale ogromnie zależało mu na biletach, a był przekonany, że Jim może je zdobyć za pomocą jednego telefonu. Jim zaś dalej bawił się z nim:

- To znaczy, kiedy jest ten koncert? W najbliższy piątek, tak? A mnie się zdawało, że mieliśmy zrobić coś razem w ten wieczór - powiedział.

Kpił jeszcze przez chwilę, aż wezwano do innego pokoju na jakieś spotkanie.

W następne popołudnie, a był to piątek czyli dzień koncertu, Jim pojawił się w biurze. Denny tak samo siedział przy jego biurku, zajęty listami. Obydwaj zachowywali się tak jak gdyby rozmowa z poprzedniego dnia w ogóle nie miała miejsca. Jim wyciągnął z kieszeni kurtki dwa bilety.

- Spójrzcie, co dostałem wczoraj wieczorem. Ktoś powiedział do mnie po prostu: „Hej, Jim, mam dwa bilety na koncert Stonesów i chciałbym ci je dać. Wyobrażacie sobie?”

Jim spojrział na bilety i dodał:

- Do licha, patrzcie, co tu jest napisane: trzeci rząd! Na siłę was nie wyciągam, ale mi się nie przydadzą. Czy ktoś chce?

W pokoju były, prócz Jima, trzy osoby, te same, co poprzedniego dnia.

- Jasne, Jim, ja bym wzięła, jeżeli tobie nie są potrzebne - ucieszyła się sekretarka.

Bill powiedział, że już ma. Ray też miał. Denny siedział cicho, zawstydzony.

Jim usiadł przy biurku naprzeciw Denniego i położył rękę na czytany przez niego liście.

- Masz dziś szczęśliwy dzień, stary. Chcę ci zaproponować pewien układ - powiedział.

Denny podniósł głowę.

- Nie chcę żadnych układów z tobą - odparł.

- Nie chcesz nawet dowiedzieć się, o co chodzi? - zapytał łagodnym tonem.

Denny kiwnął głową, że chce.

- Dobra, a więc układ jest taki: ty mi oddasz moje pieprzone biurko, a ja tobie te bilety.

I położył je na biurku.

Denny zerwał się z krzesła. Obiegł biurko. Uścisnął Jima, po czym chwycił bilety i rzucił się w stronę drzwi.

- Hej! - krzyknął Jim.

- No? - chłopak przystanął.

- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć dziękuję.

Jim i Pamela mieszkali w West Hollywood, przy Norton Avenue, niedaleko biura. Pamela była naćpana i nieznośna; Jim, ze słuchawką przy uchu, próbował porozmawiać z Babe Hillem. Pam uparcie przeszkadzała, brzęcząc bez przerwy w tle.

- Tak...tak, Babe...

- Jim, posłuchaj mnie - powiedziała Pamela. - Odłóż tę słuchawkę i posłuchaj, to ważniejsze od tego, gdzie się umówisz z Babem...

- Przepraszam, Babe, co mówiłeś?

- ...po ty, by, jak zwykle, urznąć się z nim. Mówię do ciebie, Jim. Jim!

Jim ignorował ją, nachylając się nad telefonem i odwracając od niej plecami.

- Babe, przepraszam za te hałasy w tle. Wiesz, jak to jest z Pamelą...

- Jim! Chcesz mnie sprowokować do kłótni? - Pamela podniosła głos o pół oktawy i dwadzieścia decybeli.

- Jim, do cholery, ile razy zaczynasz kłótnię, wychodzisz potem i upijasz się, a potem zawsze robisz jakieś głupstwo. Niech cię diabli, Jim.

Pam nie zwracała zupełnie uwagi na wielu przyjaciół Jima. Nawet więcej, była chorobliwie zazdrosna o każdego, z kim Jim spędzał czas, zamiast być z nią. Teraz już nie wahała się gwałtownie protestować przeciw nieustannemu przyjmowaniu przez Jima gości. Jeszcze bardziej nie znosiła jego ciągłych niedomówień. Natomiast przyjaciele Jima tolerowali Pamelę, wiedząc, że Jim naprawdę ją kocha i że mimo swej śmiesznej i uciążliwej chęci posiadania go wyłącznie dla siebie, dziewczyna jest dla niego dobra i ma na niego dobry wpływ.

Jim nie lubił wielu spośród jej znajomych, z których część była homoseksualistami. Pam próbowała mu uświadomić, że nie lubi u innych tego, czego nie może znieść lub zaakceptować u siebie. W każdym razie byli to ludzie, zaspokajający jej potrzeby towarzyskie, odpowiadający jej potrzebom i darzący ją współczuciem, którego nic mogła oczekiwać od Jima. A przy tym nie oczekiwali niczego konkretnego w zamian. A jednak Jim czuł, że wykorzystują ją, by zbliżyć się do niego.

Częściowo miał rację, ale nie chciał urazić jej, mówiąc to otwarcie. Więc czepiał się innych rzeczy.

Nie mógł również pogodzić się z tym, jakie brała narkotyki. Uważał, że środki uspokajające są niebezpieczne. Jednocześnie czuł się trochę winny, bo to on namówił ją do spróbowania narkotyków, więc o tym też nie mówił głośno. Nie wiedział natomiast o jej doświadczeniach z heroiną. Ona zaś miała wyrzuty sumienia, że ukrywa je przed nim.

To obustronne ukrywanie się oddalało ich od siebie, a ponieważ żadna ze stron nie była gotowa wyznać prawdy, coraz to wybuchały kłótnie. Zazwyczaj zaczynało się od drobnostek, na przykład od tego, na jaki film pójść wieczorem. Kiedyś pokłócili się strasznie o to, czego oczekuje od życia przeciętny złoty retriever. (Mieli psa tej rasy, który się wabił Sage).

W powietrzu latały wazony, książki i naczynia. Kiedyś, gdy Pamela skarżyła się, w jakim nieporządku są książki, Jim wyrzucił kilkaset z nich przez okno z drugiego piętra. Dom rozbrzmiewał wrzaskami i odgłosami kłótni, aż w końcu Jim zniknął albo Pamela wychodziła dumnie do znajomych homoseksualistów, mieszkających naprzeciw, na Beachwood Hills, i oznajmiała: „Dziś na barometrze mamy... gówno”.

Czasami zaś mściła się, wynajmując lśniącą limuzynę, której Jim używał, jeżdżąc od czasu do czasu z kolegami do Meksyku. Razem z szoferem robiła zakupy, wiedząc, że rachunek zostanie przedstawiony Jimowi. Zdarzało jej się wydawać przy takich okazjach dwa tysiące dolarów i więcej.

Pewnego razu, po wyjątkowo ostrej kłótni, spowodowanej piciem Jima, Pamela z furią przetrząsnęła swą szufladę z przyborami do makijażu. Chwyliła szminek do ust, i kiedy Jim wyszedł z domu, napisała nią na lustrze w łazience. „Ale mi symbol seksu — nawet mu nie staje!”

Po innych kłótniach oszałamiała się środkami uspokajającymi lub czasami heroiną, po czym widywano ją, jak

w barze Troubadour całuje się pod stołem z kelnerem z Beverly Hills, Polo Lounge'em jak przechodzi z jednego przyjęcia na drugie w dzielnicy bogatych gwiazd muzyki rockowej, jak siedzi rozparta na tylnym siedzeniu samochodu i stuka palcami w takt rock and rolla. Miała dziesiątki romansów. Jeden z nich - z młodym księciem francuskim, który miał posiadłość w Afryce Północnej i podzielał jej zainteresowanie heroiną - traktowano jako coś naprawdę poważnego. Inny, z synem nieżyjącego magnata filmowego, była też czymś więcej niż zwykłym flirtem.

Jim odnowił swe dawne romanse, dzwoniąc do swych byłych dziewczyn - do Ann Moore, Pameli Zarubiki i Gayle Enochs. Okres, gdy służył jako pogotowie erotyczne, właściwie już minął. Z Anne, Pamelą i Gayle widywał się najwyżej dwa-trzy razy w miesiącu, ale pozostał z nimi w bardzo dobrych stosunkach.

Gayle była miłą brunetką, którą Jim zabrał ze sobą do Nowego Jorku, gdy Doors mieli wystąpić w programie szkolnej telewizji. Miała dom niedaleko mieszkania Pameli w Beachwood Hills, więc Jim czasami chodził do niej i zwykle rozmawiali przez całą noc. Bywało też, że przechadzali się po bulwarze Hollywood, jedli w restauracjach z narodowymi kuchniami różnych krajów, za którymi Jim przepadał, albo kupowali butelkę wina i szli do jednego z kin na Western Avenue, specjalizujących się w filmach zagranicznych.

Jego znajomość z Anne miała jeszcze bardziej intelektualny charakter. Anne studiowała archeologię i antropologię na Stanowym Uniwersytecie Kalifornijskim i pisywała do jednego z pism młodzieżowych. Prowadzili długie dyskusje o literaturze egipskiej i żydowskiej na temat potopu, albo o Ginsbergu, Corso i Kerouacu. Jim namawiał ją, by przeczytała ich książki i zapisała się na niektóre wykłady na wydziale filmowym.

Z Pamelą Zarubicą widywał się rzadziej. Zazwyczaj wtedy, gdy, pijany niemal do nieprzytomności, przychodził późnym wieczorem do jej małego mieszkania w Hollywood, aby sprzeczać się z nią na temat poezji.

- Poeta? - wyśmiewała go z sympatią w głosie - daj mi przykład. Poeta? Lord Byron? A gdzie widzisz siebie, malutki? Zresztą, to wcale nieźle, jak na chłopca z Los Angeles.

Jim uwielbiał to. Pamela, tak jak inne kobiety, bardzo go kochała, a i on mówił im wszystkim, że je kocha. Czasami rzeczywiście tak czuł. Ale najczęściej po prostu sam chciał być kochany i akceptowany, i to jako człowiek, a nie jako gwiazdor.

A jednak najsilniej zaangażowany był w związek z Pamelą Courson. Nadal tylko ją nazywał swą „kosmiczną przyjaciółką”. W sierpniu księgowy oznajmił mu, że kosmiczna przyjaciółka wydaje pieniądze w kosmicznych ilościach i że jego ostatni „upominek” dla niej może poważnie pogorszyć jego sytuację finansową. Jim poradził Bobowi Greene, by się o to nie martwił i dodał, że woli wydawać pieniądze na Pamelę niż na adwokatów. Pam chciała mieć na własność boutique i Jim właśnie podpisywał umowę.

Lokal, który znaleźli, był odpowiednio duży na potrzeby Pameli. Znajdował się na parterze Domu Czystych Myśli, właściwie pod biurami firmy HiWay, więc Pam mogła pilnować Jima w ciągu dnia. Do zaprojektowania wnętrza sklepu wynajęto znajomego artystę z Topangi, zatrudniono cieśli. Z początku padł pomysł, by boutique nazwać Fuckin' Great - wydrukowano nawet serię reklamówek z tą nazwą, ale w końcu zdecydowano się na Themis, imię greckiej bogini sprawiedliwości, prawa i porządku.

Na dole rzemieślnicy wprawiali w sufit małe kawałki luster. W tym samym czasie na górze, w pokoju G firmy HiWay, służącym jako sala montażu, Jim palił niewielkie cygaro i rozmawiał o morderstwie Sharon Tate, którego dokonano przed tygodniem. Jedną z ofiar zbrodni był Jay

Sebring, który w 1967 roku ostrzygł Jima na Aleksandra Wielkiego.

Od tego czasu minęły tylko dwa lata, a Jim bardzo się zmienił. Jego włosy nie były już poskręcane i starannie rozczochrane, nie miał też wciągniętych policzków ani giętkiego, muskularnego torsu jak z pełnej supłów liny. Minęły czasy skór i paciorków. Jim wyglądał teraz prawie zupełnie zwyczajnie: jak przystojny, lubiący piwo student college'u, z przydługimi włosami i kanciastą szczęką. Zaczął też uśmiechać się trochę częściej.

ROZDZIAŁ

9

Chociaż pod koniec lata Jim był w pokojowych stosunkach z Pamelą, coraz więcej czasu spędzał z tymi, których dziewczyna najbardziej nie lubiła: z Frankiem Lisciandro, Babe Hillem i Paulem Ferrarą. Wspólnie kończyli film, rozpoczęty w marcu w Palm Springs, a teraz już zatytułowany: *HWY*.

Niektóre z największych rozczarowań Jima wynikły z jego zainteresowań filmem. Przez całe miesiące on, Frank, Babe i Paul przygotowywali projekty. Rozmawiali z Timothyem Learim o zrobieniu dokumentacji filmowej jego kampanii gubernatorskiej w Kalifornii, ale później Leary został aresztowany. Spotkali się z Carlosem Castaneda, chcąc zdobyć prawa filmowe do jego książki *The Teachings of Don Juan*, ale dowiedzieli się, że nie są pierwsi. Pewien amerykański scenarzysta proponował Jimowi napisanie muzyki do włoskiego filmu, ale i z tego nic nie wyszło, gdy okazało się, że Jim miałby oprócz tego także wystąpić w tym filmie, w roli wokalisty rockowego, który wywołał skandal w londyńskim Albert Hall.

Później przez Elmera Valentine, dawnego znajomego Jima z Whiskey a Go-Go, poznał Steve'a McQueena. Grupa McQueena kompletowała właśnie obsadę do filmu *Adam at 6 A.M.* Po pierwszym spotkaniu McQueen chłodno podziękował Jimowi za współudział. To prawda, że Jim mówił zbyt wiele, pouczał ich jak powinni zrobić film i jak przerobić scenariusz. Chociaż ogolił się przed tym spotkaniem, wyglądał nieatrakcyjnie ze swą nadwagą i chorobliwą błażością. „Obawiali się o jego picie - wspomina Elmer - to było najgorsze”.

Wreszcie Jim poznał Jima Aubreya, legendarnego ex-szefa korporacji CBS Television, zwanego Uśmiechniętą Kobrą, którego postać zainspirowała Jacqueline Susann do napisania książki *The Love Machine*. W tym okresie Aubrey znajdował się akurat pomiędzy dwoma gigantami show-businessu: wkrótce miał objąć we władanie MGM.

Aubrey po pierwsze wyświetlił obydwu filmy Jima. Potem zorganizował uroczysty lunch w Luau na Beverly Hills. Jednym z zaproszonych był Bill Belasco, gadatliwy asystent Aubreya. Gdy tylko Jim wyszedł, Aubrey powiedział, zwracając się do Belasco:

- Jim Morrison będzie największą gwiazdą filmową następnej dekady. Ten chłopak to James Dean lat siedemdziesiątych"

Po czym polecił mu pozyskać Jima za wszelką cenę.

Jim wyszedł ze spotkania nieufny.

- Ci faceci mówią, że chcą zrobić coś ze scenariusza, który napisałem razem z Michaeliem - powiedział swemu przyjacielowi, Frankowi Lisciandro. - Ale myślę, że głównie chodzi im o to, żebym wywiesił, co trzeba, na ekranie.

Problemy prawne Jima były coraz poważniejsze. Floryda wystąpiła o jego ekstradycję pod śmiesznym zarzutem „ucieczki przed prawem”, a FBI prowadziła intensywne śledztwo, inwigilując jego środowisko, przysłuchując jego

dawnych kolegów. Zainteresowano się nawet jego wydziałem na Uniwersytecie Stanowym na Florydzie.

Dziewiątego listopada 1969 roku Morrison zjawił się w sądzie w Miami u sędziego Murraya Goodmana i podpisał oświadczenie, że czuje się niewinny. Po zapłaceniu kaucji w wysokości pięciu tysięcy dolarów został zwolniony. Sędzia powiadomił go, że proces rozpocznie się w kwietniu przyszłego roku.

Jedenastego, tuż po powrocie do Los Angeles, Jim pokłócił się z Pamelą. W kilka godzin później, wczesnym wieczorem, przyszedł do biura zespołu. Rozejrzał się wokół.

- Hej, Leon... Frank. Co powiecie na to, by skoczyć do Phoenix na Stonesów?

Bill Siddons i menadżer koncertowy Doors, Rich Linneil, byli organizatorami tego koncertu, więc Jim miał cztery bilety na miejsca w pierwszym rzędzie. Zadzwoił jeszcze do Toma Bakera. We czwórkę kupili sześć puszek piwa i butelkę Courvoisiera. Wszystko to wypili w drodze na lotnisko.

- Na imię mam Riva - przedstawiła się stewardessa, rozpoczynając pierwsze grzeczności jeszcze przed odlotem.

- Skoro masz na imię Riva - krzyknął Tom Baker - to twój facet na pewno nazywa się Old Man Riva.

Jim i Leon przyłączyli się do Toma, śpiewając chórem:

- That old man riva, he just keep rolling...

Stewardessa była wyraźnie zmieszana, ale przystąpiła do udzielania instrukcji o maskach tlenowych. Gdy maska wypadła jej z ręki, Tom odezwał się głośno:

- Moja dziewczyna też ma coś takiego, ale nazywa to krążkiem.

Potem wyszedł do toalety, a wracając wrzucił Jimowi kawałek mydła do kieliszka. Jim nacisnął guzik, wzywając stewardessę, a kiedy podeszła do niego, poskarżył się:

- On mi wrzucił mydło do drinka.

- Nie ma sprawy, Jim, nie przejmuj się, dobrze? Przyniosę ci następny kieliszek.

Jednak zamiast przynieść obiecany trunk, przyprowadziła ze sobą kapitana samolotu, który oświadczył:

- Jeżeli panowie nie zmienią swojego zachowania, zawrócimy do Los Angeles, gdzie wszyscy czterej zostanieiecie aresztowani.

Przyjaciele na chwilę ucichli, ale kiedy przechodziła koło nich druga stewardessa, Sherry, Tom chwycił ją za udo. Później Jim rzucił w Leona sandwiczami, które mu podano, a Tom w Jima pustym kubeczkim plastikowym.

Stewardessy i załoga samolotu zdawali się nie zauważać tych wybryków, ale kiedy samolot zatrzymał się na lotnisku w Phoenix, otoczyły go samochody policyjne z migającymi światłami na dachach.

W kabinie pasażerskiej samolotu ogłoszono przez intercom:

- Szanowni Państwo, bardzo prosimy o przyjęcie prze-prosin linii lotniczych Continental; wysiadanie opóźni się o kilka minut.

Przed Jimem i Tomem stanął pilot.

- Jako kapitan tego samolotu aresztuję obydwu panów. Wszyscy inni pasażerowie wysiądą najpierw, a panów odeskór-tuje FBI.

FBI? Tego się nie spodziewali.

- Za co? Co takiego zrobiliśmy?

- Hej, chwileczkę - zawołał Baker za odchodzącym lot-nikiem.- Proszę mi odczytać moje prawa!

- Jakie są zarzuty? - pytał Leon.

Samolot był już prawie pusty; pozostało w nim tylko czterech przyjaciół i agenci FBI z Phoenix, którzy zapięli Jimowi i Tomowi kajdanki na plecach i wyprowadzili ich na zewnątrz, wprost przed grupkę fotoreporterów.

- Jakie są zarzuty? - próbował jeszcze pytać Leon, przyj-mując rolę świadka.

Tom wychodził z samolotu ze spuszczoną głową, od-wracając twarz od obiektywów i przyzymkając oczy. Jim

przeciwnie: schodził po schodkach z arogancką miną, wyprostowany, z podniesioną głową i dumnym uśmiechem na twarzy.

Jim i Tom spędzili w areszcie noc i prawie cały następny dzień, po czym zostali oskarżeni o pijaństwo, zakłócenie porządku i utrudnienie lotu. To ostatnie było wykroczeniem przeciw nowym przepisom o komunikacji lotniczej i mogło się skończyć grzywną w wysokości 10 tysięcy dolarów oraz wyrokiem dziesięcioletniego więzienia. Jim nie miał jeszcze dwudziestu sześciu lat, a gdyby dostał taki wyrok plus trzy lata za Miami, mógł spędzić następnych trzynaście lat w więzieniu.

Wytwórnia Electra Records nalegała, by zespół ukończył pracę nad swą następną płytą jak najprędzej. Od chwili wydania *Soft Parade* nie upłynęło jeszcze sześć miesięcy, ale firmie zależało na tym, by na święta Bożego Narodzenia wydać album koncertowy. We wrześniu zespół rozpoczął próby nowego materiału, a w listopadzie przymierzał się już do nagrywania.

Jak na ironię, nowe utwory, powstałe w okresie depresji po incydencie w Miami, były dynamiczne i pełne siły witalnej. Napisane przez Jima teksty miały się okazać jego najlepszym dziełem w ciągu ostatnich lat, a Ray, Robby i John podjęli wyzwanie, dodając do nich muzykę, wykonaną lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Źródłem tego przyływu energii był po części Jim, dla którego wiosna tego roku była okresem wyjątkowo twórczym. Przy całym swym zaangażowaniu w film, nie przestał pisać piosenek i wierszy. Wydawało się, że zrozumiał wreszcie, iż przeznaczeniem jego jest wyrzucić trwały wpływ na muzykę, a nie film. Przekonanie to zaowocowało nawrotem sił twórczych. Napisał znakomite teksty w zaledwie rok po tym, jak obawiał się, że jest już „wyjałowiony” pod względem artystycznym.

Tytuł płyty *Morrison Hotel* pochodził od prawdziwego hotelu, położonego w ubogiej i niebezpiecznej dzielnicy na przedmieściach Los Angeles. Hotel ten odkryli Ray i Dorothy, gdy pewnego weekendu jeździli po mieście. Pokój kosztował tam dwa i pół dolara za noc. Na płycie jest kilka utworów trafnie charakteryzujących Amerykę w roku 1969. W jednym z nich powraca w postaci ekspresyjnego dwuwiersza wspomnienie Jima z lat dzieciństwa. Mowa o *Peace Frog*, utworze, którego żywa melodia tak spodobała się Robbiemu, Johnowi i Raiowi, że nagrali ją, gdy jeszcze nie miała tekstu. Ale później Ray znalazł w jednym z notatników Jima wiersz pod tytułem *Abortion Stories*, który prawie w całości użyto jako tekst do *Peace Frog*.

Zaskoczeniem było to, jak znakomicie słowa napisane kiedyś przez Jima pasowały do muzyki, skomponowanej przez jego kolegów.

Krew na ulicach oblewa mi kostki
Krew na ulicach sięga po kolana
Krew na ulicach miasta Chicago
Fala krwi wzbiera f płynie za mną

Podczas jednej z prób Jim zaimprovizował dwa następne wersy w charakterze refrenu.

Krew na ulicach rozlana w rzekę smutku
Krew na ulicach otacza mi uda
Potoki spływają ku podnóżom miasta
Krzyk kobiet tonie w fali łkań.

Kiedy znów nadszedł refren, Jim zaśpiewał:

Ona przybyła do miasta, potem odjechała
z promieniem słońca we włosach.

Po czym powrócił do tekstu wiersza. Nastąpiły dwa wersy zainspirowane widokiem wypadku, w którym zginęli indiańscy robotnicy z przewróconej ciężarówki. Zaśpiewał ponurym głosem:

Indianie rozsypani na autostradzie świtu krwawią
Duchy tłoczą się w skorupce dziecięcego umysłu

A później:

Krew na ulicach miasta New Haven
Krew płami dachy i palmy w Venice
Moja miłość wśród krwi tego straszego lata
Krwawa czerwień słońca nad Wyśnionym L.A.
Krwawy wrzask bólu, gdy odcinają jej palce
Krew przyjdzie na świat, gdy zrodzi się naród
Krew kwiat różany magicznego pojednania

Roadhouse Blues, który z początku miał nadać tytuł całej płycie, podobnie jak wiele innych utworów Jima opowiadał o Pameli. Pisząc i śpiewając: „Nie spuszcza z oczu drogi / ręce trzymaj na kierownicy / tak, jedziemy do Roadhouse / tam będzie nam naprawdę dobrze” Jim używał zdań, powtarzanych wielokrotnie, gdy Pamela prowadziła samochód, wioząc go do letniego domku w dzielnicy Topanga pod Los Angeles, który dla niej kupił. O swej miłości do Pameli śpiewał w *Blue Sunday*: „A teraz znalazłem / moją dziewczynę...”. Pameli poświęcona była także piosenka *Queen of the Highway*. „Ona była księżniczką / Królową Autostrady / Trzymała kartkę z napisem / Zabierzcie nas do Mądre / Nikt nie mógł jej ocalić / Prócz Ślepego Tygrysa / On był Potworem / Czarnym, odzianym w skóry...” Ostatnie słowa piosenki były sarkastyczną aluzją do ich pogmatwanych uczuć: „Mam nadzieję, że to jeszcze potrwa choć chwilę”.

Chociaż utwory powstały szybko, Jim najczęściej przychodził na sesje nagraniowe pijany i zdarzało się, że nagrywanie śpiewu jednej piosenki trwało całą noc. Za którymś razem w studio zjawiała się Pamela i znalazłszy butelkę Jima, wypila wszystko, by nie mógł się upić.

„Więc stali obydwoje na środku sali, nie panując nad sobą, i wrzeszczeli - wspomina inżynier dźwięku Bruce Botnick, jedyny świadek tego zdarzenia. - Jim chwycił ją i potrząsał nią gwałtownie, zdaje mi się, że na pokaz przede mną. On darła się na cały głos. Krzyczała, że nie powinien więcej pić i dlatego wypila mu jego alkohol. Wreszcie ocknąłem się i powiedziałem: 'Hej, stary, opanuj się, już późno'. On spojrzał na mnie, puścił ją i mruknął: 'Tak, to prawda'. A potem otoczył ją ramieniem i wyszli, obejmując się. Czuję, że wszystko to zrobił ze względu na mnie. Widziałem już przedtem nie raz, jak robił podobne rzeczy - na końcu zawsze rzucał takie zabawne spojrzenie, żeby wy badać, jaka jest reakcja”.

Problemów było coraz więcej.

Jim znowu rozbił się w swojej Blue Lady. Tym razem ściął pięć małych drzewek na bulwarze La Cienega, niedaleko Domu Czystych Myśli. Porzucił samochód i pobiegł do budki telefonicznej, skąd zadzwonił do Maxa Finka i zawiadomił go, że skradziono mu wóz.

Film *Feast of Friends* został zrecenzowany w piśmie „Variety”, którego opinia mogła poważnie obniżyć potencjalne zainteresowanie nim. Nazwano go „pożałowania godną stratą czasu, filmem skleconym z ujęć do jakiegoś większego zamierzenia albo próbką, której nie udało się sprzedać jakiemuś programowi telewizyjnemu, specjalizującemu się w zajmowaniu czasu dzieciom po powrocie ze szkoły”. Natomiast w rubryce różnorodności pisma „Rolling Stone” określono go mianem „staromodnej, pretensjonalnej, głupiej, rozmamłanej, niewiarygodnie nudnej i chyba niedokończonyj pierwszej przyziarki

debiutującego amatora". Jeżeli tego było mało, by pognębić Jima, wygwizdanie filmu na festiwalach w San Francisco i w Santa Cruz dopełniło miary.

Runnin' Blue, najnowszy singel Doors z płyty *Soft Parade*, będący hołdem złożonym Otisowi Reddingowi, a zarazem trzecią małą płytą autorstwa Robbiego pod rząd, pojawił się na liście przebojów i osiągnął sześćdziesiąte czwarte miejsce.

W niedalekiej przyszłości miały się zacząć procesy w Miami i Phoenix.

Odbyły się pierwsze projekcje filmu *HWY* o autostopowych przygodach Jima i został on odebrany jako „w pewien sposób... niedopracowany”.

Jedna z dziewczyn Jima była w ciąży.

Księgowy Jima skarżył się na ekstrawagancje Pameli. Akceptował jej kieszonkowe, potrafił pogodzić się z kosztami jej hulanki i różnymi rachunkami. Ale boutique był szaleństwem. Pochłonął już osiemdziesiąt tysięcy dolarów, a Pamela właśnie buszowała po Europie, kupując nowe towary. Tego było dla Jima za wiele. Pokłócili się i Pamela pojechała do swego francuskiego księcia, którego kochała, a przynajmniej tak mówiła swym przyjaciółkom.

Jim pił.

Wszyscy byli pijani. Tom, Frank, Babe i oczywiście sam Jim, przesiadujący w barze Barney's Beanery.

- Cipa z pana, panie Morrison - drażnił go Tom Baker. Paskudna, nędzna cipa.

Jim nie zwracał na niego uwagi. Frank i Babe spuścili wzrok na swe kieliszki.

- A teraz proszę nam powiedzieć, panie Jimie Morrison, gwiazdo rocka - ciągnął Tom, wydzierając się na cały bar - proszę nam powiedzieć, co się zdarzyło w Miami.

To był dla Jima temat kłopotliwy. Spojrzał na Jima, po czym wypił łyk ze swojego kieliszka.

- No wal, Jim, powiedz nam to raz na zawsze.

- Tak - powiedział Jim cichym głosem. Zrobiłem to.
- Co zrobiłeś, Jim? - nalegał Tom ostrym, triumfującym tonem.

- Pokazałem go.

- Dlaczego, Jim? Kiedy ja rozebrałem się w moim filmie, mówiłeś, że to nie sztuka.

- Widzisz - powiedział Jim tak cicho, że koledzy musieli pochylić się ku niemu, by słyszeć. - Chciałem zobaczyć, jak on będzie wyglądał w świetle jupiterów.

Nastąpiła sekunda ciszy, po czym Babe i Frank jednocześnie wybuchnęli śmiechem, parszkając dopiero co wziętym do ust trunkiem. Jim uśmiechnął się blado.

Zdarzenie u Ahmeta i Miki Ertegunów było mniej zabawne. Ahmet był czarującym młodzieńcem, synem tureckiego dyplomaty, który założył koncern fonograficzny Atlantic Records i stał się bardzo bogaty. Jego żona była jedną z najbardziej znanych pań domu na Manhattanie. Ahmet wiedział, że kontrakt Doors z Elektrą dobiega końca i chciał pozyskać Jima do swojej firmy, więc zaprosił go na przyjęcie. Dzisiaj pamięta tylko to, że Jim w ciągu chwili zmienił się z wytwornego dżentelmena z Południa, o nienagannych manierach i przyciągającym sposobie opowiadania, we wściekłego pijaka, który wskoczył na kanapę i szarpał drogie obrazy, wiszące na ścianach. Jekyll i Hyde.

Ósmego grudnia 1969 roku Jim obchodził swe dwudzieste szóste urodziny z Billem Siddonsem i jego żoną Cheri, Frankiem i Kathy Lisciandro oraz Leonem Barnardem, w domu Siddonsów na Manhattan Beach. Po kolei przed Jimem postawiono butelkę koniaku i rozdano skręty z marihuany. W tym czasie marihuana działała już źle na Jima - stawał się po niej nerwowo lub dostawał szału.

Jim i Leon rozmawiali żartobliwie o zrobieniu wspólnego, błazeńskiego strip-tease'u. Później rozmowa przeszła na Micka Jaggera. Jim okazał wspaniałomyślność, niespodziewa-

nie nazywając Jaggera księciem wśród ludzi, choć być może było w tym wiele sarkazmu. Później podziękował wszystkim za przyjęcie i, wypiwszy do dna swą butelkę, zapadł w drzemkę.

- O Boże, spójrzcie! - krzyknął po chwili Leon - Spójrzcie na niego!

Leon poderwał się na nogi. Jim, który leżał w fotelu i wydawał się nieprzytomny, zdołał jakoś wyplatać z rozporzka swój członek i lał na podłogę.

- O, Jezu! - krzyknął Bill.

Skoczył na drugi koniec pokoju, chwycił duży, kryształowy kielich i podstawił go pod strumień moczu. Ku jego zdumieniu, Jim napełnił naczynie. Bill wziął ze stołu następny kielich i Jim napełnił także i ten, a po nim trzeci.

Leon, Frank, Kathy i Cheri pękali ze śmiechu.

Później Frank i Kathy zabrali Jima do biura zespołu i położyli go, ciągle śpiącego, na tapczanie.

Sytuacja stawała się trudna do zniesienia. Kolejne zdarzenia miały Jimem na wszystkie strony. Paul, Frank i Babe chcieli dostać więcej pieniędzy, by móc dokończyć filmy. Natomiast muzycy domagali się przerwania przygody z filmem, uważając, że zaangażowanie Jima w tę działalność pozbawia go energii, którą powinien poświęcać zespołowi. Chcieli również, by zgolił brodę i schudł chociaż o kilka kilogramów przed serią koncertów, mającą rozpocząć się już za kilka tygodni w Nowym Jorku. Pamela nieustannie molestowała go, by rzucił karierę wokalisty Doors i prowadził z nią normalne życie rodzinne, w którym - jak sobie wyobrażała - Jim będzie w spokoju pracował nad swą poezją. Jednocześnie Jim miał co najmniej dwadzieścia procesów o plagiat. Był też świadom, czego będzie oczekiwać publiczność podczas nadchodzących koncertów, a najbardziej chciałby tylko stać spokojnie i śpiewać. Adwokaci zabronili mu poruszania tematu Miami, gdy tymczasem on czuł rozpaczliwą potrzebę

ogłoszenia swej niewinności i napiętnowania hipokryzji narosłej wokół całej sprawy. Vince zaczął znowu napomykać o konieczności zmiany menadżera. Dochodziła do tego stała, przytłaczająca świadomość, że nie można po prostu przejść się po ulicy, by zaraz nie zostać rozpoznany (stąd też broda). Ta niedogodność stawała się coraz bardziej uciążliwa.

Nazajutrz po swoich urodzinach Jim siedział na tapczanie i popijając piwo starał się jakoś uporządkować sobie listę wszystkich tych spraw. Kiedy wszedł Bill i kilka innych osób, Jim skinął głową osobno każdemu z przybyłych z nieobecny wyrazem twarzy, po czym opuścił wzrok na leżący przed nim na biurku numer „Los Angeles Timesa”. Gapił się na gazetę bezmyślnie. W Azji południowo-wschodniej trwała „wietnamizacja”. Indianie już trzeci tydzień okupowali wyspę Alcatraz. Poprzedniego dnia - w jego urodziny! - w Los Angeles doszło do czterogodzinnej strzelaniny między policją a Czarnymi Panterami. Sąd Najwyższy postawił Charlie Mansona i czwórkę jego kompanów w stan oskarżenia za morderstwo Sharon Täte i pozostałych osób.

Jim odłożył gazetę. Z wysiłkiem podniósł swe ociężałe ciało i przepłukał gardło.

- Zdaje mi się, że mam kryzys nerwowy.

Wszyscy rzucili się ku niemu, chcąc go uspokoić, próbując za wszelką cenę powiedzieć coś, co poprawi mu nastrój. Przerazała ich myśl, że tym razem naprawdę wysiadzie. Bill zbiegł po schodach, by sprowadzić Vince'a Treanora, który pracował na dole, w sali prób.

Jim spojrział na Billa zbolalym wzrokiem.

- Kiedy wczoraj wieczorem postawiłeś przede mną tę butelkę Courvoisiera - powiedział - zdawałeś się mówić: „To dla faceta, który pije”. Dlatego musiałem wypić wszystko.

Gdy do pokoju wszedł Vince, Jim zwrócił się do niego:

- Wiesz, Vince, wtedy w Miami ja wiedziałem, co robię. Miałem na sobie spodenki bokserskie. Nie zauważyłeś ich? Wiedziałem, co robię, a ty mi przeszkodziłeś.

Z kolei obejrzał się na Leona i przypomniał mu zdarzenie na dachu budynku 9000, kiedy to Leon obawiał się, że Jim spadnie z krawędzi parapetu.

- Nie rozumiesz? - zapytał. - Musiałem. Nie mogłem się powstrzymać.

Było to dziwaczne i niepokojące wyzwanie. Jim nigdy dotąd nie przyznawał się w ten sposób, przed ludźmi, do swoich słabości.

W następnym tygodniu wynajęli dla niego kolejnego opiekuna, czarnoskórego piłkarza z Uniwersytetu Południowokaliifornijskiego, który mierzył metr dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i występował w roli straży osobistej Micka Jaggera podczas ostatniego tournée Rolling Stones po Stanach Zjednoczonych.

Jim natychmiast polubił Toniego Funchesa.

- Chodźmy się napić - zaproponował.

- Jasne, Jim. Wszystko, co każesz - mrugnął Tony. Może jak już będziemy w tej knajpie, przedstawiłbyś mnie którejś z tych tancerek w toplissime?

Jim był z Frankiem na wakacjach w Meksyku, a pozostali członkowie zespołu niespokojnie czekali w Nowym Jorku na jego przyjazd. Po wielu staraniach i podpisaniu „pierdolonej klauzuli”, zespół miał umowę na występ w prestiżowej sali Felt Forum.

W pokoju hotelowym Billa Siddonsa zadzwonił telefon.

- Uuuch... uciekł mi samolot.

- O Boże, Jim! - Bill natychmiast przypomniał sobie identyczną wiadomość od Jima o spóźnieniu na samolot w drodze do Miami.

- Jim, czy jesteś trzeźwy?

- Nnno...

Koncerty siedemnastego i osiemnastego stycznia - po dwa każdego wieczoru - Bill Siddons, muzycy zespołu i Elektra - traktowali bardzo poważnie. Występy miały być nagrywane na album koncertowy, nad którym zaczęto pracować już w lecie poprzedniego roku. W Nowym Jorku działało najwięcej pism i dziennikarzy, toteż koncert zorganizowano właśnie tam, chcąc dowieść, że Doors nadal są w stanie zagrać jako jeden zespół. Nieudany koncert lub - co gorsza - następny skandal typu Miami, byłyby samobójstwem grupy.

Bill przemawiał tonem zdenerwowanego ojca:

- Jim, czy załatwiłeś następną rezerwację?

Jim twierdził, że tak i podał numer lotu.

- Dobra. Samochód będzie na ciebie czekał.

- A, Billy? No... jest międzylądowanie w Miami.

- Jim, masz nie wysiadać z samolotu, dobrze?

Bill odłożył słuchawkę i natychmiast zadzwonił do Toniego Funchesa.

- Wsiadaj do samolotu i leć w tej chwili do Miami. Masz przejąć Jima. Wyjdź na jego samolot i gdy tylko wyląduje, dopilnuj, żeby Jim został na pokładzie. Zrobię ci rezerwację na powrót razem z nim.

Koncerty udały się znakomicie. Zespół wykonał przede wszystkim swe starsze utwory, takie, jak *Moonlight Drive*, *Backdoor Man*, *Break On Through*, *Light Aiy Fire* i *The End*. Było też kilka pamiętnych wydarzeń, jak ten, gdy w trakcie jednego z koncertów do Doors przyłączyli się na kilka piosenek John Sebastian i Dallas Taylor, perkusista zespołu Crosby, Stills, Nash and Young. Lub kiedy młody pederasta rzucił się na Jima i owinał mu się wokół kolan. Gdy sprowadzono go ze sceny, Jim skwitował to komentarzem:

- No tak, to jest cały Nowy Jork. Na scenę pchają się tylko chłopy.

Zdanie to znalazło się na płycie koncertowej (bez żadnych wyjaśnień). Natomiast nie ma na niej innego zdania, wypowiedzianego, kiedy ktoś rzucił Jimowi skręta z marihuany, wielkości skuwki od pióra.

- To mi właśnie podoba w fajkach nowojorskich - powiedział Jim. - Można sobie nimi podłubać w zębach.

Podczas pobytu Doors w Nowym Jorku odbyło się kilka spotkań. Część z nich poświęcono kwestiom reklamy i promocji płyty *Morrison Hotel* i zawsze zapraszano na nie zespół. Jim nienawidził zebrań i rzadko brał w nich udział. Wolał pozwalać, by inni decydowali za niego. A jednak pojawił się w biurach Elektry. Gdy mówiono o jego wizerunku jako gwiazdy i rozprowadzano projekt kampanii, mającej na celu ułożenie na nowo stosunków z publicznością. Jim półleżał na tapczanie w swej kurtce zamszowej, podbitej barankiem i przysłuchiwał się, jak agenci oddziału reklamowego wytwórni rozprawiają z przejęciem o „Jimie Morrisonie - Człowieku Renesansowym”.

Z czterostronnicowej notatki wynika jednak, że Jim nie pozostał na to zupełnie obojętny.

Jim Morrison jest znanym człowiekiem, poszukującym rozszerzenia horyzontów swych artystycznych możliwości. Każda sławna osoba musi stworzyć swój odpowiedni wizerunek. Wizerunek optymalny to taki, którym obie strony - jej publiczność i on sam - czują się dobrze. Pierwszeństwo ma oczywiście jednostka, bo to ona związana z nim jest najbardziej bezpośrednio. Ponieważ bycie Człowiekiem Renesansowym oznacza próbowanie wszystkiego bez ograniczeń i eksperymentowanie z każdym typem twórczości i dążeń, myślę, że Morrison może czuć się dobrze z czymś takim. Ustawiwszy się w takiej pozycji, może próbować wszystkiego, żyć i postępować jak chce, nie

zabiegając, a nawet nie dbając, o towarzyszącą temu dobrą lub złą sławę.

Na marginesie był jeszcze dopisek: „Na scenie nie ma jak dotąd Leonardów, a to się spodoba w Poughkeepsie”.

Jim nie mógł znieść tego, że instytucja kreuje w ten sposób jego image. Poza tym, po trzech latach Elektra zmieniała swą politykę reklamową i coraz wyraźniej eksponowała samego Morrisona, a nie zespół jako całość. Następnego dnia Jim poszedł na przyjęcie, zorganizowane przez Elektrę.

Uroczystość należała do przyjętej przez firmę konwencji. Większość koncernów fonograficznych wydaje wystawne przyjęcia dla swych najlepszych zespołów, gdy zbliża się termin odnowienia kontraktu.

Bankiet był bardzo wytworny. Podano królewskie kraby z Alaski, kuleczki z czarnego kawioru, Dom Perignon. Zaproszono setki gości, wśród nich córkę Ingrid Bergman Pię Lindstrom i kompanię gwiazd z otoczenia Andiego Warhola. Wszyscy zgromadzili się na galerii czterdziestego czwartego piętra drapacza chmur, z rozległym widokiem na Manhattan. Na zakończenie przyjęcia wyświetlono film Alfreda Hitchcocka *39 Steps*.

Minęła druga w nocy. Gdy Jim i Pamela wychodzili, dziewczyna, przechodząc obok gospodarza przyjęcia, szefa Elektry Jaca Holzmana, rzuciła na dobranoc rujnujące zdanie. Jac był przekonany, że namówił ją do tego Jim.

- No, a gdyby co, to przez ten rok wszyscy jesteśmy w Atlanticu - powiedziała słodkim głosem. - Dziękujemy za wspaniały wieczór.

Jim tylko się uśmiechnął.

Kampania reklamowa Renesansowego Człowieka została zarzucona.

W pierwszym tygodniu lutego ukazała się nowa płyta,

a zespół miał zaskakująco udane koncerty w sali Arena w Long Beach i w Winterland w San Francisco. Sprzedano wszystkie bilety, ukazały się pochlebne recenzje. Jim zgolił brodę, przywdział czarne dżinsy i czarną kurtkę i śpiewał jak za najlepszych czasów. Doszło też wreszcie do podpisania umowy między Jimem i Billem Belasco a Michaeliem McClure na produkcję filmu *The Adept*. Firma Jima, HiWay oraz St. Regis Films Billa, podzieliły się jednoroczną opcją na prawa filmowe niepublikowanej powieści Michaelam płacąc pięćset dolarów tytułem zaliczki od ogólnej ceny ich kupna - pięciu tysięcy dolarów.

W marcu wszystkie gazety odnotowały uznanie *Morrison Hotel*, piątego albumu Doors, wydanego przez Elektry, za Złotą Płytę, podkreślając, że jest to pierwszy amerykański zespół hard-rockowy, który uzyskał pięć Złotych Płyt pod rząd. I choć koncert w Buffalo został odwołany, umówionych było wiele innych: w Salt Lake City, Denver, Honolulu, Bostonie, Filadelfii, Pittsburgu, Columbus i Detroit.

Z płyty *Morrison Hotel* nie było przeboju singlowego, za to album ten przywrócił grupie pozycję faworytów krytyki, zyskując pochlebne recenzje w niemal wszystkich liczących się pismach. Nie było smyczków ani trąbek. Zespół miał czas na dopracowanie utworów od strony muzycznej przed sesją nagraniową, wykonując je wielokrotnie na koncertach. Tę sposobność mieli po raz pierwszy od czasu debiutanckiej płyty i skutek był widoczny. *Morrison Hotel* pełen jest energii, której brakowało dwóm poprzednim płytom. Głos Jima jest tutaj dojrzały i głębszy, a muzycy udowadniają, że są coraz lepszymi instrumentalistami. Był to artystyczny powrót. Doors skompletowali zestaw utworów, które zabrzmiały razem z porażającą siłą.

Dave Marsh, wydawca pisma „Creem”, pisał: „Doors zaprezentowali nam najbardziej obezwładniający rock and roli,

jaki kiedykolwiek słyszałem. Kiedy są w dobrej formie, są po prostu nie do pobicia. Jestem przekonany, że mam przed sobą najlepszą z ich dotychczasowych płyt".

Chwalił ich także „Rock Magazine”: Mówicie, że Morrison nie jest już sexy, że staje się stary i gruby. Tak, ale na tej płycie nie widać brzucha od piwa, słychać za to jądra. Piąty album Doors jest ich najmocniejszym i najlepszym jak dotąd dziełem".

Podobnie wyrażał się krytyk pisma „Circus” w numerze z maja 1970 roku - „*Morrison Hotel* jest chyba najlepszą płytą Doors. Z pewnością przysporzy grupie nowych wielbicieli i uspokoi tych, którzy, jak ja, uważają dwa poprzednie krążki za knoty. Mocny, złowieszczy hard-rock, jeden z najlepszych albumów dziesięciolecia. Więcej energii w skórzanych spodniach Morrisona".

Tylko „The Rolling Stone” zachował powściągliwość, oświadczając, że jedynie dwie pierwsze płyty Doors naprawdę się liczą i pozostaną na długo w pamięci. Zaś *Morrison Hotel* można uczciwie polecić tylko zadeklarowanym miłośnikom zespołu.

Jim przez cały okres był w złym nastroju. Nie mógł odpędzić od siebie myśli o zbliżającym się procesie w Phoenix i wyrokach, które mogły być ciężkie: do trzech miesięcy i 300 dolarów za napaść osobistą, do dziesięciu lat i 10 tysięcy dolarów za utrudnianie pracy personelu linii lotniczej i stwarzanie zagrożenia lotu pasażerskiego. Jim, Frank, Tom i Leon polecili do Phoenix we środę, dwudziestego piątego marca, aby przed procesem odbyć krótkie spotkanie z Billem Siddonsem i adwokatem Jima, Maxem Finkiem. Zamówiono alkohole, Jim i Tom, jak zwykle, zaczęli się w nich prześcigać.

Tom zrobił się agresywny. Chciał wyjść z pićem na zewnątrz.

- Do diabła z tym pieprzonym pićem w pokoju. Chodźmy, Jim.

Jim natychmiast się zgodził i wstał od stolika. Siddons radził im, by się nie oddalali. Wolał, by nie pokazywali się publicznie, przynajmniej nie tego wieczora. Wyobraził sobie, że Jim na pewno zostanie aresztowany, chociażby za pijaństwo, czym zrobi prasie bajeczny prezent na dzień procesu.

Nagle Leon wskoczył na stół do kawy, wrzeszcząc na Jima:

- Idiota! Idiota! Idiota!

- Dlaczego mnie tak nazywasz? - zapytał Jim. - Dlaczego krzyczysz na mnie jak dziecko?

- Bo zachowujesz się jak dziecko!

Frank podszedł do Leona i zaproponował mu, by ten pilnował swego własnego zasmarowanego nosa. W tej samej chwili przerwało im stukanie do drzwi. Ktoś otworzył, weszła utleniona blondynka.

- Szukam Jima - oznajmiła przybyła.

Jim jednym skokiem znalazł się przy niej i przytulił usta do jej bluzki. Wszyscy inni na palcach opuścili pokój.

Nazajutrz rano Jim i Tom włożyli białe koszule, krawaty i dwurzędowe marynarki. Długie włosy zaczesali do tyłu i związali na karku. Leona i Franka wezwano jako świadków, podobnie jak obydwie stewardessy, Rivę Mills i Sherry Ann Mason, która również składała zeznania. Sherry swą relacją przekonała sędziego. Zeznała, że przez cały czas trwania lotu była napastowana pomimo wielu upomnień, by prześladowca trzymał ręce przy sobie. Proszona o rozpoznanie napastnika, wskazała Jima.

Jim był zdezorientowany - Sherry wskazywała na niego, ilekroć opisywała zachowanie Toma. Pomyliła ich ze sobą; wyglądało to jak scena z *Alicji w krainie czarów*. W końcu prokurator polecił jej nie określać Jima i Toma po imionach, lecz jako „osobę na miejscu A” i „osobę na miejscu B”. Jim został uwolniony od zarzutu o naruszenie przepisów linii lotniczej, ale uznany winnym „groźenia, przeszkadzania, na-

pastowania, i deprimowania podczas pracy dwóch stewardess". Toma uznano za niewinnego, a ogłoszenie wyroku odłożono o dwa tygodnie.

Jim, Leon, Tom, Frank, Bill Siddons, Max i miejscowy adwokat, zajmujący się sprawą z urzędu, wrócili do hotelu i zasiedli w barze koktajlowym. Czekala ich niespodzianka - przy jednym ze stolików siedziały obydwie stewardessy i pilot, który aresztował Toma i Jima.

Bill i Leon podeszli do nich, by przywitać się po przyjacielsku. Jim zamówił swą pierwszą podwójną whisky.

Bill czarował obydwie panienki, zabawiał je przez pół godziny, po czym przyprowadził je do swego stolika. Sherry usiadła naprzeciw Jima, który wypił już cztery podwójne i akurat zapewniał dziewczynę, że jest cudowna.

- Wiesz - powiedział - myślę, że w innych okolicznościach coś mogłoby być między nami.

Po pewnym czasie i kilku następnych podwójnych Jim postanowił pośpiewać. Podniósł się z krzesła i niepewnym krokiem podszedł do pianina.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli zaśpiewam do tego, prawda? - zapytał zdumionego pianisty.

Szef baru skoczył w jego stronę jak bramkarz, rzucający się na piłkę.

- Nie, nie, nie! Przykro mi, panie Morrison, ale nie. To niemożliwe.

Jim odczuł to jako wtargnięcie zniechęconej władzy.

- Pierdol się, cholero jedna! Pierdol się, pierdol się!

Max i młody adwokat natychmiast wyprowadzili go z baru. Reszta towarzystwa poszła za nimi. W hallu Tom namawiał Jima na wskoczenie do fontanny. Jim spojrział na niego przepitym wzrokiem i wziął rozbieg w stronę sadzawki.

Tym razem powstrzymał go Bill i z pomocą innych wpełchnął do windy hotelowej. Gdy zamykały się drzwi, Jim znów krzyczał: „Pierdol się!”

Nazajutrz rano wszyscy wrócili do Los Angeles. Jim poszedł zaraz do baru Palms z Tomem i kilkoma dziewczynami - jedną z nich Jim w zagadkowy sposób przywiózł z Phoenix, druga była dawną groupie zespołu.

Wszyscy dużo pili i grali na loterii. Kiedy Tom, pijany, zaczął włączyć na stolik loteryjny, właściciel lokalu zadzwonił do biura szeryfa, a Jim i Babe zawlekli Toma do pobliskiego biura Doors.

Po drodze Tom bełkotał:

- Morrison, nic jesteś, cholero jedna, dobry! Cały świat cię nienawidzi! Nienawidzi cię! Nie jesteś w porządku!

Kiedy znaleźli się w biurze, Jim, Babe i kilka innych osób zasugerowało, żeby Tom lepiej sobie poszedł. W końcu Jim wyjawiał, czym jest przygnębiony. Płacił za wszystkie wydatki Toma związane z procesem: za samolot, za hotel, za jedzenie, picie, adwokata i wszystko inne, został częściowo obciążony jego winą, a w zamian spotykały go tylko obelgi.

W pewnej chwili podbiegł do Toma i próbował popchnąć go w stronę drzwi. Tom śmiał się.

- Masz stąd iść - warknął Jim. - To miejsce interesów.

Któryś z kolegów Toma rzucił się z kolei na Jima. Wtedy do akcji wkroczył Tony Funches i obezwładnił napastnika, po czym z pomocą Babe'go wyrzucił go za drzwi. Jim wśliznął się do pokoju Billa Siddonsa, by zawiadomić biuro szeryfa. Radiowóz, dopiero co wzywany do baru Palms, przyjechał już po chwili.

- Co, chcesz mi powiedzieć, że wezwałeś gliny? - zapytał Tom.

Stał naprzeciw grupki kolegów i patrzył na Jima ze zdumieniem.

- Co, więc to pan nas wezwał - pytali policjanci, równie zaskoczeni.

Babę posprzeczał się o coś z wysłannikami szeryfa, którzy Postanowili zignorować go i wyjść. Tom wsiadł do samochodu

swego kolegi i odjechał, zostawiając Jima, Babe'go i Toniego na chodniku. Gdy w dziesięć minut później wrócił, by rzucić kamieniem w okno biura zespołu, Jima już nie było - poszedł do baru Barney's Beanery na kolejnego drinka. Od tego czasu Jim i Tom nie widzieli się przez prawie rok.

Przez cały kwiecień Jim był bardziej niż zwykle zajęty swymi kłopotami prawnymi. Przed ponownym wyjazdem do Phoenix szóstego kwietnia przejrzał robiący duże wrażenie, sześćdziesięciotrzystronicowy dokument, przygotowany przez Maxa Finka na proces w Miami. Jim był zachwycony elokwencją swego obrońcy podczas procesu w Phoenix - nazwał go prawdziwym Perry Masonem i bardzo się ucieszył, widząc, że pismo podważa prawomocność paragrafów, na mocy których został aresztowany.

Na pierwszych dziesięciu stronach Max objaśniał „współczesne postawy społeczne i kanony obyczajowości” tak, jak widział je Jim i on sam: „Młodzież, a także znaczna część ludzi dojrzałych, sprzeciwiła się hipokryzji i fałszowi nienaganego po wierzchu, a skorumpowanego od wewnątrz społeczeństwa. Zakłamanie i przestarzałe idee wiktoriańskie rozsypały się w świetle wiedzy, rozwoju nauki i edukacji...”

Jako precedensy prawne Max przyjął sprawy sądowe, wywołane przez filmy *I Am Curious Yellow* i *Midnight Cowboy*. Powoływał się na powieść Henriego Millera *Zwrotnik Raka* i na malarstwo Gauguina, Picassa i Michała Anioła. Wiele miejsca poświęcił na udowodnienie, że pierwszy i czternasty punkt poprawki do konstytucji zapewniają wolność przedstawień teatralnych i w krótkim rysie historycznym opisał „obawy przed polityczną potęgą teatru”. Zacytował ustawy Sądu Najwyższego, zapewniające wolność słowa. Na koniec podważał konkretne zarzuty, dowodząc, że pozostają one w sprzeczności z pierwszą, ósmą albo czternastą poprawką. Są nieokreślone aż do stopnia wykluczającego prawomocność, lub

nie poparte faktami. Z czterech przepisów, które Jim jakoby naruszył - podkreślał - najnowszy został uchwalony w 1918 roku.

Szóstego kwietnia Jim i Max pojechali do Phoenix pod pretekstem wniesienia skarg na rażące naruszanie prawa. Gdy Max powiadomił sędziego, że stewardessa Sherry popełniła błąd i chciałyby zmienić swe zeznania, sędzia odroczył wydanie wyroku i wyznaczył Jimowi datę kolejnego przyjazdu na inny dzień w kwietniu.

Siódmego kwietnia z wydawnictwa Simon & Schuster nadesłano pierwsze egzemplarze książki. Jim trzymał w ręku cienki tomik i nie mógł się nim nacieszyć. Na okładce widniał tytuł *The Lords and The New Creatures*, a pod nim słowo: „wiersze”. Jim nie był zadowolony ze sposobu, w jaki użyto jego imienia. Życzył sobie James Douglas Morrison, a wydrukowano Jim Morrison. Zamieszczono także zdjęcie „Młodego Lwa” na pierwszej i ostatniej stronie okładki, a w notce na obwolucie wydawcy napomknęli o jego karierze muzycznej, nazywając jego publiczność „dzieciakami”. Wszystko to były rzeczy, których nie lubił. Nota na okrywającej płótno obwolucie, niezbyt trafnie i bardzo powierzchownie charakteryzowała jego poezję. Było tam napisane: „Autor obserwuje i opisuje współczesną Amerykę - miasta, narkotyki, filmy, pogoń za pieniędzmi, starych wykołajeńców i nową, wolną miłość...”

Pomimo to Jim wysłał do swego wydawcy w Nowym Jorku telegram ze słowami: „Dziękuję Panu oraz Simonowi i Schusterowi. Książka przeszła moje oczekiwania”. Zaś Michaelowi McClure wyznał:

- Oto pierwszy raz, kiedy mnie nie osrali.

Michael przysięga, że Jim miał łzy w oczach.

Nazajutrz Babe Hill, po upiciu się z Jimem w Phone Booth, wypadł z jadącego samochodu i złamał sobie dwa kręgi szyjne, a jeszcze następnego dnia Jim wystąpił pijany na koncercie w Bostonie.

Koncert przedłużał się i o drugiej w nocy menadżer sali postanowił sięgnąć do przełącznika i odciąć zespołowi dopływ prądu. Jednak mikrofon Jima w tajemniczy sposób działał nadal.

Jim zmrużył oczy, zdjął swój mały, złoty mikrofon z podstawy i mruknął tak, by można go było usłyszeć:

- Chujossacze.

Ray poderwał się i podbiegł do niego. Tego on i jego koledzy z zespołu obawiali się najbardziej. Gwałtownie zasłonił Jimowi usta dłonią, chwycił go w pól i zniósł ze sceny jak kukłę.

Publiczność dopraszała się więcej muzyki.

W chwilę później Jim wymknął się Rayowi i ponownie wbiegł na scenę. Podbiegł do jej skraju i wrzasnął:

- Musimy zebrać się razem i pobawić się! Oni zwyciężą, jeżeli im na to pozwolimy!

Zanim Jim obudził się następnego ranka, koncert w Salt Lake City był już odwołany. Menadżer sali z tego miasta był w Bostonie pośród publiczności i nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Paranoja po Miami trwała. Przed prawie każdym koncertem menadżerowie sal żądali od Vince'a, by wyłączał Jimowi prąd, gdyby ten zaczął mówić coś „niecenzuralnego”. Muzycy obawiali się codziennie, czy ich następny występ nie zostanie odwołany dosłownie w ostatniej minucie.

Incydent w Miami poruszył cały mechanizm. W wielu miastach do umów o występach, zawieranych z różnymi zespołami, wpisywano lub dołączano jako aneks gwarancje przyzwoitości. A nawet wymagano, by muzycy wpłacali kaucję pieniężną, które utraciliby w wypadku „niezgodnego z prawem, wulgarnego, obelżywego lub w inny sposób niemoralnego zachowania na scenie”.

Siedemnastego i osiemnastego kwietnia Doors grali w wielkiej sali kongresowej w Honolulu, po czym Jim pożegnał się z kolegami, udającymi się na krótkie wakacje i poleciał

z Siddonsem do Phoenix, by spotkać się z Maxem i stewardessą Sherry. Dwudziestego kwietnia Sherry odwołała swe zeznania i powództwo przeciw Jimowi zostało umorzone.

We wrześniu poprzedniego roku Jim dzwonił i pisał do dziennikarki z Nowego Jorku, Patricii Kennely. W marcu odnowił ten kontakt, a teraz, kiedy recenzowała w swym piśmie tomik jego poezji, wysłał telegram z podziękowaniami.

Patricia była wtajemniczoną i praktykującą czarownicą, wysoką kapłanką sabatu - rzecz fascynująca dla Jima. Akurat nazajutrz po otrzymaniu telegramu pojechała do Filadelfii na spotkanie z innymi czarownicami. Doors znaleźli się w Filadelfii tego samego dnia, więc Patricia poszła na ich koncert w sali Spectrum, a potem krótko rozmawiała z Jimem za kulisami. Jim powiedział jej, że następnego dnia będą grali w Pittsburgu, ale potem on przyjedzie do Nowego Jorku. Kiedy się tam znalazł, spędził pierwszą połowę tygodnia z Pamelą, w hotelu Navarro, a drugą z Patricia w jej małym mieszkaniu.

Jim, razem z Pamelą i Billelem Belasco, który ciągle brał udział w jego licznych podróżach za miasto, robił zakupy w Piątej Alei i chodził na obiady do Lchowa i Mama Leone, ulubionych restauracji środowiska show-businessu. Z Patricia wybrał się do Fillmore East na koncert Jefferson Airplane. Usiedli razem z Allenem Ginsbergiem w kabinie oświetleniowej.

Grace Slick miała już w tym czasie sposób na natrętą publiczność, domagającą się starych utworów. Ktoś właśnie krzyknął:

- Zaśpiewaj *White Rabbit*, Gracie!

- O, widzę, że Jim Morrison jest tu dziś z nami - podniosła wzrok.

Jim mruknął „dziękuję, Grace” i na tym poprzestał. Nie Podobał mu się początek koncertu, powiedział nawet Patrycji, że Jefferson to najnudniejsza grupa, jaką słyszał w życiu.

„Wszyscy stoją przodem w rzędku i grają najgłośniejszym jak mogą. Nikt nie próbuje zrobić z tego przedstawienia. Nie ma tych subtelnych wstawek, które ma mój zespół”.

Kolejna nieprzychylna dla Doors recenzja pojawiła się w końcu maja w „Amusement Business”, magazynie czytelnym przez promotorów koncertów i menadżerów sal. W piśmie tym wykrzywiano purytarskie usta na Doors nie jeden raz od czasu aresztowania Jima w New Haven. Tym razem nagłówek na pierwszej stronie donosił: „Jim Morrison i zespół Doors wynaleźli nową sztuczkę, by nękać menadżerów sal”. W artykule cytowano wypowiedź menadżera Cobo Hall z Detroit, gdzie Doors ostatnio występowali. Skarżył się on, że zespół „dosłownie opanował cały budynek i w rezultacie więcej nic mają tam prawa wstępu”. Koncert, o którym była mowa w artykule muzycy i ich fani uznali za doskonały.

Wydawało się, że Jim otrząsnął się z gnębiącej go depresji nerwowej. Sprawiał wrażenie rozluźnionego i wypoczętego. W ostatnim tygodniu maja pojechał razem z Babe'em do San Francisco na premierę nowej sztuki i śpiewał z drugorzędnymi kapelami w jednym z nocnych topless-klubów na North Beach. Stamtąd poleciał na kilka dni do Vancouveru, gdzie włączył się po mieście z Ihoem Todorukiem, malarzem i wydawcą kanadyjskiego pisma pop, który miesiąc wcześniej zorganizował tam festiwal filmów Jima Morrisona. Jim opowiadał mu bez przerwy o Paryżu i o tym, jak bardzo chciałby tam pojechać. Zapewniał, że zrobi to, kiedy tylko upora się z naglącymi problemami.

Po fatalnym koncercie w Vancouver i dość dobrym w Seattle, kalendarz zajęć Jima na najbliższy okres wypełniały nie koncerty, lecz wizyty w sądzie. Proces w Miami miał się rozpocząć w sierpniu, ale obrońcy chwyтали się wszystkich środków, by go przełożyć na później. Dziewiątego czerwca złożyli wniosek o umorzenie sprawy, argumentując, że trzy

paragrafy, na podstawie których Jim został oskarżony, były nieprecyzyjne i dotyczyły zachowania, które nie podlega jurysdykcji policyjnej. Wniosek został odrzucony, więc w trzy dni później adwokaci odwołali się do innego sądu w Miami z żądaniem procesu sądowego.

W międzyczasie, pomiędzy wizytami w sądzie, Jim miał kolejne pokazy swego filmu *HWY* dla przyjaciół i agentów od dystrybucji. Film ten był już wyświetlany wielokrotnie, ale tylko raz publicznie, na festiwalu filmowym w Vancouver. Pozostałe seanse odbyły się w Synanonie i w prywatnych salkach projekcyjnych. Któregoś dnia dwaj młodzi producenci filmowi, Bobby Roberts i Hal Landers, zwrócili się do Jima z propozycją nakręcenia filmu z nim i Michele Phillips, wokalistką zespołu the Mamas and the Papas. Zamiast odpowiedzi Jim wyświetlił im *HWY* i wkrótce Roberts i Landers dyskutowali nad tym, skąd zdobyć dotację na rozbudowanie tego filmu do rozmiarów pełnometrażowych. Gdy Jim dojrzał w tym kolejny spisek wyzyskiwaczy, uciał wszelkie dalsze negocjacje. Pozostał nieprzejednany nawet wtedy, gdy Frank starał się go ułagodzić.

Bardziej obiecujące wydawały się pertraktacje z MGM. Jim spotykał się regularnie z Belasco i Aubreyem, rozmawiając o *Adepcie* i dał się przekonać, że scenariusz można by z powodzeniem skrócić. Komentował wprawdzie, że chcą „zrobić z sekwoi wykałaczkę”.

Jim i Bill Belasco szukali nowego reżysera, zatrudniając w końcu Teda Flickera, najlepiej znanego z kierowania improwizacyjną trupą teatralną *Premise Players*, jak i z niedocenionej satyry *The President's Analyst*, zrobionej wspólnie z Jamesem Coburnem. Sprawa powoli zaczynała się układać. Aubrey chciał, by Jim zagrał, i to nie tylko w *Adepcie*, ale i w filmie *Corky*. Jimowi nie podobał się scenariusz (rolę, do której chciał go zaangażować Aubrey, ostatecznie grał Robert Klakę), ale zgodził się schudnąć trochę do własnego filmu

- w końcu, kto widział o grubym sprzedawcy coca coli?
- i zgolić brodę, której pozwolił odrosnąć po procesie w Phoenix.

W połowie czerwca koncern MGM zaproponował Jimowi dokładnie to, czego chciał: 35 tysięcy dolarów na ostateczne dopracowanie scenariusza oraz, jeżeli zostanie on zaakceptowany, jeszcze pięćdziesiąt za pracę aktora i - obok Billa - współproducenta. Jak na Hollywood nie było to wysokie wynagrodzenie, ale zadowalało Jima. Poleciał on swym adwokatom, by jeszcze przeciągnęli sprawę procesu, podpisał czek na sześćset dolarów na rzecz Federalnej Agencji Linii Lotniczych w związku z lotem do Phoenix (niezależnie od procesu), po czym zaczął pakować jedną walizkę na podróż do Francji i Hiszpanii.

ROZDZIAŁ

10

Patricia Kennely wpadła w panikę. Kiedy się obudzili, Jim miał ponad 38 stopni gorączki. Nie poszła więc do pracy, lecz została, by opiekować się nim. Wyszła tylko po coś lekkiego do jedzenia - kupiła zupę i piwo imbirowe. W dwie godziny później Jim miał już prawie 39 dziewięć stopni. Patricia dała mu aspirynę, tetracyklinę i kazała pić wodę, do której dołała trochę alkoholu dla rozgrzania. Później próbowała skontaktować się z Leonem Barnardem. Jej lekarz, mieszkający zaledwie o dwie ulice dalej, nie udzielał wizyt domowych. Tymczasem gorączka Jima przekroczyła 39 stopni.

Jim przybył do Nowego Jorku poprzedniego dnia. Był, razem z Leonem i jednym z jego przyjaciół, w drodze do Europy. Przywiózł ze sobą prawie gotowe taśmy z materiałem na album koncertowy. Chociaż był zupełnie pijany, kiedy Patricia spotkała się z nim w hotelu, spędzili miły, spokojny wieczór, oglądając nowy film z Mickiem Jaggerem *Ned Kelly* i dwukrotnie, najnowsze dzieło Ingmara Bergmana - *Pasja Anny*. Jedyne ciekawsze zdarzenie zaszło, gdy kładli się do

łóżka: Jim wyciągnął Patricii krążek antykoncepcyjny i rzucił nim przez pokój jak plastikowym talerzem. Zaś teraz, w mgliście, nowojorskie popołudnie, leżał w jej mieszkaniu i czuł się jak umierający.

O drugiej po południu Patricia postanowiła, że zmierzy mu temperaturę jeszcze raz, zanim wezwie pogotowie. Nagle, w ciągu piętnastu minut, gorączka Jima spadła do 38 stopni. Po następnych trzech godzinach Jim wstał i spacerował po pokoju jak gdyby nic się nie zdarzyło. Wrócił do swego pokoju, przebrał się i, zabrawszy ze sobą Leona, poszedł na umówiony obiad z Patricią. Potem znów obejrzeli jakiś film, a u Brentana Jim kupił Patricii trochę książek.

Następnego dnia Jim i Patricia byli małżeństwem.

Pat, w tym czasie dwudziestoczteroletnia, była redaktorem naczelnym pisma muzycznego, jednym z krytyków wiernych grupie Doors w środowisku publicystów ze Wschodniego Wybrzeża. Jej uczucie do Jima zaczęło się w chwili, gdy go poznała. Półtora roku wcześniej robiła z nim wywiad w hotelu Plaza. Kiedy wówczas weszła do pokoju, Jim wstał, a kiedy została przedstawiona, zwyczajowo uściśnił jej dłoń. Patricia wspomina tę sytuację: „Pomyślałam wtedy: 'Mój Boże, matka nauczyła go dobrych manier i on jeszcze je wszystkie pamięta'. Gdy podaliśmy sobie ręce, przeskoczyły iskry. Było to oczywiście tylko wyładowanie, spowodowane przesunięciem mouch butów po dywanie, ale poszły prawdziwe iskry, jak w książce. Jimowi strasznie się to spodobało, powiedział nawet: 'To omen'. I miał rację”.

Od tego czasu Patricia często pisywała w swoim piśmie o Jimie i o Doors, w dojrzałym, krytycznym stylu, z cytacjami i odniesieniami do literatury. Zawsze traktowała Jima poważnie - analizowała jego twórczość, a nie postać. „Gdyby Thomas Stearns Eliot był zespołem rockowym - napisała raz - byłby zespołem Doors i napisałby *The Soft Parade*. W recenzji z tomiku *The Lords and The New Creatures* sugerowała, że

„ponowna lektura przy najbliższej okazji *Poetyki* Arystotelesa albo, jeszcze lepiej, *Przedmowy do ballad lirycznych*, mogłaby pomóc autorowi w niezbędnym przywróceniu pewnych zasad poetyki”.

Patricia miała własne, przemyślane poglądy na prawie każdy temat i, podobnie jak Jim, cięty, irlandzki język. Odznaczała się niepospolitą urodą - miała długie, kasztanowe włosy, brązowe oczy i atrakcyjną figurę. Posiadała rozległą wiedzę na temat okultyzmu i wspaniały dar opowiadania.

Pod wieloma względami znajomość z nią była dla Jima jednym z jego typowych romansów. Poza Pamelą z żadną dziewczyną nie widywał się bardzo często ani nie spędzał więcej niż kilka dni naraz. Od czasu poznania Patricii widział się z nią nie więcej niż siedem, osiem razy. Przez telefon rozmawiali rzadko. Trochę wyjątkowo osobistych listów, małe upominki z biżuterii, czasami książki i egzemplarze trzech prywatnie wydanych tomików Jima - to było wszystko, nic więc nie wskazywało na istnienie głębszego uczucia.

Zachowanie Jima wobec Patricii też nie różniło się specjalnie od sposobu, w jaki traktował inne kobiety. Z nią również pił, chodził na spacer, wypróbował na niej swe nieustanne gry. „Siedzimy w barze - wspomina Patricia - a on nagle wyskakuje z jedną ze swych zaskakujących historyjek nie wiadomo o czym. Mówi na przykład: 'Pewnej nocy spałem, oświetlony przez księżyc w pełni. Kiedy się obudziłem, okazało się, że to twarz mojej matki, która na mnie patrzyła. Co o tym myślisz? Jak ci się zdaje, co to oznacza?' Zawsze wypróbował ludzi, starał się wyczuć granicę ich wytrzymałości, sprawdzić reakcje. I do nikogo nie miał zaufania. Wydaje mi się, że nie ufał mi nawet wtedy, gdy mówiłam, że go kocham. Spodziewałam się, że słyszał to od każdej kobiety, z którą spał choćby raz, ale ja naprawdę tak czułam. I wiedziałam, że mówiąc mu to, daję mu do ręki broń przeciw mnie, którą zawsze odtąd może mi trzymać przy skroni. Kiedy po raz

pierwszy wspomniałam mu o moim uczuciu, odpowiedział: 'No tak, teraz, gdy mnie kochasz, chyba już nigdy nie będę mógł pozbyć się ciebie.' Spytałam: 'A więc chcesz się mnie pozbyć, Jim?' A on uśmiechnął się, przymknął oczy i powiedział: 'Nie.' I wtedy powiedział, że mnie kocha. I chyba mówił prawdę".

Była noc w środku lata 1970 roku. W mieszkaniu Patricii, urządzonego w stylu wiktoriańskiego neogotyku, płonęły świece. Trwało wyjaśnianie ceremonii zaślubin. Czarownicy i czarownice, czyli Wikkanie, nie są satanistami. Często oni pierwotne siły natury: Boginię Triadę, Wielką Matkę i jej męski odpowiednik - Pana, Rogatego Boga. Jest to wierzenie religijne starsze od chrześcijaństwa i judaizmu. Przez wielu badaczy uważane za jedyną przetrwałą pozostałość pierwotnej religii powszechnej.

Zaślubiny wikkańskie - tłumaczyła Patricia - są połączeniem dusz w porządkach karmy i kosmosu, które owocuje w przyszłych wcieleniach obojga zaślubionych: śmierć ich nie rozdziela, raz zawarty ślub pozostaje raz na zawsze w polu widzenia Bogini. Patricia powiedziała też Jimowi że, wedle legendy, król Henryk VIII poślubił Annę Boleyn w obrządku wikkańskim - być może właśnie z takich przyczyn.

Ceremonię prowadziła jedna z przyjaciółek Patricii, wtajemniczona kapłanka sabatu, w asyście wysokiego kapłana. Podczas modlitwy, wezwań do Boga i błogosławieństw, kierowali oni rytualnym stykaniem rąk Jima i Patricii. Zrobili im nacięcia na nadgarstkach i przedramionach, aby zmieszać kilka kropli krwi w kielichu czerwonego wina, które potem nowożeńcy wypili, po symbolicznym przekroczeniu kija miotły, wymianie ślubowań i finałowym wywoływaniu obecności Bogini.

Dla Patricii było to jedną ze zwyczajnych ceremonii jej religii, ale Jim był tym rytuałem oszołomiony. Podarował

Patricii srebrny claddagh, tradycyjny, irlandzki pierścień ślubny, a dostał od niej dorównujący mu złoty. Prowadząca ceremonię kapłanka i Patrycja, mająca ten sam stopień wtajemniczenia, spisały ręcznie dwa jednobrzmiące dokumenty, jeden po angielsku, drugi pismem runicznym. Podpisali je wszyscy obecni, Jim i Patricia przypieczętowali swe podpisy krwią i z tą chwilą zostali uznani za małżeństwo. Jim zemdlał.

W sobotę Jim i Leon polecili do Paryża, gdzie zamieszkali w ekskluzywnym hotelu Georges V, płacąc po sześćdziesiąt dolarów za dobę. Zaraz po przybyciu przystąpili do zwiedzania miasta. Pili w dziesiątkach ulicznych kawiarenek, odwiedzali miejsca spotkań egzystencjalistów na lewym brzegu, mieszały się z grupkami Cyganów, muzykujących na uliczkach Montmartre'u. Odbyli pielgrzymkę do domu Balzaca, grobu Napoleona i katakumb. Później Leon poleciał do Kopenhagi, a Jim pobiegł do swego przyjaciela, Alana Ronaya, który o tydzień wcześniej rozpoczął swe coroczne wakacje w Paryżu.

Alan często opowiadał Jimowi o Paryżu i częściowo to on skłonił go do przyjazdu. Jim i Alan widywali się dość często od czasu wspólnych studiów na U.C.L.A., bo klisze, na których nakręcono filmy *Feast of Friends* i *HWY* były wywoływane od strony technicznej w firmie, w której Alan pracował. Był on jednym z bardziej tajemniczych przyjaciół Jima i niewiele wiadomo o ich znajomości. Bardzo do Jima przywiązany, musiał dzielić się nim z Frankiem, Babe'em i wieloma innymi osobami, ale nie lubił spotykać się z nim w tym samym miejscu i czasie, co oni. Zazwyczaj widywał się z samym Jimem z wyjątkiem dnia, w którym Jim i Babe, wtargnęli do niego pijani, o trzeciej w nocy.

Przez tydzień Jim był kwintesencją amerykańskiego turysty, gdy ze zmierzwionymi włosami przechadzał się chwiejnym krokiem w letnim deszczu. Ale w przeddzień wyjazdu znowu dostał gorączki.

- Zapalenie płuc? O, Jezu, gdzie on jest? Jak się czuje? Czy Max już wie? Lepiej odłóżmy rozprawę.

Bill Siddons nerwowo bawił się ołówkiem, rozmawiając przez telefon z Babe'em. Dowiedział się, że Jim wrócił z Paryża i jest z Pamelą w jej mieszkaniu przy Norton Avenue, no i że ma zapalenie płuc, choć czuje się nieźle. Jeszcze tego samego dnia Bill rozmawiał z Jimem, który opowiadał, że po rozstaniu z Alanem pojechał do Hiszpanii i Maroko, podróżując po-ciągami i wynajętymi samochodami. Mówił też, że czuł się źle już w Nowym Jorku przed wyjazdem, a w Europie bez przerwy lało.

Jim spędził w Europie prawie trzy tygodnie. Gdy wrócił do Los Angeles, akurat sąd federalny w Miami odrzucił wniosek o umorzenie sprawy z względu na konstytucję. Sędzia powiedział, że są to argumenty, których obrona będzie mogła użyć, składając odwołanie, jeżeli Jim zostanie uznany za winnego. Nie zgodził się też na odłożenie rozprawy z powodu choroby oskarżonego. Jim, jak zwykle, szybko wracał do zdrowia i w końcu lipca, w dniach, gdy ukazała się płyta koncertowa Doors, hulał już po Sunset Strip i po bulwarze Santa Monica.

Czwartego sierpnia był sam w klubie The Experience i gdy już zamykano, poprosił właściciela, Marshalla Brevitza, o odwiezienie go do domu. Jeszcze przed rokiem Jim pojechałby sam, bez względu na to, jak byłby pijany. Ale tym razem wypił za dużo, by móc chodzić.

- Miałem kiedyś klub w Miami - opowiadał Marshall, pakując go do samochodu. - Ciekawe, że byłem w spółce z tymi samymi dwoma facetami, którzy próbowali was oszwać, kiedy tam graliście. Potem zbankrutowali. To przez nich porzuciłem interes w Miami.

Jim kiwnął głową i wybełkotał:

- Teraz w lewo... zdaje się.

Marshall skręcił i gadał dalej: I wiesz, ci dwaj otworzyli sklep z upominkami w jednym z tych hoteli. I zrobili interes na olejku do opalania... Czy nie powinniśmy już być na miejscu?

Jim wymamrotał coś, co brzmiało jak:

- Skręć tuw leff...

Po godzinnym jeżdżeniu wokół kilkunastu domów w kwadracie ulic, Jim wskazał wreszcie mały domek, typowy dla zachodniego Los Angeles. Wydawało mu się, że znalazł.

- O, to tu - powiedział.

Marshall odprowadził go do drzwi.

- Ćśś - syknął Jim. W środku jest dziewczyna, na pewno wściekła na mnie, więc... ćśś.

Leciutko zastukał do drzwi.

Cisza.

Zastukał trochę mocniej.

Ciągle brak odpowiedzi.

Zastukał mocno.

- Hej, Jim - nerwowo wykrztusił Marshall. - No, to na razie, cześć.

I szybkim krokiem oddalił się w stronę samochodu, pozostawiając przed domkiem Jima, który osuwał się po zamkniętych drzwiach.

Rankiem znaleziono go, zwiniętego w kłębek, śpiącego pod drzwiami sześćdziesięcioczworoletniej kobiety, właścicielki domu. Będąc przekonana, że brodaty, długowłosego człowieka, jest następnym Charlie Mansonem, wezwała pomoc z pobliskiego posterunku policji i Jima oskarżono o publiczne pijaństwo.

Było to we czwartek rano.

W piątek Jim poleciał do Miami na rozprawę.

- Spójrzcie! - Jim wskazywał palcem mały samolocik, ciągnący transparent reklamowy z napisem: „Uwielbiamy Spiro Agnew”.

-,

— Czy ktoś wierzy w omeny? - zapytał.

Było ponad trzydzieści stopni ciepła, a wilgotność powietrza dochodziła do stu procent. Bez bogatych, zimowych turystów Miami zdawało się wyludnione. Wielkie hotele przy plaży wyglądały jak grobowce. Jim stał przed hotelem Carillon, grobowcem średniej kategorii, o westybulu wyłożonym beżowym marmurem, z kryształowymi żyrandolami i stale oblężonym basenie. Od chwili jego przyjazdu na Florydę nie wydarzyło się nic godnego uwagi. W niedzielę chciał popatrzeć na grę w jai-alai, ale dowiedział się, że w lecie korty są zamknięte. Zamiast tego poszedł na wyścigi psów. Przez cały czas nie oddalał się od hotelu. Leżał w basenie, pił w klimatyzowanym barze, wygrzewał się w saunie na dachu. Naradzał się z Maxem Finkiem, czy wszyscy członkowie zespołu powinni zeznawać i zdecydowali, że tak. Potem rozmawiali jeszcze niezobowiązująco o zorganizowaniu koncertu na cele dobroczynne. Wszyscy żartowali dla poprawienia nastroju i w sumie niewiele uwagi poświęcali rozprawie.

Był poniedziałek, dziesiąty sierpnia. Czekając na taksówkę, by pojechać do sądu, Jim żartował na temat transparentu reklamującego Spiro Agnew. Miał na sobie kowbojskie buty, czarne dżinsy i wiejską koszulę z Meksyku. W rękę trzymał szkolny zeszyt z okładką z tłoczonej skóry.

— No, dobra - powiedział w końcu - jedziemy.

Wsiadł do taksówki razem z Babe'em, swym obrońcą - Maxem Finkiem - i dziennikarzem Mike'iem Gershmanem. Koledzy z zespołu i Tony Funches pojechali następną taksówką.

W pół godziny później błędził w labiryntach korytarzy olbrzymiego gmachu sądu. Przechadzając się, przeglądał plik stu pięćdziesięciu zdjęć, wręczony mu przez adwokata z Miami, Boba Josefsberga. Fotografie bardzo mu się podobały. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy którejsz z nich i objaśniał ją Babe'emu i innym:

- O, to o tej mówią, że udaję stosunek oralny z gitarą Robbiego, prawda? O, a to ta z owieczką. Owieczka była bardzo spokojna i cichutko pomrukiwała w całym tym zgiełku, dając słowo. Wyglądam tu trochę satanicznie, jakbym niósł ją do rzeźni. Tak, a zespół grał dalej. Wiecie, zaczynam wierzyć, że jestem niewinny.

Żartował bez przerwy, ale był przygnębiony. Starał się zachować chłód i spokój - publicznie oświadczał, że stacza batalię o ochronę wolności działań artystycznych - ale nie mógł odegnąć obaw. W innych chwilach trzął się z wściekłości. W ciągu pięciu dni spędzonych na Florydzie dowiedział się wiele o politykach z Miami i zakulisowym wymiarze całej sprawy. W mieście spodziewano się, że sędzia Murray Goodman obejmie wakujące, wysokie stanowisko w sądzie. W listopadzie zamierzał stanąć do wyborów. Skazanie Morrisona byłoby jego sukcesem i powiększyłyby szanse na powodzenie. Poza tym było prawdopodobne, że Goodman jest nastawiony wobec obrońcy Jima, Boba Josefsberga, który już wcześniej dostał propozycję objęcia tego samego stanowiska i odrzucił ją. Stan Floryda kontra Jim Morrison, czyli sprawa numer 69-2355 znowu wyglądała, jak Oni kontra My.

Max Fink kładł w swych wywiadach prasowych nacisk na ten właśnie aspekt. Tydzień wcześniej zapowiadał, że zażąda, aby członkowie ławy sędziowskiej obejrzeni przedstawienie teatralne *Hair* i film dokumentalny *Woodstock*, co pozwoli im umieścić czyn Jima we właściwym kontekście. Teraz zaś dodawał: „Trzeba pogodzić się z faktem, że problemy, przeciw którym protestują przedstawiciele młodego pokolenia, tacy jak Jim Morrison, są dziełem pokolenia ich ojców”.

Max oświadczył, że spodziewa się długiego, sześć- lub nawet dziesięciodniowego procesu, gdyż zamierza powołać aż stu świadków obrony. Już od miesiąca młody adwokat Dave Tardiff rozmawiał na jego polecenie z potencjalnymi

świadkami, z których wszyscy gotowi byli poświadczyć, że Jim się nie obnażył. W pogotowiu było też wielu ekspertów, w tym dwóch profesorów psychologii z Uniwersytetu w Miami, którzy mieli omówić problemy współczesnych postaw społecznych, docent-anglista, gotowy wyjaśnić kwestie etymologiczne, by udowodnić, że język Jima nie był obraźliwy, a jedynie kontrowersyjny, wreszcie wydawcy czasopism z Miami i Miami Beach, mogący przypomnieć o miejscowych włóczęgach-komikach, których wyuzdane występy w hotelach uchodziły bezkarnie.

W końcu sędzia Goodman oświadczył, że rejestr spraw wniesionych jest zbyt obszerny, by rozprawa mogła się rozpocząć przed środą. Wobec tego we wtorek Ray, Robby i John wynajęli samochód i pojechali do Key West, a Jim został w swym pokoju i czytał.

W dwa dni później Max przemawiał do wszystkich zapowiedzianych ławników:

- Jeżeli zostanie udowodnione to, że pan Morrison zrobił to, co można znaleźć we wszystkich bestsellerowych książkach i co pokazywane jest na scenach teatrów, może wówczas zastanowicie się państwo, czy ten człowiek jest chroniony przez prawo tak samo jak wszyscy inni.

Mówił też:

- Są pewne wyrażenia potoczne, które państwo zgodnie uważają za obraźliwe. Takie czteroliterowe słowa, których brzmienie i znaczenie jest czymś powszednim dla znacznej części naszego społeczeństwa, czymś powszechnie spotykanym w sztukach, książkach i wśród wszystkich młodych ludzi w Stanach. A więc, jeżeli pan Morrison używał takich słów i wyrażeń, czy państwo są tym zaszokowani?

Trudno powiedzieć, jaki skutek wywarły te przemowy. Skład ławy sędziowskiej wybrano w piątek - zasiadło na niej czterech mężczyzn i dwie kobiety: były kucharz wojskowy, obecnie mechanik, robotnik układający kafelki w firmie wy-

tworzącej posadzki, mechanik, służący od dwudziestu trzech lat w straży nadbrzeżnej, nauczyciel wychowania plastycznego w szkole podstawowej, gospodyni z Miami, matka dwudziestotrzyletniego syna i trzydziestoletniej córki oraz samotna gospodyni, która dawniej pracowała jako agent ubezpieczeniowy. Bob Josefsberg natychmiast zaprotestował przeciw temu składowi. Mówił, że jeżeli Jim ma być sądzony przez równych sobie, to wszyscy ławnicy powinni mieć poniżej trzydziestu lat. Sędzia zrobił kwaśną minę i oświadczył, że weźmie to pod uwagę, po czym przewód zamknięto na weekend.

Kiedy Jim wychodził z sądu, podszedł do niego młody prokurator, Terrence McWilliams, ubrany w oliwkowy garnitur i pomarańczową koszulę. Wahał się, był zakłopotany. Wreszcie zapytał Jima, czy przypadkiem nie ma ze sobą egzemplarza swej najnowszej płyty. Powiedział, że skompletował już sobie wszystkie inne, ale *Absolutely Live* zabrakło w sklepie. Ton jego głosu mówił wszystko: było mu przykro, nie chciał całej tej sprawy, został do niej wyznaczony. Wykonywał tylko swe zadanie.

Nie miało to jednak oznaczać, że McWilliams będzie bardziej łagodny na sali sądowej. O jego prawdziwym stosunku do sprawy Jima lepiej świadczy list, który później posłał Jimowi. Zawierał on kawałek nieudolnego wierszydła:

Grał kiedyś zespół Doors nazywany
i ku zgorszeniu większości
był przez dzieciaki oklaskiwany
za protest w imię młodości
Świadkowie twierdzili zaś zgodnie
Ze lider zrzucił spodnie.

Tego samego wieczoru Jim, Babe i Tony wybrali się do sali Convention Center w Miami Beach na koncert Creedence Clearwater Revival, a później do Hump Room w hotelu Marco

Polo, gdzie Jim przyłączył się do zespołu Canned Heat na cztery piosenki. „Potem - zapisał Babe w swym dzienniku - Jim, ja i Ina (Gottlieb, stewardessa, którą poznali podczas lotu do Miami), poszliśmy do Fontainebleau, gdzie mieszkali muzycy z Creedence Clearwater Revival. Graliśmy na loterii i piliśmy, aż ja miałem dość i zemdlałem na kanapce obok stolika loteryjnego. Kiedy się ocknąłem, Jim leżał nieprzytomny pod tym stolikiem...”

W poniedziałek wszyscy byli z powrotem w „oddziale D” gmachu sądu w Miami. Prokurator, tym razem ubrany w jasnoczerwoną koszulę, stał naprzeciw Jima, kończąc swą przemowę głośnym odczytaniem aktu oskarżenia:

- Oskarżony w sposób wulgarny i obelżywy obnażył swój członek, umieścił na nim ręce i potrząsał nim, a następnie symulował akt masturbacji na sobie i oralnej kopulacji na innych...”

Kiedy skończył, powoli podniósł oczy nad kartkę i posłał Jimowi nie, jak każe tradycja, spojrzenie pełne potępienia, lecz puste i wystraszone, na które Jim odpowiedział kamiennym wzrokiem.

McWilliams zacytował z nagrania, co uważa za wulgarny język używany w czasie występu: „Jesteście kupą pieprzonych idiotów... wpycha się wam gębę w gówno... obejmij swojego cholernego przyjaciela i kochaj go. Chcecie zobaczyć mojego wacka? Sędziowie siedzieli nieruchomo i bez wyrazu.

W południe po raz pierwszy głos zabrał Max Fink, przybierając pozę niemile dotkniętego faktami, lecz wyrozumiałego dziadka. Miał nadzieję, że uda mu się narzucić ławnikom podobny stosunek do sprawy.

- Wyobraźnia może każdego ponieść, więc warto zdać sobie sprawę, że są pewne różnice pomiędzy tym, co powiedział prokurator, a zeznaniami świadków. Użycie pewnych słów nie ulega wątpliwości. Mam sześćdziesiąt dwa lata i nie byłem na żadnym z takich koncertów, ale wiem, że tak się dzisiaj mówi.

Młodzi ludzie używają takich słów bez żadnych zdrożnych intencji. Po prostu tak żyją i o tak się wyrażają. Koncert rockowy jest manifestacją ich odrębności. Zgódźmy się: w sali było tego wieczoru dwudziestu sześciu funkcjonariuszy policji w mundurach i wielu tajnych. Nikt nie zaaresztował pana Morrisona na scenie. Muzyk rockowy pracuje bardzo ciężko. Schodzi ze sceny zlany potem, by spotkać się z kolegami, podzielić wrażeniami przed odjazdem do hotelu, a potem na Jamajkę. Ale nikt go nie aresztował - nie doszło do żadnego przestępstwa. Słowa, jakie padły, są dopuszczalne. Zło tkwi w umysłach.

Pierwszym świadkiem oskarżenia była kilkunastoletnia dziewczyna, która sprawiała wrażenie celowo ucharakteryzowanej: miała na sobie białe buciki i różową spódniczkę mini. Włosy spięła w koński ogon. Powiedziała, że w dniu koncertu miała dopiero szesnaście lat i zobaczyła, jak Jim zrzucił spodnie do kolan, obnażył się na dziesięć sekund, później... - zająknęła się - ujrzała, jak się dotykał. Zapytana o to, jakich niecodziennych słów Jim używał na scenie, odpowiedziała, że „tych zaczynających się na literę „f”. Na pytanie, jakie wrażenie zrobiło na niej to, co przeżyła, odrzekła:

- Byłam zaszokowana, to było gorszące.

Max wziął ją w krzyżowy ogień pytań, porównując odpowiedzi z zaprzysiężonym oświadczeniem, złożonym przez nią w kwietniu, w którym twierdziła, że widziała, jak Jim ocierał się na scenie o młodą kobietę, ale nie była pewna, czy miał opuszczone spodnie.

- Czy miałaś ostatnio jakieś kłopoty z pamięcią? - zapytał Max.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem, więc sędzia Goodman zarządził krótką przerwę, by dać jej czas na uspokojenie się.

Po przerwie dziewczyna zaprzeczyła sobie jeszcze dwa razy, a w końcu przyznała się, że ona i jej chłopak nie zapłacili za wstęp na koncert, lecz zostali wpuszczeni przez jej szwagra, policjanta.

Po dziewczynie zeznawał jej chłopiec, który potwierdził złożone przez nią zeznania. I znowu Max wytknął niezgodności pomiędzy tym, co usłyszał, a dawnymi, zaprzysiężonymi zeznaniami. Dawniej chłopiec twierdził, że „tylko niejasno pamięta”, co Jim zrobił, a czego nie. Teraz zaś pamiętał wszystko. W odpowiedzi na pytanie prokuratora powiedział, że w dniu koncertu miał dwadzieścia lat, więc sam nie był specjalnie zaszokowany tym, co widział, ale obawiał się o swą dziewczynę. Z kolei na pytanie Maxa przyznał, że zabrał ją na film *Woodstock*, choć wiedział, że tam również pokazywana jest nagość.

Następnie w roli świadka wystąpiła matka dziewczyny, która nie była na koncercie, ale stwierdziła, że jej córka była po powrocie do domu wyraźnie zgorzozona.

W poniedziałek wieczorem, wraz z przybyciem Patricii Kennely, zaczął się nowy dramat. W piątek, czternastego sierpnia Jim rozmawiał z nią przez telefon i dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży. Więc poprosił ją, by przyjechała do Miami. Wysłał swojego dziennikarza i adwokata razem z żoną, by odebrali ją z lotniska.

Gdy popijali w barze hotelowym, Jim był bardzo miły, ale ilekroć Patricia próbowała skierować rozmowę na swą ciążę, odpowiadał wymijająco. Na jego prośbę przywiozła ze sobą trzydzieści egzemplarzy najnowszego numeru swego pisma, z jego zdjęciem na okładce i nowym wierszem, zatytułowanym *The Anatomy of Rock*, wewnątrz. Jim oglądał serię jednakowych zdjęć, a potem zaczął czytać wiersz.

W końcu podniósł oczy na Patricię i powiedział, że może na sądzie zrobić wrażenie wiadomość, że oskarżony jest nie tylko gwiazdą muzyki rockowej, ale służy też społeczeństwu, pisząc poezję. Wreszcie kazał jej pójść do swego pokoju, obiecując, że później do niej przyjdzie. Nie przyszedł.

Już wcześniej sędzia Goodman ustalił, że posiedzenia sądu odbywać się będą co drugi dzień, więc Jim miał wolny wtorek.

Tego dnia znowu nabrał Patrycję, dwukrotnie zapewniając ją przez telefon, że przyjdzie, po czym nie przyszedł, lecz spędził cały dzień z Babe'em.

W środę był z powrotem w sądzie. Patricia przyszła także - była wściekła, ale starała się nie okazywać tego. Ekipa telewizyjna sfilmowała ich podczas kłótni w hallu. W chwili, gdy Jim obiecywał, że tę noc spędzą razem, wszedł sędzia.

Tego dnia wezwano troje świadków. Pierwszym była policjantka, która w czerwcu zeznawała, że nie słyszała żadnych obelżywych słów. Teraz zaś twierdziła inaczej i wprawiła sędziego w zakłopotanie, wygadując się, że w międzyczasie słyszała nagranie z koncertu. Drugi świadek, student, który robił w trakcie koncertu zdjęcia, zeznał, że nie widział obnażenia narządów płciowych. Było to kolejnym rozczarowaniem dla prokuratora, ale przy trzecim doczekał się on pomyślnego obrotu. Świadkiem był rudy dwudziestoczterolatek, Bob Jennings, który wniósł sprawę przeciw Jimowi do sądu, a teraz cytował duże fragmenty monologu Jima i przysięgał, że Jim obnażył się na pięć do ośmiu sekund. Zeznanie jego brzmiało przekonująco, a jedynym zarzutem, jaki znalazł przeciw niemu Max, było to, że Jennings przez ostatnie trzy lata pracował w biurze prokuratora stanowego, podobnie jak jego matka, a siostra była sekretarką sędziego. Jim i jego przyjaciele przekonali się ostatecznie, że świadek realizuje wytyczne ludzi, pracujących dla sędziego Goodmana.

- Idź teraz do pokoju - rozkazał Jim Patricii, z którą pił w barze hotelowym. - Pójdę się przebrać i za pół godziny u ciebie będę.

W pół godziny później rozpoczęła się obiecwana od dawna rozmowa.

- Wiem, że teraz, kiedy masz na głowie proces i wszystko, nie jest najlepsza pora ani miejsce, żeby wymagać od ciebie decyzji - zaczęła Patricia - ale faktem jest, że się stało i teraz...

Jim uśmiechnął się z wahaniem i mruknął:

- Damy sobie radę.

- Posłuchaj, mnie też nie przeraża samo to, co się stało. Przecież wiesz. Ale tak się składa, że jesteś jedynym mężczyzną, o jakim myślałam, że jest godny tego, aby być ojcem mojego dziecka. Teraz to się zdarzyło i nie wiem, co mam robić. Naprawdę uważam, że jesteś mi winien coś więcej niż tylko parę czeków.

Jim spojrzał na nią, potem odwrócił oczy.

- Jeżeli będziesz miała to dziecko, zniszczysz naszą przyjaźń. Dziecko w niczym nie zmieni mojego życia, ale zupełnie odmieni twoje. Raz na zawsze.

- Mogłabym pójść do sądu.

Spojrzał na nią zdumiony:

Jeszcze jeden proces? Oczywiście, że możesz, i będzie to wyglądało tak jak teraz. Zajmie bardzo dużo czasu. Najpierw musisz mieć to dziecko, to - no, powiedzmy pół roku. Potem mnóstwo problemów z udowodnieniem, że masz rację - badania krwi i takie rzeczy. Ja zaprzeczę zarzutom i będziesz musiała znaleźć świadków, a pewnie nie będzie żadnych, bo ja już wszystkich wykupię. Nawet, jeżeli w końcu dojdzie do procesu, możesz go przegrać. Do tego jeszcze ogromne rozdmuchanie całej sprawy, czego nie znosisz. Gdybyś mimo to w końcu wygrała, co z tego będziesz miała? Trochę pieniędzy, odrobina satysfakcji i straszne rozgoryczenie. Chyba sama widzisz, że nie warto.

Patricia była zapłakana.

- Nie mogę uwierzyć, że ty to mówisz.

No, a co chciałybyś, żeby powiedział?

- Nie wiem, do cholery! Niech cię diabli wezmą! Czy dla ciebie to żadna różnica, że to jest nasze dziecko, twoje i moje, a nie twoje i Pameli?

- Ja... tak, żadna różnica. Nie zniósłbym dzieciaka. Żadnego. Nie stać mnie na to, nie chcę takiej odpowiedzialności.

- Nie stać cię na to tylko emocjonalnie - dokuczyła mu.

- No, a czy nie byłoby lepiej mieć dzieciaka z kimś, kto chciałby być jego ojcem?

- Naturalnie. Więc co proponujesz?

- To naprawdę zależy od ciebie. Jeżeli chcesz mieć dzieciaka, będzie to twój dzieciak. Jeżeli chcesz usunąć ciężę, ja zapłacę za to i przyjadę do Nowego Jorku, żeby być z tobą w tym czasie. Obiecuję, że przyjadę. Będę przy tobie i wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz. Wszystko to można zrobić w jeden weekend. Ja będę miał przerwę w procesie. Może potem uda nam się gdzieś wyjechać...

Patricia oglądała swe paznokcie, pierścionki, końce kasztanowych włosów sięgających do pasa. Wreszcie spojrzała mu prosto w oczy.

- Postanowione - powiedziała chłodno i po cichu.

Zapadła bardzo długa cisza, wreszcie Jim uśmiechnął się do niej swym znanym, chłopięcym uśmiechem i powiedział dziwnym głosem:

- To byłoby zupełnie niezwykle dziecko, wiesz? Geniusz po matce i poeta po ojcu.

- Bardzo możliwe - sucho odparła Patricia. - Ale nie mamy powodów, by je mieć. To nie jest eksperyment, czy dwoje wspaniałych ludzi może stworzyć koło siebie wspaniałe małżeństwo. Ja też nie przepadam za dziećmi i chciałam je mieć tylko dlatego, że ono byłoby twoje. A to chyba najgorszy z możliwych motywów, by mieć czyjekolwiek dziecko.

Jim nie zareagował na to, a po chwili wyznał:

- Wiesz, nigdy przedtem nie miałem takiego problemu.

Patricia wybuchnęła:

- Przestań mnie karmić takim gównem. Wiem, że to nieprawda. Wiem przynajmniej o czterech razach i wiem, co było z Suzy Creamcheese i...

- Nie, nie, to nieprawda! Nic z tego. Nigdy przedtem nie miałem nic takiego. Nie pomyślałaś, że dla mnie to tak samo bolesne, jak dla ciebie? Sama powiedziałaś, że to także moje dziecko. No, ale musisz być dzielna.

Patricia wolała nie odpowiadać. W końcu Jim zaproponował, by poszli jeszcze do baru. Zgodziła się.

- Chcę być pewna, że dobrze się zrozumieliśmy: mam usunąć ciążę, a ty za to zapłacisz i przyjedziesz do Nowego Jorku, żeby być przy mnie, tak?

- Dokładnie tak.

- A jak myślisz, co zrobimy potem?

- Myślę, że razem popłaczemy nad tym.

- No tak - westchnęła - to już chodźmy się napić.

Ponieważ Doors mieli umówione dwa koncerty w Kalifornii w piątkowy i sobotni wieczór, sędzia zgodził się kontynuować przesłuchiwanie świadków nazajutrz, we czwartek, a potem zrobić przerwę do wtorku. W tym dniu sytuacja długo się ważyła, aż w końcu doszło do katastrofy. Patricia pozwoliła Jimowi spędzić ze sobą noc i znów było im ze sobą dobrze, lub raczej na tyle dobrze, na ile być mogło. W sądzie zaś przedstawiono sto pięćdziesiąt fotografii, z których żadna nie pokazywała najmniejszego nawet wykroczenia, a jedyny świadek przesłuchiwany tego dnia także zeznał, że nie widział nic niezgodnego z prawem. Ale później sędzia Goodman ogłosił, że żadne dowody odnoszące się do „kanonów obyczajowości” nie będą brane pod uwagę. Tym samym sparałizował główną linię obrony.

Twarz Jima przybrała barwę mokrego cementu, gdy czytał zapisaną na dwóch stronach decyzję sądu. Po cichu położył kartki przed sobą na stole i spojrzał na Maxa, który rozniewał się i chciał protestować.

- Wysoki Sądzie - poprosił uprzejmie - czy ławnicy mogą opuścić salę?

Sędzia polecił ławnikom wyjść, a wtedy Max przedstawił swe argumenty:

- Wyłączenie dowodów, związanych z kwestią standardów społecznych, a dotyczących słów, o których zgodnie orzekamy, że zostały użyte, wyłączenie zeznań określających wpływ tych słów na współczesną, młodą publiczność, będzie zaprzeczeniem sprawiedliwej rozprawy.

Max spierał się o to z pasją przez ponad pół godziny, powołując się na rozwój wolności słowa, na kierunek, w jakim rozwija się dramat i na obecne prawa artystów i dramaturgów do swobodnej wypowiedzi. Było to, jak powiedział Jim w kilka miesięcy później, „doskonałe podsumowanie tego historycznego procesu, ale nie przyniosło rezultatu”. Goodman wysłuchał mowy z policzkiem wspartym na dłoni i okularami na końcu nosa, a później, bez słowa komentarza, oznajmił, że jego decyzja pozostaje w mocy.

W piątek rano Jim i jego koledzy polecili do Los Angeles, gdzie spotkali się z chłopcami z zespołu, którzy przybyli tam w tym samym tygodniu. Po czym razem pojechali autobusem na północ, do Bakersfield, na pierwszy koncert, a nazajutrz na południe, do San Diego, na drugi. Koncerty udały się znakomicie, ale zmęczyły Jima.

Następnego dnia Jim złapał drugi oddech i poszedł upić się z Babe'em. „Byliśmy urżnięci - wspomina Babe - zaśmiewaliśmy się, taczaliśmy się po ulicy”. Stewardessy, które zabrali ze sobą, nie były w tak świetnym nastroju, toteż oddaliły się dumnie. Dwaj przyjaciele nie przestawali się śmiać. Ryczeli i pokładali się ze śmiechu.

Później wrócili na Florydę, gdzie Jim przez całą noc nie położył się spać, zażywając kokainę i sprzecząc się od północy do ósmej rano ze swym kolegą, dramaturgiem Harveiem Perrem, który ostatnio zajmował się reklamą na rzecz Elektry.

O ósmej rano Jim przerwał rozmowę, zamówił sobie arbuza, zjadł go prawie całego, po czym spotkał się z ad-

wokatami w sądzie. Na ten dzień przewidziane były zeznania kolejnych czterech świadków oskarżenia, funkcjonariuszy i tajnych agentów policji. Każdy z nich słyszał obelżywe słowa lub widział obnażenie Jima. Jeden z nich opisał nawet, że członek Jima był „w trakcie osiągnięcia erekcji”.

We środę Jim, Ray i Babe pojechali do Everglades, gdzie pływali wodolotem, obejrzeni pokaz zapasów aligatorów i jedli żabie udka oraz hush puppies.

We czwartek znowu zjawili się w sądzie, by wysłuchać kolejnej grupy świadków oskarżenia: jeszcze trzech policjantów i „cywila” - kobietę, która pracowała w policyjnej centrali telefonicznej i została wpuszczona na koncert przez znajomego policjanta. Wszyscy złożyli zeznania obciążające, a na pytanie Maxa, dlaczego, skoro oskarżony zachowywał się w taki sposób, świadkowie nie aresztowali go za kulisami zaraz po koncercie, jeden z nich odpowiedział, że obawiali się rozruchów ze strony publiczności.

- Jakiej publiczności? - zapytał Max. - Przecież w szatni byli tylko członkowie zespołu, kilku ich przyjaciół i policja.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi i wkrótce o nim zapomniano, gdyż oskarżyciel dołączył do dowodów rzeczowych taśmę, nagraną przez kogoś z publiczności. Magnetofon ustawiono na barierce przedziału ławników i wciśnięto guzik „play”. Na godzinę i pięć minut salę wypełniło mgliste brzmienie muzyki Doors i ochryple okrzyki Jima.

- Czy nikt nie pokocha mojej dupy? Jesteście kupą pieprzonych idiotów! Jesteście stadem niewolników! Nie mówię o żadnej rewolucji, mówię o tym, by się dobrze bawić... Mówię o miłości... Chcę zmieniać świat...Chcę widzieć, że tańczycie, chcę widzieć, że się dobrze bawicie, chcę zobaczyć, że przyjdziecie tu i pobawimy się razem. Nie ma zakazów. Nie ma ograniczeń. Chodźcie!

- Widzicie - mówi Harvey Perr - Jim i Max zgodzili się na puszczenie taśm, bo chcieli wykazać, że wszystko to należy

rozumieć w pewnym kontekście, że wszystko wypływało z rytmu. To było czymś w rodzaju improwizacji, ekspresją uczuć, podczas, gdy ich zdaniem było to znieważające. Gdy on mówił „fuck”, miał na myśli kochanie się. „Pieprzyć się” znaczyło „kochać”. Według mnie zamiast zniewagi było to nawoływanie do buntu: do buntu przeciw zawyżonym cenom biletów, przeciw całemu systemowi, i do kochania się. Mówił: „Pieprz się z kimś, kto stoi obok ciebie”. Ale wszystko w tym rytmie, jak w jednym z jego wierszy. Jak w tym wielkim, awanturniczym, pijanym poemacie, nawołującym do buntu. Jak u Dylana Thomasa.

W piątek wieczorem Jim poleciał do Londynu, gdzie przesiadł się do małego samolotu, lecącego na wyspę Wight, by spotkać się z resztą zespołu na jeden koncert. Jedyne, jaki pozostał z odwołanej trasy europejskiej. Był sobotni wieczór. Jim nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Doors wyszli na scenę o drugiej w nocy. Po nich grać mieli the Who, zespół, na który czekała publiczność. Znowu grali w złych warunkach - na wolnym powietrzu, przy bardzo zlej pogodzie, silnym wietrze, niedostatecznym oświetleniu i marnym nagłośnieniu. Ich występ wypadł - zdaniem jednego z brytyjskich czasopism muzycznych - jak słuchanie płyty Doors na zepsutym, zwalniającym gramofonie. Jim był rzeczywiście nie w formie i przez cały czas bezsilnie wisiał na mikrofonie. Po koncercie włóczył się przez kilka godzin po terenie, na którym odbywał się festiwal, udzielił krótkiego, pobieżnego wywiadu dziennikarzowi jakiegoś angielskiego czasopisma, ale przede wszystkim przyglądał się publiczności. Zanim znalazł się z powrotem w Londynie, podjął decyzję: koncert na festiwalu na wyspie Wight był jego ostatnim publicznym występem.

Strona oskarżenia zakończyła swą kampanię w środę, po zaprezentowaniu jeszcze dwóch zgorszonych świadków profanacji. Nadeszła kolej na obronę.

Bob Josefsberg zwrócił się o u niewinnienie Jima, argumentując, że z zeznań świadków strony oskarżającej wynikają poważne sprzeczności. Sędzia Goodman nonszalancko odrzucił wniosek, po czym poważnie ograniczył możliwości obrony: mogła ona przedstawić tylko siedemnastu świadków, czyli tyle samo, ile strona oskarżająca, a przy tym nie mogli się wśród nich znaleźć „tak zwani eksperci”.

Przez pozostałą część dnia i cały dzień następnego Max i jego partner z ramienia sądu wypytywali pierwszą piątkę świadków obrony. Wszyscy zeznali, że znajdowali się w miejscach najdogodniejszych do obserwacji i nie widzieli, by Jim się obnażył. Brzmiało to przekonywająco, ale w ten sam sposób świadkowie oskarżyciela twierdzili, że coś widzieli. W sali zapanowała atmosfera znużenia, niewidoczna lecz wyczuwalna, jak klimatyzacja. Niemal z ulgą przyjęto ogłoszoną wieczorem decyzję o odroczeniu dalszej rozprawy na jedenaście dni. Jim i Babe polecili do Nassau, gdzie czekali na nich Frank i Kathy Lisciandro. Przez tydzień opalali się i pili.

Czternastego września, gdy wszyscy znów znaleźli się w sądzie, obrona wysłuchała co najmniej dziesięciu świadków w ciągu dwóch i pół godziny, a nazajutrz kolejnych pięciu. (W ten sposób limit siedemnastu osób został przekroczony, ale z powodu pośpiechu Maxa nikt już ich nie liczył). Były między nimi nie pracujące kobiety, studenci, lekarze i policjanci i wszyscy powtarzali zdanie pierwszego świadka: nie widzieli obnażenia. Zeznania brzmiały niemal jednakowo, jak gdyby znaczna część publiczności w Miami skupiła uwagę na tym drobnym fragmencie koncertu. Za każdym razem sędzia pytał Terrence'a McWilliamsa, czy ma pytania do świadka. Lecz ten milczał.

Proces, który włócił się bezwładnie przez ponad miesiąc, zaczął zmierzać ku końcowi. Zeznania Jima i pozostałych członków zespołu, złożone szesnastego i siedemnastego września, nie wniosły nic nowego. „Ja nie musiałem zeznawać

- powiedział później Jim - ale uważaliśmy, że będzie dobrze, jeżeli ławnicy poznają mnie trochę lepiej, bo dotąd mogli tylko na mnie patrzeć. Myślę zresztą, że w sumie niewiele to zmieniło".

Zeznanie Jima było spokojne i rzeczowe. Na pytania Maxa i Terrence'a McWilliamsa odpowiadał równie grzecznie i z wdziękiem - powoli i starannie dobierając słowa, robiąc pełne namysłu pauzy i przyglądając wąsy palcami. Mówił zdecydowanie, lecz tonem łagodnym, w sposób przekonujący i budzący zaufanie.

Wreszcie Max oświadczył:

- Obrona dziękuje za głos.

Sędzia Goodman zgodził się nie przerywać procesu na sobotę, lecz wysłuchać ostatnich oświadczeń i przekazać sprawę ławie. Przed wejściem do sądu Jim dowiedział się z lokalnej gazety, że w Londynie zmarł Jimi Hendrix. Znowu zastanawiał się na głos:

- Czy ktoś wierzy w omeny?

Skoro obrona po linii „kanonów obyczajowości” zawiodła, Max i Bob Josefsberg nie mogli ominąć całego materiału dowodowego, zgromadzonego przez oskarżyciela, lecz musieli frontalnie go zaatakować. Przez ponad trzy godziny Max drobiazgowo analizował dowody i wykazywał sprzeczności i niedokładności w zeznaniach. Później przez ponad godzinę Bob Josefsberg cytował tekst *Nowego Stroju Imperatora*, tworząc współczesną przypowieść, którą zakończył zwrotem do prokuratora, któremu towarzyszył elegancki ukłon:

- Teraz zaś kolej na pana, panie McWilliams.

McWilliams wygłosił półgodzinną mowę o wydźwięku niemal apologetycznym, po czym usiadł, nie patrząc na Jima.

O dziewiątej wieczorem ławnicy rozpoczęli naradę i pół godziny przed północą podjęli decyzję o trzech spośród czterech zarzutów. Oskarżony - oznajmili - nie jest winien zarzutów pierwszego i czwartego - nieprzyzwoitego, niegod-

nego zachowania (symulowanej masturbacji i symulowanej kopulacji oralnej, czyli przestępstwa) ani też pijaństwa, czyli wykroczenia. Winien jest natomiast zarzutu trzeciego - jawnej profanacji, czyli wykroczenia. (Podczas swego wystąpienia Jim był pytany, czy się obnażył. Odpowiedział wówczas, że nie pamięta, bo był zbyt pijany, przyznając się mimowolnie do zarzutu czwartego. Teraz, jak na ironię, został z tego zarzutu zwolniony). Ławnicy oświadczyli sędziemu Goodmanowi, że zawiera się to w zarzucie drugim, o publiczne obnażenie się. Sędzia nakazał ławnikom pozostanie w hotelu Miami i zarządził przerwę do dziesiątej rano w niedzielę, kiedy to rada miała wznović swą naradę.

W niedzielę rano, gdy ławnicy weszli na salę, Jim czytał biografię Jacka Londona *Żeglarz na koniu*, pióra Irvinga Stone'a. Starszy przysięgły odczytał werdykt: oskarżony został uznany winnym zarzutu drugiego.

Wydanie wyroku zostało odłożone na koniec października. Ponieważ nie udałooby się dokonać ekstradycji Jima z Kalifornii za wykroczenie, kaucję podwyższono z 5 do 50 tysięcy dolarów, by skłonić go do powrotu na salę sądową.

Jim opuścił salę z powagą. Ubrany był w czarne dżinsy i buty oraz haftowaną koszulę, którą dostał od jednego z fanów. Zatrzymał się, by porozmawiać z dziennikarzami.

- Ten proces i jego zakończenie nie zmienią w niczym mojego stylu życia. Utrzymuję bowiem, że nie zrobiłem nic złego.

Najbliższe miesiące po procesie były pod pewnym względem gorsze od samego procesu. W Miami Jim musiał liczyć się z czasem. Teraz już bez żadnej kontroli staczał się ku katastrofie.

Zaraz po powrocie z Florydy zaczął się panicznie bać, dowiedziawszy się o śmierci Janis Joplin z powodu przedawkowania narkotyków. Najpierw Jimi. Teraz Janis. Gdy Jim

włoczy! się po mieście z kolegami, mawiał: „Pijecie z Numerem Trzeciem”. Potem pokłócił się Pamelą tak strasznie, że go zostawiła. Spakowała bagaże i poleciała do Francji, do swego bogatego, francuskiego księcia.

Dni mijały Jimowi w knajpach, a noce w hotelu Strip, gdzie on i Babe mieszkali w przyległych pokojach.

- Hej, Babe, spójrz no!

Jim zwieszał się za ręce z balustrady balkonu Hyatt House, dziesięć pięter nad bulwarem Sunset Strip. Był pijany i zakokainowany.

- Wolałbym, żebyś dał z tym spokój - powiedział Babe.

- Przez ciebie się niepokoję.

Wyszedł na balkon, spojrział w dół ponad barierką, a potem opuścił wzrok na Jima, ciągle wiszącego na rękach.

- Wiesz, przyciągasz zupełnie niezły tłumek - dodał.

Powtórnie rzucił okiem w dół i zauważył menadżera hotelu, który stał na chodniku, wymachując rękami. W chwilę później gwałtownie załomotano do drzwi. Babe pomógł Jimowi wejść do środka i posadził go w fotelu, po czym wpuścił wściekłego menadżera i grupkę policjantów z biura szeryfa.

- Co tu się dzieje? Co wy sobie, do ciężkiej cholery, myślicie?

- Wszystko jest w porządku - odpowiedział Babe, wskazując Jima. Policjanci wkroczyli do pokoju. Twierdzili później, że otworenie drzwi przez Babe'ego było zaproszeniem do wejścia, a gest wskazania Jima - gościnnym skinieniem. Kiedy przeszukiwali pokój, Babe'emu udało się ukryć obydwa rożki z kokainą za stojącą na kredensie plakieta reklamową, reklamującą Pokój pod Szablami. Policjanci znaleźli jednak trochę marihuany. Jima tym razem nie aresztowano, bo nie był to jego pokój, ale został przeniesiony na tył hotelu, do pokoju z oknami wychodzącymi na parking.

Salli Stevenson, dziennikarka pisma „Circus”, która zapytała Jima o koncert w Miami, jako pierwsza osoba doczekała się

obszerniejszej odpowiedzi. „Miałem już naprawdę dość wizerunku, który mi stworzono i który czasami, świadomie, lecz najczęściej nieświadomie, współtworzyłem. Tego było już za wiele. Nie mogłem dłużej wytrzymać, więc skończyłem z tym w ciągu jednego, wspaniałego wieczoru. I chyba cały problem polegał na tym, że nazwałem publiczność kupą pieprzonych idiotów, dlatego właśnie, że byli publicznością. No, bo co oni tam właściwie robili? To, co chciałem im brutalnie przekazać, to było: 'Uświadomcie sobie, że przyszlście tu nie po to, by wysłuchać kilku piosenek, zagranych przez dobrych muzyków, lecz po coś zupełnie innego'. Dlaczego miałbym tego nie zauważać i nie starać się jakoś tego zmienić?"

Mówił też, że uważa wywiad za drogę porozumienia o coraz większym znaczeniu, mającą swe pierwowzory w spowiedzi przy konfesjonale, w dyskusji i w krzyżowym ogniu pytań w sądzie. Wyrażał obawy, że policjanci w Los Angeles „są idealistami... niemal fanatycznie przekonanymi o własnej racji", że „zbudowali sobie całą filozofię na poparcie swej tyranii".

Wywiad był pełen refleksji i zdecydowanych przekonań. Jim po raz pierwszy przyznał publicznie, że być może nie będzie już długo żył. „Nie przeczę, że był to piękny okres - te ostatnie trzy, czy cztery lata. Spotkałem mnóstwo interesujących ludzi i w niedługim czasie przeżyłem tyle, że w innych warunkach zajęłoby mi to dwadzieścia lat życia. Nie mogę powiedzieć, że żałuję". Ale dodał też: „Gdybym miał zacząć jeszcze raz, myślę, że wybrałbym raczej życie cichego, skromnego artysty, chodzącego własnymi ścieżkami po swym ogródku". A gdyby musiał pójść do więzienia? Miał nadzieję, że „trzej jego koledzy pójdą dalej i stworzą swój własny, instrumentalny styl, uniezależniony od tekstów, które przecież nie są tak naprawdę decydujące dla muzyki".

Trzydziestego października Jim poleciał do Miami na ostatnie spotkanie z sędzią Murraiem Goodmanem. Przed odczytaniem wyroku sędzia wygłosił krótką mowę.

- Argument, że pana zachowanie było akceptowalne z punktu widzenia współczesnych kanonów obyczajowości nie jest słuszny. Twierdzenie, że nasz naród zalicza do swych obyczajów nieprzystojne obnażenie się i wulgarny język, jakiego pan używał, równałoby się twierdzeniu, że ta nieznaczną mniejszość, która zachowuje się nieprzyzwoicie, narusza prawo i porządek i odnosi się z pogardą wobec naszych instytucji i dziedzictwa, ustala prawa moralne dla nas wszystkich".

Jim zorientował się od razu, że ta piękna mowa jest częścią kampanii wyborczej i ma na celu przysporzyć sędziemu kilka głosów więcej w następnym miesiącu. Wyrok był taki, jakiego się spodziewał: maksymalny. Za profanację został skazany na sześćdziesiąt dni ciężkich robót w więzieniu Dade County, a za obnażenie się sześć miesięcy ciężkich robót, po czym miał odbyć karę dwóch lat i czterech miesięcy więzienia z zawieszaniem i pod kuratelą. Na dodatek wymierzono mu grzywnę w wysokości 500 dolarów.

W pierwszym tygodniu listopada Patricia poszła do szpitala w Nowym Jorku i usunęła ciążę w dwudziestym tygodniu rozwoju płodu. Jim nie przyjechał ani nie zadzwonił.

W ciągu dwóch tygodni od wydania wyroku Max Fink złożył odwołanie do sądu okręgowego. W tych samych dniach Elektra wydała pierwszy składankowy album *Doors*, zatytułowany *13* od liczby utworów, wybranych z pierwszych pięciu płyt zespołu.

Stosunki zespołu z wytwórnią były chłodne. Jac Holzman za żadną cenę nie chciał być kojarzony ze sprawą Miami. Wydał nawet swemu personelowi instrukcje, by zawsze unikała tego tematu. Traktowano się nawzajem z kurtuazją, ale kiedy szefowie Elektry chcieli, by zespół zaakceptował decyzję wydania płyty składankowej, oczywiście było, że ich prośba jest tylko formalnością. Album *Morrison Hotel* sprzedawał się dobrze, jeżeli wziąć pod uwagę okoliczności w jakich się ukazał

i to, że wszedł na rynek bez pomocy pilotującego singla. Płyta *Absolutely Live*, wydana wiele miesięcy później, była dość droga i sprzedawała się słabo - rozeszło się tylko 225 tysięcy egzemplarzy (dwukrotnie mniej niż płyty *Morrison Hotel*). Elektra chciała wypuścić coś na rynek w okresie zakupów przedświątecznych, więc ostatecznie Doors zaaprobowali, acz niechętnie, wydanie składanki *13*. Jim zgodził się nawet zgolić brodę na sesję fotograficzną, podczas której powstało zdjęcie na tylną stronę okładki.

Jimowi bardzo nie podobała się okładka *Absolutely Live*. Na początku miało się na niej znaleźć efektowne, gruboziarniste, niebieskawe zdjęcie zespołu, widzianego od tyłu w Aquarius Theatre, gdzie nagrany został zamieszczony na płycie utwór *The Celebration of the Lizard*. A jednak graficy Elektry uznali, że sama fotografia nie będzie dostatecznie chwytliwa i potraktowali ją jako tło dla kolorowego zdjęcia samego Jima z zagranego ponad rok wcześniej koncertu w Hollywood Bowl. Sylwetkę wokalisty nałożono na fotografię z Aquarius i zanim ktokolwiek z biura zespołu dowiedział się o tej zmianie, oddano album do drukarni. Jim był wściekły.

Nie lubił też okładki *Trzynastki*, na której był bardzo młody i dużo większy od kolegów. W Elektrze chciano po prostu mieć „ładnego” Jima Morrisona. Co dziwne, Jim wyjawiał swój gniew tylko kilku najbliższym przyjaciołom. Ray, Robby i John przyzwyczaili się już, że cała uwaga koncentruje się na wokaliście zespołu, ale Jima bardzo to gniewało.

W tygodniu po wydaniu *Trzynastki* dawny przyjaciel Jima z U.C.L.A., Felix Venable, zmarł na raka żołądka.

Jim miał teraz w swym rozkładzie dnia próby materiału na następną płytę. Spędzał więc czas w sposób bardziej twórczy, pomimo depresji psychicznej. Ponieważ większość utworów powstała już wcześniej, praca nad albumem szła nadspodziewanie sprawnie. Ponura piosenka *Cars Hiss By My Window* (ze słowami „Okno zaczyna drżeć / z wibrującym

jękiem / nieczuła dziwka zabije cię / w ciemnym pokoju") pochodzi z jednego z niewielku ocalałych notatników z Venice. Wiersz użyty jako tekst utworu *The WASP \ Texas Radio and the Big Beat* do książeczki o zespole, wydanej w 1968 roku. Wówczas też powstały słowa piosenki *Changeling*, natomiast *L'America* przeznaczona była do filmu Antonioniego *Zabriskie Point*, choć nie została w nim wykorzystana.

Wśród nowego materiału dwa utwory trwały siedem i osiem minut, obydwa łączyły w sobie świetną muzykę i mocne, poetyckie, autobiograficzne teksty. Pierwszy, *L.A. Woman*, był rozpaczliwym hołdem dla Los Angeles. Miasta, które Jimowi wydawało się teraz chore i obce: „Czy jesteś szczęśliwą, młodą dziewczyną w Mieście Świeła / czy tylko jeszcze jednym upadłym aniołem / Miasta Nocy?” Dla Jima Los Angeles było „miastem nocy” (wyrażenie to zaczerpnął z powieści Johna Rechiego). Opisywał je w następnych wersach: „mknie po twych autostradach / o północy snuje się alejami / policjanci w swych wozach, bary topless / jeszcze nie widziałem kobiety / tak samotnej, tak samotnej...” W następnym fragmencie zwracał się do siebie w anagramie ułożonym z „Jim Morrison”: „Mr. Mojo Risin' / Unoś się coraz wyżej / musisz wznosić się coraz wyżej / wznosić się, wznosić się...”

Utwór *Riders on the Storm* nie zawierał gier słów. Był powolny, bardziej jazzowy i melodyjny niż *L.A. Woman*. Jest też uważany za jeszcze silniej autobiograficzny: „Jeźdźcy burzy / mknijemy do domu naszych narodzin / rzuceni na ten świat / jak pies, któremu zabrano kość / jak aktor bez przydziału / Jeźdźcy burzy”. W innym zdaniu pojawia się znajomy motyw - miłość do Pameli: „Świat zależy od ciebie nasze życie nie skończy się nigdy / dziewczyno, musisz kochać swojego faceta”. Obraz: „na drodze czeka morderca” znalazł się w tym utworze jako echo filmu//WY.

J.M. / Doors

L.A. Woman

Well, I just got into town about
an hour ago

Took a look around, see which
way the wind blow

Where the little girls in their
Hollywood bungalows

Are you a lucky little lady in
The City of Light?

Or just another lost angel—
City of Night (7)

L.A. Woman (●) (2)

L.A. Woman Sunday afternoon (3)

Drive thru your suburbs

Into your blues (●) (2)

Into your blue-blue Blues

Into your blues

Break

I see your hair is burning
Hills are filled w/ fire
If they say I never loved you
You know they are a liar
Drivin' down your freeways
Midnite alleys roam
Cops in cars, the topless bars
Never saw a woman —
So alone (2)
So alone-lone lone
So alone

Motel Money Murder Madness
Let's Change The mood From glad
To Sadness

Break

M.A. Mojo Risin' (4)

Keep on risin'

Got to keep on risin'

Risin' risin' (8)

Repeat 1st Verse
down to ... 'City of Night'

L.A. Woman (2)

She's my woman

Little L.A. Woman

L.A. Woman C'mon

Muzycy zanieśli ten materiał do Paula Rothchilda. Stosunki z nim psuły się stopniowo już od stycznia, gdy skończyli nagrywać *Morrison Hotel*. Jego uparte dążenie do perfekcji spowodowało, że utwory rejestrowano przerywając, wracając i zaczynając od nowa dziesiątki razy, a do skompletowania albumu koncertowego trzeba było nagrać tak wiele koncertów. John skarżył się, że Paul „wywleka z nich bebechy”. Co gorsza, Paulowi nie podobały się nowe utwory. „To było okropne - mówi nawet dzisiaj - piosenki były słabe, nastrój ponury, chłopcy grali byle jak”. Po trzech tygodniach przysłuchiwania się temu powiedziałem przez głośniki: „Nie, dość tego!” i przerwałem sesję. Poszliśmy na obiad i rozmawiałem z nimi przez trzy godziny. „No spójrzcie sami - mówiłem - nie idzie. Sądzę, że ludzie nie zechcą tego słuchać. Po raz pierwszy w życiu nudzę się, siedząc w studio. Chce mi się spać. Między wami są cholerne napięcia”. I powiedziałem do Jima: 'Stary, to twoja płyta. To płyta, której ty chcesz, więc ty to doprowadź do końca. Dlaczego nie mielibyście wyprodukować jej sami? Ja wysiadam”.

Krytyka bolała ich zwłaszcza, gdy Paul nazwał *Riders ou the Storm* „muzyką koktajlową”. Muzycy przyznali, że nie grali dobrze, że, być może, nie byli dobrze przygotowani do nagrywania, ale nie tracili wiary w materiał. Po obiedzie wrócili do studio z inżynierem dźwięku, Bruce'em Botnickiem i umówili się, że podzielą się z nim rolą producenta.

Pamela nadal przebywała w Europie, a Jim hulał w poszukiwaniu dziewczyny, która - jak określił to Bill Siddons, „posunęłaby się do wszystkiego”.

- Jim właśnie tak traktował życie - jako posuwanie się aż do końca - mówi Bill. - Szczególnie wtedy, gdy był pijany, przeciągał każdą czynność aż do ostatecznych konsekwencji. Bez względu na to, czy wynosiło go to do nieba, czy ściągało w piekielne bagno. Oto jedna z cech, którymi przyciągał do siebie ludzi - wyczuwali to. Moja żona Cheri sugerowała mu

kiedyś, że pewnie chciałby być z kobietą, która byłaby w stanie posunąć się równie daleko jak on, która porwałaby go tam, gdzie on porwał innych".

Być może Jim uwierzył, że znalazł taką kobietę w Ingrid Thompson, wysokiej, dorodnej mieszkance Skandynawii w typie Julii Newmar. Dziewiętnastego listopada, gdy jej mąż wyjechał w interesach do Portugalii, Jim przeniósł się do hotelu Chateau Marmont na Sunset Boulevard i zaczął się z nią widywać.

Ingrid otworzyła drzwi wejściowe, robiąc jedynie małą szparę, w którą Jim natychmiast wsunął nogę. Był pijany; z gęstą brodą i w starej, złachanej kurtce wojskowej wyglądał jak opój z górskiej wioski. Ingrid otworzyła drzwi szerzej.

- Wiesz, że zawsze cię kochałem - powiedział Jim.

Przez dłuższy czas spędzał u niej dwie do czterech nocy tygodniowo. Często przychodził z inną dziewczyną, którą słodką przemową nakłaniał do odwiezienia „do domu” i zawsze zdążył jeszcze wyściskać na progu. Ingrid nie znosiła tego i nie ukrywała swego oburzenia, ale on tylko wzruszał ramionami i mówił, że daje jej tyle, ile może. Pod koniec miesiąca oświadczył jej, że chce, aby miała jego dziecko i teatralnym gestem wrzucił jej tabletki antykoncepcyjne do kominka.

- Naprawdę zawróciliśmy sobie w głowach - mówi Ingrid.
- Żadne z nas nie spodziewało się tego. Oboje naprawdę kochaliśmy życie. Jediną rzeczą niedobłą w tym wszystkim był nadmiar kokainy. To nam wymyślało umysły. Jim uważał, że ja jestem bardziej szalona od niego i chciał sprawdzić, jak daleko potrafię się posunąć.

Jim zażywał kokainę już od ponad roku. Pierwszy raz wziął większą dawkę w dniu, kiedy do spółki z Michałem McClure dostał od wytwórni MGM tysiąc dolarów zaliczki na pracę nad scenariuszem. Później brał z Paulem Rothchildem w trakcie sesji nagraniowej płyty *Morrison Hotel*. Pewnego razu kupił całą uncję razem z jednym z agentów MGM i rozkazał mu:

„Będziesz ją trzymał w swoim sejfie i dawał mi tylko od czasu do czasu, jasne? Bez względu na to, co będę mówił”. Kiedyś wyznał Patricii Kennely: „Gdybym miał górę koki, zrobiłbym to - tylko dlatego, że bym ją miał”.

Pewnej nocy, wracając do Ingrid, przyniósł ze sobą szampana i więcej kokainy niż zwykle, w puszcze od trzydziestopięciomilimetrowego filmu. Wszedł do niej z rękami radośnie uniesionymi i usiadł przy stoliku do kawy. Po wzniesieniu toastów na cześć inteligencji, urody i europejskiego wdzięku Ingrid, pochłonął zawartość swego kieliszka jednym haustem. Następnie odkręcił wieczko puszek i wysypał kupkę koki na szklany blat stolika. Powoli, w ciszy, podzielił ją kartą kredytową Bank Americard na kilka dwucalowych rządków. Później wyciągnął nowy banknot studolarowy i skręcił go w rurkę. Kolejno wdychali proszek, pochłaniając za każdym razem porcję wartości pięćdziesięciu dolarów.

Effekt był prawie natychmiastowy. Bicie serca przyspieszyło, lekko wzrosła temperatura ciała, rozszerzyły się źrenice, na twarzach wykwitły rumieńce. W kilka minut później stali się gadatliwi, podnieceni, niespokojni. Czuli pewność siebie, wyrastali ponad życie. Wciągnęli następną porcję.

Upojenie kokainą, chociaż pełne rozkoszy, trwa bardzo krótko. Ktoś, kto może sobie na to pozwolić, bierze wtedy więcej. Jim wchłonął ostatnio w ten sposób wielkie ilości tego narkotyku ze Steve'em Stillsem i kilkoma jego kolegami, a teraz powtarzał to z Ingrid. Po trzech godzinach puszka po filmie była prawie pusta. Rozebrali się więc i tańczyli w promieniach księżyca. Potem padli na łóżko. Ingrid opowiadała o swym kraju rodzinnym, o dziwnych przyjaciółach. Mówiła, że kilka razy piła krew.

- O, cholera - zdumiał się Jim.

- Naprawdę, słowo daję - Ingrid kiwała głową z przekonaniem. - Tak, czasami piję.

- No, dobra - odpowiedział Jim z uśmiechem. - Więc napijmy się oboje - teraz.

Mówił to poważnym tonem.

Ingrid próbowała obrócić to w żart. Pstrykając palcami powiedziała:

- Ach, zapomniałam - dostawca krwi dzisiaj nie przyszedł.

- Napijmy się teraz trochę krwi - powtórzył Jim.

Pamiętał, jak Patricia pobrała mu krew z nadgarstka i przedramienia do ceremonii ślubnej - pewnie dlatego wtedy zemdłał. Zawsze odczuwał paniczny strach przed ostrymi przedmiotami.

- Masz jakąś żyłkę? - zapytał.

Po tonie jego głosu Ingrid poznała, że to ona będzie miała dostarczyć krwi. Poszła do łazienki poszukać żyłki. Po chwili trzymała ostrze przy fałdzie skóry, w kąciku pomiędzy kciukiem a pozostałymi palcami. Przymknęła oczy i nerwowo zacisnęła dłoń. Spojrzała - nie było krwi. Znów opuściła powieki i zamknęła rękę.

Po piątej próbie było już mnóstwo krwi. Jim, jęcząc, chwycił ją do kieliszka po szampanie. Poszli do łóżka, a potem jeszcze tańczyli, mażąc na czerwono swe nagie ciała.

Rankiem Jim obudził się na prześcieradle poplamionym krwią, z brązowymi plackami zakrzepłej krwi na ciele. Był bliski hysterii. Paranoja rozwijała się.

Od końca listopada, przez cały pierwszy tydzień grudnia Jim prawie codziennie przyjmował u siebie, w hotelu Chateau Marmont, Larriego Marcusa i jego znajomego, autora scenariuszów, Syrusa Mottela. Kiedy przyszli po raz pierwszy i zastukali po cichu, Jim wyrzwał przez okno, by zobaczyć, kto stoi przed drzwiami. W końcu zostali wpuszczeni do jego sanktuarium, zawałonego od ściany do ściany książkami, wśród których najwięcej było zbiorów poezji. W lodówce miał pełno piwa, ale nic do jedzenia.

Rozmawiali o pomysle nakrecenia filmu o problemie tozsamosci. Przyjeli sugestie Jima, by opowiedziec w nim historie mlodego filmowca z Los Angeles, ktory pewnego dnia porzuca prace, zone i dzieci i znika w dzunglach Meksyku, aby rozpaczliwie poszukiwac „absolutnego zera”. Jim i Larry ucisneli sobie rece i z pomocą Maxa sporzadzili umowe. Jim mial byc wspolautorem scenariusza, wspolproducentem i odtworca glownej roli, za co Larry osobiście gwarantowal mu dwadzieścia piec tysiecy dolarow.

Wieczory Jim spedzal czesto w restauracji Cock'n'Bull przy Sunset Strip. Za ktoryms razem, gdy byl tam z Frankiem Lisciandro, zaczal parodiowac pomysl scenariusza, wyszydzac go, az ostatecznie przeklal swój pomysl, brutalnie zaprzepaszczajac nadzieje Larriego i swoje własne. Przy innej okazji, będac z Larrym i Syrusem, Jim wypil do kolacji trzy butelki szkockiej, po czym wybiegl na bulwar i za pomocą swej skórzanej kurtki kierowal ruchem, jak gdyby po jezdni przebiegaly byki z Pamplony.

Pewnego dnia Jim mial podwiezc Larriego Marcusa pod studia filmowe Columbia najnowszym ze swych kilku brzydkich, wynajetych samochodow. Bez slowa wozil go po calym Los Angeles przez pol dnia. Nie wlaczyl nawet radia. Larry siedzial cicho - dal sie złapac.

ROZDZIAŁ

11

Szóstego grudnia Jim zadzwonił pod numer otrzymany od Jaca Holzmana, by porozmawiać z inżynierem dźwięku, twórcą nowego studio Elektry.

- Pojutrze są moje urodziny - powiedział. Bardzo chciałbym nagrać trochę poezji.

Ósmego zjawił się w studio Village Recorders, o dwie ulice od swego ulubionego baru z okresu studiów - Lucky U. Przed przyjściem do studio pił z Frankiem i Kathy, Alanem Ronayem i pewną szwedzką dziewczyną. Gdy tylko się tam znalazł, dostał od technika szklanę irlandzkiej whisky. Po chwili zaczęło się nagrywanie, przerywane piciem.

Większość utworów, które nagrał tego wieczoru, miała formę inwokacji, tak jak *An American Prayer*. Przez cztery godziny Jim czytał swe wiersze z grubej książeczki, zszytej z kartek starannie przepisanych na maszynie, coraz bardziej i bardziej pijany.

Sesja ta bardzo podniosła Jima na duchu. Tak, że zgodził się spróbować znowu wystąpić na żywo - w piątek,

jedenastego grudnia w Dallas i następnego dnia w Nowym Orleanie.

W Dallas Doors triumfowali. Doors przekonali sceptyków i siebie samych, że wciąż są poważną siłą, z którą trzeba się liczyć. Bilety na obydwie występy w sześciotysięcznej sali sprzedano do ostatniego miejsca; zespół dwukrotnie bisował. Jim był w dobrym nastroju, muzyka brzmiała potężnie i precyzyjnie. Ku radości widzów odegrali prawykonanie *Riders on the Storm*. Po skończonym występie wypili za kulisami toast, gratulując sobie wzajemnie udanego powrotu.

Tym czasem w Nowym Orleanie nastąpiła tragedia. O ile koncert w Dallas był dobry, a w Miami niecenzuralny, Nowy Orlean skończył się katastrofą. Tej nocy duch uchodził z Jima na oczach kolegów. Ray mówi: „Wszyscy to widzieli. W połowie koncertu zabrakło mu sił. Wisiał na stojaku od mikrofonu i wygasiał. Widać było, jak opuszcza go energia. Był wycieńczony”. Chcąc jakby zaprzeczyć własnej słabości, Jim porwał stojak mikrofonu i zaczął ciskać nim o ziemię, raz, drugi i trzeci, aż słychać było, jak łupie drzazgi z desek sceny. Wreszcie rzucił stojakiem w skamieniałą publiczność, odwrócił się, usiadł pod bębnami i siedział bez ruchu.

Doors nigdy więcej nie wystąpili publicznie jako kwartet.

Po powrocie do Los Angeles Jim doczekał się radosnej wiadomości: Pamela wróciła z Paryża. Była zadowolona, dowiadując się, że Jim nie nudził się w czasie jej nieobecności, ale przyznawała się przyjaciółkom, że jej sprawy nie układają się zbyt dobrze. Mówiła im, że cieszy się z powrotu na Norton Avenue, nawet pomimo tego, że Jim nadal mieszkał w Chateau - tłumaczył, że potrzebuje dużego mieszkania do omawiania interesów. Pam wiedziała zaś, że wkrótce powróci do jej łóżka i stołu.

Gdy Jim przywłókł się do biura zespołu na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, Kathy Lisciandro, żona Franka,

pełniącą funkcję sekretarki zespołu, powiedziała mu, że na biurku czeka na niego telegram.

Na kartce, przypiętej pinezką do blatu, było napisane: „Jestem w mieście. Zadzwoń. Patricia”.

Jim nie widział się z Patricia Kennely od czasu Miami, nie odwiedził jej w dniach usuwania ciąży. Patricia zapisała numer telefonu Diany Gardiner, która dawniej zajmowała się reklamą zespołu. Jim wiedział, bo Pamela mieszkała w tym samym domu, piętro wyżej, a nie mając własnego telefonu, często korzystała z grzeczności Diany. Patricia zatrzymała się właśnie tam.

Jim zadzwonił do niej w pół godziny później. Postanowił razem z kolegami, że swą płytę nagrają w sali prób pod biurem zespołu, więc zaprosił Patricię, by przysłała tam, a on przez ten czas skończy nagrywać piosenkę. Odmówiła, tłumacząc, że nagrywanie muzyki nudzi ją... więc może to on by wpadł. Jim obiecał przyjść, ale nie pojawił się.

W cztery dni później, w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, Patricia odebrała telefon w mieszkaniu Diany. Dzwonił ktoś do Pameli. Postanowiła więc pójść na górę i zawołać ją. Dotąd przez dłuższy czas unikała tej konfrontacji. Widziała Pamelę tylko raz, przez krótką chwilę, na przyjęciu w hotelu Hilton w Nowym Jorku. Gdy Pam odłożyła słuchawkę, zaczęły rozmawiać. Pamela była bardzo oszołomiona środkami uspokajającymi, więc Patricia, by dociągnąć do jej poziomu, wypaliła trochę marihuany. Rozmawiały przez prawie trzy godziny, popijając wino. Nie było żadnej skrywanej niechęci, żadnego antagonizmu. Pamela powiedziała Patricii, że nie wzięła z Jimem ślubu - a przyznawała się do tego bardzo rzadko i tylko przyjaciółom, w biurze zespołu pozostając panią Morrison. W zamian usłyszała o usuniętej ciąży, ale o wikkańskich zaślubinach nie padło ani słowo.

- Och - westchnęła Pamela - to piękne...

Przerwała.

- ...ale byłyby jeszcze piękniejsze, gdybyś kochała Jima na tyle, by mieć to dziecko.

Patricia przerwała:

- Wolę myśleć, że kochałam Jima, siebie i to dziecko na tyle mocno, by go nie mieć.

- Tak, ale gdybyś je urodziła, mogłabyś wyjechać i mieszkać na wsi. Oczywiście, Jim nigdy nie przysłałby ci pieniędzy, bo on już taki...

Nagle rozległo się szczekanie Sage'a, psa Pameli. Jim podchodził do wejścia. Patricia zdenerwowała się, Pamela zbladła jak ściana, po czym wybiegła na zewnątrz, witając Jima potokiem słów:

- Jim, Jim, nie wchodź tam. Nie możesz teraz wejść. Diane właśnie się...

Jim zaśmiewał się, idąc po schodach do mieszkania Pameli. Pam wróciła do pokoju Diany i rozpaczliwie przypadła do Patricii:

- Co robić? On mnie zabije. Wie, że tu byłam i rozmawiałam z tobą. Wie, że to ty.

Po czym skoczyła w stronę schodów i pobiegła na górę za Jimem.

Po pewnym czasie Jim zszedł sam i przywitał się z Patricią ciepło, po przyjacielsku. Napełnił jej szklankę, mówił do niej z czułością w głosie. Kiwał głową ze skruchą, gdy wyrzucała mu, że w Miami czuła się przez niego jak grupie. Tłumaczył się, że czuł się wtedy strasznie z powodu procesu i wszystkich problemów.

- Ale ty jedna, spośród wszystkich ludzi, powinnaś mnie zrozumieć - powiedział. - Bo byłeś tam.

Gdy przyszła Pamela, w pokoju było już wiele osób. W międzyczasie przyszła Diana i kilkoro gości, którzy też mieli nocować. Jim i Patricia siedzieli na podłodze, bo nogi ugiwały się pod nimi od alkoholu, i głośno krzycząc, grali w karty w wojnę. Jim pozwolił Pameli przyłą-

czyć się do gry i pobił je obydwie dwadzieścia razy pod rząd.

W chwilę później Pamela próbowała zaciągnąć go na górę, ale odmówił, oświadczając, że zostanie tam, gdzie jest. Ich głośna wymiana zdań krępowała wszystkich obecnych. W końcu Diana litościwie dała Pameli trochę azotanu amylowego i odprowadziła ją na górę.

Później, gdy wszyscy inni poszli już spać, Jim namawiał Patricję, by poszła z nim do Chateau. Potem zmienił zamiar - powiedział, że jest zanadto pijany, by prowadzić samochód. Zapewnił Patricję, że ją kocha i zaproponował jej spanie na podłodze. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Znaleźli wolną kołdrę, owinęli się nią i zasnęli na środku pokoju.

O dziesiątej rano Pamela zeszła na dół i zastukała do drzwi Diany. Diana wyszła ze swej sypialni, zrobiła szparę w drzwiach powitała ją słowami:

- Nie przeczę, że on tu jest.

Pamela wdarła się do środka i stanęła nad Jimem i Patricją, którzy leżeli, nadzy, pod kołdrą Diany. Scena jak z francuskiej farsy - tak absurdałna, potworna i śmieszna zarazem, że nikt nie mógł zdecydować się, czy wybuchnąć śmiechem, płaczem, czy rzucić się z pazurami.

- Mam ci tylko jedno do powiedzenia - odezwała się w końcu Pamela. - I powiem to przy wszystkich: Jim, niech cię cholera weźmie, zepsułeś mi Boże Narodzenie. Psujesz mi je co roku. To już czwarty raz. Dłużej tego nie zniosę!

Jim uśmiechał się. Patricia, wiedząc, że jest to jedna z takich chwil, które pozostają w pamięci do końca życia, przygryzała wargi, by nie parsknąć śmiechem. Próbowała jednak zachowywać się taktownie:

- Pamela, to nie jest tak, jak ci się zdaje... daję ci słowo.

Diana przerwała:

- Pamela, potrzeba ci trochę witamin i soku pomarańczowego. Chodź ze mną do kuchni.

Pamela posłusznie odeszła, a Jim zaczął wciągać spodnie.

- O, Boże - mruzczał. - Nie chcę słyszeć, jak to się skończy.

- Och, nie zostawiaj mnie tak, Jim - prosiła Patricia, ale śmiała się razem z nim. - Sam tego chciałeś. Czyj to był pomysł, by tu zostać?

- No tak, no tak. Masz rację, jak zwykle.

Gdy Pamela i Diana wróciły, niosąc wino, wszyscy zasiedli razem po turecku i spojrzenia się skrzyżowały.

- No, nie przejmuj się tym - powiedział Jim do Pameli, obejmując ją ramieniem. - Przecież to wszystko w rodzinie.

W końcu lojalność i cierpliwość Pameli zwyciężyły i na większość nocy w styczniu i lutym 1971 roku Jim wracał do jej łóżka. Nareszcie i on wydawał się zadowolony z życia w domowym cieple.

Tej zimy pracował równolegle nad czterema zamierzeniami w czterech pasjonujących go dziedzinach: poezji, filmie, muzyce i teatrze. We wszystkich miał być nie tylko autorem, lecz także wykonawcą. Max Fink wynegocjował od Elektry skromną zaliczkę na album z poezją. Jim na nowo spotykał się z Larrym Marcusem, autorem scenariuszy, który tym razem chciał nakręcić we Włoszech film z udziałem Jima. Widywał się też znowu ze swym przyjacielem, „Filharmonicznym Fredem” Myrow, rozmawiając o zrobieniu rewii, w której Jim grałby jeńca wojennego w Wietnamie.

Najwięcej radości sprawiała mu jednak nowa płyta Doors, nagrywana w tym czasie w biurze i sali prób, nazywana tymczasowo *The Doors' Workshop*. Jej producentami byli sami członkowie zespołu, z pomocą swego wiernego inżyniera dźwięku, Bruce'a Botnicka.

- Nareszcie - mówił wszystkim Jim - nagrywam płytę bluesową.

Było to prawdą. Doors odzyskali swój temperament i charakterystyczne brzmienie. Nie brakło im Brechtowskiej

chwytliwości, powrócił nastrój łączący rytm karnawału z koszmarem nocnym - tak typowy dla ich początków w klubie Whiskey.

Towarzystwo przeciwdziałania narkomanii - fundacja Do It Now - starała się wszystkimi możliwymi środkami zredukować, jeżeli zatrzymać się nie dało, spożycie w Stanach Zjednoczonych, metedryny, potocznie zwanej speed. Dla większej skuteczności swych działań towarzystwo zwracało się do najpopularniejszych idoli młodzieży o kilka słów apelu w ramach wywiadu, zatytułowanego „Speed zabija”, nadawanego w odcinkach przez radio. Wzięt w tym udział Frank Zappa i wiele innych gwiazd muzyki rockowej. Jim przez kilka miesięcy lekceważył prośby towarzystwa, aż któregoś dnia, kiedy zatelefonowano do niego do biura, nagle zgodził się na spotkanie w tej sprawie jeszcze tego samego popołudnia. Gość miał nagrać na taśmę jego apel przeciw narkotykom. Zgoda Jima zdziwiła wszystkich obecnych.

- No, a dlaczego, u diabła, nie? Od speedu robaki lęgną się w uszach. Znam te dziewczyny, którym się zdaje, że mówią do ciebie, a nie dobywają głosu. Nie chcę, by moi fani słuchali muzyki z otepiałymi, zatrutymi łbami.

Dotąd wszyscy byli przekonani, że Jim nigdy nie użyje swego wpływu do przekonywania swoich miłośników - w żaden sposób, bez względu na to, kiedy i w jakiej sprawie. Skąd więc ta nagła odmiana?

- Mówiłeś, zdaje mi się, że chcesz, żeby twoi fani sami za siebie myśleli? - zapytał Denny Sullivan.

Denny wciąż opiekował się pocztą zespołu i stał się już naprawdę ważną osobistością w biurze. Jim ostrzegał go przed niebezpieczeństwami płynącymi z użycia mocnych narkotyków.

- Tak, cholera, chciałbym, żeby tak było, ale oni nie potrafią. W tym cały gówniany sęk. A tak na marginesie, to kto mianował cię stróżem moich spraw?

Jim żartował, ale był zarazem poważny. O metedrynie słyszał ostatnio bardzo złe rzeczy.

Kiedy przedstawiciel towarzystwa zjawił się w końcu, niosąc magnetofon i taśmę, na którą chciał nagrać sześćdziesięciosiekundową wypowiedź, Jim usiadł i zaprosił gościa do zajęcia miejsca naprzeciw, po drugiej stronie swego biurka. Wydawało się, że chce go zadowolić.

- Tak, a więc to, o co chcemy pana prosić - zaczął nerwowo reporter - to coś w rodzaju „Tu Jim Morrison z zespołu Doors”, a potem, no, coś własnymi słowami, o tym, że speed zabija.

Jim zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwanął głową.

- Dobrze - powiedział. - Czy to działa? Próba, próba mikrofonu! Teraz niech pan cofnie taśmę i upewni się, że to działa. Nie chcemy przecież zrobić wszystkiego tylko po to, żeby się okazało, że stracił pan jedyną okazję.

Reporter cofnął taśmę, puścił, sprawdził, że nagrywanie działa i ponownie przewinął do początku.

- Gotowe?

- Gotowe.

- Dobra, no, to zaczynamy.

Jim namyślał się przez chwilę, po czym zaczął:

- Hej tam, małe gnojki, co słuchacie radia zamiast odrabiać lekcje, tu Jim Morrison z Doors...

Reporter zatrzymał magnetofon, a Jim łypnął łobuzersko na Denniego.

- Co pan zrobił? - zapytał. - Ja nie skończyłem!

- Ależ proszę, możemy to zrobić w jedną minutę, jeżeli pan powie po prostu to, o co chodzi. Proszę pamiętać, że to ma iść na antenę.

Jim wysłuchał go uważnie i kiwnął głową.

- Tak, chyba rozumiem. Czy mogę spróbować jeszcze raz? Cofnięto taśmę.

- Hej, co tam u was słyhać, dzieciaki? To wasz stary kumpel, Jim Morrisom. Śpiewam w takiej kapeli, the Doors, może słyszeliście. Nagraliśmy już parę kawałków, ale jeszcze nigdy nie zaśpiewałem piosenki będąc na speedzie. Pijany - taaaak..

Rozdrażniony wywiadowca przerwał:

- Nie! Proszę zrozumieć, o co nam chodzi. Frank Zappa miał z tego kupę zabawy. Pan też może zrobić to świetnie, ale proszę zachowywać się poważnie.

Wydawało się, że Jim zrozumiał.

- W porządku, jasne. Niech pan przewinie taśmę. Tym razem będzie dobrze. Obiecuję.

- Cześć, tu Jim Morrison z Doors. Chcę wam powiedzieć, że wstrzykiwanie speedu nie jest zdrowe, lepiej go wdychajcie.

Magnetofon został zatrzymany, reporter siedział bez ruchu. W pokoju zapadła cisza.

- O co chodzi? Dobrze wyszło?

Gość tylko potrząsnął głową. Jim wstał i położył mu rękę na ramieniu.

- No, przepraszam. Spróbujmy jeszcze raz. Niech pan cofnie taśmę. Naprawdę, nie chciałem. Tym razem będzie pan to miał. Naprawdę.

Reporter spojrział na niego.

- Naprawdę?

- Obiecuję.

Ustawiona na nowo taśma ruszyła.

- Cześć, tu Jim Morrison. Nie wstrzykujcie sobie speedu. Na Boga, moi mili, lepiej palcie trawę.

Reporter spojrział na niego:

- No, jesteśmy już blisko. Gdyby jeszcze zmienić te ostatnie słowa.

- Tak, wiem dokładnie, o co panu chodzi - zapewniał Jim. Jeszcze raz, przewińmy to.

I ym razem Jim przedstawił się i ostrzegł:

- Wstrzykiwanie speedu jest niezdrowe, speed zabija nawet gęsi. Jeśli rąbniecie gęsi dołą speedu, będzie już zawsze pływała w kółko.

Przedstawiciel towarzystwa antynarkotycznego stracił już całą cierpliwość i był bliski lez. Jim błagał go:

- No, proszę pana, przepraszam, tak mi to wpadło do głowy. Tym razem na pewno będzie dobrze. Daję słowo.

- Ja już nie wiem - potrząsał głową reporter. - Przecież nie mogę stracić tu całego dnia.

- A więc ostatni raz - nalegał Jim.

- No, dobrze, ale jeżeli znów nic wyjdzie, ja rezygnuję.

Przepraszam. Tym razem wyjdzie. W jednym podejściu - wie pan, co to znaczy?

Jim przysunął trzymany w ręku mikrofon pod same usta. Umilkł na moment, po czym zaczął:

- Cześć, tu Jim Morrison z Doors. Mam wam coś do powiedzenia - uśmiechnął się do reportera, który odpowiedział uśmiechem pełnym nadziei. - Nie wstrzykujcie sobie speedu. Speed zabija. Błagam was, nie bierzcie speedu, bierzcie prochy depresyjne, halucynogenne, uspokajające, bierzcie Seconal, to wszystko jest o wiele tańsze i...

Taśma obracała się nadal, ale nieszczęsny wywiadowca nie wytrzymał. Zerwał się z miejsca, wciągnął płaszcz, chwycił magnetofon i wypadł z biura. Pokój zatrzęsł się od śmiechu. Przemowa Jima nie nadawała się do wykorzystania na antenie radia.

- O co mu chodziło? - zapytał. - Słyszałem, co powiedział Alice Cooper: że jeżeli złapie kogoś na wstrzykiwaniu speedu, pójdzie za nim do domu i wywiesza mu dzieciaki. Przecież ja niczego takiego nie powiedziałem.

Fundacja Do It Now nigdy nie uzyskała od Jima apelu antynarkotycznego.

Jim już od dłuższego czasu nie spotykał się z miejscową prasą, choć podobały mu się niektóre gazety. Lubił na przykład

„Los Angeles Free Press” za jej niezależny charakter. A ponieważ wiedział, jaką rolę pełni ona w życiu codziennym miasta, zgodził się udzielić długiego wywiadu jej dziennikarzowi muzycznemu, Bobowi Chorushowi. Po raz kolejny pokazał się jako inteligentny, myślący człowiek. Zapytany o zamieszki, wywoływane przez publiczność podczas dawnych koncertów Doors, odpowiedział, że ludzie roją się zupełnie jak insekty i niektóre inne gatunki zwierząt, demonstrując w ten sposób problemy, jakie niesie przeludnienie. „Nie przemyślałem tego jeszcze do końca - przyznał szczerze - ale myślę, że jest tu pewne pokrewieństwo”.

Kilka spośród jego wypowiedzi miało charakter aforizmów: „Wydaje mi się, że sztuka, a zwłaszcza film, jest dla człowieka sposobem potwierdzenia własnej egzystencji,” czy na temat Charlie'ego Mansona: „W tym przypadku proces miał za zadanie ułatwić społeczeństwu oswojenie się z tym potwornym zdarzeniem”.

Temat picia wynikł przypadkowo, kiedy Jim powiedział, że w ciągu dwóch ostatnich lat stracił wiele dobrej muzyki, ponieważ nie był (razem z Babe'em) wpuszczany do baru Troubadour. Wówczas wywiadowca zapytał o picie. Jim zamilkł na chwilę, opuścił głowę i przyglądał wężym końcami palców.

- No tak, był okres, kiedy piłem w ogromnych ilościach - powiedział w końcu. - Wisiało nade mną tyle problemów, że nie mogłem sobie poradzić.

Znów przerwał na chwilę.

- Myślę też, że picie jest sposobem na przetrwanie w tak zatłoczonym otoczeniu. A poza tym płynie ze znużenia. Wiem, że ludzie piją z nudy. Ale ja lubię pić. Picie rozluźnia ludzi, często pobudza do rozmowy. No i, hmm, jest trochę jakby hazardem. Rozumie pan? Wychodzi się na noc, by pić i nie wiadomo, gdzie to się skończy, co będzie rano. Może wszystko pójść dobrze, a może nastąpić katastrofa. To jest jak

rzut kośćmi. Wszyscy palą trawkę. Myślę, że powoli przestajemy już uważać ją za narkotyki. Ale trzy lata temu przeszła nad nami fala środków halucynogennych. Myślę, że nie ma takich tytanów, którzy próbowaliby tego przez dłuższy czas, nie wpadając w nałóg. Więc następuje uzależnienie, także od alkoholu, który też jest narkotykiem. Zamiast starać się myśleć więcej, próbuje się zabić myśl - alkoholem, heroiną, środkami uspokajającymi. Służą one do uśmierzania bólu i dlatego tak łatwo w to wpaść.

Jim mówił jak obserwator życia Ameryki u progu lat siedemdziesiątych, ale z pewnością miał na myśli także siebie i Pamelę. Pamela aż dotąd ukrywała przed nim, że sporadycznie zażywa heroinę, ale Jim wiedział, że można ją zaliczyć do osób uzależnionych od środków uspokajających, podobnie jak on sam spełniał prawie wszystkie kryteria alkoholizmu. Chociaż dziennikarzowi „Free Press” powiedział, że okres największego picia ma już za sobą, osoby z jego otoczenia były przerażone ilościami alkoholu jakie pochłaniał.

Zakończenie monologu Jima na temat picia było jeszcze bardziej bezceremonialne niż jego początek.

- Lubię alkohol - powiedział. - To jest tradycja, a poza tym nienawidzę dorobkiewiczostwa. Czy wyrażam się jasno? Nie znoszę u ludzi nędznego ciułania, dotyczącego nawet sfery seksu, więc nigdy tak nie postępuję. Dlatego lubię alkohol. Idzie się do pierwszego sklepu na rogu i bierze się go zza lady.

Prawdą jest, że pracując w tyłu dziedzinach naraz, Jim nie pił już ze znudzenia. Pił, tak jak we wczesnej młodości, dla samego efektu. Pił, by się upijać.

Pewnego dnia wszedł do sklepiku Pameli śpiewając na cały głos *Back Door Mana*, w towarzystwie dwóch partnerów zawartej niedawno umowy. Spojrzał na Denniego, który pomagał Judy, siostrze Pameli, w prowadzeniu sklepu.

- Sprzedajcie tym dżentelmenom trochę ubrań - wybełkotał.

- Co chcielibyście kupić? - zwrócił się do nich. - Mamy piękne materiały i świetne ubrania, zaprojektowane w naszej fabryce w Szwajcarii, gdzie zatrudniamy Pigmejów. Ich drobne dłonie i bystre oczy zapewniają produkty najwyższej jakości.

Nagle opadł na krzesło i opuścił głowę na piersi. Jego głos przeszedł w pochrapywanie.

Gdy się obudził, jego towarzyszy już nie było, była natomiast starsza siostra Denniego. Chłopiec przedstawił ją Jimowi.

- To twoja siostra? - zapytał Jim. - Nigdy mi nie mówiłeś, że masz taką siostrę. No, no. Co za sikorka!

W tej samej chwili do sklepu weszła dostojna dama po pięćdziesiątce. Przekonana, że okrzyk Jima odnosił się do niej, rzuciła się na szydercę, uzbrojona w torebkę, i goniła go wokół wystawy biżuterii, zaprzestając pogoni dopiero po dwóch, czy trzech trafieniach.

- O, Jezu - jęczał Jim. - Nie oberwałem tak od czasu, gdy ojciec ganiał mnie po kuchni z kijem baseballowym.

Innym razem Jim wjechał do sklepu na rowerze, staranował wieszak z koszulami i wywalił się na ubrania. Obecna przy tym Pamela dostała szału:

- O rany, ty cholero pieprzona, znowu pijany! Niech cię diabli wezmą, Morrison, ty skurwysynu!

- Pijany - pytał Jim, podnosząc się powoli, z niewinnym uśmiechem. - Ależ nie, proszę pani. Przewróciłem się. To był wypadek.

Po chwili zjawił się Babe i Jim poszedł z nim do baru Palms, by pić dalej.

Tej nocy w Chateau Marmont Jim bawił się w Tarzana. Wszedł na dach i próbował zsunąć się do swego pokoju po rynnie. „Nie zabił się tylko dlatego - mówi Babe - że odbił się

od dachu szopy, przylegającej do tylnej ściany jego domu. To było nieprawdopodobne".

Dla Jima było obojętne, co pił. Jednego dnia pochłaniał całe bomby dzinu, nazajutrz whisky urozmaicane piwem, to znów czysta tequila, Singapore Slings lub inny tropikalny trunek, z owocami, kiedy był głodny. Tylko skutek był za każdym razem identyczny - totalne zamroczenie.

Miał już kłopoty ze zdrowiem. Od popalania pojedynczych papierosów podczas koncertów doszedł do trzech paczek Marlboro dziennie. Cierpiał na ataki gwałtownego kaszlu. Kiedyś, jak powiedział Roobiemu, wykrztusił trochę krwi.

Jego głos miał jeszcze ów gardłowy, szorstki, zmysłowy odcień, ale był już nieodwracalnie zniszczony. Gdy Jac Holman usłyszał pierwsze, robocze taśmy płyty *L.A. Woman*, pomyślał: „To ostatnie dzieło Jima-wokalisty”.

Jim stał się otyły, ważył osiemdziesiąt kilogramów - o dwadzieścia więcej niż w czasach, gdy na pierwszych zdjęciach reklamowych eksponował swój tors podobny do gruzłowatej liny. Jadł mało, większość kalorii spożywał w alkoholu. Miał obrzmiałe ciało pijaka.

Michael McClure od grudnia był abstynentem i pisał do Jima, namawiając go, aby też spróbował przestać pić, ale nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy umówił się z nim oraz Sylvia Romano na lunch, dziewczyna zaproponowała pewną zabawę.

- Pewnie zgodzicie się z tym - powiedziała - że każdy, bez względu na to, w jakim jest wieku, wewnątrz, w duszy, czuje, że ma ileś lat, i chciałby być odpowiednio do tego traktowany.

Michael oświadczył, że w ten sposób nie przekroczył nigdy jedenastu lat. Sylvia powiedziała, że w tajemnicy przed ludźmi czuje się dziewiętnastolatką.

Jim, który zaledwie parę tygodni wcześniej obchodził swe dwudzieste siódme urodziny, stwierdził ponuro, że czuje się, jak gdyby miał czterdzieści siedem lat.

Któregoś dnia, w pierwszym tygodniu stycznia 1971 roku, Jim siedział przy swym biurku i czytał „Rolling Stone”. Był zaskoczony, widząc, że jeden z najważniejszych krytyków muzyki rockowej w tym piśmie chwali najnowszą płytę Doors 13.

Na dole muzycy nagrywali razem z zaproszonymi znajomymi - basistą Elvise Presleya, Jerryem Scheffem i Markiem Benno, grającym na gitarze rytmicznej. Jim tracił czas, czekając, aż z dołu przyjdzie wiadomość, że wszystko jest gotowe do nagrywania śpiewu. Tym razem zamierzał zaimprovizować studio wokalne w małej łazience na dole. W większości utworów śpiewał na żywo, podczas gdy inni grali. Tak było o wiele łatwiej. Po dziesięciu dniach sesji wszystko było już nagrane i tylko na dwóch spośród dziesięciu utworów (*L'America*, piosenka do filmu *Zabriskie Point*, została nagrana kilka miesięcy wcześniej) partię śpiewu trzeba było powtórzyć.

Materiał był dobry i różnorodny, pozwalał wykazać się wszystkim członkom zespołu na równi. Jim zaśpiewał jeden z utworów bluesowych Johna Lee Hookera, dawniej często wykonywaną przez Doors - *Crawling King Snake*. W innym, ich własnym bluesie, zatytułowanym *Cars Hiss By My Window*, Robby zagrał przejrzystą, melodyjną partię na gitarze, w stylu Jimmy Reeda, a Jim przybrał odcień głosu czarnego bluesmana i pod koniec utworu doskonale zaimitował głosem brzmienie gitary bluesowej. W środku *Hyacinth House* Ray pokazał swe przewrotne poczucie humoru. Po absurdalnych słowach: „widzę, że łazienka jest wolna”, wplótł w melodię cytat z poloneza As-dur Chopina. Utwór *Riders on the Storm* był klarowny i jazzujący, tajemniczy i tchnący nadzieją. *Love Her Madly*, piosenka Robbiego, mający dokładnie w rok później ukazać się na singlu, melodyjny i dynamiczny, przypominał muzykę Doors z wcześniejszego okresu, gdy była ona bardziej spontaniczna, bardziej funky, ale też wyraźnie komercyjna.

Teksty Jima raz jeszcze sięgnęły szczytów, zwłaszcza w dłuższych utworach, takich jak *L.A. Woman*, *Riders on the Storm* i w *The WASP*, nad którym pracował bardzo długo.

Murzyni wśród lasów
przybrani w jasne pióra
nucą:

Zapomnij o nocy
Żyj razem z nami w lazurowych lasach
Tutaj, na obwodzie
nie ma już gwiazd, tutaj
jesteśmy nieprzytomni -
Niepokalani

I dalej, w tym samym utworze: „A teraz ci powiem: nie będzie dla nas przebaczenia za zmarnowanie światła”.

W każdym z tych trzech utworów Jim zawarł nowy trop: narastającą potrzebę ucieczki. Zapowiadał, że „Mr. Mojo Risin” to nie tylko anagram jego imienia i nazwiska, lecz także pseudonim, którego będzie używał w swych kontaktach z biurem, gdy ucieknie do Afryki. Nikt nie potraktował tego poważnie.

Been Down So Long wzięło swój zagadkowy tytuł i refren: „Byłem w depresji tak cholernie długo / że wydaje mi się wyżyną” od tak samo zatytułowanej książki Richarda Fariny. Jest w tym utworze nuta hardego, męskiego szowinizmu:

No i co, dziewczyno,
Nie padasz na kolana?
Chodź, mała, kochanie,
Chodź i daj mi swą miłość

Ta sama twarda męskość pojawia się w piosence Johna Lee Hookera:

Chodź, pełźnij,
Chodź, pełźnij,
o tak, na rękach i na kolanach, dziewczyno
Pełźnij po mnie

W czasach, gdy uwaga wszystkich skupiała się na ruchu wyzwolenia kobiet, słowa takie nie mogły przejść nie zauważone.

Na prośbę Denniego Jim napisał komentarz do nowej płyty swymi dziecinnymi, dużymi gryzmołami i wysłał go do Dave'a Marscha z redakcji pisma „Creem”. Później dodał do tego wyjaśnienie wątków autobiograficznych: opisał płytę jako swą wizję Los Angeles - mikrokosmosu Ameryki. Podkreślił, że przybył do Los Angeles, by robić filmy, a skończyło się na muzyce.

Wyjawił też wiele swych najbliższych zamiarów. Między innymi napisanie długiego eseju na temat procesu w Miami. List swój zakończył słowami:

Nie jestem szalony
Interesuje mnie wolność

z najlepszymi życzeniami
J. Morrison

Samotna postać o widocznej nadwadze, w pogniecionej, znoszonej kurtce i dzinsach, z dużą głową i zarośniętą twarzą, poruszała się powoli po ulicach Hollywoodu. Jim spacerował tak dzień po dniu, spoglądając jak gdyby po raz ostatni na magiczną krainę ze stiuku, po czym wracał do mieszkania przy Norton Avenue.

Większość nocy i wiele dni w styczniu i pierwszej połowie lutego spędził „w domu” z Pamelą. On czytał, ona projektowała ubiory dla swego sklepu. Czasami siadał na podłodze i warczał na psa:

obecności autora w Los Angeles. Mógł się tym zająć Frank. Decyzję co do okładki taniego wydania swych wierszy Jim mógł przesłać pocztą. Larry Marcus przyjął niemal z ulgą propozycję odłożenia planów filmowych na pół roku, bo akurat dostał od Artura Penna ofertę napisania scenariusza. Płyta z nagraniami poezji mogła poczekać lub też mogli dokończyć ją koledzy z zespołu podczas nieobecności Jima (tak, jak niejeden album, który kończyli bez jego udziału).

Jim obiecywał sobie, że w Paryżu będzie spędzał czas w sposób bardziej twórczy, więcej pisał, i z tą myślą zwrócił się do swych impresariów literackich, by dowiedzieć się, czy byliby zainteresowani jego impresjonistyczną autobiografią. Odczuwał chęć napisania czegoś, przynajmniej próbki, którą przesłałby im drogą pocztową.

Wreszcie powiedział Pameli, że powinna pojechać do Paryża najprędzej jak będzie mogła, by poszukać mieszkania.

- No, chodź, Jim. Nie możesz pojechać do Paryża, wyglądając jak Stary Człowiek z Gór.

Diana Gardiner wskazywała na jego krzaczastą brodę. Siedzieli we trójkę w jej mieszkaniu i pili wino. Pamela zgodziła się, że Jim będzie wyglądał lepiej, gdy nie będzie tak zarośnięty.

- Nie-protestował Jim. - Ja, och nie, ja nie chcę tego robić. Tak czuję się lepiej.

Rozsiadł się w fotelu.

- No, ale Pam jest innego zdania - nalegała Diana. - A jeżeli jej opinii nie ufasz, to czyjej?

„Więc usiadł przy stole jadalnym - wspomina dziś Diana.

- Pamela skróciła mu brodę i wąsy. Wyglądał naprawdę świetnie.

W ostatnich dniach przed wyjazdem Pameli wybrali się razem do Weed - miasta, w którym się urodziła. Wzięli ze sobą Sage'a i pojechali mercedesem tysiąc kilometrów na północ.

Później odwiedzili jej rodziców w Orange i zostawili u nich psa. Czternastego lutego Jim odwiózł Pamelę na lotnisko. Nazajutrz, znalazłszy się w Paryżu w zimny, deszczowy poranek, Pam wprowadziła się do hotelu Georges V, który, jak twierdził Jim, wygląda jak „czerwony, pluszowy burdel”.

- Teraz możesz przyjść - mówiła Diana przez telefon.

- Pamela wyjechała.

Rozmawiała z Patricią Kennely, która była w Los Angeles już od dwóch tygodni i do tej pory tylko raz, krótko widziała się z Jimem. Tym razem mieszkała u swej przyjaciółki. Diana powiedziała jej, że Jim tylko czekał na wyjazd Pameli, by się z nią skontaktować - więc może teraz przyjdzie i zrobi mu niespodziankę.

- No! - ucieszyła się Diana, widząc Patricię, gdy Patricia przysłała z butelką wina. - Nasza przyjaciółka Grace Slick mówi, że trzeba mieć więcej, niż jedną osobę. Więc po prostu wyobraź sobie, że Jim jest jak gdyby męskim odpowiednikiem Justyny.

W chwilę później przyszedł Jim i wszedł na górę, do mieszkania Pameli. Wszystkie meble zostały już oddane na przechowanie, został tylko materac, biblioteczka pełna książek, telewizor, mały, szklany stolik i ulubiony przez Jima, czerwony fotel do czytania. Patricia odczekała kilka minut i zastukała do drzwi. Kiedy Jim otworzył, powiedziała:

- Patrz, mam tu butelkę wina, a nie mogę otworzyć. Pomyślałam, że może ty...

Jim chwycił ją w objęcia. Została cały tydzień.

Patricia pamięta ostatni dzień: „To było prawdziwe piekło. Zaczęło się o czwartej w jakimś barze topless-bottomless. Wypiliśmy tyle tequili i piwa, że barman posyłał nam co trzecią kolejkę gratis. Pamiętam tylko, że ja wypłam czarnaście. Potem poszliśmy do studio nagraniowego Jima, gdzie odbywała się sesja, i przyjaciółka, u której mieszkałam, zaczęła

czarować Jima. Byłam wściekła i powiedziałam jej: 'Nie obchodzi mnie, co zrobicie, gdy ja już stąd wyjadę, ale poczekajcie przynajmniej do tego czasu'".

Jim był zdeklarowanym poligamistą, a dziewczyna była naprawdę napalona, więc gotów był z nią zniknąć. Byli w studiach nagraniowych Poppy, gdzie miksowano płytę Doors. Przyjaciółka Patricii wyszła niby do toalety. W pięć minut później ulotnił się także Jim. A po następnych pięciu minutach Patricia zastała ich, ściskających się na trawniku przed studio.

- Wstawać! - wrzasnęła, stając nad nimi.

Jim spojrzął na nią z sennym uśmiechem.

- Wstawać! Jedno i drugie! Ale już!

Leżąca z Jimem dziewczyna pociągnęła Patricię na ziemię. Przez chwilę trzy ciała tarzały się po trawie, po czym Patricia opanowała się i spokojnie poprosiła:

- Pozwól mi porozmawiać chwilę z nim samym.

Jej koleżanka oddaliła się, a Jim powiedział:

- Posłuchaj, kochanie, wiesz, że jestem dziś zanadto pijany, żeby się kochać, więc pozwól mi się z nią przespać.

- A czy wiesz, że to moja ostatnia noc w Los Angeles. Jutro wracam do domu i pewnie już nigdy się nie zobaczymy.

Jim zdenerwował się:

- No, to trudno. Już nie spędzimy ze sobą nocy.

- Świetnie. Ale będziesz bardzo miły, jeżeli również nie spędzisz jej z nią.

Gdy znaleźli się z powrotem w mieszkaniu, Jim zaczął przeszukiwać szafki kuchenne i szuflady. Dziewczyny zapytały go, czego szuka.

- Och - odparł. - Szukam noża albo nożyczek, żebyście mogły mnie wykastrować. Jedna z was dostanie wacka, druga całe ciało.

- A komu dostanie się dusza?

- Duszę chciałbym zachować, jeżeli mi wolno.

Patricia i jej przyjaciółka patrzyły, jak Jim zbiera wszystkie ostre przedmioty, wkłada je pod stojącą w salonie kanapę, po czym kładzie się i zasypia.

- „Leżał sztywno i wyglądał, jakby był z wosku - wspomina Patricia. - To było okropne. Naprawdę, wydawało się, że nie żyje. Oparcia kanapy obramowały go jak trumna. Czułam, że już nie zobaczę go żywego.

Nazajutrz Patricia poleciała do Nowego Jorku, a z Londynu po ośmiu miesiącach wrócił Tom Baker. Jim i Tom nie widzieli się jeszcze dłużej. Teraz rzucili się sobie w objęcia jak bracia. Wieczorem Jim był tak pijany i agresywny, że wyrzucono ich obydwu z jednego z klubów na Santa Monica Boulevard.

Wysławszy Pamelę do Paryża, Jim zachowywał się jak beztrojski kawaler. Wrócił do swej prostytutki, którą nazywał L.A. Woman, na długie, czułe pożegnania. Zaczął przesiadywać w nowym klubie Marshalla Brewitza, w Palms albo w Phone Booth, najczęściej w towarzystwie Toma, Babe'ego i Franka.

W tych samych dniach widywał się z jedną ze swych dziewczyn, która usuwała ciążę. Tym razem on chciał mieć dziecko, a ona odmówiła. Z czterema innymi spędził po jednej nocy. Zadzwonił pod wszystkie numery, na jakie się natknął, porządkując swe biurko w biurze zespołu.

Trzeciego marca Elektra wydała przyjęcie z okazji otwarcia nowego, większego biura w Los Angeles. Po pokazaniu się tam (ze słowami: „Zapłaciłem za wejście, więc chyba wolno mi zobaczyć, jak to wygląda”) Jim udał się do Freda Myrowa, z którym pił i rozmawiał, ciągle wracając do pomysłu zrobienia wspólnej rewii.

- Chcieliśmy uchwycić ten moment przeobrażenia-wspomina Fred - który tak mocno odczuwaliśmy w Los Angeles na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jak pisał Huxley: „Coś tam czyhało między wiecznie zielonymi krzaka-

mi a garażami". Chodziło o to piekielne otoczenie. Los Angeles - cokolwiek to, u diabła, znaczy, było tematem, który chcieliśmy rozwinąć w przedstawieniu. Chcieliśmy je ukazać we wspomnieniach jeńca wojennego, dalekie, nierzeczywiste, ale zarazem bliskie. Dzięki swemu kolorystowi; chcieliśmy wydobyć to, co trzeba w nim znieść, to, co w nim namacalne i to, co utajone; oczywistości i zawłości tego miasta, które nie jest miastem. Treścią przedstawienia byłoby to, jak patrzy się na to, co zna się bardzo dobrze, gdy widzi się to na nowo, po długiej nieobecności, wracając jak gdyby z tamtego świata".

Jim i Fred sporządzili czterostronicowy konspekt spektaklu. Jim przez cały czas powtarzał, że musi jechać do Paryża.

- A więc dobrze, okaże się - powiedział w końcu, gdy Fred znów zaczął namawiać go do zostania. - Jutro wyjeżdżam. Do Paryża albo do Cataliny.

Jim i Babe odbyli już w tym samym tygodniu całodzienny rejs wzdłuż brzegu jachtem zespołu do Palos Verdes. Czwartego marca wybrali się z dwiema dziewczynami do Cataliny. „Za nami bardzo trudna podróż - zapisał Babe w swym dzienniku. - Wszyscy zakokainowani i zupełnie zalani. Ranek bardzo piękny i czysty, pokój w hotelu z widokiem na Zatokę Avalon. Poszliśmy do Big Mike'a na śniadanie, które postawiło nas na nogi. Jedliśmy jajecznicę, kiełbasę, szynkę, sardynki, oliwki, kartofle, chili, zimne mięso, grzanki i piwo, piwo, piwo!"

Kilka następnych dni Jim spędził z Babe'em, zażegnawszy kłótnię, która wybuchła na basenie. Obejrzelili razem walkę Muhammada Aliego z Joe'em Frazierem. Spacerowali po plaży w Venice. Pojechali do Santa Monica Pier na lunch i - jak zapisał Babe - „trochę błaznowali, ganiając się po pasażu, a P"tem wrócili do miasta".

Następnego dnia Jim poleciał do Paryża.

ROZDZIAŁ

12

Jezeli wierzyć późniejszym opowiadaniom Pameli, ich krótkie „wygnanie” w Paryżu było idyllą. Minęły wszystkie napięcia, powodujące depresję. Jim prawie przestał pić. Pisał dużo nowej, tchnącej świeżością poezji. Pracował też nad książką o procesie w Miami (albo nad autobiografią - Pamela podawała obydwie wersje). Zainspirowany operą, którą razem obejrzel, zaczął pisać symfonię. Żyli jak nowożeńcy, zgodnie jak nigdy przedtem.

Były to fantazje Pameli.

Najbardziej lubiła opowiadać o ich wycieczce do Maroko. „Pewnego dnia obudziłam się rano i ujrzałam przystojnego mężczyznę w sali bilardowej hotelu, rozmawiającego z dwiema amerykańskimi dziewczynami. Natychmiast zakochałam się w nim. Dopiero potem uświadomiłam sobie, że to Jim. Nie poznałam go, bo wstał wcześniej, zgolił brodę i był tak gładki. Odkąd tyle schudł, wyglądał jak nowo narodzony.

Tobyło takie przyjemne - znów się zakochać, na nowo, w mężczyźnie, którego już przecież kochałam”.

W paryskim „domu”, czyli czasami w hotelu Georges V, a częściej w mieszkaniu wynajętym na prawym brzegu, panował przede wszystkim spokój. W mieszkaniu tym spędzali najwięcej czasu. Było ono duże, słoneczne, położone w starej, eleganckiej, rezydencjonalnej dzielnicy Le Marais, w pobliżu Place de la Bastille. Wynajęli je za trzy tysiące franków miesięcznie.

Należało ono do młodej francuskiej modelki, Elizabeth (ZoZo) Larivière i jej aktualnego chłopca, amerykańskiego producenta filmowego. Para ta właśnie zbierała się do wyjazdu - on do Stanów, gdzie miał rodzinę, ona na południe Francji, na plan filmu. Tymczasowo zaproponowali Pamelę jedną z trzech obszernych sypialń, a z chwilą wyjazdu mieli zostawić im całość na przynajmniej dwa miesiące.

Przez dwa tygodnie, do 10 kwietnia, ZoZo mieszkała tam nadal, przyglądając się, jak dziwna para z Ameryki przystosowuje się do życia w Paryżu i jakby na nowo przyzwyczajają do siebie. Ich wzajemny stosunek był dla niej czymś niezrozumiałym. Ilekroć rozmawiała z Pamelą, ta mówiła wyłącznie o Jimie i o tym, jaki on jest cudowny - „w kółko tylko Jiiim, Jiiim, Jiiim”. Ale później, gdy nie wróciła na noc, zabawiwszy się w jakimś paryskim towarzystwie, poznanym przez swego bogatego księcia, rano błagała ZoZo przez telefon, by zgodziła się skłamać za nią:

- Och, proszę cię, powiedz Jimowi, że byłam całą noc u twojej przyjaciółki i że wrócę o dwunastej.

ZoZo niejedną raz musiała podobnymi kłamstwami tłumaczyć Pamelę.

Jim po cichu robił śniadanie dla siebie i dla ZoZo. Podawał jej je do łóżka, siadał obok i rozmawiali, jedząc. Czasami wchodził rano do najmniejszej z trzech sypialń, do której wstawił sobie biurko ZoZo i pisał albo przekopywał niezliczone świstki, notatniki, taśmy, fiszki, zdjęcia, listy od fanów i rękopisy, które przywiózł ze sobą. Szukał pośród nich

śladów i zapisów swej przeszłości, próbując dokładnie ustalić, do czego się odnosiły. Po kilku godzinach, gdy światło, wpadające przez okno od podwórza, zmieniało kąt padania i barwę, przenosił się ze swymi notatnikami do jadalni. Inne ranki spędzał na długich, samotnych spacerach.

Całymi godzinami włóczył się ulicami Paryża, zwiedzał dzielnicę po dzielnicy, tak jak w Hollywood. Ruszał na północ wąską, bezdrzewną uliczką Beautreillis, przy której mieszkał. Mijał kilka kwartałów kamienic, stojak gazeciarza, księgarnię, trzy małe restauracyjki, klub judo, fryzjera dla chłopców, po czym skręcał na zachód, w ulicę St. Antoine-odkryte stragany rzeźników, wiszące króliki, stopy czereśni, tace z rybami i krewetkami, kalafiory wielkie jak piłki koszykowe - i wreszcie wychodził na jedno z tysiąca słynnych miejsc Paryża. Szczególnie lubił Luwr, zostało mu to po młodzieńczych zainteresowaniach sztuką.

Niejeden poranek mijał mu na powolnym spacerze ulicą Beautreillis na południe. Minawszy pięć przecznic, trafiał na Wyspę Świętego Ludwika, jedno z ulubionych miejsc swych przechadzek. To właśnie tutaj, na Quai d'Anjou, zwiedzał Hôtel de Lauzun, w którym kiedyś bywał Baudelaire, i gdzie Gautier przychodził do swego Klubu Haszysowego.

- Tutaj jest tak pięknie - mówił ZoZo albo Pameli po powrocie. Zbudowali to miasto i wyrzucili wszystkie projekty-

Ale wbrew rojeniom Pameli nadal pił - i to dużo. Z wielkim entuzjazmem zapoznawał się z dwoma najbardziej charakterystycznymi typami francuskich knajp- winiarniami bistro i kawiarenkami ulicznymi. Amerykanie wciąż mieli ów „hollywoodzki”, hemingwayowsko-fitzgeraldowski stosunek do Paryża - miasto było im bliskie i obce zarazem. Zatrzymanie się w bistro lub cafe nie było odruchem spontanicznym, lecz obowiązkiem. Nie wznieść pochwalnego toastu, to była obraza. Jim otarł się nieomal o takie bluźnierstwo pewnego dnia

w pierwszym tygodniu kwietnia w małym klubie Astroquet na Boulevard St. Germain. Nazwa jego pochodziła z połączenia francuskiego troquet (kawiarenka) i słowa *astro*, sugerującego przestrzeń kosmiczną. Wnętrze urządzone było w stylu szkiców Bucka Rogersa.

Jim pił w samotności, gdy uwagę jego zwróciła wchodząca właśnie grupka młodych mężczyzn z gitarami w futerałach. Po chwili podszedł do ich stolika.

- Chłopcy, jesteście ze Stanów?

- No, jasne! Skąd jesteś?

Nikt go nie poznał.

- Z Kalifornii.

- Ja też. Z jakiej szkoły?

- No... z U.C.L.A.

- Hej, ja też! Kiedy tam byłeś?

Jim myślał przez chwilę, podał rok sześćdziesiąty czwarty i piąty. Młody Amerykanin znów krzyknął:

- Hej, ja też! Na jakim wydziale?

- No... kinematografia.

Chłopak zaniemówił. Było to jak gra w dwadzieścia pytań.

- Och, to ty... ty...ty śpiewasz? Z zespołem...

Jim skinął głową.

- Och, Jezu! Zatkalo mnie. Ja nawet nie...

Jim postawił trunki, czystą whisky i piwo, to samo, co sam pił. Chłopak przedstawił się:

- Phil Trainer. A to są moi kumple, sami Amerykanie. Gramy w grupie Clinic. Mój stary pracuje tu w ambasadzie.

W ciągu długich godzin przed świtem gitary wywędrowały z futerałów i Jim zaśpiewał *Crawling King Snake*. Powiedział swoim nowym kolegom, że zamieścił ten utwór na nowej płycie Doors, która ma się ukazać w tym samym tygodniu w Stanach. Palił bez przerwy; głos miał ciężki i zachrypnięty. Pomiedzy piosenkami rozmawiali o muzykowaniu i gwiazdorstwie. Jim wyznał, że osiągnął wszystko, co tylko było do osiągnięcia

i zaskoczył ich mówiąc, że brał LSD dwieście pięćdziesiąt razy. Jeszcze większe wrażenie zrobił, opowiadając o tym, jak zdemolował studio nagraniowe. Powiedział też, że naprawdę bardzo kocha kolegów z zespołu i jest mu przykro, że Robbiemu Kriegerowi nie dawał tego dostatecznie odczuć.

O świcie z całego towarzystwa pozostali tylko Jim i Phil, Jim zapalał jednego papierosa od drugiego i zaciągał się tak mocno, że dostawał ataków oskrzelowego kaszlu. Phil, również wokalista, mówi dziś: „Myślałem wtedy, że niszczy sobie płuca i gardło. Tak strasznie się zaciągał, och, Boże. Jeżeli coś pamiętam z tej nocy, to ten obraz: jak ssie papierosa - zassysa, a potem kaszle, kaszle, kaszle”.

Obaj byli strasznie pijani, gdy wytoczyli się wczesnym rankiem z klubu. Jim rozpiął spodnie i wysiusiał się.

- Do da funky chicken - pobekiwał. - Do da funky chicken.

Później, gdy zapiął spodnie, zaproponował, by złapał taksówkę i pojechali poszukać Pameli.

- Do da funky chicken

Kiedy okazało się, że Pam nie wróciła do mieszkania w dzielnicy Marais, Jim wiedział, dokąd się udać - do dzielnicy łaćńskiej, do domu pewnego fotografa modelek. Wszedł bez pukania, wiedząc, gdzie jest klucz i gdy znalazł Pamelę w łóżku z fotografem, przyspuścił atak na barek. Najpierw wódka. Potem rum, a potem, co mu wpadło w rękę, prosto z butelki, bez zakąsek i bez mieszania. Po godzinie picia posiał Phila, by obudził Pamelę.

Gdy zeszli na śniadanie do pobliskiej kawiarni, Pamela zamówiła dla Jima spaghetti i szklanek mleka dla uspokojenia żołądka.

- Jim, nic będziesz już pił, prawda? - zaczęła się przymilać.

- Jim?

Jim siedział w milczeniu, zapatrzony w ruchliwy bulwar. Wreszcie podsumował:

- Do da funky chicken.

W kilka dni później wynajęli samochód i ruszyli na południowy zachód przez winnice Francji, przez Orlean, Tours, Limoges i Tuluzę. Przez Andorrę wjechali do Hiszpanii. W Madrycie zwiedzili Prado, gdzie Jim znalazł *Ogród rozkoszy ziemskich* Hieronymusa Boscha, jego główne arcydzieło, na którym w jednej z tajemniczych twarzy dopatrywano się autoportretu samego artysty.

Stamtąd pojechali na południe do Grenady, gdzie na Jimie ogromne wrażenie wywarła Alhambra - pałac mauretański, powszechnie uważany za najpiękniejszy zachowany zabytek architektury Zachodniego Islamu: twierdza, złożona - prześwietlonych słońcem krużganków ze lśniącymi, niebieskimi dachówkami.

Jim i Pamela mieli znów okres zgody. Wszystko było niemal tak idealne, jak w tym dniu, którym się chwaliła. Wspólne życie przez dłuższy czas w samochodzie i małych hotelikach wywoływało drobne sprzeczki, ale były też długie okresy zupełnie bezkonfliktowe. Nie wyprowadził ich z równowagi nawet mówiący po angielsku Arab, który obrabował ich ze stu dolarów, obiecując duży kawałek haszyszu.

Z Tangeru pojechali na południe wzdłuż wybrzeża Atlantyku do Casablanki, a później w głąb lądu, do Marrakeszu. Mieli doskonały apetyt, pili miejscowe wino, filmowali wszystko nową kamerą Super-8, kupioną jeszcze w Paryżu. Po trzech tygodniach, na początku maja oddali samochód i polecieeli z powrotem do Paryża.

Ich mieszkanie było przez kilka pierwszych dni zajęte, więc wprowadzili się do eleganckiego hotelu L'Hôtel na lewym brzegu, którego dwadzieścia pięć pretensjonalnie urządzonych pokoiów cieszyło się coraz większym powodzeniem wśród goszczących w Paryżu gwiazd muzyki rockowej. Przyciągała ich z pewnością magia „rezydencji, w której mieszkał Oscar Wilde”. Z' miejscem tym związana jest historia kolejnej hulanki Jima, pod koniec której wypadł przez okno z drugiego

piętra, lądując na dachu samochodu, po czym oddalił się, jak gdyby nic nie zaszło - poszedł kawałek dalej, napić się.

Okres mieszkania na lewym brzegu, w dzielnicy St.-Germain, nie różnił się specjalnie od dni, jakie spędzali w domu przy bulwarze Santa Monica - tu też znajdowały się wszystkie najsłynniejsze lokale: Café de Flore, w którym przed laty popijali Sartre i Camus, La Coupole, gdzie na filarach wisiały obrazki Picassa, Klee'ego, Modiglianiego i wielu innych, Art Deco Heaven, niegdyś kwatery Scotta i Zeldy (Jim mówił, że jest identyczna jak Ratner's, delikatesy na nowojorskiej Lower East Side). Dla tłumów młodych Francuzów spośród wielu hipisowskich klubów undergroundu najbardziej liczyły się: nowo otwarty Le Bulle i ulubiony przez Jima labirynt piwnicznych zakamarków - Rock'n'Roll Circus.

Jeszcze sześć - osiem miesięcy wcześniej Circus był dla Paryża tym, czym dla Los Angeles Whiskey: głośny, drogi, /. dobrymi zespołami i dobrym sprzętem. Przychodziło się tam, by pić lub szukać zaczepienia w show-businessie. A muzyka była naprawdę wyborna: grywali tam Led Zeppelin, Richie Havens i Johnny Winter, czasami pojawiał się ktoś z Beach Boys. Jednak wiosną 1971 roku wszystko wyglądało już inaczej. Klub stał się targiem heroiny, odwiedzanym przez zawodowy margines - prostytutki, złodziei i stręczycielki. Amerykański emigrant Cameron Watson, dysk-dżokej, który jeszcze na początku roku puszczał tam płyty, a później przeniósł się do Le Bulle, tak opisywał the Circus: „ociężałe, nieruchome sylwetki na głodzie narkotycznym, rozwalone na parkiecie tanecznym”. Jimowi oczywiście bardzo się to podobało: od spleenu sztucznego do najprawdziwszego pod słońcem. Dla niego wcale nie musiało to oznaczać staczania się w dół.

Piątek, siódmy maja. Jim, pijany i usposobiony agresywnie, przesiadywał w Circus. W końcu zrobił się zły, zaczął rzucać

poduszkami i roztrącać meble. Nie poznano go, więc naturalnie po chwili znalazł się za drzwiami. Młody francuski student, Gilles Yepremian, zauważył, jak Jim wdaje się w ostrą kłótnię z klubowym wykidajłą.

- Ty czarnuchu...

Jim zmęczył się krzykiem i próbował złapać taksówkę. Pierwszy kierowca nie chciał go zabrać. Jim podszedł do drugiego, który też go odprawił. Znowu zaczął wrzeszczeć. Gilles, który nie rozumiał prawie nic po angielsku, mówi, że brzmiało to jak „I want meat! I want meat!”.

Gilles poznał Jima i podszedł do trzeciego taksówkarza, namawiając go, by ich zabrał, ale gdy tylko przejechali przez Sekwanę, Jim zaczął się domagać, by go wypuszczono. Chciał popływać. We mgle wczesnego poranka przechadzało się dwóch francuskich policjantów. Ich peleryny i sztywne czapki tworzyły dobrze znajome sylwetki.

- Pierdolone świnię - splunął Jim, po czym krzyknął na cały głos:

- Pierdolone świnię!

Flegmatyczni policjanci nie przerwali swego tradycyjnego, leniwego spaceru. Gilles wcisnął Jima do następnej taksówki i zabrał go do swego kolegi, Hervé Mullera, który mieszkał w siedemnastej dzielnicy, w pobliżu Place de l'Etoile. Taksówkarz poskarżył się na niewielki napiwek, na co Jim rzucił mu pełną garść pieniędzy. Gdy weszli po schodach na piąte piętro, Jim szepnął:

- Cśśś - musimy być cicho.

Otworzyła im mała, milutka dziewczyna, emigrantka z Czechosłowacji, Yvonne Fuka.

- Tak?

- Przyprowadziłem wam kogoś, kogo spotkałem w Rock'n'Roll Circus - powiedział Gilles.

Yvonne zerknęła za jego plecy, na chwiejną postać, uczepioną poręczy schodów. W tym czasie była głównym

grafikiem w „Best”, jednym z najlepszych francuskich czasopism rockowych. Jej chłopak, Hervé, z którym mieszkała w dużym pokoju z kuchnią i łazienką, pracował w redakcji tego samego pisma. Od razu poznała Jima i zaprosiła ich obu do środka.

Jim wtoczył się przez drzwi z głową kiwającą się bezwładnie na boki. Rozejrzał się, zobaczył łóżko i ruszył w jego stronę. Gdy był już blisko, upadł na nie i spał prawie do południa. Kiedy wstał, przedstawili się sobie.

W lodówce nic było wiele jedzenia, więc Jim zaprosił wszystkich do znanej sobie restauracji. Lokalem tym okazał się Alexander. Mieścił się w pobliżu hotelu Georges V, z którym mógł śmiało konkurować pod względem menu. Jima powitano wprawdzie jak stałego gościa lub przynajmniej kogoś, kto rozdaje hojne napiwki, ale okazało się, że w restauracji nie podaje się śniadań. Zaproponowano im poczekanie na lunch.

Jim rozpoczął lunch dwiema Bloody Mary, po których zamówił butelkę szkockiej Chivas Regal. Po godzinie był już pijany i coraz to odzywał się w stronę stolika, przy którym siedzieli francuscy businessmani, na szczęście nie rozumiejący po angielsku:

- Wyglądacie na głupich... Powiedzcie, jesteście matkojebcy? Jesteście gnojki?

„Pił dwa razy tyle, co inni” - mówi Hervé ze smutkiem w głosie. - Pod koniec posiłku kelner podszedł do niego z dwiema butelkami koniaku i zapytał, którą ma podać. A Jim chwycił jedną z nich, odtrącił szyjkę i wsunął butelkę do ust. Potem wypytywał Yvonne o jakąś dziewczynę: 'Załatwisz mi kociaka?' Wreszcie zapłacił za wszystko jednym czekiem. Było nas pięcioro, rachunek wyniósł siedemset franków”.

Gdy szli do samochodu, Jim opierał się ciężko na Yvonne.

- Musisz mnie stąd wydostać - prosił. - Zabierz mnie stąd.

Przeszedłszy pięćdziesiąt metrów, nie mógł dalej iść. Musiał odpocząć. Posadzili go na ławce i Hervé poszedł po samochód, by podjechać bliżej.

Gdy Hervé wrócił, Jim zaczął się wrywać i trzeba było umieścić go w samochodzie siłą. Zajechali pod dom i zaczęła się wspinaczka na piąte piętro, do mieszkania Hervé'ego. W połowie drogi Jim usiadł i odmówił dalszego wysiłku.

- Zostawcie mnie - powiedział, siedząc na podeście półpiętra.

Po chwili zawył:

- Wy pieprzone czarnuchy!

W końcu Yvonne i Hervé zawlekli go do mieszkania i położyli na łóżku, gdzie natychmiast zasnął. Była trzecia po południu, w sobotę, ósmego maja.

Hervé i Yvonne spotkali się z nim raz jeszcze. Tym razem był u nich z Pamelą na obiedzie, rozmawiali o poezji i filmie. Jim przypomniał sobie, że wziął ze sobą do Paryża kopie filmów *Feast of Friends* i *HWY* i chciał im je wyświetlić. Podarował też odbitkę *An American Prayer* Hervé'emu, który od razu zapytał, czy mógłby przetłumaczyć poemat na francuski. Z kolei Yvonne zaproponowała, że zrobi do tego kilka ilustracji. Jim był bardzo zainteresowany możliwością współpracy.

Pod wieczór Jim, po odrobinie wina, wyznał Yvonne powody swego przyjazdu do Paryża. „Mam tak dość tego wszystkiego. Ludzie widzą we mnie gwiazdę rock and rolla, a ja już nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie mogę już z tym wytrzymać. Chciałbym, żeby mnie nie poznawano - w końcu, co oni sobie myślą; że kim jest Jim Morrison?

W następnym tygodniu Jim i Pamela wyjechali na Korsykę. Polecieli do Marsylii, gdzie Jim zgubił prawo jazdy, paszport i portfel, więc musieli wrócić do Paryża, by zrobić duplikaty w ambasadzie amerykańskiej. Po czym znów ruszyli do Marsylii, a stamtąd do Ajaccio, głównego portu i stolicy Korsyki i rodzinnego miasta Napoleona. Korsyka znana jest również z tego, że zasila paryską policję ogromną liczbą rekrutów.

Malownicze wioski leżały u stóp stromych zboczy czerwonych skał, podobnych do Rocky Mountains albo Alp Francuskich. Uliczkami przy plaży snuły się zapłakane, ubrane na czarno wdowy po zaginionych rybakach. Młodych ludzi nie było prawie wcale. Wszędzie unosiła się woń korsykańskiej maquis trawy, którą żywi się bydło, więc pachnie nią także mięso, sery i mleko. Jim i Pamela spędzili na wyspie dziesięć dni, z których tylko jeden upłynął bez deszczu. Pamela nazywała to idyllą.

Doors oficjalnie rozstali się z Elektrą, kończąc związek, trwający od czterech lat i dziesięciu miesięcy. W tym samym tygodniu ukazały się: ostatni album - *L.A. Woman* i przedostatni singel - *Love Her Madly*. Obie płyty szybko wspinały się do góry na listach bestsellerów. Fotografia na okładce *L.A. Woman* ukazywała cały zespół, nie akcentując specjalnie żadnej z postaci. W rzeczywistości Jim ugiął trochę nogi, by wydać się nawet nieco mniejszym od kolegów. W dodatku, ponieważ nikomu nie udało się namówić go na zgolenie brody, po raz pierwszy pojawił się z twarzą w pełni zarosniętą i demonicznym, chytrym uśmieszkiem. Zrewanżował się w ten sposób za okładki *Absolutely Live* i *Trzynastki*.

Krytycy jednogłośnie wychwalali płytę. Odrodzenie zespołu, rozpoczęte wraz z *Morrison Hotel*, postąpiło jeszcze dalej. Umilkli sceptycy i defetyści - Doors stanowczo powrócili. Album doszedł do piątego miejsca, singel osiągnął siódme. Cały przemysł płytowy poruszony był faktem negocjacji zespołu z koncertami Atlantic i Columbia i proponowanymi bezprecedensowymi kwotami. John, Ray i Robby spotykali się raz na pewien czas, by pograć wspólnie w swej salce prób. Ray śpiewał; przygotowywano nowy materiał przed zbliżającym się powrotem Jima.

Mniej więcej w tym czasie Jim, który o najnowszych sukcesach zespołu wiedział niewiele lub nic, zadzwonił do

biura i powiedział Billowi Siddonsowi, że muzyka znów zaczyna go pochłaniać, ale chce jeszcze odpocząć. W tym samym tygodniu zadzwonił też do Johna Densmore i pytał go, jak wyglądają sprawy. Gdy John uświadomił mu, jak świetnie sprzedają się obydwie płyty i jak chwali je prasa, Jim był zaskoczony.

- Jeżeli to im się podoba, poczekajcie tylko, aż usłyszą to, co już mam głowie na następny raz - powiedział.

Jim wyglądał nieco lepiej niż zwykle. Był gładko ogolony, schudł trochę, bardzo pomogła mu zmiana ubrania. Korzystając z jego nieuwagi Pamela wyrzuciła zniszczone dzinsy i kurtkę od munduru polowego, pamiętając jego lata studenckie. Miał teraz na sobie zapinaną koszulę, pulower i spodnie koloru khaki. Tylko buty Frye, znoszone i prawie zgniłe, pozostały.

Wróciwszy z Korsyki, Jim wynajął prywatną sekretarkę, Robin Wertle, wysoką, szczupłą blondynkę z Kanady, znakomicie mówiącą po francusku. Robin pracowała wcześniej jako księgowa, impresario i projektantka u fotografa mody. Pamięta, że poznali się, gdy jej fotograf wyjeżdżał właśnie z Paryża na wiele miesięcy. „Miałam więc nagle tyle wolności, że zgodziłam się bez wahania. Jim ani Pamela nie znali francuskiego, mieli więc pewne trudności w codziennym życiu”.

Wedle umowy praca polegać miała na „dbaniu o dom, od umawiania się ze sprzątaczką, po przepisywanie listów, dzwonicie do Ameryki, kupowanie mebli, wypożyczenie maszyny do pisania i starania o wyświetlenie jednego z filmów Jima”.

Wydawało się, że Jim świadomie zmierza do pogodzenia tych dwóch, skłóconych ze sobą, demonów: gwiazdorstwa i bycia sobą. Ale szło to powoli, wymagało wysiłku, więc w sumie unikał myślenia o tym, gdy tylko mógł.

Jedenastego czerwca Hervé i Yvonne przyjechali, by zabrać Jima i Pamelę na *Le Regard du Sourd* (*Spojrzenie głuchego*),

sztukę bez dialogów, wystawianą prawie wyłącznie przez głuchoniemych aktorów. Kiedy zjawili się na ulicy Beautreillis, Jim powiedział, że Pamela nie może iść z nimi, bo przyjechał właśnie ich bliski przyjaciel z Ameryki. Gościem tym był Alan Ronay.

Na tę noc Pamela znikła w towarzystwie tak zwanych *minets* - młodych, androgenicznych dandysów, noszących ciemne okulary i białe spodnie drelichowe, którzy jedynie rzadko i z łaski odzywali się po angielsku. Pamela uwielbiała ich, a Jim nienawidził i nie ukrywał, jak bardzo nie podobają mu się te spotkania.

Czas mijał. Jim spotykał się wiele razy ze swymi starymi przyjaciółmi, Agnes Varda i Jacques'em Demy. W roku 1968 Jacques próbował sforsować bariery dzielące go od Doors, by zaprezentować Jimowi swój pierwszy amerykański film, *Model Shop*. Teraz był już filmowcem powszechnie cenionym za swe *Parasolki z Cherbourg*a. Jego żona, Agnes, nazywała siebie babką filmowej Nowej Fali i zapraszała Jima na projekcję swego filmu dokumentalnego *Lions Love*.

Jim bardzo się z nimi zaprzyjaźnił i przez tych kilka lat nabrał głębokiego szacunku dla Agnes. Była kobietą malutkiego wzrostu, mierzyła tylko metr i pięćdziesiąt siedem centymetrów. Wyróżniała się błyskotliwą inteligencją, bezpośredniością zachowania i ochryplym głosem. Sympatyzowała z ludnością robotniczą, celowo używała taniego samochodu i podziwiała młodych radykałów za to, że potrafili odrzucić ideały mieszczaństwa.

Jim odwiedził też Rory Flynn, córkę Errola, dziewczynę zadziwiająco wysoką i chudą. Przed laty, w roku 1966 była jedną z pierwszych *groupies* Doors w klubie Whiskey. Teraz Rory pracowała jako modelka. Zjedli razem bezalkoholowy lunch.

W międzyczasie Pamela spotkała się ze swą przyjaciółką w Café de Flore. Później, w mieszkaniu w dzielnicy Marais,

Jim mówił jej, że proponują mu główną rolę w filmowej wersji *Catch My Soul*, muzycznej adaptacji *Otella*, wystawianej dawniej w Los Angeles, z Jerrym Lee Lewisem w roli Jagona. Wymieniał obsadę: Tina Turner, Joe Frazier i Melanie. Wspomnił też, że dostał jednocześnie ofertę zagrania z Robertem Mitchum w adaptacji alegorycznego opowiadania Normana Mailera o polowaniu na niedźwiedzia alaskańskiego, zatytułowanego *Why Are We in Vietnam?*

- Odmówiłem im - powiedział Jim. - I chyba nie zajmę się filmem, bo zabraloby mi to zbyt wiele czasu, który wolę poświęcić na pisanie.

Zjedli obiad w La Coupole. Kiedy wracali do domu, natknęli się na rozruchy studenckie w okolicy bulwaru St. Michel. Zamieszki z rzucaniem cegłami odbywały się niemal w każdy weekend, jako pozostałość po strajku powszechnym i wielkim buncie studentów w roku 1968. Kilka tygodni wcześniej Jim i Pamela znaleźli się w samym środku takiego zamieszania. Obydwoje uważali, że jest to widok smutny, a zarazem fascynujący. Postanowili nie zatrzymywać się, by popatrzeć.

Jedna z przyjaciółek Pameli napisała w „Crawdaddy”:

Jim wygląda o wiele lepiej niż zwykle, zwłaszcza w porównaniu z okresem procesu w Miami. Twierdzi, że przestał pić, wyraźnie wyszczupłał, ale kuchnia francuska też zbiera swoje żniwo, więc nie odzyskał jeszcze sylwetki złowieszczonego upiora, który, opięty czarnymi skórami, nawiedzał Los Angeles jako Król Jaszczurów.

Był pierwszy dzień lipca, Paryż leżał w ognistym upale. Jim wpadł w ciężką, przygnębiającą depresję. W ostatnich dniach pił bardzo dużo i tym razem próbował skończyć z piciem raz na zawsze. Starał się też zabrać do pisania, by zrzucić z siebie

przytłaczającego go, podwójnego nelsona i obrócić energię w wysiłek twórczy. Nie udawało mu się. Siedział, oklapły, przy stole jadalnym i czekał, aż napłyną słowa. Ta odrobina, którą z siebie wydusił, nie była na poziomie Jima Morrisona. Dobrze o tym wiedział. Co pewien czas stawał na kilka minut przed lustrem i długo patrzył sobie w oczy, szukając w nich odpowiedzi. Alan Ronay nigdy jeszcze nie widział go w tak złym stanie, Pamela też była wystraszona. Próbowali na różne sposoby rozerwać go, pocieszyć, ale bez skutku. Wreszcie drugiego lipca, w piątek wieczorem, Alan zaproponował, by poszli razem na obiad do pobliskiej restauracji. Jim nie chciał narzucać się im, będąc w takim stanie, więc jedli w ciszy, nie rozmawiając ze sobą.

Po kolacji nadał telegram do swego wydawcy, Jonathana Dolgera, przesyłając mu swą decyzję o wyglądzie okładki tańszego wydania tomiku *The Lords and The New Creatures*. Chciał, by zamiast zdjęcia „Młodego Lwa”, zrobionego przez Joela Brodskiego, wykorzystano fotografię autorstwa Edmonda Teske. Miał na niej brodę i wyglądał bardziej poetycznie. Potem odprowadził Pamelę do domu, a sam poszedł na polecany mu przez Alana film *Pursued* z Robertem Mitchum w roli głównej.

Dokąd poszedł po filmie, lub nawet czy był w kinie, to należy już do domysłów. Rozmaite wersje relacji na temat tego wieczoru pełne są sprzeczności. Jedni mówią, że poszedł do Rock'n'Roll Circus, tak przytłoczony swą depresją, że kupił trochę heroiny i przedawkował ją w łazience klubu, po czym wyniesiono go stamtąd tylnymi drzwiami i odstawiono do domu, do wanny. Inni powiadają, że po pożegnaniu z Pamelą i Alanem udał się prosto na lotnisko, gdzie widziano go, wsiadającego do samolotu. Nie da się też wykluczyć, że spacerował przez całą noc. Albo też poszedł do kina i po prostu wrócił po filmie do domu, gdzie po chwili zaczął się skarżyć na złe samopoczucie i mówić, że chce wziąć kąpiel. Ta ostatnia

wersja jest najczęściej spotykana, ale cokolwiek przydarzyło się w piątkową noc, piątego lipca - w poniedziałek rano - rozeszła się pogłoska, że Jim nie żyje.

Tego dnia z redakcji londyńskich dzienników zaczęto dzwonić do angielskich biur Elektry. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy Jim żyje. Dziennikarze słyszeli, że znaleziono go, martwego, w jego paryskim mieszkaniu. Skąd wzięła się ta pogłoska i czy tym razem była prawdą? Clive Selwood, który jako pierwszy pobiegł do angielskiego biura Elektry, skontaktował się z jej filią we Francji, by sprawdzić wiadomość. We francuskiej Elektrze nie wiadano nawet o tym, że Jim przebywa w Paryżu. Clive zadzwonił więc do ambasady amerykańskiej i francuskiej policji. Obie instytucje odpowiedziały, że nic im nie wiadomo o śmierci obywatela amerykańskiego, który nazywa się Jim Morrison.

Wobec tego dziennikarz postanowił zapomnieć o całej sprawie, którą uznał za jeszcze jeden fałszywy alarm. Był już o tym prawie przekonany, gdy zadzwoniono do niego z dwóch najważniejszych, angielskich tygodników rockowych - dwa telefony jeden po drugim. Clive powiedział, jak mało wie, a potem postanowił skontaktować się z Billem Siddonsem w Los Angeles. Z powodu różnicy w czasie zerwał go z łóżka.

- Bill... Nie mogę sprawdzić tego w żaden sposób, ale dostajemy pogłoski o śmierci Jima.

- Bill uśmiechnął się z pobłażaniem:

- Och, daj spokój, Clive...

I pokiwał głową, po czym wrócił do łóżka. Nie mógł jednak zasnąć i w końcu poczuł, że sam musi zadzwonić do Jima. Słuchawkę podniosła Pamela i powiedziała tylko tyle, żeby lepiej jak najszybciej się zjawił - jak gdyby chodziło o pójście za róg. Pam nie przepadała za Billem, ale wiedziała, że chłopak potrafi załatwiać sprawy. Bill zadzwonił na lotnisko i zarezerwował miejsce na najbliższy lot. Później zadzwonił do Raya i obudził go.

- Ray, posłuchaj, Jim być może nie żyje. Nic wiem, czy tym razem to prawda, czy nie. Właśnie rozmawiałem z Pamelą, była niewyraźna. Chciała, żebym zaraz tam leciał. No, więc lecę i sam się dowiem.

- Och, Jezu - westchnął Ray. - Jasne, lec i daj znać, gdy tylko będziesz coś wiedział.

Bill zapewnił go, że zawiadomi i poprosił, by podzwonił do najbliższych, ale na pewno zaznaczając, że może się to okazać kolejnym fałszywym alarmem.

- Och, Bill - dodał jeszcze Ray. - Może po głosie nie słysząc, że mnie zmartwiłeś, ale bądź pewien...

- Czego pewien?

- A, już nie wiem, po prostu bądź pewien.

Siddons przybył do Paryża we wtorek, 6 lipca. W mieszkaniu zastał Pamelę, zapieczętowaną trumnę i podpisany akt zgonu. Szybko i bez rozgłosu zrobiono przygotowania do pogrzebu. Siódmego lipca Pamela wypełniła formalności w ambasadzie amerykańskiej, identyfikując zmarłego jako Jamesa Douglasa Morrisona, poetę. Podała, że nie miał rodziny. Za oficjalną przyczynę śmierci uznano atak serca.

Siddons działał szybko i skutecznie. We środę po południu trumnę złożono w ziemi na Père La Chaise, cmentarzu, który Jim niedawno zwiedzał, szukając grobów Edith Piaf, Oscara Wilde, Balzaca, Bizeta i Chopina. Obecnych było pięć osób: Pamela, Siddons, Alan Ronay, Agnes Varda i Robin Wertle. Rzucili na grób kwiaty i pożegnali się.

Bill pomógł Pamelę spakować rzeczy i we czwartek wrócił do Los Angeles, gdzie Bill oznajmił wszystkim, że prawie niczego się nie dowiedział. Pamela była w szoku i odpoczywała.

Minęło od tej pory prawie dziesięć lat, a ludzie wciąż pytają: czy Jim Morrison naprawdę nie żyje? I - jak umarł?

Jeszcze przez śmiercią - zakładając, że nie żyje - był jedną z tych szczególnych postaci, o których nagłym zgonie łatwo

powstają pogłoski. Gdy jego sława sięgała zenitu, „umierał” niemalże co tydzień, na ogół ginąc w wypadku samochodowym, spadając z balkonu hotelowego podczas popisywania się przed przyjaciółmi, a czasami wskutek przedawkowania alkoholu, środków halucynogennych lub seksu.

W jaki sposób umarł? Przez lata narosły niezliczone teorie. Niektóre z nich są produktem strasznego rozczarowania. Wiele osób twierdzi - i ma na poparcie tego mocne argumenty - że byłoby to zupełnie nie w jego charakterze, umrzeć tak, jak to opisywał Siddons, na atak serca, w wannie.

Wersja oficjalna jest następująca: Pamela i Jim byli sami w mieszkaniu. Minęła północ w sobotę, trzeciego lipca 1971 roku. Jim wykrztusił trochę krwi. Zdarzało mu się to już wcześniej - mówi Pamela - więc, choć zaniepokoiła się, nie była przerażona. Jim twierdził, że czuje się dobrze i powiedział, że pójdzie się wykąpać. Pamela na nowo zasnęła. Obudziła się o piątej rano i zobaczyła, że Jim nie wrócił do łóżka. Weszła do łazienki i znalazła go w wannie. Ręce trzymał na jej porcelanowych brzegach, głowę miał odrzuconą do tyłu, mokre włosy tworzyły wokół niej splątany wieniec, na gładko ogolonej twarzy pozostał niewinny, chłopiący uśmiech. W pierwszej chwili Pamela pomyślała, że to jeden z jego makabrycznych dowcipów, ale po chwili wezwała oddział reanimacji miejscowej straży pożarnej. Przyjechał lekarz i policja - opowiadała - ale było już za późno.

Jedną z okoliczności, podtrzymujących początkowe niedowierzanie, był problem czasu. Bill zrelacjonował prasie swą wersję w całe sześć dni po śmierci Jima, dwa dni po pogrzebie.

„Powracam właśnie z Paryża, gdzie uczestniczyłem w pogrzebie Jima Morrisona - podał Siddons w specjalnym oświadczeniu, (opublikowanym przez agencję reklamową w Los Angeles). - Jim został pochowany bardzo skromnie, w obecności jedynie kilkorga bliskich przyjaciół. Pierwsze wiadomości o jego śmierci i pogrzebie nie zostały ogłoszone,

ponieważ ci spośród nas, którzy byli Mu bliscy i kochali Go jako człowieka, pragnęli uniknąć zgiełku i cyrkowej atmosfery, towarzyszącej śmierci takich gwiazd jak Janis Joplin i Jimi Hendrix.

Mogę zapewnić, że Jim umarł bardzo spokojnie, z naturalnych przyczyn. Od marca przebywał ze swą żoną, Pamelą, w Paryżu. Był tam u lekarza, bo miał kłopoty z płucami. Skarżył się na nie także w sobotę, dzień, w którym umarł".

W ciągu następnych dni Bill nie wyjawiał już nic więcej, bo nic więcej nie wiedział.

Innym elementem, przyczyniającym się do niewiary, był fakt, że Bill nie widział ciała. W mieszkaniu Jima i Pameli zobaczył tylko zamkniętą trumnę i akt zgonu z podpisem lekarza. Nie było protokołu policyjnego, nie przeprowadzono wizji lokalnej. W istocie wszystko opiera się na słowach Pameli, że Jim umarł.

Dlaczego nie przeprowadzono sekcji zwłok? "Dlatego, że nie chcieliśmy działać w ten sposób. Pragnęliśmy zostawić Jima w spokoju. Nie naruszać powagi i godności, z którymi umarł".

Kim był lekarz? Siddons nie wiedział, Pamela mówiła, że nie pamięta. Tymczasem podpis może być sfalszowany albo kupiony. W każdym razie, taka jest oficjalna wersja odejścia Jima Morrisona. Inne wersje są z pewnością bardziej dziwaczne, ale być może również wiarygodniejsze.

W Paryżu za przyczynę zgonu uważano heroinę. Jim był stałym gościem nocnego klubu Rock'n'Roll Circus, uważanego za mekkę miejscowych handlarzy tym narkotykiem. Jima zawsze pociągali degeneraci z marginesu, ludzie z gorszego bieguna społeczeństwa. Przy każdej okazji odwiedzał zakazane zaułki Nowego Jorku i Los Angeles. W Circus bywał regularnie, ludzie stamtąd znali go. Co prawda, sprowadzała go tam ciekawość i zawsze przyjmował raczej rolę obserwatora, a nie uczestnika. Pił z wykołajnikami, ale jest

mało prawdopodobne, by tam przedawkował narkotyki. Przede wszystkim dlatego, że od dawna czuł lęk przed zastrzykami podskórnymi. Gdyby tej nocy wstrzyknął sobie heroinę, byłby to jego pierwszy zastrzyk, choć zdarzało mu się już przedtem wdychać heroinę. No, ale został znaleziony w wannie, a to jest na ogół pierwsze miejsce, w jakim układa się ofiarę przedawkowania heroiny, próbując ją odratować. Czyż niektóre graffiti na jego grobie, (np. „Have mercy for junkies” i „Shootez” nie podtrzymują wiary w to, że umarł z przedawkowania, a nie na atak serca?

Gdyby Jim przedawkował heroinę, lekarz prawdopodobnie zauważyłby ślady po ukłuciach. Jeżeliby jednak wdychał heroinę, nie byłoby sposobu udowodnienia tego bez pobrania próbek krwi. Sekcji nie przeprowadzono; nie dowiemy się tego. Możliwość tę trzeba jednak brać pod uwagę. Heroina wdychana powoduje śmierć już w zadziwiająco niskiej dawce, jeżeli miesza się z alkoholem. Obydwa środki, uzupełniając się, paraliżują system nerwowy i oddechowy, w wyniku czego następuje spokojna, bezbolesna śmierć.

W kręgu przyjaciół Jima krążyły jeszcze inne teorie. Jedna z nich uśmierca go w chwili, gdy ktoś wyjął mu oczy nożem (rzekomo „dla wyzwolenia duszy”). Wedle innej, Jim zginął od czarów odrąconej kochanki, działających na wielką odległość-z Nowego Jorku. Zwolennicy kolejnej wersji uważają go za ofiarę spisku politycznego, mającego na celu pozbawienie wpływów i usunięcie głównych postaci kontrkultury, ruchu hipisowskiego i Nowej Lewicy (podejrzewano istnienie potężnej, zorganizowanej sieci spisków o wielkim zasięgu, odpowiedzialnej za strzelaniny w Kent State i Jackson State, zamieszki na Isla Vista, zamachy bombowe Weathermanów, wyroki ciężkiego więzienia dla Timothyego Leary i Ósemki Chicagowskiej, a nawet morderstwo dokonane przez Charlie'ego Mansona, nie mówiąc już o śmierci Jimiego Hendrixa, Janis Joplin i prawie trzydziestu Czarnych Panter). Jim był

dostatecznie znany oraz, co mogło budzić większą obawę, dostatecznie potężny, by móc poruszyć znaczne siły. To mogło już być wystarczającym powodem do podjęcia akcji zapobiegawczej. Jest rzeczą pewną, że władze się go bały. Dowiodły tego, nakazując FBI dyskretnie prześledzić jego przeszłość po wydaniu nakazu aresztowania w Miami.

Inni, mniej skłonni dopatrywać się konspiracji, twierdzą, że Jim przedawkował kokainę, narkotyk, który z pewnością lubił. Ale z kolei kokaina rzadko bywa śmiertelna, nawet w dużych dawkach. Są wreszcie tacy, co wierzą, że Jim umarł z przyczyn naturalnych, ale utrzymują, że Pameli przy tym nie było. Mogła wyjechać na weekend ze swym księciem i nie wracać aż do poniedziałku, kiedy to znalazła Jima nieżywego - czym można by wytłumaczyć opóźnienie wiadomości o jego śmierci. Wreszcie, część ludzi wzrusza ramionami i mówi, że, wyłączając wersje o morderstwie, nie jest ważne to, jakie były szczegóły jego śmierci: czy przedawkował coś, czy doznał ataku serca, czy też po prostu zapił się (jak jeszcze inni twierdzili od początku). Ostatecznie w każdym przypadku wychodzi na jedno-na samobójstwo. W taki, czy inny sposób, Jim sam skończył ze sobą, a doszukiwanie się szczegółów, to tylko próby określenia kalibru tego metaforycznego pistoletu, który przyłożył do swej skroni.

Prawdą jest, że nikt nie wie na pewno, jak umarł Jim Morrison. Ale jeżeli żył kiedyś człowiek, który dojrzał do śmierci, który był do niej przygotowany i zapowiadał ją swym życiem, był to Jim. Ciało jego było stare, a duch zmęczony.

Z drugiej strony, są też ludzie, którzy nie przyjmują żadnej z tych wersji. Mówią po prostu: „Jim wcale nie umarł”. Nie jest to znowu aż tak fantastyczne, jak mogłoby się zrazu wydawać. Jeżeli żył kiedyś człowiek, który dojrzał do tego, by uciec, który był do tego przygotowany i zapowiadał to swym życiem, także był to Jim. Zgadzałoby się to doskonale z jego nieprzewidywalnym charakterem, gdyby zaaranżował swą

śmierć, aby znaleźć schronienie, porzucić życie publiczne. Miał już dość wizerunku jaki sam stworzył, z jakiego następnie wyrósł i nie mógł się pozbyć. Szukając uznania w poezji, ciągle uświadamiał sobie, że czyni to na próżno, bo i tak wszystko przesłoni postać Morrisona - herosa kultury. Lubił śpiewać i czuł się bardzo związany z wartościami muzyki Doors. Równocześnie rozpaczliwie szukał wytchnienia od napięć, jakie niosło ze sobą gwiazdorstwo. I być może w ten weekend, trzeciego, czy czwartego lipca, znikł po prostu z oczu świata, by znaleźć sobie spokojne miejsce do tworzenia i swobodę, jaką daje anonimowość.

Faktem jest, że ziarna takiej mistyfikacji zostały zasiane. W Fillmore w San Francisco, w roku 1967, gdy Doors nie mieli jeszcze ani jednego przeboju singlowego, Jim proponował kolegom upozorowanie pokazowej śmierci, by ściągnąć na zespół powszechną uwagę. Pamiętano też, jak zapowiadał, że będzie używał anagramu Mr. Mojo Risin', kontaktując się z biurem, gdy „ucieknie do Afryki”. Co więcej, Jim powiedział obydwu autorom niniejszej książki, że widzi przed sobą zmianę rodzaju kariery i pojawi się jako businessman, w garniturze i pod krawatem. Zaś Steve Harris, asystent Jaca Holzmana, dobrze pamięta, jak po śmierci Briana Jonesa Jim wypytywał go, co stałoby się, gdyby to on nagle umarł. Chciał wiedzieć, jak wpłynęłoby to na interesy, co powiedziałaby prasa i kto by w to uwierzył.

Ziarna zostały zresztą zasiane jeszcze wcześniej. Gdy Jim poznawał życie i poezję Artura Rimbaud, był pod wrażeniem faktu, że Rimbaud napisał niemal wszystkie swoje wiersze do dwudziestego roku życia. Później znikł w Afryce Północnej, gdzie został strzelcem, prowadzącym karawany i handlarzem niewolników. A z Mary Frances Werbelow długo dyskutował o tym, jak uczniowie wykradli ciało Chrystusa. Dowcipkował na temat „skoku Wielkanocnego”, ale rozmyślał o tym poważnie i logicznie.

Wszyscy najbliżsi przyjaciele Jima zgadzają się, a niektórzy wręcz upierają przy tym, że wybryk taki byłby nie tylko bardzo w jego stylu, ale co więcej, że z pełną poświęcenia pomocą Pameli mógł on naprawdę, w niewiarygodny sposób, zniknąć.

Agnes Varda i Alan Ronay nie chcą mówić. Robin Wertle i Herve Muller zapewniają, że nie znają żadnych szczegółów. Siddons wie tylko to, co sam widział i co usłyszał od Pameli. A Pamela zabrała tajemnicę do grobu, umierając w trzy lata po Jimie.

Od tamtej pory minęła już dekada, a ciągle nie mamy żadnego znaku od Mr. Mojo Risin'.

Posłowie

Poeta William Blake powiedział: Droga nadmiaru wiedzy do pałacu mądrości. Jim Morrison rozumiał to i był niepohamowany. Poeci dochodzą do mądrości, jeżeli są prawdziwymi poetami, lub też nie osiągają jej nigdy, bo są boskimi głupcami. To w sumie jedno i to samo.

A oto inne przysłowie z *Zaślubin Nieba i Piekła* Blake'a: „Ostrożność to bogata, obrzydliwa, stara panna na usługach Niezdolności”. Jim nie był ostrożny i to wyjaśnia, dlaczego rzadko napotykał na swej drodze niezdolność. Był stale przeobrażającym się herosem, obezwładniał nas swą mocą i śmiałością. Odczuwał wszystkimi zmysłami i wzmacniał ich doznania za pomocą alkoholu (substancji uświęconej przez Dionizosa, boga sztuki dramatycznej i upojenia), narkotyków oraz wrzącego eliksiru swego bogactwa wewnętrznego. Był jedną z najjaśniejszych dusz jakie znałem i chyba najbardziej skomplikowaną - jako że my wszyscy, ssaki zbudowane z ciała i nerwów, dążymy do pewnej złożoności.

Fascynowało go każde doświadczenie zmysłowe. Cieszyła go każda zmiana we własnym systemie nerwowym. Gdy przestał być odzianym w czarne skóry wokalistą Doors i symbolem seksu, został pięknym rozbitkiem, wcielonym we wrażliwego bluesmana.

Jedną z rzeczy, które podobają mi się w jego biografii, jest to, w jaki sposób ukazuje ona, że Jim był świadomym swego posłannictwa poetą. Na tym opierała się moja z nim przyjaźń i pokrewieństwo dusz. Autorzy dostrzegli też, że Jim nie był materialistą. Nie pociągały go dolary, rzecz najważniejsza dla niejednej gwiazdy rock and rolla. On kochał różnorodność doświadczeń i uczynków. Pragnąłby przemiany świata materialnego w kruszec nienasyconego zachwyty.

Spotkaliśmy się w Londynie, by porozmawiać o nakręceniu filmu według mojej sztuki *The Beard*. Jim przyszedł po mnie na lotnisko, a ja opowiedziałem mu moje fantazje - o romantycznych poetach, unoszących się na nocnym niebie wokół samolotu. Pokazałem mu nowy wiersz o Billym the Kid, a wtedy on nagle napisał w moim notatniku wiersz o Jean Harlow. Odbyliśmy poetycki spacer po mieście, od nocnych rozrywek Soho po Tate Gallery. Później, przy księżycu w pełni, pojechaliśmy razem z innym jeszcze poetą, Christopherem Logue, obejrzeć nowy szpital, który postawiono na miejscu domu Blake'a. Wpadaliśmy do klubów muzycznych Bag of Nails i Arethus. Widzieliśmy Christine Keeler, gwiazdy filmowe i puste szklanki po Courvoisierze, wdawali się w dyskusje filozoficzne z reżyserami filmowymi.

W Londynie po raz pierwszy zetknąłem się z poezją Jima. Oszołomiony jasną mgiełką kaca, silnego jak po meskalinie, znalazłem rękopis *The New Creatures*, leżący na stoliku do kawy w jego pokoju, w dzielnicy Belgravia. Byłem oczarowany tym, co przeczytałem.

Nie znam żadnego lepszego poety z jego pokolenia. Niewiele też poetów było tej miary postaciami życia publicznego, występującymi przed tłumem (kimś takim był Włodzimierz Majakowski w Związku Radzieckim, w latach dwudziestych i trzydziestych). Nikt też nie miał kariery tak krótkiej, a zarazem potężnej.

Wszyscy znają muzykę Doors i legendę kulturalną, ale Jim był uczulony na tym punkcie, by jego poezji nie odczytywano przez pryzmat jego postaci jako gwiazdy muzyki rockowej. Strzegł swych wierszy przed takim gwałtem. Pracował nad nimi niemalże w ukryciu. Gdy ujrzałem rękopis *The New Creatures*, zaproponowałem mu prywatne wydanie go tylko dla przyjaciół i zostawienie szerszej publikacji na później, gdyby tego zechciał. Tak też się stało.

Jim - to dwaj artyści wewnątrz jednego człowieka - ognisty, namiętny wokalista - widziałem go raz, jak śpiewał tak długo, że publiczność musiała położyć się na sali, by słuchać - i cichy, utalentowany poeta. Był Mr. Mojo Risin' i James Douglas Morrison, poeta należący do szkocko-amerykańskiej tradycji.

Recytowaliśmy razem poezję i widziałem jego obawy, czy zostanie odczytany w takim właśnie kontekście. Słuchałem go po jego śmierci z taśm, w małej chatce, pozostałej po niemieckim forcie we Wschodniej Afryce. Za każdym razem słyszałem prawdziwego poetę. Gdy czytam Morrisona, czuję, że straciłem przyjaciela. Czuję to braterskie porozumienie - tak, jak mówił George McDonald:

Śmierć jedynie od śmierci uchroni
Miłości moc w tym, że jest śmiercią
w tym, że przepelni głębię grobowca
że schodząc w wieczność fal, kochać nie przestaje

Obecność i twórczość Jima wywołały drżącą falę, wewnątrz której stoi on - jasna postać, śpiewająca w kręgu reflektorów, przez systemy nagłośnienia. A jego wiersze i teksty piosenek dowodzą do dziś ostatecznie, że „śmierć jedynie od śmierci uchroni”.

Michael McClure
w sierpniu 1979

Podziękowania

W rok po domniemanej śmierci Jima Morrisona Jerry Hopkins wysłany został do Europy jako podróżny korespondent magazynu „Rolling Stone”. Stało się to dla niego pobudką do podjęcia badań nad ustaleniem szczegółów jednego europejskiego tournée Doors i ostatnich miesięcy spędzonych przez Jima w Paryżu. W trakcie badań, obejmujących całe życie Jima, Jerry podróżował od jego siedziby w Los Angeles do poprzednich miejsc zamieszkania - w Clearwater i Tallahassee na Florydzie, do Alexandrii w Wirginii, do Alamedy w Kalifornii, a także do Nowego Jorku, Atlanty, Valdosty w Georgii, San Francisco, Mammoth, Monterey w Kalifornii i Miami na Florydzie.

Osoby, którym obydwaj autorzy są winni szczególną wdzięczność, to trzej pozostali członkowie Doors - Ray Manzarek, Robby Krieger i John Densmore; Bill i Cheri Siddonsowie, Frank i Kathy Liscandro, Babe Hill, Leon Barnard, Paul Rothchild, Diane Gardiner, Paul Ferrara, Bruce Botnick, Gloria Stavers, Michael McClure, Herve Muller, Billy James, Denny Sullivan, Ronnie Haran Mellen, Jac Holzman, Dorothy Manzarek, Lynn Krieger.

Swój cenny czas i wspomnienia podzielili z Jerrym także: Patricia Kennely, Rosanna (White) Norton, Fred i Iana Myrow, Tandy Martin Brody, Vince Treanor, Gerard (Fud) Ford, Phil Oleno, Pani Walter Martin, James Merrill, Randy Maney, Andy Morrison, Bob Hungerford, Ralph Turner, Sammy Kilman, Thad Morrison Jr., Thad Morrison III, Margaret Morrison Blumberg, Nick, Pamela Zarubica, David Thompson, Pani Paul R. Morrison i John DeBella.

Wywiadów udzielili również: Elmer Valentine, Mario, Larry Marcus, Harvev Pcurr, Sylvia Romano, Mike Gershman, Danny Fields, Jonathan Dolger, Judy Sims, David Anderle,

Digby Diehl, Russ Miller, Mike Hamilburg, Michael Ford, Garry Essert, Julia (Brosse) Densmore Negron, Gayle Enochs, Charles Lippincott, Barry Oppen, Eva Gardonyi, John Ptak, Linda Kelly, Gay Blair, Bill Runyan, George (Bullets) Durgom, Salli Stevenson, Jac Ttana (Joe Kookan), Annie Moore, Bill Belasco, Ron Raley, Nina i Adam Holzmanowie, Todd Schiffman, Paddy Faralla, Bill Kerby, Renata Eder, Sue Helms, Pamela Courson, Stanton Kaye, Naomi Grumette, Clare (Sparks) Loch, Marshall Brewitz, Anne Schlosser, Paddy Monk, Judy Huddiestone, Samatha Spitzer, Ellen Sander, Bill Graham, John Harris, Alan Weber, Bill Thompson, Ned Moraghan, Robin Wertle, Patricia Charley, Leslie Gilb, Steve Wax, Trina Robbins, Philippe Paringaux, Elizabeth (ZoZo) Larivière, Yvonne Fuka, Dominique Lambelin, Phil Trainer, Cameron Watson, Herve de Lilia, Arthur Dorlag, Charles Reimer, Ashley Ahl, Joe Burke, Luther Davis Jr., Tom Reese, Frances Warfield, Hilton Davis, Diane Warfield, Deucalion Gregory, Ihor Todoruk, James Blue, Colin Young, John Tobler, John Morris, Clive Selwood, David Apps, Elliott Kastner, Chris Greenwood, Rory Flynn, Gus Dana, Terence McCartney Filgate i Roger Tomlinson.

Osoby, które proszę o przyjęcie moich osobistych podziękowań: Rich Linnell, Kim Fowley, Iggy Pop, Alice Cooper, Patti Smith, Alan Lanier, Nigel Harrison, Jim Ladd, Shelly Ladd, Harvey Kubernick, Penelope Abrams, Mel Posner, Marty Fox, Bob Greene, Eric Rudolph, oddziały Elektra Records w Nowym Jorku i Los Angeles (szczególnie dziewczęta z działu reklamy na Zachodnim Wybrzeżu), Marcy Rudo, Dave Marsh i Todd Gray. Ponadto moja rodzina: Barbara Reinhart, Ken Keyes, John Randell i Shep Gordon - ci wszyscy, którzy dostarczyli mi inspiracji do tej misji i znosili związane z nią kłopoty.

Instytucje, którym przesyłamy wyrazy naszej wdzięczności: Biuro Publicznej Informacji Marynarki Wojen-

nej w Pentagonie, Elektra Records International, gazety i czasopisma: „Billboard”, „Cashbox”, „Miami Herald”, „Miami News Leader”, „Los Angeles Times”, „Melody Maker”, „New Musical Express”, Roger, Cowan and Brenner w Beverly Hills i Londynie, Gibson and Stromberg, Uniwersytet Stanowy na Elorydzie, St. Petersburg Junior College, Szkoła im. George'a Washingtona, czasopisma: „Crawdaddy”, „Creem”, „The Village Voice”, „Rolling Stone” i „Circus”.

Jerry i ja chcielibyśmy szczególnie gorąco podziękować fanom Doors na całym świecie, którzy dowiedli, że prawdziwe wartości nigdy nie giną, że Jim Morrison i Doors żyją przez swoje teksty i muzykę.

Daniel Sugerman

Dyskografia płyt wydanych w Stanach Zjednoczonych:

numer tytuł/data wydania

Single:

- 45611 *Break On Through*
End of the Night (1/1967)
- 45615 *Light My Fire*
The Crystal Ship (4/1967)
- 45621 *People Are Strange*
Unhappy Girl (7/1967)
- 45624 *Love Me Two Times*
Moonlight Drive (11/1967)

- 45628 *The Unknown Soldier*
 We Could Be So Good Together (3/1968)
- 45635 *Hello I Love You*
 Love Street (6/1968)
- 45646 *Touch Me*
 Wild Child (12/1968)
- 45656 *Wishful, Sinful*
 Who Scared You (2/1969)
- 45663 *Tell All the People*
 Easy Ride (5/1969)
- 45675 *Running Blue*
 Do It (8/1969)
- 45685 *You Make Me Real*
 Roadhouse Blues (3/1970)
- 45726 *Love Her Madly*
 Don't Go No Further (3/1971)
- 45738 *Riders On the Storm*
 Changeling (6/1971)
- E-46005 *Roadhouse Blues*
 Albinoni Adagio (1/1979)

Single - seria „Spun Gold“:

- 45051 *Light My Fire*
 Love Me Two Times (4/1971)

45052 *Touch Me*
Hello, I Love You (9/1972)

45059 *Riders On the Storm*
Love Her Madly (9/1972)

Albumy:

74007 ***The Doors*** (1/1967): *Break On Through; Soul Kitchen; The Crystal Ship; Twentieth—Century Fox; Alabama Song; Light My Fire; Back Door Alan; I Looked at You; End of the Night; Take It As It Comes; The End*

74014 ***Strange Days*** (8/1967): *Strange Days; You're Lost Little Girl; Love Me Two Times; Unhappy Girl; Horse Latitudes; Moonlight Drive; People Are Strange; My Eyes Have Seen You; I Can't See Your Face in My Mind; When the Music's Over*

74024 ***Waiting for the Sun*** (7/1968): *Hello, I Love You; Love Street; Not to Touch the Earth; Summer's Almost Gone; Wintertime Love; The Unknown Soldier; Spanish Caravan; My Wild Love; We Could Be So Good Together; Yes the River Knows; Five to One*

75005 ***The Soft Parade*** (7/1969): *Tell All the People; Touch Me; Shaman's Blues; Do It; Easy Ride; Wild Child; Runnin' Blue; Wishful, Sinful; The Soft Parade*

75007 ***Morrison Hotel*** (2/1970): *Roadhouse Blues; Waiting for the Sun; You Make Me Real; Peace Frog;*

Blue Sunday; Ship of Fools; Land Ho!; The Spy; Queen of the Highway; Indian Summer; Maggie M'Gill

2-9002 ***Absolutely Live*** (7/1970, album podwójny): *Who Do You Love; Medley: Alabama Song/Back Door Man; Love Hides; Five to One; Build Me a Woman; When the Music's Over; Close to You; Universal Mind; Break On Through pt2; The Celebration of the Lizard; Soul Kitchen*

74079 *13* (11/1970): *Light My Fire; People Are Strange; Back Door Man; Moonlight Drive; Crystal Ship; Roadhouse Blues, Touch Me; Love Me Two Times; You're Lost Little Girl; Hello, I Love You; Wild Child; Unknown Soldier*

75011 ***L. A. Woman*** (4/1971): *The Changeling; Love Her Madly; Been Down So Long; Cars Hiss by My Window; L.A. Woman; L'America ; Hyacinth House; Crawling King Snake; The WASP (Texas Radio & the Big Beat); Riders On the Storm*

2-6001 ***Weird Scenes Inside the Gold Mine*** (1/1972, album podwójny): *Break On Through; Strange Days; Shaman's Blues; Love Street; Peace Frog; Blue Sunday; The WASP, End of the Night; Love Her Madly; Spanish Caravan; Ship of Fools; The Spy; The End; Take It As It Comes; Running Blue; L.A. Woman; Five To One; Who Scared You (You Need Meat); Don't Go No Further; Riders On the Storm; Maggie M'Gill; Horse Latitudes; When the Music's Over*

EQ-5035 *The Best of the Doors* (8/1973, płyta kwadrofoniczna): *Who Do You Love; Soul Kitchen; Hello, I Love You; People Are Strange; Riders On the Storm; Touch Me; Love Her Madly; Love Me Two Times; Take It As It Comes; Moonlight Drive, Light My Fire*

5E-502 *An American Prayer* (11/1978): *Awake; To Come of Age; The Poet's Dreams; World on Fire; An American Prayer*

Wszystkie płyty wydała wytwórnia Elektra Records.

Książki:

The Lords

wydana prywatnie, w nakładzie 100 egz.
Western Lithographers, Los Angeles,
wiosna 1969.

The New Creatures

wydana prywatnie jw.

The Lords and The New Creatures

Simon and Schuster,
maj 1970.

An American Prayer

wydana prywatnie, nakład 500 egz.,
Western Lithographers, Los Angeles, lato 1970.

The Lords and The New Creatures

Simon and Schuster,
jesień 1971.

Filmy:

Break On Through

16 mm, kolor. Film promocyjny Elektry dla TV, 2 min. 25 s.

The Unknown Soldier

16 mm, kolor, jw., 3 min. 10 s.

Feast of Friends

16 mm, w większej części kolorowy, scenariusz i zdjęcia: Jim Morrison i Paul Ferrara. Produkcja: Paul Liscianro. Dźwięk: Babe Hill. Współprodukcja: the Doors, 40 min.

HiWay (HWY)

35 mm, kolor. Film Jima Morrisona, Franka Liscianro i Paula Ferrary. Dźwięk: Babe Hill. Piosenka tytułowa: Georgie Ferrara. Muzyka: Fred Myrow, 50 mm.

The Doors Are Open

film telewizyjny, czarno-biały, z reportażem z koncertu i wstawkami z wydarzeń politycznych roku 1968. Czteroczęściowy. Produkcja: Granada TV, Londyn. Nakręcony podczas koncertu Doors w Roundhouse w Londynie.

Każdy fan Doorsów, bez względu na wiek, musi przeczytać tę książkę, pełną pikantnych szczegółów i gorzkich wspomnień. Jest to jedyna w swoim rodzaju, wyczerpująca wyprawa w przedziwną krainę, którą zamieszkiwał Morrison".

- Pat Goldstein, *Los Angeles Times*

„Wspaniały... przejmująco żywy i niesamowicie zajmujący opis krótkiego życia gdzieś na krawędzi, w piekle lub jeszcze dalej... bezbożna wyprawa i dzika podróż do ciemnej strony ludzkiej natury. Jest to doskonale napisana książka, dzieło, którego perfekcjonizm pochwalili sam Morrison. Przeczytajcie ją".

- Clyde Hadlock, *Kicks*

„Zajmująca książka... *Nikt nie wyjdzie stąd żywy* jest nostalgiczną wyprawą w epokę, która minęła tak szybko... jest w ni j tęsknota za gniewem i namiętnościami minionych lat... książka ta jest prawdziwym dokumentem, a nie tylko kolejną biografią upadłej gwiazdy".

- *Nashville Gazette*

„Niepokojąca opowieść o psychologicznej ulotności pewnego artysty... dokładna, prowokująca i pełna współczucia".

- *Baltimore Sun*

„Zgodnie ze swoimi intencjami, autorzy opowiadają historię, która nie jest kolejnym banałem o Wzlocie i Upadku, zepsuciu bogactwem i sławą, lecz opowieścią o nagłym wypaleniu się ulotnego, rozkapryszonego, utalentowanego i inteligentnego artysty".

-*Fort Worth Star-Telegram*

„Absorbujący przykład popularnej biografii jako horroru... wspaniała robota".

- *Penthouse*